

Nowa powieść autorki zekranizowanej  
**bestsellerowej sagi** o policjantach z Lipowa

# KATARZYNA PUZYŃSKA

BEZGŁOS

Prószyński i S-ka

# KATARZYNA PUZYŃSKA

**B E Z G Ł O S**

Prószyński i S-ka

Copyright © Katarzyna Puzyńska, 2023

Projekt okładki  
Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce  
archiwum M. Banachowicz

Redaktor prowadzący  
Anna Derengowska

Redakcja  
Małgorzata Grudnik-Zwolińska

Korekta  
Maciej Korbasiński

ISBN 978-83-8352-638-6

Warszawa 2023

Wydawca  
Prószyński Media Sp. z o.o.  
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28  
[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

# ROZDZIAŁ I

## 1

### Julia Wilk

Julia Wilk oparła się o samochód i raz jeszcze spojrzała z zadowoleniem na dom. Nie mogła wprost uwierzyć, że od dziś będzie tu mieszkała. Uwielbiała taki styl! Budynek musiał być kiedyś częścią jakiegoś zakładu produkcyjnego. Może dawnego PGR-u? Już na pierwszy rzut oka widać było, że czerwona cegła jest w dużej mierze oryginalna. Gdzieśgdzie zdawała się jakby poczerniała, nadpalona. Wyglądało to świetnie! Dodawało niespotykanego w nowych budynkach klimatu.

Do tego dawnego sznytu właściciel dodał nowoczesne elementy. Współgrały z tradycyjnymi wprost idealnie. Na przykład olbrzymie okno na frontowej ścianie domu. Ciągnęło się przez całą fasadę. Julia wniosła już do środka dużą część bagaży i widziała, jaki niesamowity efekt przestrzeni i jasności daje to okno. Nie mogła przestać się zachwycać. Wychodziło na zachód. Teraz słońce zbierało się już do snu. Był to więc idealny moment, żeby docenić tę architektoniczną perłę. Ciepłe promienie mieniły się na wielkich szybach niczym stare złoto. Potem, kiedy spektakl na niebie zabarwią róże, czerwienie i fiolety, zrobi się jeszcze piękniej.

Odetchnęła pełną piersią usatysfakcjonowana. Jej nowy dom stał na końcu ślepej uliczki. Tuż pod lasem. Oprócz niego był tu jeszcze jeden, dużo nowszy budynek. Zapewne zbudowany już po dwutysięcznym roku. Nie był uroczy jak ten, który miała teraz zająć Julia. Najważniejsze jednak, że znajdował się dobrych dwieście metrów od jej działki. Wścibstwo sąsiadów jej więc nie groziło. Nie mogła uwierzyć we własne szczęście!

Kiedy przeczytała ogłoszenie, że szkoła w Wieszczach, małym miasteczku pod Brodnicą, poszukuje nauczycielki języka polskiego, nie zastanawiała się, tylko od razu wysłała swój życiorys. Dopiero potem przypomniała sobie, że w Internecie krążyły informacje o tym, że pobliskie Lipowo, choć malownicze, wcale nie jest zbyt bezpieczne. Nie przejęła się tym. Bądź co bądź będzie mieszkać jakieś dwadzieścia kilometrów stamtąd.

To ogłoszenie spadło jej jak z nieba, a darowanemu koniowi nie zagłęda się przecież w zęby. Nie tak często zwalnia się miejsce w trakcie trwania roku szkolnego. Przynajmniej tak jej się wydawało. Końcówka kwietnia to nie był czas, kiedy nauczyciele decydowali się nagle odejść. Ciekawe, co skłoniło dawnego polonistę do takiej decyzji? Uznała, że i tym nie

będzie się zajmowała. Po co kusić los, zadając zbyt wiele pytań? Było dobrze tak, jak jest, prawda?

Choć swoją drogą dyrektorka szkoły musiała być zdesperowana. Nie zadawała właściwie żadnych pytań. Julia bardzo się obawiała skrupulatnego przepytывania. Wbrew temu, co napisała w CV, nie miała pojęcia ani o nauczaniu, ani nawet o praktycznym funkcjonowaniu szkoły. Nowa szefowa nie czytała chyba dokładnie sfabrykowanego życiorysu, którym Wilk ją uraczyła. Inaczej może dopatrzyłaby się nieścisłości, które Julia dostrzegła dopiero, kiedy przeglądała plik już po wysłaniu i było za późno na poprawki. Ale to przeoczenie nowej szefowej też było darem od losu, a nie powodem do zastanawiania się dlaczego.

Wilk odgoniła uporczywie powracającą myśl, że jest **za dobrze**. Ciągłe szukanie dziury w całym było jej problemem również w **poprzednim** życiu. Nie potrafiła się niczym beztrosko ucieszyć. Zawsze się martwiła, że coś złego może się wydarzyć. Większość z tych zagrożeń była wyimaginowana. Oczywiście do czasu...

Odetchnęła znów zapachem lasu, żeby odegnać złe wspomnienia. Był czas, że wszystko, czego doświadczyła, wracało i stawało jej przed oczami. Teraz jednak nic już jej nie groziło, prawda? Zaczynała od nowa w miejscu idealnym.

Wątpiła, żeby ktoś ją tu rozpoznał. Nikt nie będzie wiedział, że jest morderczynią. Czysta karta.

Odetchnęła znów głębiej. Las zaczynał się dosłownie za jej działką. Czula więc przyjemny zapach rozgrzanej trawy, igliwia i liści. Zostało jeszcze kilka dni do weekendu majowego, ale pogoda dopisywała i miało się poczucie, że jest lato, a nie wiosna. Naprawdę nie mogła sobie wyobrazić lepszej aury, żeby się tu wprowadzić.

Wzięła ostatnie torby i zatrzasnęła bagażnik czerwonego mini coopera. To był malutki samochód, ale jakoś zmieściła większość potrzebnych jej rzeczy. Kluczem okazało się spakowanie ich w małe paczki i układanie jak cegiełki. To było znacznie efektywniejsze niż wciskanie wielkiej walizy do małego bagażnika. Wtedy na pewno by się nie udało. Skądinąd to uzmysłowiło jej, jak wiele rzeczy gromadziła zupełnie na próżno. Większości w swoim nowym życiu w ogóle nie potrzebowała. Pozbycie się tego wszystkiego działało wyzwalająco. Jakby zrzucała starą skórę.

Weszła do domu. Pachniał nowością. Najpewniej niedawno zakończono remont. Miejsce poleciła jej dyrektorka szkoły. Z tego, co Julia zrozumiała, właścicielem był jakiś znajomy nowej szefowej. Może przygotował dom pod wynajem letnikom? W sumie dziwny pomysł. Okolice Brodnicy to była wprawdzie kraina jezior, ale Wieszcze znajdowały się akurat z dala od wszelkich zbiorników wodnych. Były tu lasy, ale turyści woleli chyba wylegiwać się na plażach, prawda? Może dlatego dyrektorka szkoły przekonała właściciela, żeby wynajął Julii ten dom. Samego **kamienicznika** Wilk nie spotkała. Klucz znalazła pod wycieraczką. Tak, jak miało być. Wszystko więc w porządku, prawda?

– Prawda – powiedziała sama do siebie, żeby dodać sobie otuchy.

Mimo to znów powróciła uporczywa myśl, że jest za dobrze, żeby to była prawda. Za dobrze. Odgoniła niechcianą refleksję. Wręcz przeciwnie, jest dobrze i będzie dobrze. Trzeba przestać maltretować się myślą, że wydarzy się coś złego. Julia będzie teraz porządną nauczycielką w małym miasteczku. Żadnych nowych przygód i przeżyć.

A to, że nie widziałaś nawet dyrektorki? Nie tylko właściciela tego domu, nawet swojej przyszłej szefowej! Odbyłaś tylko rozmowę przez telefon!

– I bardzo dobrze – ucieła Wilk, znów odganiając natrętne myśli.

Rozmowa telefoniczna była Julii na rękę. Odbyła się bowiem, jeszcze zanim obcięła swoje charakterystyczne czarne loki i przefarbowała włosy na blond. Potrzebowała kilku podejść, ale się udało. Farba z drogerii zniszczyła kosmyki. Musiała je drastycznie skrócić. To jeszcze lepiej, bo wszyscy kojarzyli ją z długimi puklami. Była teraz nie do poznania. Dobrze, że do sfabrykowanego CV nie wkleiła zdjęcia, bo ta przemiana mogłaby zrodzić pytania. Za bardzo się jednak bała, że pracodawczynie mogłaby ją rozpoznać z telewizji albo innych mediów.

Julia przeszła przez salon. Nie mogła się powstrzymać, żeby nie przystanąć na chwilę i nie spojrzeć przez wielkie okno wychodzące prosto na spektakularny zachód słońca. Słońce było już ledwo widoczne nad drzewami po lewej, ale za to mieniło się nadal purpurami i fioletami po prawej nad polem. Dobrze, że dom stoi na obrzeżu miasteczka, ucieszyła się znów Julia. Las, pola, tylko jeden dom w sąsiedztwie. Dla kogoś, kto – jak ona – się ukrywa, to naprawdę wymarzona sytuacja.

Nagle kątem oka zobaczyła jakieś poruszenie blisko lasu. Nie, nic tam nie ma, stwierdziła, przyglądając się dokładniej. Zdawało jej się tylko. Wzruszyła ramionami i poszła do kuchni. Wyjęła z torby nieliczne naczynia, które ze sobą zabrała. Dom był najwyraźniej przygotowany pod wynajem, bo w pełni go wyposażono. W szafkach znalazła talerze i garnki. Doskonale. Nawet nie będzie musiała nic kupować. Choć i tak wątpiła, że czegoś z tej zastawy kiedykolwiek użyje. Nie była mistrzynią kuchni. Wręcz przeciwnie. Unikała **pichcenia**, jak czasem mówiła na gotowanie jej mama (która z kolei brylowała w kuchni i uwielbiała to).

Julia odkręciła kran i przepłukała swój ulubiony kubek z lordem Vaderem z *Gwiezdných wojen*. Bezwiednie się zaśmiała. To płukanie było nawykiem z dawnych czasów. Nie mogła pracować bez tego kubka. I zawsze przemywała go na szybko wodą, bo nie chciało jej się dokładnie myć. Kiedy pracowała, i tak najczęściej piła jedynie wodę. Co tu szorować?

Teraz zrobiła to samo, mimo że dawne życie zostawiła za sobą. Przynęła metalową suszarkę bliżej kranu i postawiła kubek dokładnie pośrodku. Taka drobnostka, a sprawiła, że wnętrze wreszcie zdawało się zamieszkane. Jeszcze chwila i wszystko się przybrudzi, nabierze swojskości. Na razie jednak sylwetka Julii odbijała się w dokładnie wyczyszczonych chromowanych elementach kuchni.

Patrzyła na siebie ciągle zaskoczona fryzurką na zapalną. Sama obcięła sobie włosy, ale musiała przyznać, że wyszło całkiem nieźle. No może odrobinę **awangardowo**. Zawsze można jednak powiedzieć, że to taki styl. Nie mogła przecież pójść do fryzjera. Uciekinierzy

nie chadzają do salonów piękności, żeby zmienić wygląd. Uśmiechnęła się do swojego odbicia w błyszczących listwach piekarnika rozbawiona tą konstatacją.

Niedługo ta nowa twarz stanie się znajoma. Jej nowiutkie imię i nazwisko też jej odpowiadało. W sfalszowanym CV wpisała **Wilk** pod wpływem chwili. Dobrze jej się kojarzyło. Wilki były odważne, a Julia taka właśnie chciała być. Koniec z baniami się własnego cienia i odwracaniem na ulicy, kiedy tylko usłyszy za sobą kroki.

Chciała przestać uciekać przed tym, co zrobiła. Nie planowała, że zabije tamtego mężczyznę. Wszyscy mordercy pewnie tak mówią, ale w jej przypadku to naprawdę **stało się samo**. Co więcej, doskonale wiedziała, że temu człowiekowi należało się wszystko, co najgorsze, ale i tak wracało to do niej niczym jakiś upiorny bumerang. A powinna zapomnieć!

Miała więc nowe nazwisko. Pozostawało wybrać imię. Kiedyś, dawno temu, nadała sobie takie miano, które jej się podobało. Sama siebie ochrzciła w tajemnicy. Korciło ją więc, żeby wpisać je w sfabrykowany dokument i wreszcie niejako uprawomocnić. Szybko jednak zrezygnowała z tego pomysłu. To było imię, które znała tylko ona. Coś bardzo prywatnego. Niech tak zostanie.

Musiała więc znaleźć inne. Rozważała, czy wybrać podobne do tego, które miała wpisane w dowodzie z poprzedniego życia. Może wtedy łatwiej byłoby na nie reagować. Przecież jak ktoś w nowej pracy ją zawoła, to powinna podnieść głowę. Inaczej wzbudzi podejrzenia. Podobne imię równa się łatwa reakcja. Logiczne.

Potem jednak i w tej kwestii dopadły ją wątpliwości. A jeśli przez podobne imię ktoś ją skojarzy? Nie, za duże ryzyko. Musi wybrać zupełnie inne. Padło więc na Julię. Jak u Szekspira. Nie była to co prawda literatura krajowa, ale do rzekomej polonistki pasowało chyba książkowe imię? Dziewczyna z rodziny Capulettich nie skończyła wprawdzie najlepiej, ale to była jedynie fikcja, pocieszała się **Julia Wilk**.

Wzięła resztę rzeczy, żeby zanieść je na górę. Torba laptopa uwierała ją w ramię, jakby komputer był cięższy od góry tobołków z ubraniami. Schody znajdowały się z tyłu domu. One też bardzo jej się podobały. Prawie na równi z oknem ciągnącym się przez całą ścianę zamiast cegieł. Wyglądały, jakby przeniesiono je do tego domu z jakiejś starej fabryki. Superefekt.

Za schodami znajdowały się wąskie rzeźbione drzwi. Julia podejrzewała, że prowadzą do ogrodu z tyłu domu. Jeszcze z nich nie korzystała. Były tak wąskie, że z bagażami na pewno by się nie przecisnęła. Ktoś pewnie dodał je do projektu w ostatniej chwili, żeby ułatwić sobie wychodzenie na zewnątrz, a szersze by się tu nie zmieściły. Schody były zbyt obszerne.

Zaczęła wspinać się na górę. Stopnie miały ażurową konstrukcję. Dawało to wrażenie głębi i przestrzeni. Dobrze się komponowało z wiszącymi na ścianach ramami. Dziesiątki plakatów z klasycznych filmów. *Lśnienie*, *Forrest Gump*, *Edward Nożycoręki*, *Lot nad kukułczym gniazdem*, *Czas apokalipsy* i wiele innych. Ktoś zgromadził tu niezłą filmową kolekcję.

A przede wszystkim naprawdę zrobił dobrą robotę, jeśli chodzi o design. A przynajmniej trafił dokładnie w gust Julii.

Jedynie dudnienie każdego kroku na schodach robiło trochę niesamowite wrażenie. Wywoływało podskórny niepokój. Tym jednak nie ma co się przejmować, pomyślała znowu Wilk. Przyzwyczai się do odgłosów tego domu, jak trochę tu pomieszka. Nowe miejsce zawsze odrobinę przeraża.

Na piętrze znajdowało się tylko jedno pomieszczenie. A właściwie dwa. Otwarta na schody sypialnia i przylegająca do niej łazienka. W skośnym dachu też pyszniły się okna. Jednak tu, w przeciwieństwie do salonu, gdzie nie było żadnych zasłon, zamontowano rolety. Pewnie dekorator stwierdził, że akurat w tym pomieszczeniu przyda się trochę intymności, albo uznał po prostu, że w ciemności lepiej się śpi.

Okna w skośnym dachu wychodziły na las. Julia wyjrzała na zewnątrz. Jedno z drzew sięgało szyb i niemal ich dotykało. Uśmiechnęła się. Tu co najwyżej lisy czy sarny mogły kogoś podglądać. Bajka!

Usiadła na łóżku i od razu zapadła się w miękki materac. Przygotowano dla niej świeżą pościel. Pachniała cudownie. Pewnie suszono ją na dworze. Ależ będzie się spało! Przymknęła oczy. Uczucie było tak wspaniałe, że na chwilę ogarnęły ją wyrzuty sumienia, że będzie udawała porządną nauczycielkę języka polskiego. Z nienagannym CV. Lokalsi zadbali, żeby poczuła się tu dobrze już od pierwszego momentu. A tymczasem ona będzie ich oszukiwała. A co gorsza, ukrywała przed nimi ten **drobny fakt**, że była morderczynią.

Zerwała się jak oparzona. Jakby to mogło zagłuszyć poczucie winy. Jej wzrok padł na opartą o nogę łóżka torbę z laptopem. Miała ochotę ją podnieść i roztrzaskać komputer. Uznała więc, że bezpieczniej będzie taktycznie się oddalić i zejść na dół.

Wróciła do salonu, żeby jeszcze chwilę pozachwycać się widokiem z wielkiego okna. Może to ją uspokoi. Po lewej miała las, po prawej pole, a w oddali miasteczko, które było teraz jej domem. **Wieszce**. Co za dziwna, intrygująca nazwa...

Zaraz, a to co? Czyżby znów zobaczyła jakieś poruszenie? Przedtem myślała, że tylko jej się wydawało. Teraz jednak była prawie pewna, że wśród pierwszych drzew kryło się jakieś zwierzę. I to całkiem spore. Duży pies? Pokręciła głową. Nie, to było coś większego. Może to nomen omen wilk? Ale one chyba nie podchodzą tak blisko do siedzib ludzi? Gdzieś kiedyś o tym czytała.

Opanował ją atawistyczny strach, ale jednocześnie ciekawość. Zobaczyć wilka to jednak rzadkość. Zbliżyła się do okna, by lepiej się przyjrzeć. Jeśli to był wilk, to bardzo potężny i dziwnie nieforemny. Może dzik? Zaśmiała się pod nosem. Nie знаła się na leśnej faunie, ale nawet laik powinien chyba rozróżnić wilka od dzika. Tymczasem jej się zdawało, że zwierzę co chwilę wygląda inaczej. Może dlatego narastał w niej niepokój. Uczucie robiło się coraz bardziej nieprzyjemne. Zaczęła żałować, że dom nie jest otoczony płotem.

Nagle oczy dziwnego zwierzęcia skierowały się prosto na nią. Wydawały się błyszczeć, mimo że słońce skryło się już za horyzontem i jego promienie nie mogły się w nich odbijać.



Zdawało jej się, że przesywają ją na wylot, a zwierzę wie wszystko na jej temat. Na jej ustach pojawił się nerwowy uśmiech. To przecież idiotyczne, powtarzała sobie, mimo to wycofała się w głąb pokoju. Że też to okno jest takie duże i pozbawione jakiegokolwiek zasłony... Złowieszcze ślepią zdawały się podążać za nią dalej i dalej, mimo że zwierzę chyba nie mogło jej już widzieć.

– Oj, daj spokój.

Nawet jeśli **wilkodzik** ją widzi, nie przyjdzie mu do głowy przebić szkła. Ale czy na pewno? Na szybach nalepiano czasem naklejki, które miały sprawić, że ptaki nie wpadną w okno. Czy ten wilk, dzik, czy co to było, zdawał sobie sprawę, że tu w ogóle jest okno?

W wyobraźni słyszała już trzask wielkiej szklanej tafli pękającej, kiedy zwierzę wbije się w nią w pełnym pędzie. Kto w ogóle wymyślił okno zamiast ściany?! Znów zaśmiała się nerwowo. Co za idiotyzm. Przecież jeszcze przed chwilą zachwycała się tym salonem i **perłą** architektury, jaką stanowiło to okno. Teraz dla odmiany wydawało jej się niebezpieczne i złowrogie. Wszystkie te zmiany doznań w marne pół godziny. Chyba rekord szybkości!

– Oj, szalejesz, **Julio**. Szalejesz – powiedziała znów sama do siebie.

Próbowała obrócić to wszystko w żart, ale i tak wiadomo było, jaka jest prawda. Bała się. Przystanęła za wielką kanapą. Z tego miejsca nie widziała już dokładnie zwierzęcia. Wiedziała jednak, co zobaczyła wcześniej. Trzeba powiedzieć to wprost. To nie był ani wilk, ani dzik. To coś było dziwnie nieforemne. Dopiero teraz dochodziło do niej, jak bardzo niekształtna była jego sylwetka. Stawy zdawały się powykręcane, a całość przypominała worek wypełniony wrzuconymi byle jak kośćmi. Jakby to było dzieło jakiegoś szalonego taksydermisty, który wypchał zwierzę, nie bacząc, jaka jest jego prawidłowa anatomia.

A co najgorsze, w pysku tego czegoś było coś nienaturalnie ludzkiego. Jakby pysk stanowił jednocześnie twarz.

– Nie, teraz to już żeś poleciała – zakomunikowała sama sobie Julia.

A kontury tego skórzanego... czegoś? Czy nie były jakby... rozmazane? Nie, to już czyste szaleństwo. Brzegi zwierząt nie są rozmazane. Przydadzą ci się okulary, moja droga, przebiegło jej przez myśl. To wszystko. Mimo to zaczęła się gorączkowo zastanawiać, czy zamknęła drzwi wejściowe. Na klamkę na pewno, ale czy na klucz?! To było doprawdy jeszcze głupsze. Zwierzę nie otworzy sobie przecież drzwi. W okno może wbiec (choć oczywiście tego nie zrobi), ale drzwi sobie nie otworzy! Ot co!

Mimo to postanowiła dla świętego spokoju się upewnić. Starła się robić małe kroki i nie poruszać za bardzo górną połowę ciała, aż znalazła się poza salonem. Uznała, że w ten sposób nie sprowokuje zwierzęcia, jeśli faktycznie było ją w stanie dostrzec przez szybę. Dopiero kiedy znalazła się w holu, rzuciła się pędem. Dopadła drzwi wejściowych i nacisnęła klamkę. Były zamknięte na klucz. Stary nawyk jej nie zawiódł. Zawsze niemal automatycznie zamykała za sobą, kiedy wchodziła do mieszkania czy domu.

Nacisnęła klamkę raz jeszcze, żeby przypieczętować uczucie ulgi. Nie ma się czego bać. Wieszcze to miasteczko, ale tak naprawdę prawie wieś. Poza tym ona mieszka na samym

obrzeżu. Na pewno wiele tu niepozamykanych bram, jak to zwykle w gospodarstwach, i psy biegają luzem. To był jeden z nich. Nic więcej. A jednak uczucie niepokoju, które wywołały w niej iskrzące się ślepią, nie mijało. Oparła się o stojący w holu kredensik, żeby złapać oddech i odzyskać panowanie nad sobą.

Wróciła do salonu i wyjrzała jeszcze raz. Zmrok przejął już świat w swoje władanie, ale była praktycznie pewna, że między drzewami nic nie ma. O ile w ogóle wcześniej było! Zaśmiała się głośno sama z siebie. Chyba i wcześniej nic się tam nie czaiło. Albo co najwyżej jakiś wiejski kundel, który zerwał się z uwięzi. Wyobraźnia dopowiedziała swoje. Przez tę ucieczkę ze starego życia Julia zrobiła się zdecydowanie za nerwowa.

## 2

### Agnieszka Szymańska

Agnieszka Szymańska podeszła do okna swojego **specjalnego** pokoju. Wychodziło na sąsiedni dom – niegdyś nazywany Stróżówką. Przygotowała aparat. Umieściła długi obiektyw na parapecie. Kupiła go niedawno. Jeszcze nie miała okazji go użyć. Dziewiczy rejs.

Starła się stopić w jedno z zasłoną. Całe szczęście, akurat tak się złożyło, że włożyła ubranie w podobnym kolorze złota i błękitu. Wątpiła wprawdzie, żeby **nowa** zorientowała się, że ktoś robi jej zdjęcia. Jednak przezorny zawsze ubezpieczony, jak to się kiedyś mówiło. Przytrzymywała też stopy tak, żeby lustro stojące w kącie nie rzuciło jakiegoś refleksu. Naprawdę radziła sobie świetnie.

Suka, pomyślała o nowej Agnieszka. W tej myśli czaiła się zajadłość. Szymańska wiedziała, że powinna trzymać takie emocje na wodzy. Przynajmniej w teorii. Tylko że dość już miała przejmowania się tym, co powinna, a czego nie powinna. Całe życie zachowywała się układnie. Chciała, żeby rodzice byli z niej dumni. Mimo to matka ciągle szturchała ją w ramię, sycząc: *powinnaś to, powinnaś tamto*. Ojciec kiwał głową. Bał się chyba przeciwstawić. Wolał żyć gdzieś w swoim świecie, zostawiając Agnieszkę w szponach matki.

Wszystko, co mówiła matka, na pierwszy rzut oka zdawało się miłe i uprzejme, ale tak naprawdę zazwyczaj było przytykiem. Weźmy takie *dobrze wyglądasz* na przykład. Oznaczało oczywiście, że matka była zdania, że Agnieszka znów przytyła i **powinna** coś z tym zrobić. Albo słynne „ale”. *Pięknie to zrobiłaś, ale...* To było wszystko, co Szymańska słyszała, kiedy przyszła z nowym rysunkiem, nad którym tak długo pracowała na lekcjach plastyki. A przecież wszystko, co jako dziecko chciała usłyszeć, to choć jedno dobre słowo pozbawione trybu warunkowego, przypuszczenia albo ukrytych podtekstów.

Oczywiście teraz to już nie miało większego znaczenia, bo była dorosła, a oboje rodzice nie żyli. Przez **wybory**, rzecz jasna. Najpierw ojciec, a kilka miesięcy później matka. Można powiedzieć, że Agnieszka z jednej strony odetchnęła, ale z drugiej czuła gniew. Przez pewien

czas starała się odchudzać, jakby mogła jeszcze odwiedzić dom rodzinny i usłyszeć pełne uznania: *ale zeszczupiałaś*. Cóż, matka nigdy tego nie doczeka, a przez to Agnieszka nigdy chyba nie zazna spokoju. Zawsze będzie już nad nią wisało to **ale**. A może nie? Teraz przecież wszystko się zmieni.

Zerknęła ostrożnie przez okno. Z miejsca zniechęciła nową za szczupłą sylwetkę i piękne ciało – choć nawet jej nie znała. Nie czuła się już jednak taka bezwolna jak wcześniej. Rytuał, który zaczęła ostatnio odprawiać, dodawał jej sił. Był może troszkę mroczny, troszkę dziwaczny i zapewne gdyby ktoś się o nim dowiedział, miałyby kłopoty. Ale nikt się nie dowie, zaśmiała się gniewnie. Nikt. Dla innych pozostanie **uśmiechniętą Agnieszka**. Jakby żadne przytyki dotyczące wagi nie dotyczyły jej, tylko kogoś innego. A już na pewno nie raniły. Och, jacy ludzie potrafią być głupi. Uważają, że jak z siebie żartujesz, to cię nie boli, jak ktoś znów mówi: *kochanego ciała nigdy za wiele?*

Po śmierci rodziców poszła nawet na terapię. Przejrzała listę psychologów w Brodnicy. Znała kilka osób, które zdecydowały się sobie pomóc. Postanowiła jednak nie pytać ich o opinię na temat terapeutów. Wtedy wszyscy dowiedzieliby się, że i ona potrzebuje pomocy. A przecież była uśmiechniętą, wesołą Agnieszka, prawda? Po co jej terapia?

Jak się później okazało, lepiej byłoby zapytać o opinię, bo trafiła do osoby, która uważała, że wszelkie przejawy inności to fanaberia, a odmienna orientacja seksualna to coś, co trzeba leczyć. Agnieszka wyszła ze spotkania zdegustowana i ruszyła przed siebie bez wyraźnego celu. Samochód zostawiła na parkingu przy supermarkecie. Nogi poniosły ją na rynek, gdzie spotkała tamtą dziwną kobietę.

Wydawało się, że czekała właśnie na Agnieszkę, choć może wypatrywała tylko osób z desperackim wyrazem twarzy. Kogoś, kto nie ma nic do stracenia. Tamtego dnia Szymańska faktycznie nie miała nic do stracenia. A przynajmniej tak jej się wydawało. Trafiła na złą psycholożkę. Zacoфанą i potencjalnie szkodliwą dla pacjentów. No ale co z tego? Nawet jeśli Agnieszka trafiłaby na najlepszego specjalistę, i tak nie mogłaby powiedzieć mu nic o tym, jak naprawdę zginęli jej rodzice i co oni wszyscy tu w Wieszczach musieli robić, żeby przeżyć. A co po takiej terapii, kiedy trzeba ukrywać prawdę? Odnosiła wrażenie, że nie zostało jej nic innego, tylko ze sobą skończyć.

Wtedy właśnie spotkała tamtą kobietę.

– Czuję, że jesteś z Wieszcz – szepnęła starucha i tym ostatecznie zaintrygowała Agnieszkę. Może jednak czekała właśnie na nią?! Nawet jeśli początkowo nie miała takich planów i na siebie wpadły. Może to było im pisane?

Koniec końców dziewczyna zapłaciła jej za instrukcje, które mogły okazać się szarlatanerią, a nie prawdziwą **czarną magią**. To określenie nigdy nie padło, ale Agnieszka doskonale wiedziała, że do tego się to sprowadza, i wcale jej to nie przeszkadzało. Starucha odwiedziła ją nawet tu w domu i wszystko jej pokazała. Kiedy skończyły, poszła pod Stróżówkę i długo przyglądała się domowi. W końcu podeszła do samej ściany i do niej przylgnęła. Jej zachowanie było niepokojące i nieprzyjemne. Jakby wiedźma oszalała, a co

gorsza, wiedziała zbyt wiele o tym miejscu. A przecież mieszkańcom nie wolno było nic zdradzać ludziom z zewnątrz. Jeszcze ktoś pomyśli, że Agnieszka miała za długi język!

Ale ja jej nic nie zdradziłam, uspokoiła samą siebie Szymańska. Nie patrzyła już, jak wiedźma odeszła. Co jej po tym. Miała teraz swoją tajemnicę i swoje rytuały. A inni niech nadal postrzegają ją jako uroczą grubaskę. Proszę bardzo. Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Odpowiadała jej rola czarnego charakteru. Co więcej, nawet jeszcze nie rozwinęła skrzydeł. Była na to gotowa.

Szefowa Agnieszki, Wiktoria, w wielu sprawach jej ufała. W innych zaś zupełnie nie. Na przykład nie wyjaśniła kwestii remontu ani nie powiedziała właściwie nic o **nowej**. To było doprawdy wkurzające.

Kiedyś Szymańska unikała gniewu, bo porządne kobiety nie powinny go czuć. Tak twierdziła matka. Teraz go w sobie wręcz pielęgnowała. Zrobiła **nowej** jeszcze kilka zdjęć. Poczekala, aż tamta wyjęła wszystkie swoje rzeczy z tego fikuśnego autka i zniknęła w Stróżówce. Dopiero potem odchyliła firankę i wtedy go zobaczyła. Krył się wśród drzew. Dokładnie tak, jak podejrzewała – chyba nie zrezygnowałby z zobaczenia potencjalnej nowej ofiary, prawda? Poza tym czekali na wyniki. Ciekawe, co się okaże, bo czas dokonania nowych wyborów się kończył, a zdaje się, że jeszcze nie zapadła decyzja. To było doprawdy niespotykane!

Agnieszka ruszyła do biurka. Ostrożnie przestępowała nad przedmiotami porozkładanymi na podłodze **specjalnego pokoju**. W końcu bezpiecznie położyła aparat na blacie. Dopiero wtedy włączyła podgląd i na małym ekraniku zobaczyła fotografie. **Nowa**. Och, jak Szymańska pragnęła zacisnąć dłonie na jej chudej szyi. Jak najszybciej, już. Ukarać ją za tak piękny wygląd.

Pozwoliła sobie, żeby ta wizja na chwilę nią owładnęła. Zaraz jednak odetchnęła głębiej. Czula, że mogłaby natychmiast wyjść z domu, pójść do Stróżówki i zabić tę ostrzyżoną na języka chudą dziwkę. To byłoby takie łatwe, takie sycące. Przedtem Agnieszka nie rozumiała, o co chodzi w tych wyborach, a teraz już trochę tak. Chodziło o władzę. I teraz chętnie by po tę władzę sięgnęła.

Odłożyła aparat. Spojrzała w stojące w kącie lustro. Kiedyś nienawidziła swojego odbicia, a teraz? Czyżby już się zmieniała? Rysy miała wyostrzone. To na pewno. Uśmiechnęła się zadowolona. Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

### 3

## Julia Wilk

Zapadła już całkowita ciemność. Przy kanapie paliła się zdobiona lampa. Julia przygotowała sobie kolację, ale kanapki nadal leżały na talerzu, jedna ledwo skubnięta. Obejrzała do końca nowy serial na Netfliksie. Wcześniej, w poprzednim życiu, nie miała

czasu tego zrobić. Teraz wreszcie będzie mogła zacząć spędzać wieczory jak wszyscy i nadrobi zaległości.

Zerknęła ukradkiem w stronę wielkiego okna. Przez cały wieczór starała się na nie nie patrzeć. Teraz to, że tak jej się początkowo podobało, wydawało się wręcz zabawne. Najpierw to dziwne zwierzę, a teraz ściana ciemności i ona sama oświetlona na tej kanapie jak na scenie. Jeśli ktokolwiek (albo **cokolwiek**) krył się w mroku na zewnątrz, widział ją doskonale. Ona zaś nie widziała nic. Tylko swoje odbicie w tafli szkła. Tak się wcześniej cieszyła, że dom sąsiadów znajduje się daleko. Teraz dałaby wiele, żeby budynki stały tuż obok siebie. Gdyby zaczęła krzyczeć, ktoś przyszedłby jej z pomocą.

Wzdrygnęła się. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jest obserwowana.

– To niedorzeczne, nikogo tam nie ma i nie będziesz krzyczeć – powiedziała do siebie stanowczo.

W tym domu rozmowy samej ze sobą zaczynały jej wchodzić w krew. Jak tak dalej pójdzie, zacznie prowadzić długie monologi, a potem już krótka droga do kaftana bezpieczeństwa. Znów się zaśmiała. Stariała się ignorować złe przecucia i powtarzać sobie, że pierwsza noc w nowym domu jest najtrudniejsza. Wszystko jest obce, a każdy dźwięk wyolbrzymia wyobraźnia. Tak, jak potrafiła zmienić zwyczajnego lokalnego burka w jakiegoś bezkształtnego potwora.

Tylko że jeśli coś by jej się stało, to kogo mogłaby poprosić o pomoc? Do kogo zadzwonić? Nie знаła tu absolutnie nikogo. Nie widziała nawet na oczy właściciela tego domu ani swojej przyszłej szefowej. Nie poznała sąsiadów. Dawne życie zostawiła za sobą. Nie miała żadnych przyjaciół ani rodziny. Była absolutnie przerażająco zdana na siebie.

Przedtem myśl o rozpoczynaniu nowego życia solo wydawała jej się słodka i odświeżająca. Teraz dopiero dochodziło do niej z pełną mocą, że wiązało się ono z samotnością. Absolutnie nikt by jej nie pomógł, gdyby potrzebowała albo chociażby chciała zwyczajnie pogadać.

– Przestań – skarciła się.

Jutro pozna koleżanki i kolegów nauczycieli. Może nawet zawrze jakieś bliższe znajomości. Przede wszystkim jednak będzie musiała dobrze się przysłuchiwać ich rozmowom, żeby zorientować się, jak szkoła funkcjonuje, i już pierwszego dnia nie popełnić jakiejś gafy. A przynajmniej nie na tyle dużej, żeby wszyscy się zorientowali, że nie ma najmniejszego pojęcia o pracy nauczycielki.

Na studiach musiała wyrobić praktyki i to było całe jej doświadczenie w tej materii. Poza tym uwielbiała film *Młodzi gniewni*, no i przede wszystkim sama kiedyś chodziła do szkoły. Weźmie podręcznik i będzie improwizowała. A jak poruszy jakieś kwestie niezwiązane z planem nauczania, to uczniowie będą pewnie bardziej zadowoleni. Jakoś da radę.

Zamknęła klawisz komputera. Wszystko pięknie. Może samą siebie przekonywać, że jest w porządku. Tylko że nadal miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Znów się wzdrygnęła. Zerknęła w stronę ciemnego okna, ale paradoksalnie w tym momencie to nie ono stanowiło

problem. Intuicja podpowiadała jej, że osoba, która na nią patrzy, znajduje się w salonie razem z nią. Pokręciła głową. To było absolutnie niemożliwe. Była tu sama.

Dotknęła ręką policzka w irracjonalnej potrzebie strzepnięcia cudzego dotyku ze swojej twarzy. Wyprostowała się na kanapie i niby od niechcienia zaczęła rozglądać się po pomieszczeniu. Styl industrialny mieszał się tu ze skandynawskim. Gdzieś tam dodano jakąś nutkę koloru. Nie widziała absolutnie niczego podejrzanego. A przede wszystkim **nikogo**. A jednak wrażenie bycia obserwowaną nie zniknęło.

– Jest tu kto? – zapytała więc w końcu na próbę.

Oczywiście odpowiedziała jej cisza. Niczego innego nie można było się spodziewać. Czy na pewno? Opanowało ją nieprzyjemne wrażenie, że to ten rodzaj ciszy, kiedy ktoś nie odpowiada, ale znajduje się tuż obok. Kłopotliwa, nieprzyjemna cisza, którą ma się ochotę czymś wypełnić.

Otworzyła klapę laptopa i włączyła muzykę. Wszystko byle nie ta cholerna głusza. Wybrała jedną ze swoich ulubionych w ostatnim czasie piosenek. *Song to Say Goodbye* zespołu Harakiri for the Sky. Niestety melancholijne tony jedynie spotęgowały posępność nastroju. Dobór repertuaru niezbyt dobry na tę okazję...

Żeby dodać sobie otuchy, Julia spróbowała zaśpiewać razem z wokalistą. To też nic nie dało. Nie tylko dlatego, że nie umiała wydawać z siebie takich dźwięków, nawet kiedy była najbardziej wyluzowana. Gardło miała zaciśnięte. Tak samo zresztą całe ciało. Instynktownie oczekiwała na atak. Dom zdawał się pochylać nad nią, jakby nigdy nie miał jej stąd wypuścić.

Ściszyła muzykę, a potem zupełnie ją wyłączyła. Wydawało jej się, że coś usłyszała. Nasłuchiwała. W domu panowała teraz głęboka cisza. Niezmacona najmniejszym nawet odgłosem. Gdyby budynek był drewniany, pewnie skrzypiałby teraz złowieszczo, ale stare mury tkwiły niewzruszenie na swoim miejscu. Tylko ten dudniący intensywny **bezgłos** i wrażenie bycia obserwowanym. Bezgłos? Czy takie słowo w ogóle istniało? Nie była pewna. Uznała jednak, że idealnie oddawało to, co ją teraz otaczało. Wszystkie odgłosy umilkły. Została pustka – brak głosu, a nie cisza. Dla niej to była różnica.

Spojrzała raz jeszcze w stronę ogromnego okna. Znów nic tam nie widziała – poza własnym odbiciem, oczywiście. Skulona na wielkiej kanapie kobieta obcięta na zapalkę. Oczy spłoszone jak u łani, która umyka przed drapieżnikiem. Julia wzdrygnęła się. Starła się przybrać inny wyraz twarzy. Najlepiej pewny siebie. Jakby lęk malujący się na jej obliczu mógł sprawić, że ściągnie na siebie jakiegoś prześladowcę. **Kolejnego**.

Wstała z kanapy, żeby nie patrzeć dłużej w okno. Zerknęła na zegarek. Była dopiero dwudziesta druga. Nigdy nie chodziła tak wcześnie spać, ale może to było teraz najlepsze wyjście? Położy się, odpocznie. Ten dzień to było dużo emocji, a jutro czeka ją jeszcze więcej. Nowa praca to zawsze jest stres, a jeśli jeszcze nie masz o niej pojęcia, a musisz udawać coś wręcz przeciwnego, tym bardziej.

Znów coś usłyszała? Jakby kroki? Nie, chyba jej się wydawało. **Na pewno** jej się wydawało. Próbowала jeszcze przez chwilę sama siebie o tym przekonać. Ciężko było jednak rozluźnić spięte do granic możliwości mięśnie.

Zakłęła pod nosem zirytowana własną strachliwością, ale poszła do drzwi wejściowych, żeby znów sprawdzić, czy są zamknięte. Musiały być. Przecież już wcześniej się upewniała. Poruszyła kilka razy klamką. Wszystko w jak najlepszym porządku.

Znowu kroki! Teraz słyszała już wyraźnie, że dochodzą z klatki schodowej. Potem nastala cisza. Zakłęła jeszcze raz. Wąskie drzwi obok schodów! Ich nie sprawdziła! Ktoś chyba tamtędy wszedł do środka!

## 4

### Damian Kowalczyk

Damian Kowalczyk przysiadł na murku i zapalił papierosa. Nie palił często. Tylko kiedy ogarniała go ochota na małą przerwę od wszystkiego. Czasem miał wrażenie, że równie dobrze mógłby trzymać w ustach wykałaczkę. Wkładać ją i wyjmować. Chwila dla siebie, przyzwyczajenie. A może jedynie łudzi się, że nie wpada w nałóg? Pewnie wszyscy palacze sobie mówili, że umięją w dowolnej chwili przerwać. Od czasu, kiedy lata temu zapalił pierwszego papierosa, nigdy nie próbował z tym skończyć. Skąd więc mógł wiedzieć, że by mu się udało?

Zaśmiał się pod nosem. Palenie to był teraz jego najmniejszy problem. Zgasił papierosa i spojrzał w niebo. W ostatnich dniach zrobiło się naprawdę pięknie. Wieczorami słońce urządzało podniebne spektakle ze wszystkimi kolorami tęczy w roli aktorów. Można było patrzeć i patrzeć. Lubił to bardzo, ale dziś nic nie sprawiało mu przyjemności. Mimo to siedział aż do końca i jeszcze dłużej, kiedy zapadła już noc.

Lata temu wplątał się w coś, w co nie powinien. A właściwie **wplątano go**, poprawił się. Tym razem naprawdę się nie tłumaczył. Miał wtedy sześć lat. Był dzieckiem. Zdecydowano za niego. Potem oczywiście tkwił w tym. Teraz dobiegał czterdziestki i zupełnie nie umiał się z tego wyplątać. A poza tym czy w ogóle mógł? Zważywszy na to, kim tak naprawdę był, chyba nie...

Przez chwilę wsłuchiwał się w odgłosy miasteczka. Wieszcze nie były duże, ale ich serce biło mocno. Aż za mocno i chyba w tym cały problem. Każda miejscowość miała serce i żyła według swojego rytmu. Mieszkańcy nie zawsze zdają sobie z tego sprawę, ale podskórnice wyczuwają puls tej życiodajnej pompy. Śmiechy dzieci, pojedyncze odgłosy gaźnika w jakimś starym samochodzie, porykiwanie krów na polach, szczekanie wyjątkowo natrętnego psa u sąsiadów, dzwonek w drzwiach sklepu i tak dalej. Odgłosy, których na co dzień się nie słyszy, bo tak powszednieją. Sprawiają jednak, że człowiek czuje, że jest na

właściwym miejscu. A tu w Wieszczach bardziej niż gdziekolwiek indziej. Serce miasteczka biło bowiem tak mocno, że nie pozwalało stąd odejść. **Uzależniało**. Na zawsze.

– Dobry wieczór, Damianie! – krzyknęła pani Koterska spod pięćdziesiątki. Zawsze chodziła na spacer ze swoim yorkiem punkt dwudziesta druga. Jak w zegarku.

Skinął głową z uśmiechem. Tu wszyscy się znali. Mogli się ze sobą nie zgadzać. Mogli być odrobinę zacofani w poglądach, ale byli **swoi**. Połączeni wspólnym losem. Damian wcale nie chciał stąd odchodzić – nawet gdyby mógł. Może właśnie dlatego brnął w układ, którego był więźniem? Teoretycznie mógłby wyznać prawdę i poszukać pomocy, ale czy na pewno by ją uzyskał? Bardzo wątpli. Więcej: zostałby uznany za zdrajcę i za potwora. Może nawet dokonano by na nim jakiegoś samosądu?

A on miał dobre intencje. Godził się na to wszystko przez lata tylko dlatego, że kogoś kochał. A czy to nie usprawiedliwi nawet najgorszego? Damian był nieuleczalnym romantykiem i uważał, że tak, miłość wszystko usprawiedliwia. Mimo to wątpliwości powracały – zwłaszcza z każdą śmiercią spadającą na miasteczko. Czy on na pewno powinien brać udział w tym przelewaniu krwi? Ile jeszcze osób zginie? Co będzie później? Czy on też zacznie zabijać?

Codziennie ćwiczył, aż zrobił z siebie niemal kulturystę. Prawie każdego dnia biegał. Podczas treningów miał sporo czasu na rozmyślenia. Coraz częściej dochodził do wniosku, że faktycznie jest potworem. Nie ma co się oszukiwać. Ludzie tu umierali, a on nie tylko nie próbował tego powstrzymać, ale wręcz brał w tym udział. A potem będzie jeszcze gorzej.

Słońce skryło się za horyzontem i zapadł zmrok. Stało się to nagle, jakby ktoś nacisnął wyłącznik. Lepiej nie kręcić się tu w nocy. Damian wdrapał się po schodach na górę do mieszkania.

– Cześć, skarbie. Dobrze, że już jesteś. Zrobiło się późno.

– Cześć – rzucił lakonicznie.

Miał nadzieję, że w jego głosie nie słyhać fałszywej nuty. Nie mógł pozwolić, żeby prawda wyszła na jaw. Najpierw musi chociaż spróbować jakoś sam się z tego układu wyplątać. **Dowolnym kosztem**. Nawet kolejny przelew krwi wydawał się dopuszczalny, jeśli będzie tym ostatnim.

Każdy lubi myśleć o sobie, że jest człowiekiem dobrym. Do szpiku kości sprawiedliwym. Ale czy ktokolwiek taki był? Damian został w to wciągnięty jako dziecko. Czy miał wybór? Wtedy może nie. Ale nie oszukujmy się, potem miał dobrych dwadzieścia lat, żeby coś z tym zrobić. Nie zrobił. A teraz raptem wyrzuty sumienia i biadolenie? Kiedy stał się takim mięczakiem?

No nic. Jest jak jest. Jutro wyniki wyborów. I jeszcze jedna niewiadoma. Co z tą **nową**? Czuł, że otacza ją jakaś tajemnica. Będzie musiał dojść do prawdy, bo bardzo, ale to bardzo nie lubił sekretów. Wieszcze stanowiły jeden wielki sekret. A on sam też za wiele ukrywał, żeby tolerować nowe tajemnice.

– Gdzie byłeś tak długo?



– Poszedłem pobiegać na pola – skłamał Damian gładko. – Potem przysiadłem, żeby sobie podumać.

Kłamstwo przychodziło łatwiej, kiedy już weszło w krew. Nie mógł powiedzieć swojej drugiej połówce, gdzie poszedł, zanim skusił się na wieczornego papierosa. Ani tym bardziej komu opowiedział o nowej mieszkance miasteczka. Zresztą **on** już na pewno poszedł sam zobaczyć.

Jestem gotów ją poświęcić, stwierdził Damian bez większego żalu. Bądź co bądź nowa była obca. Tylko że nie był głupi. Wiedział, że ona nie znalazła się tu przypadkiem. Teraz jego zadaniem było wybadanie, po co tu przyjechała.

Potem Damian opowie o tym komu trzeba. Postawi jednak warunek. Robi to ostatni raz. Chyba zasłużył już na wolność.

## 5

### Julia Wilk

Osoba, która dostała się do domu przez wąskie drzwi z tyłu, wyraźnie nie chciała zostać usłyszana. Ale Julia usłyszała. Przez chwilę chciała wrócić na kanapę i udawać, że nic a nic się nie dzieje. Tylko że przecież nie mogła tak zwyczajnie zignorować faktu, że ktoś wszedł do jej nowego domu w środku nocy. Ale co powinna teraz zrobić?

Czy miała jakąkolwiek broń? Nic nie przychodziło jej do głowy. Włożyła rękę do kieszeni. Telefonu nie było. Musiał zostać na kanapie w salonie. Zresztą i tak nie miała do kogo zadzwonić. Była tu sama, przypomniała sobie z goryczą swoje wcześniejsze rozważania.

Skrzypnięcie drzwi z tyłu. Dziwne, przecież przedtem słyszała kroki na schodach. Czyżby do środka weszła teraz jeszcze jedna osoba? Doszły ją wyraźne stąpięcia. Zdawały się inne od tych wcześniejszych. Tamte były jakby eteryczne, a te cięższe. A więc naprawdę są tu dwie osoby! Serce biło jej jak oszalałe. Weszli na jej teren. Do miejsca, które uznała już za swój dom. Zaanektowała go chyba wtedy, kiedy wypłukała kubek z lordem Vaderem i postawiła na suszarce do naczyni. Ot, zwyczajna codzienna czynność sprawiła, że budynek zmienił się w przystań. Naruszenie tej prywatnej przestrzeni było niczym gwałt. A kto wie, jakie intencje mieli ci ludzie. Przecież nikt tak po prostu nie wchodzi do cudzego domu – a już zwłaszcza w nocy. Może dojdzie i do naruszenia nietykalności cielesnej. Aż zadrżała. Mężczyzna, którego zabiła, ją zgwałcił. Wiedziała już, jak to jest, i na samą myśl jej ciało oblało się zimnym potem.

Odetchnęła głębiej, zbierając się na odwagę. Nie była pewna, czy dobrym pomysłem jest dać znać, że wie o intruzach. Może powinna zacząć się i ich zaskoczyć? Za bardzo się jednak bała. Całe jej ciało zastygło, jakby zmieniała się w rzeźbę.

– Kto tam? – zawołała w końcu. – Halo!

Żadnej odpowiedzi. Może znów mówiła do siebie. To wprawilo ją w gniew. Sama nie wiedziała na kogo. Na tajemniczych intruzów? A może na siebie? To nie miało znaczenia, bo wzburzenie sprawiało, że bała się jakby nieco mniej. Sparaliżowane dotąd lękiem mięśnie rozluźniały się i mogła wreszcie wykonać jakiś ruch. Po pierwsze telefon, przebiegło jej przez myśl. Albo lepiej nóż, poprawiła się. Będzie miała czym się bronić. To zdecydowanie lepszy pomysł. Jeśliby nawet zadzwoniła na policję, nie dojadą tu tak szybko, żeby jej natychmiast pomóc. Intruzi są tuż obok. Z drugiej strony telefon jest po drodze. Może go chwycić, idąc po nóż...

Oj przestań już i działaj, upomniała się i popędziła przez salon. Komórka faktycznie leżała na kanapie. Julia chwyciła ją i skoczyła w kierunku kuchni. Zatrzymała się w drzwiach jak wryta. Pośrodku pomieszczenia stała jakaś kobieta. Była niewysoka, ciemnowłosa, a przez jej czoło przebiegała linia zrosniętych brwi. Skojarzyła się Julii z malarką Fridą Kahlo. Tym bardziej że ubranie nieznanym pyszniło się całą feerią barw. Trochę jak ludowe stroje Meksykanów.

Intruzka zaciskała w dłoniach nóż. Najwyraźniej właśnie go wyjęła, bo szuflada była odsunięta. Kobieta wpatrywała się w Julię uważnie, ważąc broń w dłoniach. Być może rozważała, czy powinna zaatakować. Była mniejsza od Julii. Niewątpliwie nie chciała ryzykować. Tym bardziej że ktoś był na górze. Najpewniej jej pomocnik.

– Co pani tu robi?! – zawołała Julia.

Początkowo nie była w ogóle przekonana, czy tamta ją usłyszała. Nagle jednak nieznajoma uniosła rękę, jakby mówiła: Stop.

– Przyszłam sprawdzić, czy drzwi są zamknięte – oznajmiła, zupełnie Julię zaskakując. Tego się nie spodziewała.

– Nie były – mruknęła niechętnie. – Na pewno nie powtórzę tego błędu w przyszłości. A teraz proszę wyjść.

Nie wyglądało na to, żeby **Frida** miała posłuchać. Stała nadal z wielkim nożem zaciśniętym w dłoniach. Tylko zrosnięte brwi zmarszczyły się nieznacznie.

– To niebezpieczne – oznajmiła w końcu przybyszka.

Przejechała przy tym palcem po ostrzu noża. Trudno było stwierdzić, czy odnosi się do zostawiania otwartych drzwi, czy zabawy ostrymi przedmiotami. Na czubku jej palca zaślśniła kropelka krwi. Spadła na czarno-białe płytki podłogi, niszcząc ich monochromatyczność. Julia nie mogła oderwać wzroku od tej odrobiny czerwieni. Z jakiegoś powodu zdawała się bardziej przerażająca, niż gdyby wylała się tu cała jej kałuża.

Choć pewnie to nie w tej drobince krył się przerażający mrok tej sytuacji. Julia podejrzewała, że chodzi raczej o niepewność, co wydarzy się dalej. Niepewność zawsze ją przerażała. Tkwiły w bezruchu, ale ile to może trwać? I kto jest na górze? Zaczęła nasłuchiwać, ale nie usłyszała więcej kroków na piętrze. Ten ktoś musiał więc stać tam i czekać. Kroki na schodach były eteryczne, ale tak wyraźne, że nie sposób mówić o pomyłce. Ktoś tam wszedł.

Milczenie przedłużało się i Julia czuła, że w gardle narasta jej coraz większa gula. Chciała wołać o pomoc, ale jej ciało zastygło – z jednej strony gotowe do działania, z drugiej sparaliżowane lękiem.

– Nie powinna pani zostawiać otwartych drzwi – pouczyła **Frida**.

– Zapamiętam – zapewniła szybko Julia. – A teraz naprawdę proszę wyjść.

Tamta uśmiechnęła się półgębkiem. Żadna z nich się nie ruszała. Zapanował dziwny impas. Julia widziała jednak coraz większe napięcie na twarzy nieznajomej. Bała się, że jakikolwiek gwałtowniejszy ruch sprowokuje tamtą do ataku.

– Dziękuję za pani pouczenie – spróbowała ugrzecznionym tonem, choć bez większych nadziei na powodzenie fortelu „na podliz”. Chciało jej się płakać, ale to nie był moment, żeby się nad sobą rozczulać.

– Nazywam się Bibiana – oznajmiła tamta.

Znow coś, czego Julia się nie spodziewała. Kobieta mówiła teraz tonem pogawędki. Jakby nie stała właśnie z nożem w ręku w obcej kuchni. A może kuchnia nie była dla niej obca, przebiegło nagle Julii przez myśl. Przecież nic o tej Bibianie nie wiedziała. Kobieta najwyraźniej znała dom. Nie próbowała wejść od przodu, tylko poszła do wąskich drzwi z tyłu. Chyba że to przypadek i po prostu znalazła otwarte wejście. Nie nadinterpretujmy, upomniała się w duchu Julia.

– Bibiana Zielińska – uściśliła nieznajoma.

– Piękne imię i nazwisko – pochwaliła Julia idiotycznie, bo zupełnie nie miała pomysłu, co jeszcze mogłaby powiedzieć.

Na pewno nie zamierzała się przedstawiać. Przyszło jej za to do głowy, że chyba musi jakoś zyskać na czasie. Sama nie wiedziała po co, bo przecież nie czekała na gościa, który przyszedłby o wyznaczonej godzinie i wyratował ją z tej kabały. Była sama. Już to ustaliła. Nadal zaciskała telefon w garści. Może warto spróbować wybrać numer alarmowy? Tylko jak wtedy zachowa się Bibiana? Intruzka była tak blisko. Gdyby skoczyła z nożem... No i ten ktoś na górze...

– Ja również bardzo lubię moje imię. Jest takie inne. Nie znam żadnej Bibiany oprócz siebie.

Sytuacja stawała się groteskowa. Stały tak sobie i rozmawiały. Julia i nieznajoma kobieta z nożem. A pomiędzy nimi intensywnie czerwona kropelka krwi. Teraz ta drobina zdawała się wręcz krzyczeć. Jakby była zapowiedzią tego, co ma się tu zaraz wydarzyć. Julia czuła, że dłużej tego nie wytrzyma. Do licha z ostrożnością, ugrzecznionymi konwersacjami i zyskiwaniem na czasie. Uniosła telefon i pokazała go Bibianie.

– Zadzwońłam na policję, jak tylko usłyszałam, że ktoś wchodzi! Zaraz tu będą.

Tamta przyjrzała jej się uważniej. Przez chwilę stała w całkowitym bezruchu. Nawet nie mrugała. Oczy miała wytrzeszczone pod linią zrosniętych brwi, jakby miały wyjść z orbit. Potem chyba się uspokoiła. W każdym razie jej spojrzenie nieco złagodniało.

– Nie sądzę – oznajmiła. – W każdym razie lepiej, jeśli pani tego nie zrobiła. Lepiej dla pani. Zapewniam.

– Czego pani chce?! – nie wytrzymała znów Julia.

Słyszała drżenie w swoim głosie. Tamta na pewno też zwróci na to uwagę. Wilk nic jednak nie mogła na to poradzić. Bała się. *Lepiej dla pani, żeby nie dzwoniła pani na policję.* To była wyraźna groźba. Mimo to Julia z całych sił żałowała, że tego nie zrobiła. Czemu wbiegła do kuchni, zamiast wybrać numer alarmowy? Co za głupota! Albo mogła uciec na zewnątrz.

– Pani się mnie boi? – zapytała Bibiana Zielińska jakby w nagłym olśnieniu. Odłożyła nóż do zlewu. – Niepotrzebnie. Ja tylko przyszedłam... panią ostrzec, bo to nie jest bezpieczne miejsce. Porozmawiajmy.

To powiedziawszy, kobieta ruszyła w stronę Julii. Nie miała już broni, ale Wilk i tak uchyliła się instynktownie, antycypując jakiś atak. Nie miała pojęcia, czego może się po tamtej spodziewać. Bibiana jednak minęła ją po prostu i jakby nigdy nic poszła do salonu. Julia odblokowała ekran telefonu i zaczęła wpisywać numer.

– Naprawdę bym nie radziła – dobiegło ją z salonu. – Jeżeli przyjechaliby z naszego komisariatu, wpadłaby pani z deszczu pod rynnę. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Julia zablokowała ekran i weszła do pokoju. W głosie Bibiany było coś dziwnego. Ni to groźba, ni ostrzeżenie. Wilk nie chciała wzywać policji, jeśli to nie było absolutnie konieczne. Mogliby zacząć zadawać za dużo niewygodnych pytań. A przecież była morderczynią. Policjanci na pewno zorientowaliby się, że nie przedstawia się swoim prawdziwym imieniem i nazwiskiem. W gruncie rzeczy nie umiała kłamać. Uchwyciła się więc nadziei, że jednak nie dzieje się – przynajmniej na razie – nic strasznego. Ot, nieco zwariowana kobieta weszła do jej domu, bo Julia głupio nie zamknęła drzwi. Może Bibiana to lokalna wariatka, która wcale nie jest groźna.

Nieznajoma przechadzała się po pomieszczeniu i przeglądała drobiazgi. W końcu podeszła do kanapy, gdzie nadal leżał laptop Julii.

– Chce pani zabrać komputer? – zapytała Wilk. – To rabunek?

Bibiana zaśmiała się jak z najlepszego dowcipu. Jej śmiech dziwnie złął się z delikatnym tykaniem zegara w rogu pomieszczenia.

– Niech pani odłoży ten telefon – poinstruowała kobieta w końcu, kiedy już się uspokoiła. – Tak na wszelki wypadek.

Nieznajoma nie miała już noża, ale w jej głosie było coś takiego, że Julia posłusznie rzuciła komórkę na kanapę.

– Na pani miejscu szybko bym się stąd wyniosła – poradziła Bibiana z uśmiechem.

– A co? Nie chce mnie tu pani? – zapytała zaczepnie Julia. Przestała już dbać o pozory.

Tamta nie odpowiedziała. Nadal przeglądała rzeczy Wilk. W torbie na laptopa znalazła notes z kilkoma planami lekcji, które Julia szykowała jakiś czas temu. Początkowo miała pomysł, że nie zacznie od przerabiania materiału, tylko spróbuje zainteresować uczniów na modłę Michelle Pfeiffer w *Młodych gniewnych*. Potem przyszło zwątpienie i w końcu

decyzja, że jednak spróbuje trzymać się podręczników. Im mniej będzie się wychylać, tym mniejsza szansa, że ktoś zdemaskuje, że nie jest prawdziwą nauczycielką.

– Czego pani chce? – zapytała znowu.

– Już powiedziałam. Proszę stąd szybko wyjechać.

– Próbuje mnie pani zastraszyć, żebym się stąd wyprowadziła?

Kim była ta Bibiana? Nauczycielką, która chciała dostać posadę zajętą przez Julię? A może najemczynią, której wymówiono umowę tego domu, bo dyrektorka załatwiła po znajomości lokum dla swojej nowej nauczycielki?

Bibiana milczała. Patrzyła tylko na Julię uważnie. Nagle zrobiła kilka szybkich kroków i w mgnieniu oka znalazła się obok dziewczyny. Twarz niemal przy twarzy. Julia czuła na policzku jej oddech. Pachniał czosnkiem i jakimiś przyprawami. Zebrało jej się na mdłości.

– Na pani miejscu... – szepnęła Bibiana. – Na pani miejscu bym się stąd wyprowadziła, i to jak najszybciej. Najlepiej jeszcze dziś. Niepotrzebnie tu pani przyjechała. Dla większości ludzi nie ma stąd ucieczki. Ale dla pani może nie jest jeszcze za późno. Jest tu pani tak krótko. Może jeszcze jest szansa. Proszę spróbować!

Słowa wypływały teraz z jej ust bardzo wolno. Jakby bawiło ją popadanie ze skrajności w skrajność. Przedtem karabin maszynowy, a teraz każda litera stanowiła niemal oddzielną całość. Wibrowała w ciszy i niosła się aż do sufitu.

Julia pomyślała znów o krokach na schodach. Gdzieś tam u góry czał się ktoś jeszcze. Co tam robił? Ogarnęła ją nagle pewność, że intruzka próbuje zyskać na czasie – tak jak Wilk jeszcze przed chwilą. Może po to, żeby jej znajomek na piętrze zdążył zrobić swoje. Ale to nie miało sensu, bo przecież na górze nie było nic cennego. Przynajmniej nic, co przywiozła ze sobą Wilk. Kto jednak wie, co trzymał tam właściciel budynku. Może gdzieś jest jakiś sejf? Ale czy zostawiłby coś cennego w domu do wynajęcia? Nie, to też zupełnie idiotyczny pomysł.

– Nie mam ze sobą żadnych pieniędzy – poinformowała.

Tamta zaśmiała się, jakby usłyszała kolejny dowcip. Potem machnęła ręką i ruszyła do holu. Julia poszła za nią. Bibiana nacisnęła klamkę, ale drzwi frontowe były zamknięte. Przekreśliła więc gałkę zamka i otworzyła sobie jakby nigdy nic.

– Pani mnie w ogóle nie słucha i pewnie nie posłucha. Nie ma sensu dalej rozmawiać. Niestety – oznajmiła.

Potem skinęła Julii głową na pożegnanie i wyszła w ciemność, zamykając za sobą drzwi niczym najnormalniejszy w świecie grzeczny gość. Julia nie czekała. Podbiegła do drzwi i przesunęła dźwignię, zamykającą zamek. Potem popędziła z powrotem po telefon. Nie chciała dzwonić na policję, wołała jednak mieć komórkę przy sobie. Tak na wszelki wypadek.

Tylko że telefon nie leżał na kanapie. A przecież rzuciła go tam zaledwie chwilę wcześniej. Odgarnęła poduszki. Może wpadł gdzieś pomiędzy nie. Nic. Zaklęła pod nosem. Ręce drżały jej z napięcia i niepokoju. Bibiana sobie poszła, ale jej towarzysz czał się na piętrze.

Julia przerzucała kolejne poduszki rozlatanymi rękami, jednocześnie nasłuchując kroków na górze. Bała się, że je usłyszy, a jednocześnie wyęczała słuch coraz bardziej. Czekwała na to stąpanie potęgowane echem na metalowych schodach. Nic jednak się nie działo. To było jeszcze gorsze. Jakby włamywacz na piętrze sobie z niej drwił. Jakby chciał, żeby pot płynął jej po ciele. I tak właśnie było. Julia miała wrażenie, że spocila się cała od stóp do głów. Śmierdziała strachem.

Ogarnęła ją ochota, żeby przeklinać, ale nie chciała dać tej dwójce satysfakcji. Gdzie jest ten cholerny telefon?! Może w kuchni? Była praktycznie pewna, że rzuciła go na kanapę, kiedy Bibiana jej kazała. Nieznajoma nie miała możliwości go zabrać. A więc gdzie zniknął?

Julia rozejrzała się po salonie nerwowo. Może w takim razie ten ktoś zszedł na dół, kiedy one poszły do drzwi wejściowych. Wydawało się, że w pokoju jest pusto, ale znów miała wrażenie, że jest obserwowana. Za wielkim ozdobnym oknem niezmiennie królowała ciemność. Julia znów czuła się jak na scenie. Oderwała wzrok od mroku za szybą i wycofała się powoli do kuchni. Może coś jej się pomyliło i jednak tam zostawiła telefon. Nawet jeśli nie, to chociaż weźmie nóż.

Weszła do pomieszczenia i rozejrzała się szybko. Wszystko wydawało się w porządku. To znaczy poza odsuniętą przez Bibianę szufladą. Julia przeskoczyła nad zastygłą kroplą krwi tej wariatki i sięgnęła po nóż. Wcale nie była pewna, czy byłaby w stanie go użyć. Raz już zabiła, ale nie w ten sposób...

Zatrzymała się. Chyba znów usłyszała kroki na górze. Tak! Ten ktoś nadal znajdował się na piętrze! Czy w takim razie nie lepiej po prostu wyjść z domu i uciec? Ale na zewnątrz czaiła się Bibiana. Julia uzmysłowiła sobie nagle, że być może na tym właśnie polegał plan tej dwójki. Albo wpadnie w ręce jednego, albo drugiego – czy postanowi zostać w domu, czy wyjść. To dlatego ta wariatka tak po prostu poszła sobie w ciemność. Chcieli odciąć Julii jakąkolwiek drogę ucieczki. Nie była bezpieczna ani w środku, ani na dworze. Co teraz?

Po chwili namysłu uznała, że woli nie wychodzić. Odezwał się w niej jakiś pierwotny lęk przed ciemnością, który wpisany jest chyba w podświadomość większości ludzi. Woląca zostać w domu, mimo że nie wiedziała, kto czai się na górze. Paradoks, bo Julia wiedziała za to doskonale, że Bibiana była mała. A tam na górze mógł równie dobrze grasować wielki mężczyzna. Ale przynajmniej paliły się tu lampy. Poza tym, jak się nad tym zastanowić, kroki na schodach zdawały się lekkie. To nie był gigant – raczej ktoś nie wyższy niż nieznajoma.

No dobrze, a więc pójdzie na górę. Przede wszystkim musi uniemożliwić Bibianie powrót. Jedne drzwi były już na pewno zamknięte. Teraz pora na te wąskie na klatce schodowej i będzie można działać dalej. To brzmiało jak dobry plan. Wilk wiedziała już, co robić. A to dodawało animuszu.

Dobrze, że miała na nogach tylko skarpetki. Stąpała więc prawie bezszelestnie. Weszła ostrożnie do holu i zaczęła przesuwac się krok za krokiem wzdłuż ściany. Wąskie drzwi przycupnięte pomiędzy ceglany murem a metalowymi schodami wydawały się nie na

miejscu. Jakby ktoś je tam wkleił po to, żeby Bibiana mogła tu wejść. Julia wyciągnęła rękę i położyła spoconą dłoń na gałce zamka. Wystarczyło ją przekręcić. Skupiła cały wysiłek woli, żeby ruchy jej dłoni były jak najdelikatniejsze. Oby zamek był naoliwiony. Nie chciała, żeby ten ktoś na górze usłyszał głośne szcęknięcie.

Znów kroki? Chyba tak! Tylko że teraz zdawało jej się, że słyszy je na dole. Nie, to było niemożliwe. Nikt nie zdążyłby zejść tak szybko. Przekręciła gałkę. Nie wydała prawie żadnego odgłosu. Julia pozwoliła sobie na głębszy oddech, żeby uspokoić rozbiegane tętno.

Zacisnęła dłoń na rękojeści kuchennego noża i zaczęła wspinać się na górę. Próbowwała stąpać tak cicho jak ta osoba wcześniej. Niestety jej kroki niosły się w górę głośnym echem. Trudno. Do konfrontacji i tak musiało dojść.

Weszła na piętro i rozejrzała się po otwartej przestrzeni sypialni. Nikogo tu nie było. Pochyliła się, żeby zajrzeć pod łóżko. To było idiotyczne, ale nie chciała, żeby ten ktoś chwycił ją za nogę, kiedy będzie przechodziła obok, żeby sprawdzić łazienkę. Nikogo. Żadnych potworów pod łóżkiem.

No a szafa? Odwróciła się w stronę ściany. Drzwi szafy nadal były otwarte. Tak jak je zostawiła, kiedy rozpakowywała rzeczy. Nikt się tam nie krył. Pozostawała więc tylko łazienka przylegająca do pokoju.

Julia wystawiła przed siebie nóż. A może trzeba było trzymać go przy ciele, żeby wziąć większy zamach i zaatakować, jak zobaczy przeciwnika? Nie miała bladego pojęcia. Krok za krokiem znalazła się przy drzwiach do łazienki i nie było już czasu do namysłu. Pchnęła czubkiem ostrza drewniane skrzydło. Nie skrzypnęło rzewnie, jak w horrorze. Wszystkie zawiasy w tym domu były dobrze naoliwione.

Rozejrzała się po niewielkiej łazience. Zasłona prysznicowa była odsunięta. Nikogo. Reszta pomieszczenia nie obfitowała w dogodne kryjówki. Żadnych wnęk, szaf. Niczego. Tylko pralka, sedes i kilka półek na kosmetyki. Nie było gdzie się schować. Ale przecież słyszała kroki kierujące się na górę. Była tego absolutnie pewna. I to jeszcze zanim Bibiana wślizgnęła się przez wąskie drzwi.

Julia wyszła ostrożnie z łazienki i rozejrzała się raz jeszcze. Nikogo. Uklękła i zajrzała powtórnie pod łóżko. Pusto. Wstała z kolan, otrzepując się. Wtedy zobaczyła, że na środku łóżka leży jej komórka. Jakby nigdy nic.

Tylko że Julia była pewna, że wcześniej jej tam nie było.

## 6

### Bruno Machulski

Bruno Machulski wyjął z torby to, co udało mu się dziś podwędzić ze szkoły. To był kolejny raz, kiedy wykradł coś z sali chemicznej. Co najlepsze, nikt chyba się nie połapał!

Nastolatek od miesiąca próbował i próbował. Mieszał, ważył, sprawdzał w Internecie co i jak. Na razie całkowita klapa. Był jednak pewny, że uda mu się w końcu znaleźć odpowiednią recepturę.

Sieć pełna była przepisów na wszystko. Czuł się trochę jak Walter White i Jesse Pinkman z *Breaking Bad*. To był stary serial, ale i tak mu się podobał. Mama lubiła go oglądać i jak był mały, siadywał z nią czasem przed telewizorem. Choć zawsze powtarzała, że nikt w jego wieku nie powinien patrzeć, jak ktoś produkuje metamfetaminę. Potem się śmiała i klepała go w ramię, pokazując, że mimo wszystko uważa Brunona za prawie dorosłego. Dało się w tym geście jednak wyczuć smutek. Pewnie myślała sobie o tym, że kto mieszka w Wieszczach, napatrzył się i tak na zbyt wiele. Nigdy tego nie powiedziała na głos. Aczkolwiek Bruno był dobry w czytaniu między wierszami. Bardzo dobry. Jako najstarszy z rodzeństwa musiał szybko się tego nauczyć.

Urządził sobie stanowisko pracy na strychu ich domku. Śmierdziało tu teraz różnymi odczynnikami. Otworzył małe okienko, ale to niewiele dało. Wlatywały tylko komary wabione gołą żarówką przy niskim nieocieplonym suficie.

W szkole nigdy nie lubił chemii i teraz trochę żałował, że zawsze wolał polski. W obecnej sytuacji wiedza dotycząca wszelkich reakcji, pierwiastków i tak dalej bardziej by mu się przydała niż lektury szkolne. Spojrzał na buteleczkę, którą wyniósł dzisiaj z pracowni. Ile powinien tego wlać?

Podłoga skrzypiała pod jego stopami przy najmniejszym nawet ruchu. Dom był w takim stanie, że włożenie na strych równie dobrze mogło się zakończyć tym, że przegniłe deski nie wytrzymają jego ciężaru (choć był bardzo drobny) i runie prosto do sypialni mamy. Wzdrygnął się przestraszony tą myślą.

No i musiał zachowywać się cicho, bardzo cicho. Przecież na dole byli jego młodszy bracia. Wolał, żeby nie wiedzieli o nowym warsztacie chemicznym na strychu. Te wszystkie specyfiki zapewne były trujące. A już najgorzej byłoby, gdyby dach zawałił się akurat wtedy, kiedy nieostrożni malcy zaczęliby sobie tu urządzać wyścigi.

Bardzo, bardzo powoli dolał jednego odczynnika do drugiego. Zamknął oczy i zakrył uszy. Pamiętał z którejś lekcji chemii delikatny wybuch, który specjalnie spowodowali. Nauczyciel dobrze chyba wiedział, jak ich to rozbawi. Stary pan Tadek zapewne widział te same zachwycone miny kolejnych pokoleń uczniów. Przyglądał im się z pełnym zadowolenia



pobłażaniem. Ciekawe, co by powiedział, gdyby zobaczył teraz najstarszego z braci Machulskich.

Bruno odważył się otworzyć oczy. Nic nie wybuchło, tylko śmierdziało. Nie był już jednak pewny, czy to nowa mieszanka wydzielala ten odór. Od dłuższego już czasu starał się ignorować fetor. Oddychał przez usta, bo czasem aż zbierało mu się na wymioty. Ale musiał wytrzymać! Nie było wyjścia.

Niedobrze robiło mu się też w szkole. Jakby ten ostry zapach wszędzie za nim szedł. Rozglądał się trwożnie, pewny, że ktoś może się zorientować, co ukrywa. Pana Tadka się nie bał. On na pewno nie zauważył, że cokolwiek znika. Był naprawdę stary. Nie zorientowałyby się nawet, gdyby zdjęto mu buty, kiedy miał je na sobie. Dyrektorka Eliza Kowalczyk, oj, to co innego. Jakby go nakryła na tych kradzieżach, to... Bruno wolał nawet o tym nie myśleć.

Pani Eliza przemykała cicho korytarzami szkoły w tych swoich miękkich adidasach i miała zwyczaj pojawiać się znikąd tuż za tobą. Jakby właśnie najspokojniej w świecie wyrosła spod ziemi. I to zawsze w najgorszym momencie. No a sala chemiczna znajdowała się tak blisko pokoju nauczycielskiego. Tam więc chłopak był na jej pojawienie się szczególnie narażony. Zawsze uważał, ale niebezpieczeństwo było bardziej niż realne.

No i w miasteczku rozeszła się plotka, że od jutra będzie w szkole nowa nauczycielka. Zamiast pana Feliksa, którego ostatnio zabraly wybory. Dyrektorka sprowadziła **nową** na tę resztkę roku szkolnego, która im została. Pewnie nie chciała, żeby ktoś w kuratorium zorientował się, że uczniowie w Wieszczach nie mają lekcji języka polskiego. W przeciwnym razie być może tak by to zostawiła. Najważniejsze jednak dla mieszkańców było się nie wychylać, nie wywoływać pytań ani niepotrzebnego zainteresowania. Tego uczono ich tu od najmłodszych lat i każdy z uczniów miał to dobrze wbite do głowy. Nikt jeszcze nie wiedział, czego się po tej **nowej** spodziewać. To napawało Brunona niepokojem. A jak okaże się taka jak dyrektorka? Co, jeżeli będzie węszyć?

Młody Machulski obiecał sobie, że musi być naprawdę bardzo ostrożny. Jeżeliby został nakryty, miałyby to naprawdę poważne konsekwencje. Musi koniecznie wydać się wzorowym uczniem. Już on się o to postara. Potrafił być czarujący, kiedy chciał. I dobrze o tym wiedział, mimo że był dopiero w ósmej klasie. Trzeba było się tylko odpowiednio postarać. A człowiek zrobi wiele, żeby uniknąć bardzo nieprzyjemnych konsekwencji, prawda? On był prawie dorosły i o tym też dobrze wiedział.

Odsunął od siebie efekty swoich dzisiejszych poczynań. Było już późno. Spróbuje jutro. Bo dziś to chyba znów się nie udało. Ale nie podda się! Byli zbyt biedni, żeby mógł pozostawić sprawy własnemu biegowi. Wiedział, że jeśli on nic nie zrobi, stracą wszystko. Ojciec nie żył, też przez te pieprzone wybory. A to oznaczało, że Bruno był teraz głową rodziny. A głowa rodziny musi o rodzinę dbać. Proste.

I dokładnie to zamierzał zrobić. Nie pozwoli, żeby stracili wszystko. Co to, to nie.

## Julia Wilk

Julia sprawdziła raz jeszcze cały dom. Już chyba **z piąty** raz. Cały czas zaciskała w spoconych dłoniach telefon, który jakby znikąd pojawił się na łóżku, chociaż miał być na kanapie na dole. Powtarzała sobie, że to da się jakoś wyjaśnić i nie powinna panikować. Była jednak niebezpiecznie blisko utraty kontroli nad sobą.

– Spokojnie! – szepnęła, próbując opanować sytuację.

Najważniejsze, że w domu była sama. Na wszelki wypadek zrobiła jeszcze jedną rundkę po wszystkich pomieszczeniach. Sprawdziła też drzwi – te z przodu i te zdradzieckie wąskie z tyłu, a także wszystkie okna. Zamknięte. Tym razem nie zamierzała niczego przeoczyć. Zaczynała nienawidzić wielkiego okna w salonie, choć początkowo tak bardzo jej się podobało. Teraz nie mogła wprost znieść myśli, że Bibiana być może czai się gdzieś w ciemności i obserwuje tę jej krzątanicę. Widzi, jaki zamęt wprowadziła do życia Julii, jak ją przestraszyła. I zapewne triumfuje. Kimkolwiek była i czegokolwiek chciała intruzka, na pewno teraz uśmiecha się zadowolona.

W domu zrobiło się nieprzyjemnie duszno. Julia postanowiła jednak dzisiejszej nocy nie wietrzyć. Na dworze na pewno było bardzo przyjemnie, ale gdzieś tam w ciemności być może nadal czaiła się Bibiana. I może ktoś jeszcze. Przecież Julia wyraźnie słyszała kroki na schodach, mimo że potem nikogo na górze nie zastała. Wydawało się więc, że znajomek tej wariatki również opuścił dom wąskimi drzwiami na klatce schodowej, a Wilk tego nie usłyszała.

Nagle w salonie rozległo się pojedyncze uderzenie. Julia aż podskoczyła. Zaraz jednak przypomniała sobie, że stał tam staromodny zegar. Tylko że on chyba nie wybijał godzin? Przynajmniej do tej pory nie zwróciła na to uwagi. Zerknęła na wyświetlacz telefonu. Była dwudziesta trzecia trzydzieści. Może to pojedyncze uderzenie na mijające pół godziny. Niektóre stare zegary tak działały.

– Tylko że przedtem nie było żadnych uderzeń – mruknęła do siebie. Rozmawianie ze sobą naprawdę zaczynało jej wchodzić w krew. – No, dziewczyno, późno, pora spać. Jutro wczesna pobudka!

Miała nadzieję, że ten powrót do przyziemnych spraw trochę ją uspokoi. Niezbyt to zadziałało. Nie miała jednak wyjścia. Bo co? Pakować wszystko z powrotem w samochód i wyjechać? Zrobić tak, jak powiedziała ta cholerna Bibiana? Julia poczuła narastającą irytację. Nie da się stąd wykurzyć. Musi położyć się spać, wypocząć, jutro dobrze odegrać rolę nauczycielki, a do tego spróbować wy badać, o co chodziło Bibianie. Sporo do zrobienia. Naprawdę pora spać.

Poszła na górę. Czysta pościel, którą dla niej przygotowano, pięknie pachniała świeżością i wiatrem. Nagle opanowało ją zmęczenie. Miała ochotę paść na to miękkie posłanie tak jak

stała, nie zawracać sobie głowy piżamą. Albo zrzucić ubranie i położyć się nago, poczuć na skórze tę miękkość piernatów. Potem przez myśl przeszło jej, że Bibiana albo jej znajomek mogliby wejść tu w nocy i tak ją zastać na łóżku. Nagość to bezbronność.

Julia zaśmiała się nieco histerycznie. Najwyraźniej bowiem nie tylko rozmawianie ze sobą wchodziło jej w krew, ale również oczekiwanie, że ktoś tak po prostu wejdzie do jej domu. A to zakrawało na szaleństwo.

Przebrała się szybko w piżamę z Myszka Miki, którą kupiła wieki temu, i dla świętego spokoju jeszcze raz zeszła na dół, żeby sprawdzić okna i drzwi. Wszystko zamknięte. Dobrze. Zmusiła się, żeby jak najspokojniej wejść po schodach na górę. Tak naprawdę chciała biec, przeskakiwać po kilka stopni i od razu wskoczyć pod kołdrę. Zakryć głowę, jak dziecko, które wierzy, że wtedy nie dopadną go potwory. Na górze zajrzała raz jeszcze pod łóżko, potem do szafy i do łazienki. Na koniec znowu pod łóżko.

Kolejne dziecinne lęki, mógłby ktoś powiedzieć. Tylko że inaczej się na to wszystko patrzyło, jak siedziało się samemu w zupełnie obcym domu, najbliżsi sąsiedzi byli daleko, wokół noc i już raz ktoś wkradł się do domu. W tej sytuacji szukanie potworów pod łóżkiem jest jak najbardziej uzasadnione.

Zwłaszcza że znów miała poczucie, jakby coś delikatnie muskało ją po twarzy. Jak babie lato na jesiennym spacerze. No właśnie, to pewnie pajęczyny. Dom był wprawdzie świeżo wyremontowany, ale jednak stary.

– Nikogo tu nie ma – oznajmiła samej sobie na głos.

Słowa te miały dodać jej otuchy, ale zabrzmiały nieprzyjemnie w pustym domu. Podkreśliły, jak bardzo jest w tym momencie samotna. Uczucie, że jest obserwowana, też jej nie opuszczało. Mimo to zasnęła, kiedy tylko przyłożyła głowę do pachnącej świeżością poduszki. I wtedy zaczęło się dziać.

\*\*\*

Śniło jej się, że jest na małym cmentarzyku. Była przeświadczona, że to **wczorajszy** wieczór. To była pewność, jaką można mieć tylko w snach. Przechadzała się pomiędzy obrośniętymi mchem nagrobkami. Przejeżdżała po nich dłonią, muskając delikatnie zimne kamienie. Napisy też były częściowo zarośnięte mchem. Nad całym tym tajemniczym miejscem unosiła się delikatna, błyszcząca poświata. Mimo mroku dało się więc odczytać niektóre imiona i nazwiska, a także daty śmierci. Bardzo dziwne, oni wszyscy zmarli w 1955 roku. Zaskakujące. Trafiała się w Wieszczach jakaś zaraza, która ich wszystkich zabrała? Młodzi, starzy, kobiety i mężczyźni, dzieci. Julia szła pomiędzy grobami, odczytując nazwiska i daty. Naprawdę bardzo osobliwe. Teraz widziała już, że nie tylko rok jest ten sam. Oni gromadnie zmarli jednego dnia! Nie na wszystkich pomnikach była dokładna data, ale na tych, gdzie ją wyryto, powtarzała się ciągle ta sama. Co tu zaszło szóstego czerwca 1955?!

Ciemność robiła się stopniowo coraz bardziej nieprzenikniona, ale luna nadal pozwalała jej zorientować się, gdzie idzie. Nieco dalej, przy murze cmentarzyka, dostrzegła kwitnące jabłonie. Kwiaty zdawały wręcz opalizować wśród czerni. Jakby to nie były drzewa, tylko jakieś osobliwe wielkie pochodnie. Pachniały cudownie. Słodko i przyzywająco. Julia ruszyła w ich stronę. Nogi jakby same ją tam niosły. Drzewa wydawały się nieskończenie piękne. Niczym czarodziejskie panny młode.

Dziwny pomysł, zakładać sad tuż przy cmentarzu, miała ochotę powiedzieć Julia. Ostatnio ciągle do siebie mówiła. Powstrzymała się niemal siłą. W tym dziwnym miejscu panowała niczym niezmacona cisza. Nie chciała jej zakłócać. A raczej czuła, że **nie powinna**.

Kolejnych kilka kroków i zrobiło jej się zimno w stopy. Spojrzała pod nogi. Była bosa, ubrana tylko w piżamę z Myszka Miki, w której położyła się spać. Dobrze, że spodenki były krótkie, bo zabrudziłyby się błotem. Alejki pomiędzy starymi pomnikami przypominały w tym miejscu bagno. Gdzieniegdzie nagrobki zaczynały się zapadać. Zadrżała na myśl o tym, że pod tą gąbczastą ziemią zakopane są ciała. Czyżby deptała po rozmokniętych szczątkach? Miała ochotę rzucić się do ucieczki przerażona tym, że mogłaby dotknąć bosą stopą starych kości. Albo, co gorsza, rozkładających się tkanek. Ale po takim czasie chyba niewiele z nich zostało.

Tym bardziej że w tej części cmentarza daty na nagrobkach były inne. Ci, którzy byli tu pochowani, zmarli w latach trzydziestych. Dziwne, znów tyle osób na raz? Za późno jak na ofiary pierwszej wojny światowej, za wcześnie jak na poległych w drugiej.

Naraz usłyszała jakiś dźwięk. W pierwszej chwili nie mogła skojarzyć, co to. Przykucnęła za jednym z nagrobków, bo odgłos się powtórzył. Potem stał się niemal mechaniczny. Budził w niej niepokój. Nie chodziło nawet o sam dźwięk. Raczej o to, że słyszała go właśnie tutaj. Zastanawiała się gorączkowo, co to może być. Dopiero po chwili zrozumiała. To dźwięk łopaty uderzającej o ziemię. Ktoś kopał grób!

Lepiej byłoby się wycofać. I to bardzo cicho. Nie mogła się jednak powstrzymać, żeby chociaż raz nie spojrzeć. Wstrzymała oddech i przeszła jeszcze kawałek po rozmokniętej ziemi. Podłoże zrobiło się znów suchsze. Najwyraźniej tylko część cmentarza została zalana. Wkrótce Julia wydostała się z błota, zostawiając za sobą smród zastanej wody. Znów czuła tylko piękną woń kwitnących jabłoni.

Uderzenia łopaty były coraz lepiej słyszalne. Być może silniejsze niż wcześniej, jakby ktoś pracował ze zdwojoną siłą. Zbliżała się do celu. Zaraz zobaczy, kto kopie grób. Z jakiegoś powodu wydawało jej się teraz bardzo ważne, żeby się tego dowiedzieć.

Nie mogła jednak zostać zauważona. W tym dziwnym śnie to było równie istotne. Ukucnęła i zaczęła poruszać się pomiędzy starymi nagrobkami na czworakach. Widziała już plecy pracującego mężczyzny. Ośmieliła się przedostać jeszcze kawałek dalej. Ze swojego miejsca za przechylnym nagrobkiem widziała już, że się pomyliła. Ten człowiek nie kopał grobu. On go **zakopywał**.

Jedno nie wyklucza drugiego, przebiegło jej przez myśl. Najpierw wykopał grób, a teraz zakopuje. Spojrzała na świeżą ziemię u jego stóp. Przebiegł ją nieprzyjemny dreszcz. Czy tylko jej się wydawało, czy coś się tam poruszyło? Nagle ogarnęło ją przerażenie. Ten człowiek zakopał kogoś żywcem!

Nagle ziemia zaczęła jakby bulgotać. Julia znów poczuła smród. To ta zatęchła woda? Wybuchnie tu jakieś ohydne gnijące źródło? Mężczyzna wymachiwał łopatą coraz prędzej. Ruszał się tak szybko, że niemal nie mogła nadążyć za nim wzrokiem. Czowała ostrą woń jego potu. Gryzącą i nieprzyjemną. Spod ziemi dochodziło coś, co przypomina świszczący oddech. **Szeleścił** nienaturalnie. Cała drżała. Miała ochotę uciekać, ale nie mogła się ruszyć. To tylko sen, powtarzała sobie. To tylko sen!

Nagle mężczyzna obrócił się w jej stronę. Zobaczyła, że miał zrosnięte brwi jak ta szalona Bibiana, która wkradła się do jej domu. **Identyczne**. Jego spojrzenie...

## 8

*Patrzę na pogrążoną we śnie kobietę. Jestem tuż obok. Nie mogę się powstrzymać, żeby co jakiś czas jej nie dotknąć. Moja dłoń jest jak ledwo wyczuwalne musnięcie. Ona się nawet nie zorientuje, że nie jest tu sama. Dziś jeszcze nie czas, żeby się o mnie dowiedziała. Ale muszę upewnić się, że tu jest. Że udało się ją sprowadzić. Tylko dotyk może mnie o tym przekonać.*

*Och, jak delikatna jest jej skóra... Korci mnie, żeby zajrzeć w jej myśli. Czuję jednak, że na to jeszcze za wcześnie. Zamiast tego pochylam się i zbliżam usta do jej ust. Moje martwe tchnienie łączy się z jej pełnym woli życia oddechem. Zatrzuwa go... Cóż – tak to już musi być. Niektóre rzeczy mają swój przebieg i tyle.*

*Stoję obok łóżka i przyglądam się, jak gałki jej oczu zaczynają poruszać się rytmicznie. Ma sen. Wiem, bo to ja jej go daję moim tchnieniem. Powoli dowie się, co ją tu czeka, co dla niej planuję. Nie za szybko, bo to mogłoby wszystko zepsuć.*

*Cofam rękę, żeby nie dotknąć jej znowu. Tylko patrzę. **Cierpliwie**. Jeśli jest się martwym od dziewięćdziesięciu lat, to można się nauczyć cierpliwości.*

*Cierpliwość to teraz moje drugie imię. Nie zawsze tak było. Początkowo śmierć sprawiła, że wybuchł we mnie trudny do okiełznania gniew. Teraz wiem już, jak to jest żyć pomiędzy światem żywych a mrokiem świata umarłych.*

*Zazdroszczę jej bicia serca. Pochylam się nad jej klatką piersiową, żeby je usłyszeć. Moje zmysły są wyczuwane. Rytmiczne uderzenia niewielkiego przecież narządu przypominają wielki werbel. Ciepła krew płynąca w jej żyłach przywołuje. Znów chcę jej dotknąć. Nie mogę się powstrzymać. Muskam ją po twarzy. Kobieta wzdryga się przez sen. Oj nie jest to taki zwykły sen. Ale to zrozumie dopiero rano...*

PONAD DZIEWIĘĆDZIESIĄT LAT  
WCZEŚNIEJ...

# ROZDZIAŁ II

## 1

### Cezary Babiański

Cezary Babiański kochał swoją rodzinę. Wszelkie działania podejmował zawsze z myślą o żonie i dwóch córeczkach. Zofia urodziła mu piękne dziewczynki. Ala miała wielkie niebieskie oczy i loczki spływające wokół twarzy, a Hania cudowne włosy koloru żyta. Był pewien, że dziewczynki wyrosną na urocze kobiety, które nie będą mogły opędzić się od adoratorów. A już on zadbał, żeby wniosły do swoich przyszłych małżeństw niemałą fortunę. Powtarzał żonie, że trzeba mierzyć wysoko i kandydaci na przyszłych zięciów też będą musieli coś sobą reprezentować. Nie wyda córek za byle kogo. To oczywista. Wprawdzie były to lata trzydzieste, nowe czasy, ale on ciągle kultywował stare zasady.

Usiadł w saloniku przed kominkiem i zapalił cygaro. Zaciągnął się głęboko. Dym wypełnił mu płuca przyjemnie drzewną nutą. Sączył spokojnie whisky ze szklaneczki. Jak na razie wszystko szło według codziennego rytuału. Nikt nie przypuszczałby zapewne, że czeka tu albo na własną śmierć, albo żeby ją komuś zadać. Jedno z dwóch, nic innego nie wchodziło w grę. Sprawy zaszły bowiem za daleko.

Z reguły wieczorne posiedzenia przy kominku były czasem tylko dla niego. Zofia kładła dziewczynki spać i sama szykowała się do snu, a on mógł podumać o przyszłych interesach i aktualnych sprawach fabryki. Czasem przychodził wtedy jego sekretarz i we dwóch omawiali bieżące kwestie. Dziś oczywiście nie zaprosił Stefana. Pracownik nie wydawał się szczególnie zaskoczony tą zmianą planów. Może coś przeczuwał i nie chciał się narażać. Cezary nie miał o to pretensji. Nikt przecież nie chce ryzykować życia, jeśli nie musi, prawda? Szczęście, że sekretarz nie zwinął manatek i nie uciekł, jak szczury z tonącego statku. Choć oczywiście to mogła być kwestia czasu. Takie rejterady stały się teraz niestety smutną normą.

Dyrektor fabryki rozważał, czy nie wysłać żony i córek do rodziny w stolicy. Albo jeszcze dalej. Zofia nie chciała o tym słyszeć. Od kiedy tu zamieszkała, czuła się bardzo związana z Wieszczami. Twierdziła, że pokochała to miasteczko. To nie był jednak czas na sentymenty. Cezary uznał, że nie będzie walczył z żoną. Pozostanie tu było niebezpieczne, ale lepiej, żeby Zofia i dziewczynki tu były. Gdyby odjechały, mężczyzna, który chce go zabić, mógłby zwąchać pismo nosem. A chodziło przecież o to, żeby to tego wariata

wciągnąć w pułapkę. Innymi słowy, ten cholerny Jan Faber miał myśleć, że to on jest drapieżnikiem. Tymczasem będzie nim Cezary.

Dyrektor fabryki uśmiechnął się, chcąc dodać sobie animuszu. Tak naprawdę nie czuł się pewny swego. Zwłaszcza teraz, kiedy na zewnątrz zapadła już całkowita ciemność. Mrok jest siedliskiem wszystkich lęków, powtarzał sobie w duchu. Nie można im ulegać. Zresztą nie było **zupełnie** ciemno. Wzdłuż ulicy Głównej stały przecież latarnie. Ich chłodne światło wpadało do saloniku przez okna.

Przez chwilę walczył ze sobą, żeby nie podejść do wykuszu i nie wyjrzeć. Zobaczyłby wybrukowany trakt, ale kawałek dalej zdołałby też dostrzec – tonący już w ciemności – skręt w ślepią drogę prowadzącą w las, prosto do fabryki. Stamtąd nadejdzie jego prześladowca. Może nawet czai się już tam w ciemności?! Nie, Cezary nie da mu tej satysfakcji. Faber mógłby go dojrzeć. Zrozumiałby, że Cezary się boi. A przeciwnikowi, zwłaszcza takiemu, nie można okazać swojej słabości.

Faberowie mieszkali w domu niedaleko wjazdu do fabryki. Po tym szaleńczym wystąpieniu Jana na rynku Cezary właściwie powinien był tego człowieka stamtąd wyrzucić. Bądź co bądź to była ziemia należąca do Babiańskich. Uznał jednak, że wyszedłby na bezdusznika. Tego nie chciał. Jeśli miał jakoś wybrnąć z problemów, w które wpakowały go wynalazki z za wielkiej wody, to musiał to zrobić właściwie.

Cezary Babiański uważał, że powinien mieszkać blisko swojego zakładu. To ułatwiało trzymanie ręki na pulsie. Wiedział jednak również, że nie powinien przebywać **za blisko**. Na początku nie był do końca świadom, dlaczego to takie ważne. Ot, przecucie przedsiębiorcy. Potem okazało się, że intuicja dobrze mu podpowiadała. Nie naraził córek i żony na niebezpieczeństwo. Choć Zofia ostatnimi czasy coraz częściej wychodziła spacerować do lasu. Mówiła, że tam najlepiej odpoczywa. Zabierała ze sobą dziewczynki, ale chyba to nie było niebezpieczne, prawda? Szczerze mówiąc, Cezary nie był tego pewny. Wolałby, żeby tam nie chodziły, ale nie mógł im tego zakazać. Nie teraz, kiedy całe miasteczko patrzyło mu na ręce. Szkoda, że zaprzyjaźniła się z tą Faberową, to ona wbiła Zofii te głupoty do głowy. Bliskość z naturą i tak dalej. A teraz...

Spojrzał w trzaskający na kominku ogień. Płomienie tańczyły na dobrze wysuszonym drewnie. Pachniały dzikością. Niemal słyszał w nich jakąś pierwotną pieśń. Może ludów, które zamieszkiwały kiedyś te tereny. Różne historie opowiadało się tu w Wieszczach. Pradawną puszcę w dużej mierze już wykarczowano pod rozwój przemysłu i lasy, do których przytulała się jego fabryka, to była zaledwie resztką dawnej świetności. Słyszał jednak, jak starsi pracownicy zakładu opowiadają, że Wieszcze są przekłete. Niektórzy twierdzili, że nie da się stąd odejść, bo człowiek wcześniej czy później oszaleje. Jego Zofia wracała czasem z targu z opowieściami przekupek. To były ponure historie o demonach, które rodzą się jako zwykli ludzie, a potworami stają się dopiero po śmierci. Przeistoczonego zwą **wieszczy** i podobno w tych okolicach rodzi się ich szczególnie dużo. To właśnie od nich wzięło nazwę miasteczko.



– Dziecko takie rodzi się z fragmentem łożyska na głowie – tłumaczyła mu Zofia.

Mówiła to z uśmiechem, który miał chyba pokazać, że się nie boi. Cezary znał jednak żonę i nie dawał się nabrać. Wierzyła w te ludowe opowieści, choć nigdy by mu się wprost nie przyznała. Przemawiały do niej w swojej pierwotnej prostocie i odwołaniu do lęków, które czają się w każdym z nas. Jego zdaniem stanowczo za dużo czasu spędzała chociażby z tą Faberową. Oczywiście teraz już nie, zaśmiał się Cezary cierpko, ale wcześniej ona i przekupy miały na Zofię zły wpływ. Może i dobrze, że wybuchła ta afera. Przynajmniej skończą się nieprzystojące żonie bogatego mieszczanina niestosowne przyjaźnie.

– Z taką jakby czapeczką, wiesz – kontynuowała Zofia *po-zakupową* opowieść z wypiekami na twarzy. – Ludzie wierzą, że takie łożysko trzeba zachować. Ususzyć i sproszkować, a przed siódmymi urodzinami dać dziecku do wypicia, żeby odczynić urok. Wtedy demon kryjący się w ciele dziecka nie wybudzi się po jego śmierci.

W takich momentach *po-zakupowych* opowieści Cezary śmiał się dobrotliwie. Nie tylko dlatego, że rozmowy o **damskich** sprawach, jakimi niewątpliwie był poród, łożysko i inne takie dziwy, zawsze wprawiały go w zakłopotanie. To nie tematy dla dżentelmenów. Bardziej dziwiło go, co też ludzie niedorzecznego nie wymyślą.

– To chyba bardzo niehigieniczne – mówił do żony, a ona uśmiechała się układnie i temat z reguły się kończył.

Zazwyczaj jednak tylko na jakiś czas nastawał spokój, bo wyglądało na to, że kobiety na targu lubią straszyć bogatą żonę dyrektora fabryki. Czasem snuły swoje opowieści za kilka groszy, które Zosia im rzuciła. Nie łajał za to żony. Wychodził z założenia, że być może lubi się trochę bać. Pozwalał więc na to. Poza tym lepiej, żeby gadała z nimi niż z Faberową. W tej kobiecie zawsze było coś dziwnego. Dobrze, że już po wszystkim. Przynajmniej jeśli chodzi o nią.

Cezary śledził nowinki z Zachodu. Dobrze władał językiem angielskim i przeczytał nawet kiedyś powieść pana Brama Stokera. Tłumaczył żonie niektóre fragmenty, żeby odwrócić jej uwagę od lokalnego, pełnego bzdur piekielka. Była zachwycona. Widział w jej oczach wyraźne podniecenie, zwłaszcza co bardziej mrocznymi fragmentami. To jednak nie było to samo, co jej reakcja na te cholerne lokalne legendy o wieszczych. Z jego punktu widzenia było w tych stworach coś z wampira. Też przecież niejako wstawały ze zmarłych. Dlaczego więc bardziej interesowały Zofię niż hrabia Dracula?

– Wiesz czy nie wstaje ze zmarłych – tłumaczyła mu żona. – On jest obecny już w noworodku i czeka tylko na śmierć swojego nosiciela. Wtedy przejmuje ciało. Oczywiście jeśli matka, która podejrzewa, że jej syn czy córka może być wieszczym, nie wykona na dziecku rytuału. A osoba, która nosi w sobie demona, nawet o tym najczęściej nie wie! Dopiero kiedy budzi się z martwych, wszystko się wyjaśnia. No chyba że rodzice to podejrzewają i temu komuś powiedzą.

Zawsze się w takich momentach odwracał, żeby sprawdzić, czy dziewczynki nie siedzą gdzieś obok. Nie chciał, żeby jego córki słuchały takich niedorzecznych historii. Czasem

zastanawiał się, czy nie powinien jednak potraktować Zofii ostrzej. No ale potem wydarzyła się już **ta historia** z Faberową i innymi.

– Podobno nazwa miasteczka pochodzi właśnie od tych istot – tłumaczyła mu żona po raz nie wiadomo który.

– Wiem – ucinał, coraz bardziej niecierpliwie.

Co gorsza, on też miał wrażenie, że Wieszcze zaczynają mącić mu w głowie. Jakby w tym miasteczku rzeczywiście działo się coś dziwnego. Może dlatego nie zorientował się od razu, że sytuacja w fabryce zaczyna wymykać się spod kontroli.

Początkowo miejsce wydawało się wręcz idealne, żeby zbudować fabrykę. Wieszcze położone były tuż pod większą Brodnicą. To był wygodny punkt, bo zapewniał transport kolejowy. Brodnica to było miasto garnizonowe. Stacjonował tam 67 Pułk Piechoty, a wojsko zawsze potrzebuje dostaw, pod które Babiański będzie mógł się podczepić. Toruń z 2 Batalionem Piechoty i batalionem zapasowym też niedaleko. Zegarki przydadzą się nie tylko najważniejszym dygnitarzom wojskowym. A poza tym Cezary produkował nie tylko to. Jego luminescencyjne przyrządy lotnicze, celowniki czy kompasy mogły się przydać nowej polskiej armii w wielu sytuacjach.

To wszystko sprawiało, że od początku czuł, że tu może rozwinąć skrzydła. Gdyby nie cholerny Faber! To on rozdmuchał mały problem do wielkich rozmiarów, a do tego postanowił Cezarego zabić.

Dyrektor fabryki zaciągnął się znów cygarem i pochylił w stronę ognia. Wmawiał sobie, że się nie denerwuje, ale tak naprawdę nasłuchiwał każdego odgłosu. Podskakiwał niemal, kiedy co jakiś czas po brukowanej ulicy za oknem przejeżdżała dorożka. Rozwahał, czy to już dziś Jan Faber włamie się do jego domu. Może wybije szybę w piwnicy. Tak byłoby najłatwiej dostać się do środka. A może ten wariat najpierw sprawdzi drzwi? Cezary zostawił je otwarte, zapraszając opętańca do domu. Teraz trochę tego żałował. Gdyby Faber wybił szybę, dyrektor fabryki być może by go usłyszał. Mógłby się przygotować. Spać mięśnie. Nie brał w ogóle pod uwagę, że jego dawny pracownik zaatakuje go w biały dzień. Nie, Faber by się bał. Może i zasiał niepokój w mieszkańcach Wieszcz, ale jeszcze nie miał ich całkowicie po swojej stronie.

Cezary rozwahał przez chwilę, czy nie wyjść z palarni i nie zamknąć jednak drzwi. Uznał w końcu, że tego nie robi. Uważnie nasłuchiwał dźwięków dochodzących z ciemności. Nie mógł być wszakże całkiem pewny, czy intruz nie znajdował się już w domu. Wtedy z fortelu nici.

Dyrektor wybrał palarnię na pułapkę z dwóch powodów. Po pierwsze chciał, żeby wszystko wyglądało jak zazwyczaj, a wieczorami zawsze tu siadywał. Kto wie, czy Faber nie obserwował kamienicy już od wczesnego popołudnia. Po drugie, pokój ten znajdował się tuż przy schodach. Babiański podejrzewał, że przeciwnik może i jest szaleńcem, ale niekoniecznie głupcem. Bardzo możliwe, że wpadnie na to, że najlepiej uderzyć w dyrektora, atakując nie jego samego, a raczej jego córeczki i żonę. Wszyscy wiedzieli, jak bardzo

Cezary je kocha. A jeśli intruz będzie chciał pójść do nich na górę, będzie musiał przejść obok palarni, a wtedy Babiański go zaatakuje. Proste.

Dyrektor fabryki poczuł wstręt do samego siebie. Niejako wystawiał córki i żonę jako przynętę. Zofia wprawdzie interesowała się mrocznymi opowieściami, ale jego córeczki były całkiem niewinne. Uznał jednak, że nie ma innego wyjścia.

Cezary znał się z tutejszym aspirantem Policji Państwowej. Mówił mu o Faberze i jego pogroźkach, ale wąsaty Franciszek Złotopolski nie wierzył chyba, że wychudzony syn dawnej pracownicy fabryki jest naprawdę groźny. W każdym razie nie w tym sensie, w jakim niebezpieczeństwo postrzega policjant.

Jan Faber faktycznie nie wyglądał zbyt złowrogo. Był niewysoki, zabiedzony i mrukliwy. Jeden z tych, którzy potrafili tylko narzekać, że nic nie mają, a za zaborcy było im lepiej. Zdawało się, że może zdmuchnąć go najłżejszy podmuch wiatru.

– Zabiję cię za to, co zrobiłeś! – krzyczał Jan Faber na rynku ostatniej niedzieli, kiedy Cezary wybrał się tam na spacer z żoną i córeczkami po porannej mszy.

Ludzie odsuwali się instynktownie od śliniącego się z emocji mężczyzny. Unikali jego dotyku. Ale chyba trochę mu wierzyli. To właśnie było najgorsze, a tego znajomy policjant nie potrafił zrozumieć. Jeśli wszyscy zaczną wierzyć w słowa Fabera, fabryka Babiańskiego upadnie. Wszystko, nad czym pracował, się rozpadnie, a rodzina Babiańskich pójdzie z torbami. Nici z dobrych małżeństw córeczek.

Cezary widział wyraz oczu chudzielca. To było spojrzenie szaleńca. A takiego nie należało lekceważyć. Faberowi mogło nie wystarczyć rozsiewanie plotek. Mógł wprowadzić swoje groźby w czyn i podjąć próbę dokonania morderstwa.

A wszystko przez nowinki z Zachodu. Cezary przeklął pod wąsem. Szkoda, że nie poprzestał na czytaniu tych nieszczęsnych powieści gotyckich, zamiast ślepo iść za niesprawdzoną modą w swojej dziedzinie. Mógł przecież robić rzeczy po swojemu. Ale nie, on musiał szukać nietradycyjnych rozwiązań. Zazwyczaj to jest dobre, ale kiedy takie nowinki są wypróbowane. A on zawierzył mężczyźnie, który je sprzedawał. A ten rzekomy **rarytas** okazał się przekleństwem niosącym powolną śmierć.

– Dlaczego się na to zgodziłem? – szepnął, jakby ogień trzaskający w kominku mógł mu udzielić jakichś odpowiedzi.

Może to przez kompleksy, które trawiły Cezarego gdzieś tam w środku. Że jest z zacofanej i biednej Rzeczypospolitej...

Zaraz, co to? Zastygł w bezruchu. Czyżby coś usłyszał? Faber już tu jest?

Nie mógł dłużej wytrzymać tego napięcia. Wstał z fotela i podszedł do okna. Wyjrzał ostrożnie. Przy skrócie do fabryki było niemal zupełnie czarno. Tam światło latarni nie docierało. Nie widział żadnej postaci czającej się w mroku. To wcale go nie uspokoiło. Gdyby zobaczył tam Fabera, wiedziałby, że jeszcze ma czas. A tak szalenie mógł równie dobrze być jeszcze w Stróżówce, a równie dobrze wszedł już do kamienicy dyrektora.

Cezary zaczął nasłuchiwać jeszcze intensywniej. Budynek wydawał teraz z siebie niepokojące odgłosy. Zapewne w inny wieczór zdawałyby się całkiem zwyczajne. Z reguły na te trzaski i stękania starych cegieł nie zwraca się przecież najmniejszej uwagi. Kiedy jednak czeka się na atak, każde skrzypnięcie jeży włos na głowie.

To ja jestem tu drapieżnikiem, powtórzył sobie w myślach Cezary Babiański i zdecydowanym ruchem poprawił surdut. Nawet nie przebrał się w nic wygodniejszego. Nie przejmował się, że zaplami elegancką marynarkę krwią. To nie miało znaczenia. Był tylko pozbyć się Fabera.

Coś znów skrzypnęło.

Spiął się cały. Czekał, aż dźwięk się powtórzy. Nic. Wrócił więc przed kominek i przysiadł z powrotem na fotelu. Tym razem nie głęboko, a na samym skraju. Gotowy w każdej chwili się zerwać. W kominku zawirowały iskry, kiedy trzasnął jakiś sęk. Dyrektor fabryki znów skupił się na ogniu, starając się jednak nie zapomnieć o nasłuchiowaniu.

Płomienie zazwyczaj go uspokajały. Kojarzyły mu się z domem babki, gdzie spędzał dużo czasu jako dziecko. Jego rodzina nie należała do zamożnych. Szczerze mówiąc, w zaborze pruskim Babiańscy uważani byli raczej za biedotę. Potem przyszła wojna. Dla wielu to był koniec marzeń, ale Cezary, pchany determinacją, żeby coś zmienić, umiał się dobrze zakręcić. Po dwudziestym roku szło mu naprawdę nieźle. A potem stanął na czele fabryki w Wieszczech i miało być jeszcze lepiej.

Nie, nie pozwoli się zniszczyć! Zaklął pod nosem, choć nie przystoi to dżentelmenowi. Czuł się jak na tym wielkim statku, który zatonął kilkanaście lat temu. „Titanic”, tak się chyba nazywał. Niezatopialny statek, a poszedł na dno. Czy niezniszczalny Cezary Babiański też padnie? Oj nie, nie pozwoli na to. Nie da się doprowadzić do bankructwa z powodu jakichś nieistotnych spraw. To, co się stało matce Fabera, nie było jego winą. Cezary zrobił wszystko, co mógł. I zabić za to na pewno się nie da.

Ta fabryka to jego duma. Lubił przechadzać się po hali produkcyjnej, podkręcać węża i przyglądać się pracownikom. Lubił poszukiwać nowinek technicznych na świecie. Lubił w swoim zajęciu absolutnie wszystko. Najbardziej jednak to, że zapewniał żonie i córkom godziwy byt. One nigdy nie będą wiedziały, jak to jest być biednym. Czasy były wystarczająco niebezpieczne. Zwłaszcza jeśli wierzyć doniesieniom zza zachodniej granicy o Hitlerze i jego poplecznikach. No ale jeśli szykowała się kolejna wojna, Cezary zamierzał na niej skorzystać. Tak jak na pierwszej. Nie pozwoli sobą pomiatać ani wysadzić się z siodła. Jeden Faber nie stanie mu teraz na drodze. Jest tylko jak karaluch, który czai się w ciemności.

A teraz?!

Cezary z trudem tłumił nerwowe drżenie rąk. Czyżby właśnie usłyszał szczęknięcie przy drzwiach wejściowych? Wsłuchiwał się w odgłosy nocy. Gdzieś w oddali szczekał pies. Koła kolejnej dorożki podskakiwały na bruku. Do licha, ile osób wybiera się gdzieś w środku

nocy?! Ludzie powinni siedzieć teraz w domach i szykować się do snu, a nie kręcić się i go niepotrzebnie straszyć.

Wstał ostrożnie z fotela. Starał się być cicho. Tak, był już pewny, że ktoś wszedł do domu. Nareszcie! To czekanie w niepewności było wykańczające! Zaraz się zacznie. Pistolet załatwiłby sprawę w kilka chwil, ale Cezary wolał inne rozwiązanie. Podszedł do kominka i wyciągnął pogrzebacz. Włożył go wcześniej do ognia, żeby był gorący. Nie lubił broni palnej. Dorobił się wprawdzie na wojnie, ale pozostał mu wstręt do odgłosów wystrzałów.

Zacisnął dłonie na pogrzebaczu i czekał. Kroki były ledwo słyszalne, ale kiedy tak się skupiał, mógł je rozróżnić w nocnej ciszy. Podszedł do drzwi na palcach. Zaatakuje, kiedy Faber znajdzie się dokładnie za nimi. Bez względu na to, czy intruz planował iść na górę, czy wejść tu, dalej już nie dotrze. Pomyleniec nie spodziewa się, że Cezary na niego czeka z rozżarzoną przętą. Ta myśl dodawała animuszu.

Skrzypnięcie, jeszcze jedno i jeszcze.

Stop.

Czyżby szalony mężczyzna rozglądał się po holu? Co próbował tam dostrzec, skoro światła były pogaszone? Może on też nasłuchiwał. Serce biło Cezaremu jak oszalałe. Czał się w salonie, a od nieproszonego gościa odgradzała go jedynie kilkucentymetrowa grubość desek. Teraz albo nigdy. Nie można zwlekać zbyt długo. Chwycił za klamkę i otworzył drzwi jednym szybkim ruchem. Jan Faber rzeczywiście tam stał. W tym swoim obdartym poplamionym kaftanie, który cuchnął nawet z daleka.

Na widok Cezarego powieki szaleńca uniosły się, jakby gałki oczne miały wypaść z orbit. W oczach intruza odbijała się poświata dochodząca z saloniku. Wyglądało to upiornie. W rękach zaciskał rzeźnicki nóż.

Cezary miał wrażenie, jakby czas zwolnił. Jakby obaj znaleźli się w jakiejś pustce poza czasem. Tylko oni dwaj. Jakby walczyli tak od wieków. W rzeczywistości zapewne stali, patrząc na siebie nie dłużej niż sekundę. Może półtorej.

Faber skoczył w stronę Cezarego. Został zaskoczony, nie był przyzwyczajony do jasności, która wypłynęła z palarni, ale miał w sobie dzikość, której dyrektorowi fabryki brakowało. Ciął nożem i Babiański poczuł piekący ból w okolicach bicepsa. Musiał instynktownie uskoczyć, bo krwi nie było aż tak wiele. Ból sprawił jednak, że Cezary wybudził się z letargu. Zamachnął się pogrzebaczem. Rozgrzany koniec narzędzia lśnił w ciemności holu.

Faber odskoczył w czerń. Cezary rzucił się za nim zadowolony ze swojej przewagi. Ale mylił się. Intruz wcale nie uciekał. Wyskoczył z mroku i raz jeszcze ciął nożem. Tym razem zabolalo bardziej, i to gdzieś w okolicach klatki piersiowej. Babiański zdołał jednak po raz kolejny zrobić unik. Nienawykłe do walki mięśnie protestowały ostro. Nie zwracał na to uwagi. To była walka o przetrwanie.

Zatoczyli się w ciemność i wpadli na kredens. Stały tam poustawiane porcelanowe figurki. Pospadały na podłogę z głośnym trzaskiem. Teraz Zofia i dziewczynki usłyszą, że coś się tu dzieje. A nie chciał, żeby tu zeszły, póki trwa ta potyczka! Mogło zrobić się naprawdę

niebezpiecznie! Nic nie szło tak, jak powinno, przebiegło Cezaremu przez myśl, kiedy robił kolejny unik przed nożem napastnika. Musi zyskać przewagę!

Zamachnął się znów pogrzebaczem. Trafił w któryś z cennych obrazów na ścianie. Jan Faber zaczął się śmiać histerycznie, jakby oglądał cyrkowego klauna, a nie walczył. W mroku holu brzmiało to złowieszczo. Babiański zauważył jednak z zadowoleniem, że po twarzy intruza płynie krew. A więc jednak Cezary go trafił! Doskonale!

Dyrektor fabryki poczuł nagle pierwotny zew. Faktycznie był jak drapieżnik. Metaliczny zapach krwi powodował, że w jego ciało wstąpiła większa wola walki. Na górze była Zosia i dziewczynki. Cezary nie dopuści, żeby Faber tam dotarł. Chociażby sam miał zginąć.

Zaczął szaleńczo machać rozgrzanym pogrzebaczem. W ciemności zdawało się, że sypią się z niego iskry. Intruz rzucił się w stronę schodów, ale popełnił największy błąd. Cezary zaryczał niemal jak zwierzę i skoczył.

Uderzał jeszcze długo potem, mimo że tamten już nie żył. Przestał dopiero, kiedy dotarł do niego kobiecy krzyk. Wtedy zrozumiał, że klęczy nad zmaltretowanym ciałem przeciwnika. Porzucił gdzieś pogrzebacz i dusił martwego już Fabera, jakby to mogło zabić szaleńca po raz drugi. O tak! Ośmielił się wystąpić przeciwko Cezaremu Babiańskiemu i jego rodzinie! Za to należą się dwa piekła!

– Co tu się dzieje?! Co się dzieje?! Czarus!

Odwrócił się powoli. Żona zbiegała po schodach ubrana tylko w nocną koszulę. Trzymała w dłoni lampę naftową. Zarówno fabryka, jak i ich kamienica były już zelektryfikowane. Jako wielbiciel nowinek Cezary nie mógł przepuścić takiej okazji, ale Zosia często używała jeszcze starych lamp. Po jej twarzy skakały cienie. Przerazenie malowało się jednak wystarczająco wyraźnie, żeby poczuł wyrzuty sumienia.

Wstał z kolan, boleśnie świadom, że cały jest we krwi i tkankach swojego przeciwnika. Co z tego, że to tamten się tu wdarł. Dyrektor fabryki nie chciał, żeby żona oglądała takie widoki. Mroczne opowieści to jedno, prawdziwe flaki to drugie.

– Kochanie... – zaczął uspokajająco.

Nie był pewny, jakich słów powinien użyć. Kręciło mu się w głowie. Trudno powiedzieć, czy dlatego, że właśnie zabił człowieka, czy z powodu utraty krwi. Faber trafił go przecież kilka razy nożem. Kto wie, jak głębokie były rany. Adrenalina sprawiała, że ból się przytępił i trudno było to orzec. Najważniejsze jednak, że już po wszystkim. Znajdzie odpowiednie słowa. Za chwilę. Jak odpocznie.

– Cezary...

– Cicho! Zaraz wytłumaczę! – Machnął ręką zniecierpliwiony.

Nigdy nie odzywał się do żony w ten sposób, ale teraz siły zaczynały z niego ulatywać i nie miał ochoty na grzeczności. Lada chwila powróci ból, a wtedy zupełnie nie będzie mógł się skupić. Spojrzał na nią prosząco. Widział, że Zofia nadal porusza ustami, ale tak bardzo kręciło mu się w głowie, że właściwie nie słyszał jej słów. Czasem miewał migreny. Może to jedna z nich nadchodziła nieubłaganie?

– On nie żyje, kochanie – zapewnił żonę zmęczonym głosem.

Próbował nie dać się wyprowadzić z równowagi. Już przecież było po wszystkim. Teraz należało pozbyć się ciała. Znał się z aspirantem Złotopolskim, ale może się okazać, że to za mało. W grę wchodziło morderstwo. Lepiej chyba dyskretnie porzucić gdzieś trupa.

Nagle kątem oka dostrzegł cień na ścianie. Lampa naftowa Zofii zamigotała. Cezary odwrócił się szybko i spojrzał w dół. Miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą leżał zmasakrowany pogrzebaczem Jan Faber, teraz było puste. Jakby mężczyzny nigdy tu nie było. Tylko krew na ubraniu dyrektora fabryki świadczyła o tym, że coś się tu przed chwilą wydarzyło.

## 2

*Jak to jest obudzić się po śmierci?*

*Chyba nikt się nad tym nie zastanawia, póki żyje... A może jest jednak zupełnie inaczej, niż mi się wydaje. Może każdy jednak trochę o tym дума? A ty, myślisz czasem, jak by to było otworzyć oczy wśród ciemności? Wyciągać ręce i natrafiać na chropowate deski taniej trumny... Mieć początkowo nadzieję, że to tylko zły sen. Złudzenie. Nocna mara. Tylko że to jest rzeczywistość. Masz wrażenie, że nie złapiesz oddechu, że twoje płuca tłamszone są czystym przerażeniem. Zamknięcie pod ziemią, pogrzebanie, pożegnanie i zostawienie, żeby zgnić. Tak, **zgnić**. Do tego właśnie się to sprowadza.*

*A jeśli twoja cielesna powłoka była odrażająca, tym szybciej i wygodniej się o tobie zapomina. Zostajesz sam na sam ze sobą. Budzisz się w objęciach śmierci. Najpierw próbujesz zaczerpnąć powietrza. Dokładnie tak jak przez wszystkie lata swojego życia. Myślisz, że zaraz poczujesz ten znajomy ucisk w piersiach jak wtedy, kiedy coś przerażało cię śmiertelnie. Jak wtedy, kiedy myśli o śmierci przemykały ci przez głowę. Tylko że nic takiego nie następuje.*

*Ty nie żyjesz! Nie oddychasz.*

*Ja już wiem, jak to jest. Nie mam za sobą budzenia się w trumnie, ale to niewiele zmienia. Nie żyję. To tak przerażające, że nie da się tego wyrazić słowami. Bycie tu, a jednocześnie tam, gdzieś pomiędzy światami, w całkowitej ciemności, z głosami innych dusz ulatujących w sobie tylko znane strony... Pewnie do zaświatów, w które wierzyły za życia.*

*Tylko gdzie w takim razie ja jestem? Nie umiem się odnaleźć...*

*Moim darem zawsze było podróżowanie pomiędzy minutami i godzinami. W przód i w tył. Ale teraz naprawdę nie wiem, **kiedy** jestem. Wiem tylko, że nie żyję i że z tego powodu narasta we mnie wściekłość. Ogromna i nieposkromiona. Podsycona strachem, którego nie umiem okiełznać. Nie jestem już sobą. Jestem wirem szaleństwa, który chce się na kims odegnać, na kimkolwiek. Wieszczę to nie jest bezpieczne miejsce, żeby żyć, ale i żeby umierać! Każdy z mieszkańców to wie!*

*Potem wszystko jakby się przejaśnia. Przypomina to moment, kiedy w końcu rozwiewa się gęsta mgła i można się rozejrzeć. Wiem, że jestem w Stróżówce. Ale teraz wygląda ona zupełnie inaczej niż przed moją śmiercią. Rozglądam się wokoło. Ściany zdają się przezroczyste. To jedynie ułuda? Nie, wcale nie. Mogę przez nie przejść. Początkowo to odkrycie nawet mnie bawi. Przenikam przez te ściany, zostawiając za sobą swoją cielesność. Po kilku chwilach strach jednak wraca. Jest we mnie przytłaczające pytanie: co ja tu robię?!*

*I pewność: nie powinno mnie tu być.*

*Nie powinno mnie tu być!*

*Dom też zdaje się to czuć. Przez ściany widzę, jak bluszcz, który obrastał budynek, więdnąć. Moja obecność jest jak trucizna. Już za życia tak się stało, a po śmierci jest jeszcze gorzej. Widzę przez te ściany, ale nie mogę krzyczeć. Przynajmniej na razie... Co będzie potem? Czy krzyk do mnie przyjdzie? Czy może już nigdy nie?*

*Ta myśl znów budzi gniew!*

*Moja śmierć była bezsensowna!*

*Zbyt wczesna!*

*Jeszcze tyle zostało do zrobienia!*

*A przede wszystkim moja śmierć była **niesprawiedliwa**. Chcę odejść, ale ta myśl trzyma mnie jak kotwica. Jestem jak dzikie zwierzę, które wpadło w sidła.*

### 3

## Cezary Babiański

Tydzień później Cezary znów czekał w palarni. Tak jak siedem poprzednich nocy. Teraz już bez wcześniej nieodłącznego cygara i szklaneczki whisky. Nie miał do tego głowy. Zofia sama opatrzyła mu rany. Nie chciał słyszeć o tym, żeby pójść do miejscowego lekarza. To by oznaczało zbyt wiele pytań. Dyrektor fabryki był bowiem pewny, że zabił Jana Fabera. Ciało zniknęło, co przeczyło temu przekonaniu, ale on był **absolutnie pewny**. Zabił tego cholernego opętańca na amen! Faber jest martwy! Trup! Umarlak! Nie ma go! I bardzo dobrze!

Zofia patrzyła na Cezarego z mieszaniną strachu i niedowierzania. Bardzo go to gniewało. Jako żona, powinna zawsze go wspierać. Poza tym to przecież ona ciągle opowiadała o wstających z grobu trupach, wieszczych, czyż nie?! A jak przyszło co do czego, to wątpi w to, że Faber w ogóle był w ich kamienicy. O tak, Cezary widział to w jej oczach. Przez to sam zaczynał czuć się jak szaleniec. We własnym domu! Tak nie powinno być!

Podskoczył, kiedy skrzypnęły drzwi.

– Wszystko w porządku, kochanie? – zapytała Zofia, zaglądając do środka.



Na jej twarzy znów tańczyły cienie, bo w ręku jak zwykle miała lampę naftową. Jak można tak bezsensownie gardzić elektrycznością, do licha! Lampa stanowiła teraz jedyne źródło światła, bo on też nie włączył elektrycznej żarówki ani nie zapalił w kominku. Tylko że on miał ku temu powód – w przeciwieństwie do niej! Czał się w ciemności, bo może Fabera odstraszało światło, a Cezary chciał go tu zwabić – żywego czy umarłego! W końcu go dorwie!

– Chodź już spać, kochanie – poprosiła Zofia cichutko.

Machnął ręką niecierpliwie. Nowy, brzydki gest najwyraźniej zaczynał wchodzić mu w nawyk. Nie pokazała po sobie, że ją to ubodło. Przyglądała mu się z mieszaniną trwogi i delikatnej podejrzliwości. Suka!

Twierdziła, że wtedy nie widziała Fabera, że nikt w ogóle nie wszedł do ich holu. Dobre sobie! Zeszła ze schodów i w ciemności zobaczyła jedynie zakrwawionego męża i porzucone przedmioty. Cezary tłumaczył jej, co zaszło, ona kiwała głową, ale to by było na tyle. Nie wierzyła. To go niemilosernie drażniło. Miał ochotę nią potrząsnąć i wytłumaczyć, że ten cholernik tu był, tylko jego ciało nagle zniknęło. A nigdy przedtem nie podniósł na Zosię ręki! Czuł, że dzieje się z nim coś niedobrego, jednak nie umiał tego powstrzymać. Ale nie ma co się martwić! Kiedy na dobre pozbędzie się Jana Fabera, wszystko wróci do normy.

– Muszę tu poczekać – oznajmił, siłąc się na spokój. – On może wrócić!

Zona westchnęła cichutko.

– Nie obchodzi mnie, czy żywy, czy martwy, zniszczę go – dodał jeszcze dobitnie.

Zofia przyjrzała mu się uważniej, jakby dopiero zrozumiała, co mąż sugeruje.

– Faberowa powiedziała mi kiedyś coś dziwnego – zaczęła ostrożnie. – Jak opowiadała o wieszczych. Jakby sugerowała, że nie podała synowi antidotum. Tak to zrozumiałam, ale nie chciałam nic mówić, bo chyba nie lubisz, jak rozprawiam o takich rzeczach... Może on nosi w sobie demona i wtedy faktycznie po śmierci mógłby się przemienić. Podobno wtedy ciało zmarłego znika. Potwór może obudzić się na cmentarzu, ale może też zupełnie gdzie indziej...

– ZAMKNIJ SIĘ!

Krzyk Cezarego brzmiał w nocnej ciszy tak donośnie, że zapewne usłyszały go nie tylko śpiące na piętrze córki, ale i sąsiedzi w kamienicach przy Głównej. Nie obchodziło go to. Oboje zastygli. Gdzieś głęboko czuł, że może przesadził. Coś jednak kazało mu powiedzieć:

– Mógłby się przemienić?! **Mógłby**?! Czyli tryb przypuszczający?! Nadal masz mnie za wariata?!

– Ja chciałam tylko... Ja...

Wiedział, że tak naprawdę chciała go wesprzeć. Tylko że wściekał się, że nie panuje nad sytuacją. Musiał dać upust emocjom. Chyba ma do tego cholerne prawo?! O tak, ma prawo! Jest dyrektorem fabryki!

– Powiedziałem: zamknij się! – warknął, przerywając jej. – Gnój wyczołgał się stąd jakoś i zdołał uciec. Albo zmienił się w tego twojego ukochanego wieszczego. Ale był tu! Nie rób ze mnie wariata!

– Przepraszam – wyszeptała. Wyglądała na przerażoną, ale też zdeterminowaną. – Tylko gdzie on jest? Nie ma ani ciała, ani nie pojawił się potwór. Nie wiem co prawda, jak długo to zajmuje, czy zawsze tyle samo...

– Zamknij się – warknął znów Cezary przez zaciśnięte zęby.

Nie miał pojęcia, gdzie jest ten szaleniec albo jego ciało. To doprowadzało go do furii. Sprawdził Stróżówkę. Już rankiem po nocnej walce wybrał się do fabryki pieszo. To było blisko, ale z reguły i tak jeździł do pracy swoim małym wygodnym fiatem 508. Kupił go na targach w Poznaniu. Teraz podobno był to najpopularniejszy samochód osobowy na drogach Rzeczypospolitej. Cezarego stać byłoby oczywiście na coś lepszego, ale podobało mu się, że auto produkowane jest w kraju. To oznaczało, że części zamienne będą łatwo dostępne. Do podróży z rodziną planował wkrótce kupić coś większego. To znaczy, jeśli ta afery nie zniszczy jego interesów. A nie zniszczy! Już on tego dopilnuje! Jeśli miał być całkiem szczerzy, to kupił ten samochód na szybko, bo coś ciągnęło go do powrotu do domu. Miał zostać na targach dłużej, ale wrócił zaledwie po dniu. Wyglądało na to, że też pokochał Wieszcze. Zupełnie jak żona. To było nieprzyjemne przyciąganie, które teraz też działało mu na nerwy.

Minął dom, który wszyscy nazywali Stróżówką. Stał na skraju lasu. Cezary kazał go wybudować niedaleko fabryki, bo przedsiębiorstwo kryło się w lasach i być może nie każdy by się zorientował, jak znaleźć drogę. A tak kontrahenci wiedzieli, gdzie szukać. Ojciec Jana Fabera nazywany był stróżem, choć miał się w fabryce różnych robót, a nie tylko pilnował bezpieczeństwa.

Rok temu stary Faber zginął podczas rozładowywania towarów, przygnieciony przez kilka ton zegarków i innych sprzętów. Cóż, wypadki się zdarzają. Nawet ten szalony Jan nie przeżył tego zbyt mocno. Dopiero śmierć matki sprawiła, że młody Faber wyrwał się spod kontroli. A może to śmierć ojca była pierwszym gwoździem do trumny, a matki ostatnią kroplą przelewającą czarę? Nieważne!

Cezary **musiał** sprawdzić, czy Jan Faber zdołał jakoś umknąć i ukryć się w Stróżówce. Po prostu musiał. Babiański był pewny, że zabił go pogrzebaczem. Brutalnie, z prostacką siłą, na jaką ten szaleniec zasługiwał. A jednak ciała nie było. Jakby rozpułyło się w powietrzu. Branie pod uwagę, że jednak opowieści przekup są prawdziwe, urągało zdrowemu rozsądkowi. Wolał – przynajmniej na razie – mimo wszystko trzymać się wersji, że młody mężczyzna jakoś się stąd wyczołgał i umknął. A jeśli ten wariat gdzieś się skrył, to tylko w domu, który uważał za swój. Dom to przecież miejsce, gdzie wraca się, kiedy życie da w kość. Prawda? Prawda?!

Cezary Babiański niemal się trząsł, kiedy przekraczał tamtego dnia próg Stróżówki. A przecież nie powinien się przejmować. To miejsce i tak należało do niego! Ma prawo tu

wejść! Wnętrze ceglanego domu pachniało chorobą. Zbierało mu się na wymioty. Kalina Faber umarła i dawno powinien wywietrzeć odór śmierci, a jednak nie. Plotka głosiła, że to Jan ją zabił, żeby matka nie cierpiała. Rzewna historyjka, w którą Cezary Babiański nie wierzył. A zresztą to i tak nie miało znaczenia. Liczyło się tylko, czy ten opętaniec się tu ukrywa, żeby wylizać rany i znów zaatakować. Pal lichu, czy jako żywy, czy nieumarły.

Dyrektor fabryki przeszukał cały dom. Wspiął się nawet po stalowych schodach na strych. Przeniesiono je tu, bo nie pasowały do pomieszczeń biurowych w fabrycznej hali i trzeba było zrobić nowe. Jego zdaniem w tym małym domu wielkie metalowe schody wyglądały karykaturalnie. Kiedy wspinał się na górę, każdemu krokowi towarzyszyło echo. Dotarł na piętro i nic, pusto.

Cezary wyszedł ze Stróżówki zniesmaczony. Szaleniec nie wrócił do siebie. Ale może to jeszcze zrobić. Cezary zaglądał więc do domu pod lasem codziennie przez ostatni tydzień, żeby upewnić się, czy jego przeciwnik się nie pojawił. Dziś rano też tam był. Fabera ani śladu. Żywego czy martwego. Gdzie mógł odejść taki poraniony? Jak to się stało, że nikt w mieście go nie widział? Nawet w formie przeklętego potwora z dawnych legend. Ktoś by na pewno zauważył, gdyby jakiś stwór biegał po miasteczku. Huczałoby o tym, czyż nie? A może wcale nie? Cezary czasem miał wrażenie, że ludzie nadal traktują go z dystansem i nie mówią mu wszystkiego, mimo jego niezwykle ważnej pozycji. Tylko po co mieliby ukrywać, że pojawił się tu potwór? Chcieli, żeby Jan Faber go zabił?

Nie, nie, nie, powtarzał sobie Cezary w duchu. Wszystko zaczynało mu się płątać. Może przez te nieprzespane noce! Nagle wpadło mu coś jeszcze do głowy! Przecież wiara w potwory to była głupota. Naprawdę był wykończony i nie myślał jasno, jeśli w ogóle brał to pod uwagę. Było całkiem realne rozwiązanie. Opętaniec jakoś się stąd wyczołgał, kiedy Cezary skupił się na schodzącej z góry żonie. Potem uciekł. Może ukrył się w lesie, skoro nie było go w domu. A potem zdechł! Babiański zadał mu przecież mnóstwo potężnych ciosów pogrzebaczem! Szaleniec zdechł gdzieś w lesie! A może nawet w Stróżówce. Być może Cezary nie zajrzał jeszcze we wszystkie kąty.

– Kochanie, od paru dni prawie nie śpisz – odezwała się Zofia, wyrywając go z ponurych myśli. – Martwię się. Musisz odpocząć. Zaczynasz przypominać...

– No kogo? – zachnął się.

Czuł, że z kącika ust cieknie mu strużka śliny. Otarł ją wściekle. Ręka sama pognęła w jej kierunku. Głuche plaśnięcie zaskoczyło go. Uderzył ją. Pierwszy raz w życiu uderzył żonę. Jej dłoń powędrowała do twarzy. Zakręciło mu się w głowie.

– Idę sprawdzić Stróżówkę – oznajmił gniewnie. O tak, przetrząśnie tę rudere. Tym razem bardzo dokładnie.

Zofia była jego żoną, powinna go słuchać, a nie pyskować. Zupełnie stracił cierpliwość. Nie zamierzał przeproszać za to, co nie było jego winą. W tej chwili liczyło się tylko odnalezienie młodego Fabera. Potem może wszystko sobie wyjaśnią.

– Teraz? – zapytała.

Rękę nadal przyciskała do twarzy. Widziała chyba w jego oczach, że nie warto reagować na to, co się stało przed chwilą. Oj tak, gdyby to zrobiła, toby pożałowała!

– Teraz! Nie słyszałaś, co powiedziałem?! Ile można powtarzać!

– Z tobą dzieje się coś złego. To zmienia się w jakąś obsesję...

Zamilkła, jakby zaskoczona, że powiedziała to na głos. Wyglądała na spłoszoną. Prawie tak samo jak wtedy, kiedy zbiegła po schodach, a on stał w ciemności cały zakrwawiony. A przecież robił to wszystko dla niej i dziewczynek. No i sama twierdziła, że nie chce wyjeżdżać z Wieszcz. On też nie chciał. A skoro pragnęli tu zostać, trzeba było załatwić sprawę do końca.

Tydzień zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Cezary faktycznie nie spał. Kładł się co prawda do łóżka, ale nawet wtedy czuwał. Umysł mącił mu się ze zmęczenia. Wiedział o tym, ale musiał działać.

Uniósł rękę, żeby zadać kolejny cios. Powstrzymał się w ostatniej chwili. Mimo to żona zaczęła cicho chlipać. Jakby ją uderzył, a przecież tego nie zrobił! Przed chwilą to było co innego. O mało nie upuściła lampy naftowej. Powinna ją trzymać w dwóch rękach, a nie przyciskać ostentacyjnie prawą do policzka.

– Mogłaś wywołać pożar – sarknął. – Musisz bardziej uważać.

– Przepraszam...

Mówiła drżącym głosem, ale po raz pierwszy zobaczył w jej twarzy coś nowego. To było coś ulotnego i niepokojącego. Jakby zmieniała się w kogoś zupełnie innego. Nie mógł na to patrzeć, bo w jego sercu rodziły się niepokój i wątpliwości. A teraz nie było na to czasu.

Wyrwał jej lampę naftową z drżącej dłoni. Potrzebował tego blasku. Było już po północy. Musi sobie poświecić, kiedy będzie szedł sprawdzić Stróżówkę jeszcze raz. **Ostatni** raz, obiecał sobie. Potem wróci do normalnego życia. Może nawet przeprosi żonę, że zaczął traktować ją tak obcesowo. Ale nie teraz.

Ruszył ciemnym holem, zostawiając milczącą Zofię w palarni. W wielkim lustrze ze złoconą ramą zobaczył wychudzoną postać. Prawie się nie rozpoznawał. Aż trudno uwierzyć, że można stracić tyle na wadze przez zaledwie kilka dni. Gdzieś głęboko czuł, że czekanie na Jana Fabera faktycznie zaczyna przeradzać się w obsesję i niedługo sam doprowadzi swój zakład do ruiny. Jakby to, co już się wydarzyło, nie wystarczało. Musiał założyć cholerny cmentarz obok zakładu!

– Sprawdzę Stróżówkę jeszcze tylko jeden raz – obiecał swojemu odbiciu w lustrze, wychodząc z kamienicy.

Tej nocy brukowaną ulicą Główną nie jechała żadna dorożka. Było mgliście i zdawało się, że świat zatonął w kompletnej ciszy. Cezary niemal nic nie widział w mroku i mlecznych oparach. W Wieszczach pogoda czasem płała figle. Że też akurat dziś musiało się to stać. Lampa naftowa dawała niewiele światła. W tych warunkach była właściwie bezużyteczna. Miał ochotę cisnąć ją na bruk. Powstrzymał się. Mimo wszystko stanowiła jakiś punkt

orientacyjny. Co z tego, że sam go niósł. Wydawała się ostoją, niczym latarnia morska. Opanowało go irracjonalne przekonanie, że póki widzi jej światelko, jest bezpieczny.

Strach sprawiał, że oddychał płytko i szybko. Cóż może się wydarzyć?, pytał raz po raz sam siebie. Mgła jest gęsta, ale przecież Faber się w niej całkiem nie skryje... Jeśli będzie chciał zaatakować, Cezary dostrzeże ruch.

A co, jeśli naprawdę zmienił się w potwora? Czy Zofia wspominała, jak takie monstrum wyglądało? Cezary nie był teraz pewny. Rozejrzał się nerwowo, ale praktycznie nic już nie widział. Szedł niemal na oślep. Tyle razy przemierzył tę drogę, że mógłby zrobić to nawet z zamkniętymi oczami. Co z tego, że mgła jest tak gęsta?! Nic! Wielkie nic! Pod stopami wyczuł zmianę nawierzchni. Schodził z bruku na ubitą drogę gruntową, która prowadziła do Stróżówki, a potem w las do fabryki. Był już blisko. Czy dziś spotka Fabera? Czy będzie mógł zakończyć tę rozgrywkę? Miał przecucie, że tak. Przyspieszył kroku.

Im dalej szedł, tym powietrze robiło się coraz bardziej przejrzyste. No i proszę. Typowe dziwy Wieszcz! W końcu mgła zupełnie się rozwiązała i teraz w ciemności bez problemu mógł dostrzec pograżony w mroku ceglany dom. W środku nie paliło się żadne światło. Mimo to czuł, że ktoś tam jest. Każda komórka jego ciała krzyczała, że ten ktoś jest mu nieprzychylny. Prychnął pod nosem. A więc Faber wrócił i się tam czai!

Cezary spojrzął na swoją mizerną lampę. O dziwo, teraz wydawała się świecić niczym olbrzymia pochodnia. Korciło go, żeby ją zgasić, mogła przecież zdradzić jego obecność. Przypomniawszy sobie jednak to, co pomyślał wcześniej. Póki widzi jej światło, jest bezpieczny.

Odwrócił się, żeby raz jeszcze spojrzeć na śpiące Wieszcze. Mgła szczelnie spowijała miasteczko. Nie widział więc stąd ani jednego budynku czy najdrobniejszego odbłasku ulicznej latarni. Tak jakby zostawił za sobą stary świat. Nie szkodzi. Poradzi sobie sam. Jest dyrektorem fabryki, ważną personą.

Poszedł niespiesznym krokiem w stronę Stróżówki. W nocy cegły, z których zbudowano dom, wydawały się czarne, a nie intensywnie rude, jak w dzień. Cały front obrastał bluszcz. Roślina zupełnie wyschła. Czy była już taka sucha, kiedy zaglądał tu wczoraj? Chyba nie... A przecież nawet dziś, jak jechał do fabryki, powinien był zwrócić na to uwagę. Niemożliwe, żeby tego nie zauważył.

Postawił lampę na ganku. Przebiegło mu przez myśl, że może ogień znajduje się za blisko wysuszonych pędów, ale co go to obchodzi? Niech i nawet ta rudera spłonie. Odbuduje się ją potem albo nawet nie. To było przeklęte miejsce. Nikt więcej nigdy nie powinien tu mieszkać.

Nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz, czyli tak samo, jak zastawał je za każdym razem, kiedy tu zaglądał. Odczekał chwilę, nasłuchując jakichkolwiek odgłosów. Wnętrze nie śmierdziało już tak mocno chorobą. Zaglądał tu tyle razy, że się wywietrzyło. A może to on przyzwyczyił się do tego odoru?

Poczucie czyjejś obecności było wszechogarniające. **Wrogie**. Tak intensywne, że choć Cezary nikogo nie widział, miał wrażenie, jakby to coś nie pozwalało mu wejść do środka.

Całe ciało pokryło mu się gęsią skórką. Ze strachu? Nie, zrobiło się zimniej przez mgłę. Tylko tyle. W takie noce zawsze jest chłodniej. Nie ma co doszukiwać się w tym czegokolwiek więcej.

Zrobił krok do środka. Podłoga skrzypnęła. Stłumił przekleństwo. Jeśli Jan Faber był w Stróżówce, to na pewno go usłyszał. Role się odwróciły. Teraz tamten być może czekał gdzieś przyczajony z jakimś narzędziem do obrony, a Cezary skradał się przez ciemny hol.

Nic to, innego wyjścia nie ma, pomyślał Babiański, aby dodać sobie animuszu, i ruszył najpierw w stronę izby po prawej. Pełniła funkcję saloniku. Okna wychodziły na drogę. Czyżby zobaczył na zewnątrz jakąś łunę? Na dworze się świeciło? No jasne, przecież zostawił tam lampę. Nic wielkiego.

Coś stuknęło.

Odwrócił się gwałtownie, wyciągając ręce w ciemność, gotów sparować cios. Podświadomie założył, że skoro sytuacja stanowi jakby lustrzane odbicie tego, co działo się u niego w domu tydzień temu, to Jan Faber zaatakuje pogrzebaczem. Już prawie czuł uderzenie metalu na przedramionach. Czy wytrzyma ten ból?

Ale nic się nie stało. Nic a nic. W ciemności nikogo nie było. Cezary odetchnął głębiej. A przynajmniej się starał. Przepoń miał ściśniętą tak, że każdy oddech sprawiał mu trudność. Stopniowo się jednak uspokajał.

Dobrze. Na razie idzie mu całkiem nieźle. Teraz kuchnia. Była za tymi drzwiami... Kilka kroków. Zmusi się do tego. Powtarzał sobie jak mantrę, że robi to dla rodziny, ale mięśnie w całym ciele zdawały się raz po raz dostawać nieprzyjemnych skurczów. Chciał stąd uciec. Jak najdalej.

Włożył całą siłę woli w kolejny krok. I jeszcze jeden. Znalazł się przy drzwiach do kuchni. Niestety były zamknięte i musiał zdobyć się na kolejny wysiłek, żeby nacisnąć klamkę. Czy Faber jest po drugiej stronie? Czyha, jak Cezary w palarni, żeby wyskoczyć z ciemności? A może zamiast pogrzebacza ma na przykład siekiere? Co wtedy?!

Dyrektor fabryki nacisnął klamkę i na wszelki wypadek uskokzył w tył. Znowu oczekiwał, że coś się wydarzy, ale pogrążona w ciemności kuchnia była pusta. Wszedł ostrożnie do środka, rozglądając się. Oczy przywykły do mroku i wystarczała mu ta odrobina światła księżycy, która wpadała przez okno. A może to był blask jego lampy naftowej?!

Nagle zmroził go jeszcze jeden dreszcz. Odwrócił się. Nie, to był księżyc! A on nie widział już światła swojej latarni! A przecież miał nie tracić jej z oczu! Głupoty, powtarzał sobie. Głupoty i zabobony, które sam sobie przed chwilą wymyśliłem. Jestem gorszy niż przekupy z targu.

Wtedy usłyszał kroki na schodach.

Na tych karykaturalnych schodach, które przywieziono tu, bo nie pasowały w fabryce. A więc jednak! Faber tu był! Cezary ruszył w tamtą stronę. Dopiero teraz zrozumiał coś, o czym powinien był pomyśleć na samym początku! Przecież nie wziął ze sobą żadnej broni! Jakimże głupcem był! Obsesja zupełnie zaćmiła mu umysł. Tylko co teraz?!

Cezary znów postarał się uspokoić oddech. Przecież znajdował się w kuchni. Musi znaleźć tu jakiś nóż. Może nawet ten, z którym do jego domu przyszedł Faber. Dyrektor wycofał się ostrożnie do kuchennych szafek. Macał ręką z tyłu w ciemności. Nie chciał odwrócić się plecami od drzwi prowadzących do holu. Za wielkie ryzyko. Szuflada otworzyła się. Rzucił do środka jedno krótkie spojrzenie. Jeśli są tam noże, nie chciał się zranić.

Były! Ależ miał szczęście! Dwa noże! Oczekiwał śladów krwi z ostatniego starcia, ale w ciemności ostrza wydawały się zupełnie czyste. Wręcz błyszczące. Wziął oba. Ostrożności nigdy za wiele.

Znów kroki na schodach! Teraz już nie pora na wahanie. Cezary wystrzelił w tamtą stronę, wyciągając noże przed siebie. Wpadł na klatkę schodową z nieprzypominającym słów rykiem na ustach. Ale i tam było pusto! A przecież słyszał kroki. Dosłownie kilka sekund wcześniej... Niemożliwe, że Faber dostał się na górę tak szybko.

Teraz znów usłyszał stąpnięcia. Jego oczy się rozszerzyły. Wokoło było wprawdzie niemal zupełnie ciemno, ale stał przecież tuż obok schodów. Zobaczyłby, gdyby ktoś schodził. Tymczasem nie widział tam nikogo.

A jednak ktoś schodził. Krok za krokiem. Słyszał to bardzo wyraźnie. Całe jego ciało znów pokryło się gęsią skórką. Pojawiła się też kolejna fala zimna. Opanował go pierwotny lęk. Taki, któremu w żaden sposób nie można się oprzeć. Babiański upuścił oba noże. Między nogami zrobiło mu się ciepło. Czyżby się zsiął? On, **dyrektor fabryki**? Przebiegło mu przez myśl, że nikt nie może się dowiedzieć. Byłby skończony. Potem to wszystko straciło znaczenie. Rzucił się do ucieczki.

Wypadł na ganek, potykając się. Przewrócił lampę naftową, ale zupełnie się tym nie przejął. Chciał za wszelką cenę uciec z tego domu. Jak najdalej. Tylko gdzie? Do swojej kamienicy? To była pierwsza myśl. Zaraz jednak miłość do żony i córeczek uderzyła go z większą mocą niż kiedykolwiek. Nie, nie może ściągnąć **tego czegoś** do ich domu. A więc gdzie? Fabryka! Oczywiście! Są tam robotnicy, którzy pracują na nocną zmianę. Coraz ich mniej, bo po tej **niefortunnej** aferze wielu zrezygnowało. Zwłaszcza kobiety. Nie chciały podzielić losu tych, których pogrzebano już na cmentarzyku. Ale ktoś tam na pewno będzie. Ktoś mu pomoże.

Pędził co sił w nogach ubitą drogą prowadzącą do zakładu produkcyjnego. Płuca go paliły, gałęzie uderzały w twarz, a korzenie wyrastały w najbardziej nieodpowiednich momentach. Kilka razy upadł. Zaraz jednak podnosił się i biegł dalej. Odwracał się co jakiś czas, żeby zobaczyć, czy to coś go goni. Chyba nie, choć w ciemności niewiele można było dostrzec. Mgła znów zaczynała oplatać swoimi lepkiemi, zachłannymi palcami świat wokoło. Jeszcze tylko tego brakowało.

Potknął się o kolejny korzeń i upadł. A może to coś chwyciło go za nogę?! Odwrócił się gotowy parować cios. Żaden nie nadszedł. Tylko las wokół niego szumiał złowieszczo. Trzaski i szelesty zdawały się dochodzić to z jednej, to z drugiej strony.

– Gdzie jesteś?! – wrzasnął na całe gardło Cezary Babiański. – Gdzie do licha ciężkiego jesteś?! Zmieniłeś się w wieszczego, cholerniku jeden?! Ty i to przekłete miejsce!

Czuł, że nie wytrzyma już ani chwili dłużej. Niepewność potęgowała lęk. **To coś** ze Stróżówki mogło czaić się wszędzie. Dosłownie za każdym drzewem. A co z Faberem? Co, jeśli te dawne opowieści jednak... Niemożliwe... Te odgłosy stóp na metalowych schodach. Przerażające uczucie, kiedy uszy mówiły mu, że ktoś tam jest, a oczy temu zaprzeczały. Upiornie nienaturalna świadomość sprawiała, że na samą myśl znów miał wrażenie, że zwieracze odmówią mu posłuszeństwa.

– Gdzie jesteś?! – zawołał histerycznie w noc. Pot spływał mu z czoła do oczu. Piekielnie nieprzyjemnie. – Gdzie jesteś?!!!

Podniósł się z ziemi. Nie zawracał sobie głowy otrzepywaniem ubrania z piachu. Zapomniał o wszelkich konwenansach. Nikt mu nie odpowiedział, ale Cezary nie zamierzał czekać, aż usłyszy jakiś głos. Popędził ile sił w kierunku fabryki. Nagle tylko to było ważne. Dotrzeć do ceglanej bramy. Jeszcze kawałek. Tylko kawałek. Tam będą ludzie! Ktoś mu pomoże! Znał tę drogę jak własną kieszeń. Jeszcze jeden zakręt i...

Nagle w ciemności zobaczył jakąś postać. Ktoś stał pośrodku drogi.

– Kto tam jest?! – zawołał.

Czyżby to któryś z jego fabrycznych stróżów? Nie, poznałby sylwetkę swojego pracownika. Znał swoich ludzi. Ten ktoś był bardzo chudy i jakby... **powykręcany**.

– Faber?! – zapytał. – To ty?!

Znajdowali się już tak blisko fabryki. Wystarczy krzyknąć. Może ktoś usłyszy. Głos zamarł mu jednak w gardle. Postać zrobiła kilka chwiejnych kroków w jego stronę. Nie wyglądało to groźnie. Raczej jak wysiłki pijaka, który udaje trzeźwego. Dyrektor fabryki czuł jednak, że nie powinien nie doceniać przeciwnika. Może Faber tylko udawał nieudolność. Niepokój narastał, zaciskając coraz bardziej gardło Cezarego.

– Porozmawiajmy jak ludzie – wydusił, siłąc się na spokojny ton.

O krzyku nie mogło być na razie mowy. Musiał się uspokoić. Wyglądał teraz chyba jak siedem nieszczęść. Zakrwawiony i pokryty ziemią po licznych upadkach. Wyprostował się, żeby dodać sobie powagi.

– Rozumiem twój żal, człowieku, ale...

W tym momencie od strony miasteczka dobiegł ich jakiś odgłos. Cezary obrócił się szybko. Zobaczył łunę pożogi. Najprawdopodobniej lampa naftowa wywołała pożar Stróżówki! Może faktycznie zajęły się wyschnięte pędy dzikiego wina i bluszczu. Trudno. Straż ogniowa się tym zajmie – być może wystarczy wyremontować fasadę. Może wstawi się większe okno. Nieważne. Miał teraz na głowie Fabera.

Byli sami w ciemności, a szaleniec mógł zrobić cokolwiek. Zdawał się powykręcany. Może nawet nie udawał. To mógł być efekt urazów, które Cezary zadał mu tydzień temu. Walczyli przecież zaciekle i dyrektor fabryki nie szczędził pogrzebacza.

– Porozmawiajmy... – spróbował znowu, odwracając się do postaci w ciemności.



Był pewny, że Faber stoi nadal kawałek dalej pośrodku drogi. Ale mężczyzna był teraz najwyżej pół metra od niego. Cezary aż podskoczył. Jak Faber zdążył podejść tak szybko i tak cicho? I śmierdział. Okropnie. Od tego odoru aż mdliło. Nie to było jednak najgorsze.

Cezary popatrzył w pozbawione powiek błyszczące nieludzko oczy i zrozumiał, że nie wyjdzie już z tego lasu żywy.

CZASY OBECNE...

# ROZDZIAŁ III

## 1

### Julia Wilk

Julia usiadła na łóżku wybudzona nagle ze snu. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie się znajduje. Nadal miała przed oczami twarz mężczyzny ze zrosniętymi brwiami i rękami brudnymi od ziemi. Cóż za okropny sen! Naraz ogarnęło ją nieprzyjemne uczucie, że to była nie tylko ziemia, ale również krew. Ten człowiek kogoś zabił i zakopywał w grobie. Przypomniała jej się bulgocząca ziemia. Czyżby ofiara nie godziła się z przedwczesnym zakończeniem życia? Jak to w snach, wszystko było niedopowiedziane i symboliczne. Nie zmieniało to faktu, że budziło lęk. A na pewno głęboki niepokój. I to spojrzenie mężczyzny – nie umiała go rozgryźć.

Przynajmniej te brwi łatwo było wyjaśnić. To musiał być efekt wczorajszej nocnej wizyty Bibiany. Być może mężczyzna ze snu uosabiał nieznaną, która wtargnęła tak nieoczekiwanie w życie Julii. Wilk lubiła zastanawiać się nad znaczeniami snów. Dziś jednak im dłużej o tym myślała, tym większy strach ją ogarniał. Zazwyczaj koszmary stawały się rano zupełnie niegroźne. Ten nie. Wręcz przeciwnie, jakby zyskiwał moc w świetle dnia i stawał się prawdziwym wspomnieniem, a nie tylko nocną marą.

Na twarzy mężczyzny z łopata malował się przedziwny wyraz. Złość i zaskoczenie, kiedy zauważył Julię? Może, ale coś jeszcze. Coś, czego nie umiała nazwać. Wiedziała jednak, że musi uciekać z cmentarzyka obok jabłoni. Tak właśnie zrobiła i sen zakończył się tak raptownie, że nie była pewna, czy jej się ostatecznie udało zbiec. Zerknęła na stolik nocny w poszukiwaniu winowajcy. Sięgnęła ręką po telefon i wyłączyła budzik. Gdyby nie on, wiedziałaby, jak to się zakończyło.

We śnie czuła ostry zapach potu. Myślała, że to tajemniczy mężczyzna tak zmęczył się swoją makabryczną pracą. Teraz rozumiała, że to ona niemiłosiernie śmierdzi. Wczoraj tak bardzo bała się Bibiany, że pozamykała wszystkie okna. W domu się nagrzało i była cała spocona. Na szczęście miała spory zapas czasu. Zdąży się na spokojnie umyć, zanim ruszy na spotkanie swojego pierwszego dnia w nowej pracy – i przy okazji również w nowym życiu.

Odrzuciła kołdrę i wyskoczyła z łóżka. Postarała się najpierw stanąć na podłodze prawą nogą. Głupi przesąd. Jeden z wielu, jakie miała. Przeciągnęła się i zrobiła kilka skłonów na

rozgrzewkę. Wtedy zauważyła na drewnianych panelach podłogi jakiś szlam. Jakby ktoś wszedł do sypialni, mając zabłocone stopy.

Spojrzała na swoje nogi. Pomiędzy palcami miała grudki ziemi. Przesunęła kołdrę szybkim ruchem, żeby odsłonić prześcieradło. Też było brudne. Nawet bardziej niż podłoga, bo błoto zdążyło obeschnąć i wszędzie pełno było piasku.

Julia się wzdrygnęła. Położyła się taka brudna? Nie pamiętała, żeby przed spaniem wychodziła, ale może wyleciało jej z głowy, że ścigała Bibianę na zewnątrz? A bezdyskusyjnie była zbyt zmęczona, żeby się umyć. Przypomniała sobie, że nie miała nawet siły przebrać się w piżamę i zrobiła to ostatnim wysiłkiem woli. Na pewno się nie umyła! Ta myśl ją uspokoiła, gdyż wiele, i to bardzo wygodnie, wyjaśniała. Julia nabrudziła w sypialni, ale nie było w tym nic dziwnego ani nadnaturalnego. Będzie musiała posprzątać. To wszystko.

Poszła do łazienki. Teraz, w świetle dnia, dom nie wydawał jej się ani trochę straszny. Uchyliła okienko, żeby wpuścić do małego pomieszczenia śpiew wiosennych ptaków. Zapowiadał się kolejny bardzo ciepły wiosenny dzień. Cudownie.

Wskoczyła pod prysznic i włączyła wodę. Nie czekała, aż zleci ciepła. Miała ochotę na chłodną kąpiel. Kiedy jednak poczuła na stopach zimne uderzenia strumienia ze słuchawki, zrobiło jej się nieprzyjemnie. Przez chwilę nie mogła skojarzyć tego uczucia z niczym szczególnym. Potem przed oczami stanęły jej omszałe nagrobki i zimna woda, która je zalała. Do tego bulgotanie i chlupotanie pod bosymi stopami. Odetchnęła z ulgą dopiero, kiedy brodzik wypełnił się ciepłą wodą i uczucie zniknęło. A więc tym razem gorący prysznic. Niech i tak będzie.

Wymyśla zęby, chociaż nie jadła jeszcze śniadania. Najwyżej wróci na górę i zadba o uśmiech raz jeszcze. Miała w ustach nieprzyjemny posmak, musiała się go natychmiast pozbyć. Szorowała i szorowała, aż dziąsło zaczęło krwawić. Przepłukała szybko usta zimną wodą. Poczowała ulgę. Jakby do tej chwili wypełniała je jakaś stęchlizna, a teraz zniknęła. Julia patrzyła, jak piana i resztki pasty spływają do odpływu. Co z nią jest nie tak?

– Oj, przestań już – mruknęła sama do siebie. – Wszystko z tobą w porządku.

Ubrała się w luźny czarny sweter i czarne dżinsy rurki. Niezobowiązujący strój. Nie chciała być ani przesadnie wystrojona, ani za bardzo luzacka. Jeśli ma zjednać sobie uczniów, musi być akurat w sam raz. Gdzieś pomiędzy dobrą kumpelką a osobą, którą trzeba darzyć szacunkiem.

Przynajmniej tak to sobie wyobrażała. Nie miała przecież w tych sprawach żadnego doświadczenia. Opanowała ją nieprzyjemna trema. Znów miała ochotę spakować się i stąd uciec. Ale przecież powrotu do starego życia nie było. Przynajmniej ona go nie widziała. Nie na tym etapie. Może za jakiś czas?

– Oj, przestań już – powtórzyła sama do siebie i ruszyła schodami na dół.

Błoto i drobiny piasku dało się zauważyć również na niektórych stopniach. Na samym dole zobaczyła całkiem wyraźne błotniste ślady bosych stóp. Prowadziły od wąskich drzwi

przycupniętych pomiędzy ścianą a schodami do pierwszego stopnia. Czyli ktoś wszedł tymi drzwiami i udał się prosto na górę. Aż do jej łóżka. Tam ślady się kończyły.

– Przestań – warknęła po raz trzeci.

Przecież to nie **ktoś**, tylko ona. Podeszła do śladów i postawiła stopę obok, żeby porównać rozmiar. Pasowały do siebie idealnie. To jej własne ślady! Paradoksalnie, to nagłe olśnienie ją uspokoiło.

– Błoto nie mogło się **zmaterializować** – powiedziała zaraz, grając rolę irytującego adwokata diabła, który burzy świeżo odzyskany spokój.

Może i nie mogło się zmaterializować. Jednak wolała lekki niepokój wywołany faktem, że nie przypomina sobie, żeby wychodziła, niż absolutnie przerażającą myśl, że to mogły być cudze ślady. To by bowiem oznaczało, że ktoś znów wszedł do jej domu. A może nawet przechadzał się po pokojach, kiedy ona spała. Aż wzdrygnęła się na samą myśl.

Znów przypomniała sobie sen o cmentarzyku. Machnęła ręką. Sen, nawet jeśli zdaje się bardzo realny, nadal jest tylko snem. Najpewniej nabrudziła tu tak, kiedy wczoraj wykonywała te rundki po domu i sprawdzała, czy wszystko jest zamknięte. Żadnych tajemnic.

Tylko że wcale nie wychodziłaś boso z domu, żeby tak zabrudzić stopy, ciągnął irytujący głosik w jej głowie. Zignorowała go. Lepiej skupić się na czymś innym. Na przykład na śniadaniu. Mówi się, że to najważniejszy posiłek dnia.

Poszła do kuchni. Sięgnęła na suszarkę, żeby wziąć swój ulubiony kubek z *Gwiazdnymi wojnami*. Gest był automatyczny. Nawet nie spojrzała i w rezultacie uderzyła się o metalowy ociekacz. Niczego tam nie było. A przecież była absolutnie pewna, że wczoraj postawiła kubek na suszarce. Wypakowywała się i opłukała go jak zwykle. A potem tam położyła! Nawet rozmyślała o tym, że właśnie to sprawiło, że kuchnia zrobiła się bardziej swojska. Przypomniał jej się znikający i pojawiający się nagle telefon. Kolejna atrakcja wczorajszego wieczoru. Miał być na kanapie na dole, pojawił się na łóżku na górze. Taki **psikus**. Co tu się dzieje?!

– Oj, przestań już – powiedziała do siebie z przekąsem po raz nie wiadomo który już tego dnia. A przecież nie było jeszcze ósmej.

Rozejrzała się po kuchni i zauważyła zgubę na szafce. No i proszę! Widać jednak nie postawiła kubka na suszarce. Była roztrzępana. Rozpakowywała się w nowym domu, łatwo coś w takiej sytuacji przegapić. Najwyraźniej zapomniała opłukać kubek, wielkie mi rzeczy.

Nie zapomniałaś, odpowiedział usłużnie denerwujący głosik w głowie.

– A nawet jeśli, to co? – mruknęła i wzruszyła z irytacją ramionami.

Kręciła się tu wczoraj ta koszmarna Bibiana i wszystkiego dotykała tymi swoimi lepкими łapskami. Zapewne zajęła się też kubkiem. Tym razem trzeba go będzie dobrze wyszorować. Julia włożyła kubek do zlewu. Zupełnie straciła ochotę na jedzenie i picie. Może wyskoczy do jakiegoś sklepu podczas długiej przerwy. Zresztą dyrektorka wspominała chyba, że

w szkole jest stołówka i sklepik. Może Wilk kupi tam jakiś batonik i tyle. Nie da się zastraszyć jakiejś babie ze zrośniętymi brwiami.

Z tym postanowieniem przeszła do salonu, starannie omijając kroplę krwi pozostawioną przez intruzkę. Przez wielkie nieosłonięte okno wpadało mnóstwo światła. Znów wyglądało to pięknie. Julia nadal miała jednak w pamięci zupełnie inny widok wczoraj, kiedy zapadały już ciemności. Będzie musiała kupić jakieś żaluzje, zasłony, story, cokolwiek. Nie zapytała właściciela o zgodę na montaż. Po prostu zleci to jakiejś firmie. Zresztą nawet nie miała bezpośredniego kontaktu z **kamienicznikiem**. Wszystko załatwiała przez dyrektorkę szkoły. Jak się w końcu spotkają, żeby podpisać umowę wynajmu, będzie mogła powiedzieć, że nie było sposobu, żeby omówić zmiany w dekoracji salonu. Chyba nie powinien narzekać.

Nagle zauważyła kogoś na drodze przed domem. To była jakaś pulchna dziewczyna. Kasztanowe włosy spięła kolorową frotką. Dodawało jej to dziewczęcego uroku, choć musiała być już po trzydziestce. W rękach trzymała kije do nordic walkingu. Próbowwała chyba się rozciągać, choć wychodziło to dość pokracznie. Najwyraźniej nie miała wielkiego doświadczenia. Julia też się na tym nie знаła. Mimo to uśmiechnęła się na widok nieudolności tamtej. Nie ze złośliwością. Było w nieznajomej coś czarująco nieporadnego i uśmiech sam pojawiał się na twarzy.

Julia poczuła, że ogarnia ją tęsknota za czyjąś obecnością. Popędziła do drzwi. Miała wielką ochotę porozmawiać z tą dziewczyną. Wydawała się przyjazna i ciepła.

– Dzień dobry – krzyknęła, wyskakując na zewnątrz.

Nie chciała ryzykować, że tamta zdąży się oddalić. I dobrze, że się pospieszyła, bo dziewczyna chyba właśnie kończyła rozgrzewkę i miała wyruszyć na trening.

– O, dzień dobry, sąsiadko! – odkrzyknęła nieznajoma i zatrzymała się w pół kroku. – Jestem z tamtego domu obok. Czasem zanim ruszę, to się tu kręcę, żeby rozgrzać stawy. Przepraszam! Nie chciałam nachodzić sąsiadki czy coś takiego. Zapomniałam, że ktoś już tu mieszka!

– Ależ nie ma żadnego problemu – zapewniła natychmiast Julia, próbując nie pokazać po sobie, jak desperacko potrzebuje towarzystwa.

A więc poznała sąsiadkę. Było w tym coś krzepiącego.

– Ty jesteś Julia Wilk, prawda? – zagadnęła dziewczyna. – Nowa nauczycielka, tak?

W pierwszej chwili Julia chciała ją poprawić i powiedzieć, że nazywa się Zuzanna Kamińska; jednak zaraz ugryzła się w język. Dobrze, że sąsiadka wspomniała o byciu nauczycielką. To sprowadziło Julię na ziemię. Przecież Wilk kryła się teraz za maską. Nawet ona sama powinna zapomnieć swoje prawdziwe imię i nazwisko. Schować je gdzieś głęboko, żeby nie korciło.

– Ja jestem Agnieszka Szymańska – przedstawiła się tamta nieświadoma rozważań Julii. Policzki miała zaróżowione od ruchu i porannego rześkiego wiatru. – Przepraszam, że tak od razu na ty, ale pewnie jesteśmy w podobnym wieku. No i mieszkamy w tej ślepej uliczce tylko my dwie. To prawie tak, jakbyśmy były z jednego domu.

Zachichotała wesoło. Julię opanowała fala wdzięczności za tę odrobinę dziewczęcej normalności. Sąsiadka zdawała się naprawdę słodka. A dodatkowe krągłości sprawiały, że była jeszcze bardziej atrakcyjna. Choć pewnie sama ich nie lubiła. Z kobietami z reguły tak było. Julia dobrze o tym wiedziała.

– Jak stąd dojść jak najszybciej do szkoły? – zapytała sąsiadkę. – Sprawdziłam na mapie i wydaje mi się, że to dość blisko. Nawet nie musiałabym brać samochodu.

Skinęła głową w stronę czerwonego mini.

– Brać samochód? – zaśmiała się Agnieszka. – No coś ty! U nas wszędzie jest blisko. Prawie nie będziesz go ruszała, kochana. Sama zobaczysz. No chyba że będziesz chciała podjechać do Brodnicy po większe zakupy. Choć pewnie za jakiś czas nie będziesz miała na to ochoty.

Zabrzmiało to nieco dziwacznie. Julia nie zdążyła zapytać, co tamta miała na myśli, bo Agnieszka już perorowała dalej:

– O, zobacz tam. Na dobry początek tu jest skrót przez pola.

Poprowadziła Julię kawałek. Mniej więcej w połowie ich ślepej uliczki faktycznie zobaczyła wcinającą się drogę gruntową. Julia nie zwróciła na nią wcześniej uwagi. Prowadziła dalej polami, wijąc się serpentynami.

– Gdybyś tędy poszła, wyszłabyś kawałek za szkołą – wyjaśniła sąsiadka. – Ale może przejdziemy się teraz przez miasto. Raczej **miasteczko!** Co ty na to? Pokazałabym ci trochę, żebyś się zorientowała, co i jak jest w Wieszczach. No a na polach nie ma nic interesującego oprócz rzepaku. Jeśli jesteś fanką takich klimatów, to będziesz mogła pstryknąć sobie pełno zdjęć na media społecznościowe. Kiedyś to było popularne. Nie wiem, jak teraz.

– Niekoniecznie. – Julia się uśmiechnęła. – Dzięki.

Absolutnie ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, były zdjęcia w mediach społecznościowych. Kto wie, gdzie by zawędrowały. Być może ktoś by ją rozpoznał. Nie mogła do tego dopuścić. Nowa krótka fryzura zupełnie ją zmieniła, ale czy mogła mieć pewność? Niektórzy internauci są bardzo dociekliwi. Mogliby ją rozpoznać.

– Super. Polecę tylko zamknąć drzwi.

– Jasne, chociaż u nas to prawie nikt nie zamyka.

Julia w to nie wątpiła. Nie zamierzała jednak ułatwiać sprawy Bibianie Zielińskiej czy innym lokalnym świram. Zamknęła dom i wróciła do sąsiadki. Agnieszka cały czas uśmiechała się miło. Nie widać było w jej oczach tego charakterystycznego „aha!”, czyli nie miała pojęcia, kim Julia jest. I bardzo dobrze. Wszystko idzie jak z płatka.

– Ale zdążę do szkoły na ósmą? – upewniła się Wilk.

– No jasne. Pani Eliza... Znacząca pani dyrektor Kowalczyk – uściśliła Agnieszka Szymańska – mieszka niedaleko stąd. Patrz tam. Ta większa kamienica przy Głównej. Ona już wprawdzie wyszła, bo ją widziałam, ale zawsze jest nadgorliwa. Tym się nie przejmuj. Lubi czekać w szkole na nauczycieli i patrzeć, o której się zjawiają.

– No coś ty?! – zdziwiła się Julia. – Przez telefon brzmiała tak... luźno.

Nie była pewna, jakiego słowa użyć. Rozmawiała z nową szefową zaledwie kilka razy, ale kobieta wydawała się w porządku. Tymczasem teraz rysował się zupełnie inny obraz.

– Ona i luźno? – zaśmiała się znów Agnieszka. – Ostatnie, co można o niej powiedzieć, to że jest luźna. Ale jak to? Nie spotkałaś jej na żywo?

– Nie.

Sąsiadka zdawała się zaskoczona. W sumie nic dziwnego. Przyjęcie Julii na zastępstwo do szkoły w Wieszczach przebiegło przecież dość niestandardowo.

– Rekrutacja odbyła się w trybie pilnym – dodała Wilk szybko. Wstrzymała oddech, czekając na kolejne pytania. Całe szczęście nie padły. Ulga! Im mniej Agnieszka będzie się tym interesować, tym lepiej.

– No tak – powiedziała sąsiadka lekko, jakby wyczuła, że nie powinna wtykać nosa w nie swoje sprawy. – Chodźmy. Załatwmy najpierw kwestie przyziemne. Tu masz śmietnik. Śmieciarka nie wjeżdża w naszą uliczkę, bo jest za wąsko. Musimy więc nosić śmieci tu. I naprawdę się nie martw. Tu nie jest tak jak w dużym mieście. Ja po prostu wyskakuję w kapciach, żeby przynieść tu torby, i nawet nie zamykam domu.

Tam, gdzie ich ślepa uliczka łączyła się z ulicą Główną, stała budka śmietnikowa z rodzaju takich, jakie buduje się pod blokami, jeśli nie ma wewnętrznego zsypu. Julia nie widziała żadnego problemu w wynoszeniu tu śmieci. To była drobnostka, ale z jakiegoś powodu poprawiła jej humor. Odrobina prozaicznej normalności. Odpady, szambo i inne ludzkie sprawki. A nie jakieś dziwaczne nocne wizyty, błotniste ślady na podłodze, sny o cmentarzach otoczonych przerażająco wręcz pięknymi jabłoniemi. Ot, zwykłe życie. Za tym właśnie tęskniła. Co nie zmieniało faktu, że zamierzała zawsze zamykać dom. Nawet jak będzie wychodziła tylko ze śmieciami.

Przez chwilę zastanawiała się, czy powinna zapytać Agnieszkę o Bibianę albo o tego wielkiego ni to psa, ni wilka, którego zauważyła wczoraj wieczorem. Potem jednak zrezygnowała. Rozum podpowiadał, że powinna się czegoś o tym dowiedzieć, serce chciało trochę od tego odpocząć.

Agnieszka zauważyła chyba jej wahanie, bo przypatrywała jej się pytająco. A może sąsiadka o coś zapytała i teraz czekała na odpowiedź.

– Co mówiłaś? – mruknęła Julia z roztargnieniem.

– Jak ci się tu na razie podoba? – zaśmiała się Agnieszka. W jej pulchnych policzkach pojawiły się dołeczki.

– Bardzo.

Julia nie była nawet pewna, czy to prawda, czy kłamstwo. Z jednej strony otoczenie wydawało się piękne. Z drugiej przeżycia wczorajszej nocy to nie było coś, co chciałaby powtórzyć. Pierwsza noc i już ktoś naruszył jej domowy mir.

– Och, daj spokój. Wiem, że Wieszcze to straszna dziura! – zawołała Agnieszka bez troski.

– No ale jak zapragniesz nocnego życia, to najwyżej wsiądziesz w auto i pojedziesz do Brodnicy. Ale i my mamy tu restaurację. Zaraz zobaczysz.



Szły brukowaną ulicą. Jak to zwykle w takich miejscowościach bywa, nazywała się Główna. Julia jak przez mgłę przypomniała sobie, że jechała tędy wczoraj. Opony jej czerwonego mini podskakiwały na bruku, a zawieszenie narzekało jęklonie na ten powrót do przeszłości. Jakby mówiło *gdzieś ty mnie wywiozła* w swoim samochodowym języku pisków i brzęków. Idąc piechotą, nie zwracało się jednak uwagi na te nierówności i uliczka sprawiała urocze wrażenie. Niemal jak w miasteczku na południu Francji. Główną otaczały jednopiętrowe kamieniczki. Tylko jedna była wyższa – ta, którą wcześniej wskazała Agnieszka. W oknach wystawiono doniczki z kwiatami. Wszystkie w tonacji różu i żółci.

– Kolory naszego miasteczka – oznajmiła z dumą Agnieszka.

Mieszkańcy ulicy Głównej rygorystycznie trzymali się tych barw. Dawało to wrażenie czystości i porządku. Dopiero u szczytu ulicy Julia dostrzegła wyjątek od reguły. Jeden z budynków zalany był wręcz wszelkimi kolorami tęczy. Czerwień, pomarańcze, fiolety, żółcie, zieleń, błękity. Czego tam nie było! Fasadę pomalowano na intensywny niebieski kolor, a okiennice na złoto. Przed wejściem stały czerwone stoliki z zielonymi krzeselkami. Mieszmasz z jakiegoś powodu nie wydawał się jednak rażący. Jakby mimo wszystko stanowił dobrze skoordynowaną całość. Najbardziej wyróżniał się rzeźbiony w drewnie szyld. *Restauracja Uśmiechnięta. Dania meksykańskie*, głosił napis.

– Rzuca się w oczy, co? – zapytała Agnieszka pozornie neutralnym tonem. Dało się w nim jednak wyczuć wesołość.

Julia już miała przytaknąć i rzucić jakiś żarcik, kiedy drzwi przybytku otworzyły się. Na schodki wyszła kobieta. Ścisnęła w ręce miotłę. Zamierzała najwyraźniej rozpocząć poranne porządki, zanim przyjdą pierwsi klienci. Wilk zadrżała ni to ze strachu, ni ze złości. To była ta zwariowana Bibiana Zielińska! W świetle dnia kobieta nie wydawała się ani przerażająca, ani nawet niepokojąca. Jakby była zupełnie inną osobą niż wczoraj. Zrosnięte brwi nie pozostawiały jednak wątpliwości, że to z nią Julia miała w nocy **przyjemność**.

– To właścicielka restauracji – wyjaśniła Agnieszka. – Wszyscy panią Bibianę bardzo lubią, choć bywa uparta. Prowadzi też stołówkę w twojej szkole. Świetnie gotuje.

Wszyscy ją bardzo lubią?, zdziwiła się w duchu Julia. Znów jednak nie dała nic po sobie poznać. Właściwie nie było powodu, żeby zwierzać się Agnieszce z nocnej wizyty Bibiany. Nie ma też powodu, żeby tego nie robić, dodał irytujący głosik. Wilk znów go zignorowała. Jeśli wszyscy tu lubią tę wariatkę, to raczej nikt nie stanie po stronie Julii. Oto dlaczego.

Kiedy mijały kolorowy ogródeczek restauracji, Bibiana skinęła im z uśmiechem głową. Zachowywała się, jakby widziała Julię po raz pierwszy. Wilk uznała, że nie ma teraz czasu na konfrontacje. Zaraz musi być w szkole. Ale wracając, zajrzy tu sobie i wyjaśni, o co Bibianie chodzi.

– A ten poprzedni nauczyciel języka polskiego? – zagadnęła, żeby zmienić temat. Nie miała ochoty zastanawiać się nad właścicielką restauracji i jej gierkami. – Co się z nim stało, że odszedł tak nagle?

– Co?

Teraz to Agnieszka wyglądała, jakby została wyrwana z zamyślenia. Spojrzała na Julię pytająco. Potem uśmiechnęła się znów po swojemu wesoło.

– A tam jest nasza chluba architektury – zawołała, zmieniając temat. – Zobacz!

Julia podążyła wzrokiem za wyciągniętą ręką sąsiadki. Przez chwilę nie wiedziała, o czym Agnieszka mówi. Potem zauważyła kościół. Miał wyjątkowo strzelistą, ale przy tym bardzo nieforemną wieżę. Wyglądała tak, jakby co jakiś czas dobudowywano do niej kawałek po kawałku. Przypominało to odwrócony rożek z lodami nałożony na kolejny, a potem następny. Nawet zaprawa w wielu miejscach spływała niczym topiące się słodkości. Basztę również ozdobiono różem i żółcią, kolorami miasteczka. Wyglądała jak z koszmarne snu szalonego architekta, a nie jak budowla sakralna. Mimo to w głosie Agnieszki nie słyhać było sarkazmu. Naprawdę się chwaliła tym potworkiem.

– Ludzie nazywają ją czasem Krzywą Wieżą w Wieszczach – wyjaśniła sąsiadka nadal poważnym tonem. – Dziw, że się nie zawaliła, prawda?

Z tym akurat Julia musiała się zgodzić. Skinęła głową.

– Najwyższa wieża w okolicy. Żadna miejscowość nie ma tak wysokiej – pochwaliła się jeszcze Agnieszka. – Żadna!

Julia spojrzała znów na wieżę. Najwyraźniej ktoś dobudowywał ją w jakimś architektonicznym wyścigu pomiędzy konkurującymi miejscowościami. To by wiele wyjaśniało. Nie było w tym ani ładu, ani składu. Ciekawe tylko, czy były na to jakieś oficjalne pozwolenia. Wilk nie chodziła do kościoła, ale nawet gdyby cotygodniowa msza należała do jej niedzielnych planów, chyba długo by się zastanawiała, czy chce ryzykować spędzenie godziny pod tą chybotliwą konstrukcją.

– No, już prawie jesteśmy – oznajmiła Agnieszka, uśmiechając się w dziwnie przesłodzony sposób.

Nagle Julia zapragnęła być sama. Bardziej niż wcześniej poczuła, że tu nie pasuje.

– Nie musisz mnie odprowadzać aż pod szkołę – zapewniła. Miała nadzieję, że nie zabrzmiało to niegrzecznie. – Na pewno masz jakieś sprawy do załatwienia. Pokaż mi tylko mniej więcej, gdzie to jest.

– Daj spokój. – Agnieszka się zaśmiała. – Już tylko kawałek, a ja i tak mam po drodze. Przed szkołą jest sklep. Muszę wpaść do pana Alberta i zrobić zakupy dla mojej szefowej. Ona rzadko wychodzi z domu.

– Aha – powiedziała tylko Julia.

Oby to trochę zniechęciło Agnieszkę do dalszego wprowadzania jej w zawilóści tutejszych relacji. Po minie sąsiadki zobaczyła jednak, że to raczej mrzonki.

– Moja szefowa jest właścicielką zakładu produkującego ekologiczną żywność i takie tam – wyjaśniła Agnieszka równie ochoczo jak przedtem. – Mieszka w willi po drugiej stronie miasteczka. Jakbyś poszła tą polną drogą, którą ci pokazywałam wcześniej, to wyszłabyś całkiem blisko. Najpierw jest posterunek policji, a potem wychodzi się na pola po drugiej stronie. Tam stoi jej dom. Ona trochę... **zdziwaczała**. Muszę jej robić zakupy i tak dalej.

Właściwie firma jest teraz w moich rękach. W sumie nie narzekam. Nikt mi nie wisi nad głową, a jednocześnie nie ja ryzykuję. Bo firma jest jej. Same plusy.

Agnieszka zdawała się zadowolona, ale Julia po raz pierwszy wyczuła w jej głosie delikatnie fałszywą nutkę. Spojrzała na sąsiadkę, ale ta już uśmiechała się promiennie i przelotne wrażenie zniknęło.

Wyszły na mały placyk. Po drugiej stronie widać było budynek szkoły. Zbudowano go ze starej cegły, jak dom wynajmowany przez Wilk. Wielką jednolitą ścianę przerywały co jakiś czas szczeliny zbyt wąskich okien. W środku musiało być strasznie ciemno, przebiegło Julii przez myśl. Szkoła przypominała monstrualny schron.

Agnieszka zaśmiała się głośno na widok jej miny.

– Szkoła stoi jakby tyłem do przodu i przez to nieco przeraża – wyjaśniła. – Po drugiej stronie, czyli od boiska, wygląda trochę przystępniej, zobaczysz. Nie załamuj się tak od razu. No, ja zmykam do sklepu. Dobrze, że pan Albert już otworzył.

Skinęła głową w stronę pawilonu naprzeciwko szkoły. Szyld głosił dumnie *Market i punkt apteczny*. Przed wejściem uwijał się starszy pan w fartuchu. Najwyraźniej wszyscy robili poranne porządki.

– Do zobaczenia – rzuciła Julia, choć Agnieszka już pognała ze swoimi kijkami w stronę sklepu. Tusza nie przeszkadzała jej poruszać się żwawo i z naprawdę wielką gracją.

Nagle Julia poczuła na sobie czyjeś spojrzenie. To było uczucie, które najwyraźniej stanowiło naturalny element mieszkania w tym miejscu. Od wczoraj ciągle czuła się obserwowana. Odwróciła się w stronę szkoły. Przed budynek wyszła właśnie jakaś kobieta. Była bardzo szczupła. Ubrała się w legginsy i sportową bluzę. Mogła mieć z sześćdziesiąt lat, może nawet więcej, choć sylwetki na pewno zazdrościły jej uczennice. Przypominała trochę Jane Fondę w czasach, kiedy aktorka zajęła się fitnessem.

– Pani Wilk? – zapytała kobieta.

Julia od razu rozpoznała głos dyrektorki, który znała dotychczas tylko z rozmów telefonicznych. Wtedy wydawał się bardzo przyjemny. Wrażenie zniknęło, kiedy spojrzało się w jej nieznoszące sprzeciwu oczy. A więc Agnieszka miała co do Elizy rację.

– Tak, to ja. Julia Wilk. Spóźniłam się?

Eliza Kowalczyk uśmiechnęła się z pozorną uprzejmością. Cała postawa wyrażała jednak chłód.

– Ależ skąd – zapewniła. Jej ton mógłby chyba zamrozić od razu cały Bałtyk, a może i Ocean Atlantycki. – Jest za kwadrans ósma. Jest pani tu nowa i jeszcze pani nie wie, że w tej szkole nauczyciele są już na miejscu **za dwadzieścia ósma**. Najpóźniej. Jestem pewna, że będzie się pani trzymała tej zasady z mniejszym lekceważeniem, kiedy już pani poczuje się u nas jak w domu.

Julię znów ogarnęło poczucie, że zupełnie nie pasuje do tego miejsca. Nie należała do Wieszcz i wątpiła, żeby to kiedykolwiek mogło się zmienić. Choć jednocześnie miała wrażenie, że to dziwaczne miejsce ją do siebie nieuchronnie przyciąga. Jak wtedy, kiedy

zobaczy się coś okropnego. Lepiej odwrócić wzrok, ale z jakiegoś powodu jest to bardzo trudne. Albo kiedy podchodzi się do krawędzi dachu wieżowca i nagle człowieka ogarnia chęć, żeby skoczyć... Choć wiadomo, jak by się to skończyło.

W tym miejscu też czaiła się śmierć.

## 2

### Bibiana Zielińska

Bibiana Zielińska kończyła porządkowanie ogródka przed restauracją. Mięśnie miała napięte, choć starała się nie okazać żadnych emocji. A zwłaszcza strachu. Wiedziała, że mieszkańcy miasteczka od rana na nią patrzą. Niektórzy zdawali się być po jej stronie. Inni starali się trzymać z daleka, jakby stała się trędowata. Rozumiała ich. Bali się.

Przelotnie mignęła jej przed chwilą ta **nowa**. Szła razem z Agnieszką Szymańską. Bibiana udała, że jej nie zna. Być może pójście do Stróżówki wczorajszego wieczoru było błędem. Sama już nie wiedziała, czy zrobiła dobrze. Może tak, może nie, a może nie miało to absolutnie żadnego znaczenia. Prawdopodobnie powinna była zamiast tego pójść do szkoły i porozmawiać z zupełnie kimś innym, o prawdzie i o zaniechaniu.

Weszła do domu nowej od tyłu, żeby młoda Szymańska jej nie dostrzegła. Zielińska wyczuwała, że coś jest z nią nie tak. Zwłaszcza ostatnio... To uczucie stało się jeszcze silniejsze, kiedy już znalazła się w Stróżówce. Jakby tam też docierały jej fluidy.

Zaczęło się chyba tamtego dnia, kiedy Bibiana zauważyła u niej dziwną kobietę. **Staruchę**. Obcą, ale jakby swoją. Restauratorka nie umiała na razie wyciągnąć z tego faktu znaczących wniosków, a teraz czas już się kończył i nie chciała więcej tego roztrząsać.

Westchnęła. Przed chwilą go zobaczyła. Mignął jej na granicy pola widzenia. Zupełnie ją to zaskoczyło, bo nie spodziewała się go tak wcześnie. Myślała, że przyjdzie dopiero w nocy. Może zmieniał nawyki?

A może to jej zachowanie tak go rozwścieczyło, że postanowił zjawić się tu już teraz? W sumie to by ją najbardziej ucieszyło. Poczwała przyплыw odwagi. Uśmiechnęła się. Bardzo chciała zagrać mu na nosie. Nawet jeśli to było niebezpieczne.

Weszła do restauracji i włączyła radio. Poleciały jakieś popularne obecnie mdłe hity. Wyłączyła odbiornik i wybrała swoją playlistę. Muzyka z Ameryki Łacińskiej zawsze sprawiała, że krew szybciej płynęła jej w żyłach. Pozwalała zapomnieć o tym, że popełniła wielki błąd, którego już nie mogła naprawić. Głupotą by było myśleć, że wczorajsza wizyta cokolwiek zmieni. Może dlatego uznała, że nie powie nowej absolutnie nic.

Stała nieistniejąco kurz ze stolików, wirując w samotnym tańcu. Sprzątanie nie było właściwie potrzebne. Mimo to miała zwyczaj czyszczenia wszystkiego bardzo regularnie. Ludzie nie przychodzili do lokali, które uważali za brudne. Nie chodziło jednak tylko o to, że chciała zyskać więcej klientów. Nie byli jej potrzebni. Pracowała w szkolnej stołówce i to

było jej główne zajęcie. Restauracja stanowiła raczej hobby. W takim miasteczku jak Wieszcze nie dałoby się z tego wyżyć.

Czyściła stoliki przez szacunek dla ludzi, którzy u niej jadali. Zawsze traktowała wszystkich z respektem – bez względu na to, czy przychodzili tu bogacze, czy zwyczajni pijacy – i podobnego poszanowania oczekiwała dla siebie. Chciała też być w porządku. Może dlatego tak męczyło ją również to, co wydarzyło się jakiś czas temu w szkole. Do czego zmusiły ją Eliza i Wiktoria.

Bibiana od lat prowadziła w szkole stołówkę. Bardzo lubiła to zajęcie i schlebiało jej, że uczniowie chyba za nią przepadali. W sumie nietrudno było zyskać ich przychylność. Wystarczało nie mieszać się za bardzo w ich sprawy, uśmiechać się i robić im wystarczająco kaloryczne posiłki, żeby ich młode ciała czuły się syte. Kto jest głodny, z reguły jest zły, powtarzała jej matka i Bibiana się z nią zgadzała. A z tego wynikała kolejna życiowa prawda: kto się naje, od razu ma lepszy humor. Dlatego pilnowała, żeby nikt w jej otoczeniu nie był głodny. Potem zaś zmieniła to w zawód.

Nauczyła się gotować jeszcze jako dziecko. Jej babka wyszła za mąż za Meksykanina. Kto wie, jak dziadek Carlos trafił do tej przekłętej miejsciny w północnej Polsce. Nigdy o tym nie mówił, ale oczywiste było, że jak tu już trafił, nie mógł odejść. A może to Wieszcze go wezwały? To miejsce było magiczne – pozwalało na wiele, ale nic za darmo. To, co dawało, odbierało w walucie przez siebie wybranej. Najczęściej przywłaszczając sobie kogoś na zawsze.

Swoją drogą koleje losów bywają zaskakujące. Od tętniącego życiem portu na zachodzie Meksyku aż tu. Ileż to było kilometrów? Nie chciało jej się nawet liczyć. Dziadek też nigdy tego nie robił. W ogóle nie wspominał przeszłości. Wielu, którzy tu przybyli, tak robiło. Tu liczyło się tylko miasteczko. Świat na zewnątrz mógłby nie istnieć.

Zastygła bez ruchu. Nasłuchiwała. Czuła pieczenie w miejscu, gdzie wczoraj zraniła się w domu tej **nowej**. Przed chwilą zrobiła to samo tu, w restauracji. Zrobiła to, bo chciała zostawić po sobie jakiś ślad. Chociaż drobny. Wiedziała bowiem, co się stanie. Wybory to wybory. Wszyscy wiedzą, jak się kończą.

Czekała. Jeszcze chwila i będzie po wszystkim. Na pewno jednak nie podda się bez walki. Nawet jeśli ta walka była z góry skazana na porażkę. Nie podda się.

Co to, to nie.

### 3

## Julia Wilk

Okazało się, że Eliza Kowalczyk oprócz tego, że piastowała zaszczytną funkcję dyrektorki Zespołu Szkół w Wieszczach, nauczała też wychowania fizycznego. Wygląd miała jak najbardziej adekwatny do tej roli. Prawdopodobnie na zajęciach panował wojskowy dryl, nie

było absencji i nikt nie odważył się zamarudzić, byle tylko nie usłyszeć rozeźlonego gwizdka rygorystycznej trenerki. Julia wątpiła jednak, żeby ta surowa kobieta potrafiła kogokolwiek przekonać do polubienia sportu.

– Tu są nasze trofea – pochwaliła się Eliza, pokazując Wilk sporą gablotę w holu szkoły.

Pyszniły się tam rozmaite medale i puchary. Obok znajdowała się druga witryna. Tam wywieszono zdjęcia uczniów z różnych imprez i szkolnych wyjazdów. Próbowano chyba nadać im przynajmniej pozorny nieład. Pewnie w nadziei, że stworzy to w budynku luzacką atmosferę – tu zdjęcia ściśnięte, tu wolne przestrzenie pomiędzy fotografiami. Jakby ktoś za bardzo się nie starał. Tylko że jeśli zarządzała tu ta hetera, takie próby były z góry skazane na niepowodzenie, pomyślała Julia z przekąsem.

– A tam jest nasza aula – kontynuowała dyrektorka. – Proszę za mną.

Pędziła przez hol tak szybko, że Julia ledwo mogła za nią nadążyć. Przed drzwiami do wielkiej sali przystanęła nagle i Wilk niemal na nią wpadła. Eliza posłała jej pełne dezaprobaty spojrzenie. Jak skarconej pensjonariuszce. Trwały tak przez kilka chwil bez ruchu, aż minęła je grupa uczniów, nareszcie przerywając impas.

– Dzień dobry, pani dyrektor – powiedzieli niemal unisono.

Dopiero wtedy Eliza oderwała przenikliwe spojrzenie od Julii. Wilk poczuła niesłychaną ulgę. Oczy dyrektorki przenikały ją na wylot. Jakby odgadywały wszystkie jej sekrety. Teraz kiedy już poznała tę kobietę, naprawdę trudno było uwierzyć, że Kowalczyk tak nieuważnie przeczytała sfabrykowane CV. Przecież ta jędza zdawała się badać teraz każdy skrawek ciała i duszy Julii.

– Proszę wejść i się rozejrzeć. – Dyrektorka popchnęła Wilk do auli. – Tylko szybko. Mamy mało czasu, zaraz dzwonek.

Sala znajdowała się z przodu budynku i to jej wielką ścianę widziało się najpierw. Zgodnie z przewidywaniami Julii przez wąziutkie okienka wpadało niewiele światła. Dyrektorka zapaliła lampy. Rozbłysły z niezwykłą intensywnością. Reflektorów było tak dużo, że cienie niemal zupełnie zniknęły. Nie łatwiej było zrobić większe okna i wpuścić tu trochę słońca? Na pewno oszczędziłoby się na prądzie, zaśmiała się w duchu Julia.

Pomieszczenie służyło chyba jednocześnie jako miejsce większych spotkań i imprez szkolnych, a także jako sala sportowa, kiedy zajęcia nie mogły odbywać się na zewnątrz. Zapewne standard, choć Julia nie mogła być pewna. Nigdy przecież nie uczyła. A szkoła, do której sama chodziła, była mała i nie miała takiej sali. Późniejsze liceum również.

– A to nasza sponsorka – wyjaśniła Eliza Kowalczyk, wskazując portret wiszący na węższej ścianie auli. – Wiktoria Sikora. Właścicielka przedsiębiorstwa, które produkuje ekologiczną żywność. **Kobieta sukcesu.** Dobry przykład dla naszych uczennic, że kobieta może osiągnąć wszystko, czego tylko zapagnie.

Julia spojrzała na portret z zainteresowaniem. Agnieszka Szymańska wspomniała, że pracuje dla właścicielki jakiegoś zakładu. W takim razie to mogła być ona. Przedsiębiorczyni miała wydatne kości policzkowe i piękne oczy. Długie włosy opadały kaskadami kręconych

pukli na ramiona. Za plecami kobiety widać było spory dom. Przed nim stała rzeźba. Artysta niezbyt wysilił wyobraźnię, bo popiersie najwyraźniej przedstawiało samą Wiktorię Sikorę. Przedsiębiorczyni i jej podobizna wpatrywały się kpiarsko w pustą teraz aulę.

– Słyszałam, że pani Sikora nie wychodzi z domu – odważyła się zagadnąć Julia.

Zainteresowała ją ta historia. Na portrecie kobieta wydawała się silna i niezłomna. Taki wizerunek zupełnie nie pasował do kogoś, kto ukrywa się w domu. Chyba niezbyt dobry przykład dla młodych dziewczyn, przebiegło jej przez myśl. Z drugiej strony, czy ona powinna oceniać Wiktorię Sikorę? Przecież sama się ukrywała. Kto wie, co przeskrobała tamta! Może to jakieś grzeszki trzymają ją w czterech ścianach.

Eliza Kowalczyk wyglądała na lekko zbitą z tropu. Zaraz jednak przybrała na powrót swój surowy wyraz twarzy.

– Głupie gadanie. Lepiej nie słuchać plotek. To się nigdy dobrze nie kończy.

Julia próbowała powstrzymać uśmiech. Wydawało jej się, że dyrektorka doda jeszcze *to nie wypada dobrze wychowanym panienom*. Nic takiego się jednak nie stało. Rzuciła tylko Julii karcące, pełne wyższości spojrzenie. Wbrew sobie Wilk poczuła chęć, żeby się wytłumaczyć. Dodać coś w stylu, że kto jak kto, ale asystentka przedsiębiorczyni raczej wie, co robi jej mocodawczyni. Uznała jednak, że lepiej milczeć. Nie było sensu się kłócić. Nie z Elizą Kowalczyk, której żadne argumenty raczej nie przekonają.

– Pokażę pani pokój nauczycielski – oznajmiła dyrektorka.

Nacisnęła wyłącznik światła i aulę znów spowił nieprzyjemny mrok. Julia zadrżała. Miała poczucie, że w cieniach tańczących po wielkiej sali ktoś może się czaić. Może Bibiana? Czy sąsiadka nie wspomniała, że ta szalona baba prowadzi tu w szkole stołówkę? Będą się spotykały w pracy. Czy tu też **Frida** spróbuje swoich sztuczek?

Może właśnie w tym tkwił cały szkopuł, przyszło Julii nagle do głowy. Bibiana nie była nauczycielką i, przynajmniej pozornie, Julia nie stanowiła dla niej żadnej konkurencji. Być może jednak Zielińska była na przykład blisko z poprzednim polonistą? Może uważała przyjęcie Julii do pracy za powód, dla którego jej syn, mąż, przyjaciel, kochanek, czy kim tam był, stracił swoją pozycję.

Agnieszka w końcu nie opowiedziała Julii, co się stało z poprzednim nauczycielem. Dyrektorka też nie zająknęła się o tym ani słowem. Może teraz udałoby się czegoś dowiedzieć? Wilk westchnęła. Nie, to niedobry pomysł. Eliza była piękna, zwłaszcza jak na swój wiek, ale absolutnie niedostępna. To nie była osoba, z którą można toczyć pogawędki. Jeśli do tej pory nic na ten temat nie powiedziała, to raczej już nie powie.

Szły korytarzem ramię w ramię. Eliza miała sportowe buty, ale i tak zdawały się stukać obcasami, jakby nosiła wysokie szpilki. Julia znów z trudem za nią nadążała. Mimo że poruszały się tak szybko, nie czuła się rozgrzana. Wręcz zrobiło jej się zimno. Miała wrażenie, jakby zagłębiały się gdzieś w podziemia, choć szły najzwyczajniejszym szkolnym korytarzem.

– Gdzie uczniowie? – zapytała, bo nie mogła już znieść tego milczenia.

Było kilka minut przed dzwonkiem, ale nigdzie nie widziała rozgadanych i śmiejących się dzieciaków. Ze swoich szkolnych czasów pamiętała, że tuż przed ósmą wszyscy jeszcze kręcili się po budynku – spóźnialscy biegli do klasy, łobuzy kończyły popalać papierosy w bramach i tak dalej. Nawet jeśli pamięć płatała jej figle, to nie aż tak. Na pewno tuż przed dzwonkiem na korytarzach nie panowała aż taka cisza. Jakby nikogo tu nie było.

Eliza Kowalczyk nie zaszczyciła jej pytania odpowiedzią. Zatrzymała się przed drzwiami z napisem *Pokój nauczycielski* dokładnie wtedy, kiedy się otworzyły. Na korytarz wyszedł wysoki mężczyzna o atletycznej budowie. Przypominał Julii aktora, który grał Thora w ekranizacji komiksów Marvela. Nie mogła sobie przypomnieć jego nazwiska. Było natomiast więcej niż pewne, że do tego profesora wszystkie uczennice mniej lub bardziej potajemnie wzdychały. Żeńska część grona pedagogicznego zapewne też. Julia poczuła, że na jej policzki wypływa delikatny rumieniec.

– Cześć, mamó – rzucił na powitanie, zaskakując Wilk.

Puścił oko do Julii z wyraźnym rozbawieniem, kiedy dyrektorka skrzywiła się na jego słowa. Wilk zastanawiała się, czy nie podoba jej się lekki ton syna, czy to, że tak podkreślił ich bliską relację. Nie byli do siebie podobni. Julia nie odgadłaby, że są spokrewnieni. Właściwie tylko ich wysportowane sylwetki stanowiły jakiś punkt wspólny.

– Mamcia już cię wystarczająco wystraszyła? – zapytał mężczyzna lekkim tonem. – Nie martw się, będzie dobrze. Jestem Damian. Syn szanownej pani dyrektor.

Eliza uśmiechnęła się sztywno. Chyba tylko po to, żeby pokazać, że zagrywki syna nie robią na niej najmniejszego wrażenia i nie umniejszają jej autorytetu. Wewnątrz kipiała zapewne ze złości, bo żyła na jej skroni wyraźnie pulsowała. Julia uśmiechnęła się mimowolnie.

– Julia Wilk, nowa na... – zaczęła się przedstawiać.

– No. I to rozumiem – powiedział Damian, przerywając jej.

Klepnął ją przyjacielsko w ramię i raźnym krokiem poszedł korytarzem. Było to dość obcesowe, ale Julia i tak spojrzała za nim tęsknie. Wcale nie miała ochoty zostawać z jego matką. Zdecydowanie wolą tego nieco zblazowanego przystojniaka.

Dyrektorka odchrząknęła znacząco, wrywając ją z zamyślenia.

– Zapraszam do pokoju nauczycielskiego. Pokażę pani, gdzie może pani zostawić swoje materiały.

Obrzuciła Julię nieprzychylnym spojrzeniem. Doskonale przecież widziała, że Wilk niczego ze sobą nie przyniosła. Za to też chciała ją chyba skarcić. Okazało się, że w pokoju nauczycielskim nikogo nie ma. Najwyraźniej w tej szkole zarówno nauczyciele, jak i uczniowie na dzwonek czekali w klasach. Wszystko to przypominało pracę dobrze naoliwionej maszyny. Aż za dobrze naoliwionej. Julia znów się wzdrygnęła. Było w tym absolutnym ładzie coś nienaturalnego. Przecież szkoła nie mogła się aż tak zmienić przez te kilkanaście lat, od kiedy sama skończyła naukę. Gdzie lekka niesubordynacja i czarne owce, które zawsze muszą coś przeskrobać? Chodzili tu sami kujoni?



Eliza pokazała Julii krzesło przy końcu dużego stołu.

– Tam – mruknęła. – Plus szafka z tyłu bezpośrednio za tym miejscem. Kluczyka nie daję. Tu nic nie ginie. Umiem utrzymać to miejsce w ryzach. Innego wyjścia nie ma, bo sprawy wymknęłyby się spod kontroli.

Oj, Julia nie wątpiła, że ta kobieta umie utrzymać wszystko w ryzach. No i znów jakaś obsesja trzymania wszystkiego otwartego. To najpewniej nadinterpretacja, ale Wilk miała wrażenie, jakby to był przytyk do tego, że wczoraj zamknęła się w domu. Tylko że Eliza Kowalczyk nie miała o tym pojęcia. Ale czy na pewno? Przecież mogła się przyjaźnić z Bibianą i już wiedzieć o nocnej wizycie.

– Pięknie tu pachnie – pochwaliła, usiłując zdobyć się na jakąkolwiek pozytywną uwagę o tym ponurym pomieszczeniu. Bo pokój nauczycielski był równie przygnębiający jak reszta tej posępnej szkoły. Chyba oprócz lekko zmanierowanego Damiana nikt się tu nie uśmiechał. On zaś miał fory, bo był synem tutejszej **dyktatorki**. Może dlatego w ogóle się na to zdobył.

Tylko uwaga o zapachu wpadła Julii do głowy. Trzeba było przyznać, że w pokoju nauczycielskim faktycznie pięknie pachniało. Kwiatowo i słodko. Odetchnęła głębiej i wtedy po całym ciele przebiegł jej dreszcz. Ten zapach coś jej przypominał. Nie była tylko pewna co. A może wiedziała, tylko nie chciała pamiętać... Jabłonie. To był zapach jabłek.

Dyrektorka posłała jej niechętnie spojrzenie, jakby Julia powiedziała coś wyjątkowo niestosownego. A ona tylko starała się rzucić niewinny komplement. Najwyraźniej jednak był ze wszech miar chybiony. Nie miała żadnego pomysłu dlaczego.

Eliza podeszła do okna i je uchyliła, jakby chciała, żeby zapach jabłek jak najszybciej wywietrzał.

– Zaprowadzę panią do klasy – wycedziła przez ściśnięte zęby. – Już dawno powinna pani tam być.

Wyszły z powrotem na korytarz.

– A pan co tu robi, panie Machulski? – zapytała dyrektorka ostro.

Naprzeciwko pokoju nauczycielskiego znajdowały się drzwi z napisem *Sala chemiczna*. Nastoletni blondas z przydługimi włosami niemal się w nie wciskał, usiłując chyba znaleźć się jak najdalej od Elizy. Musiał chodzić do ósmej klasy, bo był całkiem wysoki. Prawie dorównywał wzrostem Julii. W rękach ścisnął płócienną torbę. Coś w środku brzęknęło. Szkło o szkło – może niósł alkohol? Zrobił się cały biały na twarzy, więc być może faktycznie usiłował przemyścić jakąś kontrabandę do wypicia z kolegami podczas długiej przerwy. Julia pomyślała o tym z pewną ulgą. Czyli nie wszyscy są tu tacy idealni.

– Ja... – zaczął chłopak. Zaraz uznał chyba, że nie ma sensu wdawać się w tłumaczenia. – Przepraszam, pani dyrektor.

– Chyba będę musiała porozmawiać z twoją mamą, Bruno – cmoknęła z niezadowoleniem Eliza Kowalczyk. – Dlaczego jeszcze nie jesteś w klasie? Ojca nie ma, to zabrakło silnej ręki?

– Nie, naprawdę. Nie trzeba niepokoić mamy. Przepraszam za spóźnienie. Już pędzę. Ja...

Nastolatek spuścił głowę i umilkł. Przez chwilę panowało milczenie. Potem nieoczekiwanie powietrze przeszły przeciągły dźwięk. Wcale nie dzwonek! To było coś w rodzaju wycia zmieniającego się w jakiś pojedynczy wyraz. Coraz głośniejszy i głośniejszy. Julia zakryła uszy rękoma, bo stało się to nie do zniesienia. Nie rozumiała, co to za słowo, ale była w nim jakaś groza. Uczucie przerażenia wypełniło ją. Nie chciała tego słyszeć, cokolwiek to było. Przyciskała dłonie do uszu, ale to nic nie dawało. Wrzask zdawał się dochodzić zewsząd. Nie było przed nim ucieczki. Przeszywał ją na wskroś. Gdyby się nie przytrzymała ściany, toby upadła. Miała wrażenie, że pękną jej bębenki. Jedno słowo, jakby znajome, ale niemożliwe do odgadnięcia. Powtarzane wciąż i wciąż. Ukryte w dziwacznej kakofonii warczenia i pisków.

Potem wszystko ucichło. Równie nagle, jak się zaczęło. Julia odważyła się unieść głowę. Chłopiec nadal stał wciśnięty w drzwi. Na jego twarzy malował się wyraz absolutnej pustki, jakby ukrył się przed tym wrzaskiem gdzieś w głębi siebie. Julia odwróciła się do Elizy Kowalczyk, szukając jakiegoś wsparcia albo wytłumaczenia. Dyrektorka mrugnęła tylko kilka razy. To był jedyny znak, że cokolwiek się stało i choć trochę zrobiło na niej wrażenie.

– Co to było?! – wydusiła Julia.

Nie mogła się powstrzymać. Nigdy czegoś takiego nie słyszała. Serce biło jej, jakby miało zaraz wyskoczyć z piersi, a całe ciało wysyłało sygnał: **uciekaj**. Natychmiast!

– Nic – warknęła dyrektorka. – Szkolny radiowęzeł czasem płata nam takie figle.

Szkolny radiowęzeł?! Julia spojrzała na chłopaka w nadziei, że może on coś wyjaśni. Była pewna, że dyrektorka po prostu chce uciąć temat. To ani trochę nie brzmiało jak sprzężenie głośnika. Na twarz nastolatka znów zaczynały wracać kolory. Nic jednak nie powiedział.

– Panie Machulski, do klasy – rozkazała Eliza Kowalczyk. – Natychmiast. Zaraz będzie dzwonek. Na razie zapomnijmy o pańskiej niesubordynacji. Ale niech to będzie ostatni raz. Mam nadzieję, że wszyscy wiecie, jak się zachować.

Chłopiec popędził korytarzem. Torbę przyciskał do ciała, ale i tak pobrzękiwała. Dyrektorka nie zajrzała do środka. Musiała być jednak wytrącona z równowagi tym czymś, co usłyszeli, mimo że udawała obojętność.

– O, no i jest – oznajmiła dyrektorka.

Dzwonek zaczął dzwonić dokładnie, kiedy to powiedziała. Jakby jej słowa stanowiły tajne hasło, które go uruchamiało. Musiała mieć świetne wyczucie czasu, bo nawet nie zerknęła na zegarek. Podejrzenie doskonała synchronizacja. Jakby ten budynek i jego zarządczyni stanowili jedność.

– No na co pani czeka? – rzuciła Eliza gniewnie.

Julia popatrzyła na dyrektorkę z szeroko otwartymi oczami. Kowalczyk naprawdę mogła przejść do porządku dziennego nad tym, co przed chwilą usłyszeli? Co to do cholery było? Kto tak krzyczał? Bo Wilk była coraz bardziej pewna, że to był krzyk. Jaki człowiek mógł wydać z siebie taki dźwięk? Na pewno nie był to szkolny radiowęzeł. Chyba że nadawał wiadomości prosto z piekła.

## Wiktoria Sikora

Wiktoria Sikora otrzepała ubranie, jakby krzyk mógł się do niej przylepić jak jakiś pył. Zawsze tak robiła, kiedy to się działo. Oby dziś słyszała go po raz ostatni. Zwariuje chyba, jeśli usłyszy go choć jeszcze jeden raz! Gdyby wiedziała, że to nastąpi teraz, zdążyłaby się skryć. Miała już gdzie. Ale myślała, że atak nastąpi dopiero w nocy. Jak zawsze.

Wyjrzała przez okno rezydencji, żeby się uspokoić. Oddech wyrównywał jej się bardzo powoli. A więc się stało. Zaraz dowie się, jak to przebiegło. Agnieszka jest już pewnie w drodze i zda jej relację.

Wzrok właścicielki przedsiębiorstwa padł na stojącą przed willą rzeźbę. Popiersie przedstawiało ją samą. Tylko że nie obecną, a w najlepszych latach. Czasem przyglądała się posągowi całymi godzinami. Nie z próżności – tylko żeby ta marmurowa figura przypominała jej, co poświęciła. Wmawiała sobie też, że to poświęcenie było warte swojej ceny. A czy było? Cóż, prychnęła w duchu. Nie zginęła, prawda? Więc może tak.

Prawie nikt nie wiedział, co ją spotkało. Już Rada o to zadbała. A teraz robiła coś w tajemnicy nawet przed nimi. W Wieszczach utrzymanie czegokolwiek w sekrecie nie było łatwe. Oj nie. Wszyscy wiedzieli tu wszystko o wszystkich. A żeby zrobić to, co zaplanowała, musiała sprowadzić do willi całą ekipę budowlaną. Tego ukryć się nie dało. Trzeba więc było nadać temu znamiona zwykłego remontu.

Budowlańcy zajęli się całym parterem willi, jakby nie chodziło wcale o jeden konkretny pokój. Sprowadziła ich aż spod Torunia, żeby nie byli znajomymi znajomych. Bardzo ją korciło dzwonić gdzieś pod samą granicę. Nie mogła jednak wziąć nikogo z dalszych części kraju, bo musieliby tu nocować. A to nie wchodziło w grę. Nie mogli spać w tym miasteczku. Toruń był jednak na tyle daleko, żeby nikogo tu nie znali, ale na tyle blisko, żeby po skończonej robocie wrócili do siebie.

Wiktoria pomyślała o wszystkim i zanim wpuściła ich do willi, zleciła im remont Stróżówki. Wszyscy byli zdania, że już trzeba go zrobić. Tym razem prac doglądała Eliza, a Sikora płaciła, bo do niej formalnie należał dom pod lasem. Choć oczywiście kupiła go tylko dlatego, że jako jedyna miała wystarczające środki – a dom musiał mieć właściciela. Inaczej mogłoby zainteresować się nim państwo. A do tego nikt w Wieszczach nie mógł dopuścić. W podobny sposób załatwili, że dawna kamienica Babiańskich należała do Kowalczyk. Załatwione. W papierach porządek. Administracja z powiatu nie zadaje dodatkowych pytań i o to chodzi. Świat zewnętrzny ma ich zostawić w spokoju.

Potem, już po zwyczajowym remoncie Stróżówki, Wiktoria niby przypadkiem wpadła na pomysł, że skoro ekipa już tu jest, może popracować i u niej. Nikt nie domyślił się jej planu. A od początku chodziło tylko o jeden pokój w jej rezydencji. To on miał zostać przebudowany.

W prawdę na temat tego, co szykowała w willi, nie wtajemniczyła nawet asystentki, mimo że Agnieszka Szymańska od dawna zajmowała się większością spraw w firmie. Trzeba było przyznać, że dziewczyna robiła to znakomicie. A przynajmniej na tyle dobrze, że produkcja ekologicznej żywności trwała, mimo że Wiktoria nie zaglądała do zakładu od kilku lat.

**Nie mogła.** Podobnie jak nie mogła spotkać robotników, których zatrudniła do rzekomego remontu swojego domu. Trudne, ale nie niemożliwe. Tak naprawdę nic nie jest niemożliwe, jeśli człowiek bardzo tego chce i się postara, nagłówkuje i tak dalej. Dzięki tej prostej zasadzie Wiktoria osiągnęła naprawdę bardzo wiele.

Nikt nie widział jej od tamtej nieudanej... **próby**. To znaczy nikt oprócz Rady i Agnieszki. Udało się to, bo po Wieszczech już od dawna chodziła fama, że Sikora jest nieco ekscentryczna. Do tego wystarczyło dodać kolejną ploteczkę – Wiktoria nie lubi spotykać ludzi, wszystko zostało na barkach asystentki i tym podobne. Szymańska mówiła o tym na prawo i lewo i wkrótce wszyscy o tym wiedzieli. Łatka bogatej dziwaczki na dobre do niej przylgnęła. Kolejne poświęcenie.

Akurat w tę kampanię dezinformacyjną Agnieszka musiała zostać wprowadzona. Innego wyjścia nie było. Wiktoria nie miała wyrzutów sumienia, że choć dziewczyna dowiodła, że można jej ufać, nie podzieliła się z nią tajemnicą **remontu** willi.

Podczas prac budowlanych Sikora na wszelki wypadek nie schodziła z piętra. Budowlańcy nie byli stąd, ale kupowali w lokalnym sklepie i plotka o jej ekscentryczności chyba bez przeszkód do nich dotarła. Nie zadawali pytań. Pewnie interesowało ich tylko, żeby na koniec zrobiła przelew. A ponieważ za każdym razem płaciła więcej, niż uzgodniła z szefem ekipy, mężczyźni uwijali się jak w ukropie. Liczyli, że dostaną jeszcze większy napiwek, kiedy skończą. Prosty efekt psychologiczny, a jaki skuteczny. Wiktoria ani się obejrzała i remont był skończony.

Nowy pokój, ten według jej własnego projektu, też. Zastanawiała się, czy robotnicy budowali wcześniej coś takiego. Ciekawe, czy zastanawiali się, co zamierzała tam robić. Dźwiękoszczelne ściany i okna nasuwały przypuszczenie, że miało tam powstać luksusowe kino domowe albo studio nagraniowe. Kilkakrotnie sugerowała takie rzeczy w rozmowach telefonicznych z szefem ekipy. Chyba robotnicy zadowolili się tym wyjaśnieniem. Bardzo dobrze.

Ich obecność nie była szczególnie uciążliwa, ale i tak z całego serca się cieszyła, że wreszcie znów została sama. Odkąd nie mogła już wychodzić na zewnątrz, rezydencja stanowiła cały jej świat. Dalsze ograniczanie go – tym razem tylko do piętra – naprawdę bolało. Kiedy nie możesz wyjść do miasta ani nawet na spacer po polach czy do lasu, to chociaż wszystkie pomieszczenia w domu powinny być dla ciebie dostępne.

Spojrzała znów przez okno, wypatrując asystentki pędzącej z wieściami. Jednak droga prowadząca przez pola nadal była pusta. Trawy kołysały się na delikatnym wietrzyku. Och, jakże Wiktoria tęskniła za świeżym powietrzem. Chciałaby znów móc poczuć na twarzy promienie słońca, zapachy łąki. Ale nic z tego. Nie w tym życiu. Nie mogła ryzykować, że

ktoś ją zauważy. Nie chciała tego i ludzie pewnie nie byliby na to gotowi. Nie zniosłaby ich spojrzeń.

Początkowo odważała się wychodzić, ale tylko w nocy. Jak wszyscy spali, to wydawało się bezpieczne. Któregoś razu spotkała jednak jakiegoś nocnego marksa. Musiała szybko skryć się za budynkami. Zrezygnowała wtedy ze snucia się po miasteczku niczym duch.

Potem chodziła jeszcze jakiś czas w stronę lasu, ale to był czysty masochizm. Mijała Stróżówkę i była tak blisko jego terytoriów... Ze strachu nie mogła niemal oddychać. Nie po tym, co wieszczy jej zrobił. W końcu więc zaniechała tych spacerów. Zostawała tylko elektryczna bieżnia w domu.

Samotność, która, jakby tego było mało, jakiś czas temu zmieniła się jeszcze zapewne w ostracyzm. Nie żeby Wiktoria w ogóle zauważyła różnicę, skoro i tak nie mogła stąd wychodzić. Mieszkańcy Wieszcz winili ją i Elizę za to, co stało się ostatnio w szkole. Oczywiście nie mieli pojęcia, o co tak naprawdę chodziło! Zobaczyli tylko wpływ, jaki to wywarło na dzieciach. Nie widzieli szerszego obrazu całości.

## 5

### Julia Wilk

Julia różnie sobie wizualizowała pierwszy dzień w nowej pracy. Niektóre z tych wizji były pasmem sukcesów, w których porywa uczniów niezwykle ciekawymi i nowatorskimi lekcjami. Inne zakładały całkowitą klapę – na przykład natychmiastową demaskację, że tak naprawdę nie jest nauczycielką, a swoje CV sfałszowała. Inne scenariusze znajdowały się gdzieś pomiędzy. Te wydawały się najbardziej prawdopodobne. Częściowe sukcesy, ale też kilka błędów. Może nawet wykrycie jej kłamstwa, ale tylko o mały włos. Nic jednak nie przygotowało jej na to, co się wydarzyło.

Zaczęło się od tego dziwnego wrzasku tuż przed pierwszym dzwonkiem. A potem było już tylko dziwniej. Spodziewała się, że uczniowie będą ją testować. Zadawać trudne pytania, które miałyby ją sprowokować do powiedzenia czegoś zabawnego albo niechcący sprośnego. Czekala na jakieś przekleństwa albo niesubordynację. Jeszcze przed lekcjami zobaczyła co prawda, że w Wieszczach placówka oświatowa przypomina jednostkę idealnie wyszkolonego i absolutnie posłusznego wojska. No może z jednym wyjątkiem czarnej owcy w postaci blondasa z butelkami w płóciennej torbie. Mimo to, gdzieś w środku, uznała, że dyrektorka szkoły nie da rady roztaczać swojej narzucającej się obecności również w klasach. Nie przez cały czas. Uczniowie aż tak się jej chyba nie bali, żeby siedzieć jak trusie, kiedy Eliza prowadziła wuef gdzieś na szkolnym boisku.

Tymczasem Julia miała już kolejną godzinę zajęć, a w klasie panowała całkowita cisza. Mówiła tylko ona. Na pierwszej lekcji próbowała jeszcze jakoś angażować uczniów, ale potem doszła do wniosku, że zupełnie mija się to z celem. Wkrótce dała więc sobie spokój.

Siedzieli w ławkach nie jak dobrze wyszkoleni wojskowi, ale jak roboty. Proste plecy. Ręce położone na blatach. Oczy wbite w tablicę.

Ze zdziwieniem zauważyła też, że ich pulpity są całkowicie czyste. Żadnych wydrapanych czy nabazgranych flamastrami napisów, jak to było na ławkach w szkole, gdzie ona się kiedyś uczyła. Żadnych obscenicznych rysunków, żadnych karykatur nauczycieli. Nic. Najwyraźniej więc jednak Eliza Kowalczyk umiała zapanować nad swoją trzódką, nawet kiedy nie znajdowała się w samej klasie. Chwaliła się, że trzyma to miejsce w ryzach, i miała rację.

I puste twarze tych dzieci... To chyba było najgorsze. Po trzeciej lekcji Julia miała ochotę stamtąd uciec. Uczniowie patrzyli na nią nieobecnyimi spojrzeniami. Jakby wszyscy zbiorowo zażyli jakieś środki uspokajające. Żadnego wymieniania karteczek, zerkania w telefony, zero szeptania. Nic.

Sytuacja zmieniła się dopiero teraz, na czwartej lekcji. To była klasa ósma B. Julia przystanęła na chwilę przed wejściem do sali, żeby wziąć głęboki oddech. Miała dodać jej otuchy i sprawić, że nie oszaleje. I oto niespodzianka. Uczniowie byli tak zajęci gorączkową rozmową, że chyba nie zauważyli, że nowa nauczycielka stoi tuż za progiem. A więc jednak umieli mówić, tylko z jakiegoś powodu unikali tego, kiedy ona znajdowała się w pobliżu.

– Tym razem było inaczej! – powiedział ktoś nerwowo.

– I to rano...

Z jakiegoś powodu ogarnęła ją pewność, że uczniowie dyskutują o dziwnym krzyku, który rozdarł powietrze tuż przed pierwszym dzwonkiem.

– Myślicie, że pani Bibka naprawdę to zrobiła?

– Tak. Może to dlatego...

Pani Bibka? To musiało chodzić o Bibianę Zielińską. Julia zrobiła ostrożny krok w przód, żeby lepiej słyszeć, i to był błąd. Ktoś chrząknął, ostrzegając innych. Podeszła za blisko i została zauważona. Wychowankowie natychmiast zajęli swoje miejsca, położyli ręce na czystych blatach i przybrali nieobecny wyraz twarzy. Ich oblicza zmieniły się tak bardzo w jednej krótkiej chwili! Było w tym coś tak niepokojącego, że Julia znów miała ochotę uciec. Co tu się działo?! W co ona się wpakowała?

Może poprzedni polonista zwariował i dlatego tak szybko potrzebowano zastępstwa, pomyślała w przyпіwywie czarnego humoru. Może dlatego dyrektorka nie sprawdzała CV zbyt dokładnie. Nikt nie chciał tu zostawać. To jakiś szpital dla wariatów czy co?! Ona w każdym razie chciała uciec.

– Co tu się dzieje? – zapytała. Nie mogła się już powstrzymać. Darowała sobie powitalną formułkę i przedstawianie się. I tak doskonale wiedzieli, że jest nową nauczycielką.

Ich twarze pozostały idealnie niewzruszone. Niektóre spojrzenia sugerowały tylko lekkie zaskoczenie tym **niestosownym** wybuchem, ale to wszystko. W ostatniej ławce dostrzegła tego samego blondasa, którego spotkała wcześniej z dyrektorką. Miał skruszoną minę

winowajcy. To dodało jej otuchy. Przynajmniej jedna twarz, która wyrażała jakiegokolwiek emocje. Reszta to była pustka!

– Co tu się do cholery jasnej dzieje? – powtórzyła, kiedy nikt jej nie odpowiedział. Zupełnie straciła nad sobą panowanie. Może i dyrektorka ją za to zwolni. W tym momencie Julii było wszystko jedno. Nawet wolałaby, żeby tak się stało.

– Ostatnio przerabialiśmy... – zaczął Bruno Machulski, najwyraźniej oferując jej dobre wybrnięcie z sytuacji. Ona jednak była już na tyle wyprowadzona z równowagi, że nie przyjęła rzuconego jej koła ratunkowego.

– O czym rozmawialiście, zanim tu weszłam? Co to był za krzyk rano? Co zrobiła pani Bibiana? Wiecie, co tu się dzieje?

Już kiedy o to wszystko pytała, zdała sobie sprawę, że rzeczywiście brzmi jak wariatka. Oczy uczniów mówiły dokładnie to samo. W niektórych widziała też wyraźną wrogość. Z jednej strony cieszyło ją to, bo wreszcie nie patrzyli na nią, jakby byli manekinami. Z drugiej czuła, że popełniła błąd. Zraziła ich do siebie nieracjonalnym wybuchem. Dzieciaki chcą widzieć w dorosłych kogoś stabilnego. Wtedy mogą mu zaufać. A tak stała się dla nich tylko histeryczką.

Nie wiedziała, co teraz zrobić. Być może gdyby naprawdę była doświadczoną nauczycielką, po prostu zaczęłaby prowadzić lekcję jakby nigdy nic. Nie była jednak doświadczoną nauczycielką – ba, w ogóle nie była nauczycielką – i ogarnęła ją zniecka taka trema, że poczuła się jak młody raper, grany przez Eminema w filmie *8 Mila*. Tylko że on potem chyba dokonał jakiejś rehabilitacji, nawet triumfalnego come backu. Jej to raczej nie groziło... Powinna coś powiedzieć, ale trwała w milczeniu. W końcu pękła.

– Przepraszam – rzuciła głucho i wybiegła na korytarz.

To było totalne fiasko. Pierwszy dzień w szkole miał być jej wizytówką i początkiem nowego życia. A tymczasem...

– Już skończyła?

Odwróciła się natychmiast. W korytarzu stał mężczyzna ubrany w roboczy strój woźnego. Ciągnął wózek z wiadrem wypełnionym wodą wymieszaną z jakimś słodko pachnącym detergenciem. Znów jabłka? W owiniętych brudnymi bandażami dłoniach zaciskał brudny mop. Na jego twarzy malował się wyraz złości. Nie to jednak najbardziej ją uderzyło. Nie mogła oderwać oczu od jego zrosniętych brwi.

Już widziała tego woźnego!

W tym śnie, o którym usilnie próbowała zapomnieć! To ten mężczyzna zakopywał kogoś w grobie na pograżonym w mroku cmentarzyku! Przyśnił jej się tej nocy, choć dopiero teraz zobaczyła go po raz pierwszy. Jak to możliwe, że w jej koszmarze wyglądał dokładnie identycznie?! I te bandaże... Jakby poobcierał sobie dłonie, ostro pracując łopata.

## Albert Tabaczyński

Albert Tabaczyński układał produkty w części sklepu zwanej szumnie **marketem**. Można było znaleźć tam dosłownie wszystko. Oczywiście nie było takiego wyboru jak w dużym sklepie w centrum Brodnicy. Nie było, dajmy na to, dziesięciu różnych past do zębów. Za to jeśli jakiś mieszkaniec Wieszcz wycisnął tubkę do ostatka, a zęby trzeba było niezwłocznie wyszorować, każdy wiedział, że dostanie w sklepie Alberta jakąś pastę. Jedna marka, zero wyboru, ale co z tego, jeśli było się w potrzebie. Wtedy nie ma co marudzić, trzeba brać to, co jest dostępne na półce. I tak ze wszystkimi produktami. Jeden rodzaj proszku do prania, jeden rodzaj kremu i tak dalej. Tabaczyński wybierał marki, których sam używał. W ten sposób nigdy nie kłopotał się zakupami.

Wyjazdy z miasteczka były dla niego bardzo trudne. Jednym było łatwiej, inni źle je znosili. On niestety należał do drugiej grupy. Od kiedy przyjechał na dobre do Wieszcz kilkanaście lat temu, właściwie już stąd nie wyjeżdżał. To miejsce tak silnie na niego działało. Nie spodziewał się tego, kiedy się tu wybierał.

Ale nawet gdyby miał wybór i mógł wyjechać, wolał być na miejscu i cały czas obserwować. Ludzie mieli go za zwyczajnego starszego pana. Nie wiedzieli, kim naprawdę jest. A właściwie kto był jego dziadkiem. Wolał się z tym nie zdradzać, póki nie przyjdzie odpowiedni moment. Nie wiadomo, jak by zareagowali. Poza tym ta informacja nie powinna trafić do niepowołanych uszu.

Starszy pan przeszedł do drugiej części sklepu. Mieściła się tam apteka. Z wykształcenia był farmaceutą. Market stanowił jedynie rozrośnięty dodatek do jego prawdziwego królestwa. Apteka to była jego miłość i powołanie. Sprzedawał oczywiście zwyczajne leki robione w fabrykach przez firmy farmaceutyczne, realizował recepty i tak dalej. Ale to nie było wszystko. Ciągłe warzył nowe mikstury w nadziei, że znajdzie ten jeden jedyny specyfik, który mógłby zakończyć to wszystko.

Ostatnio odkrył wreszcie brakujący składnik. Zupełnym przypadkiem, kiedy poszedł za... Ech, wolał o tym nie myśleć. Lepiej skupić się na zadaniu. Było kilka nieudanych falstartów, choćby ten z Wiktoria, i Albert nie mógł sobie pozwolić na więcej. Obecna mikstura zawierała komponent, który wreszcie będzie skuteczny. *Game changer*, jak mówili młodzi. Trzeba by tylko przetestować preparat.

Dziś się nadarzyła ku temu okazja, ale nie spodziewał się, że wszystko wydarzy się tak wcześnie rano. Gdyby wiedział, poszedłby do Bibiany i dałby jej fiołkę. Zresztą do końca nie był pewny, czy to się tak potoczy. Może w ostatnim momencie jednak zdecydowałaby się na wybór? Teraz było po wszystkim i trzeba będzie przebadać medykament w inny sposób. Czuł, że okazja nadarzy się dość prędko. Wraz z przybyciem **nowej** nic nie zostanie przecież takie samo.

Wziął miotłę i wyszedł przed pawilon, w którym mieścił się sklep. Już tam zamiatał, ale nie zaszkodzi jeszcze się pokręcić. To dawało pole do obserwacji restauracji. Trzeba dyskretnie



popatrzeć, czy wszystko przebiega tak, jak powinno. Wątpił, żeby były jakieś problemy. Mieszkańcy Wieszcz doskonale wiedzieli, jak reagować. Mieli doświadczenie. Najpierw należało zostawić sprawy swojemu biegowi, dopiero po kilku godzinach wejść i sprawdzić, i posprzątać – jeśli była taka potrzeba. Z reguły nie.

Wieszczce to był idealnie funkcjonujący mechanizm. Mechanizm, który skrywał coś straszego. Albert westchnął. Ale być może po tym, co stało się dziś, tryby przeskoczą na inne tory? Bibiana chyba zupełnie postradała zmysły. Myślał, że w ostatniej chwili się opamięta. Z drugiej strony miał nadzieję, że nie. Jej wybór wymagał niemałej odwagi. Mógł być początkiem lawiny.

Zaczął wymachiwać miotłą ze zdwojoną prędkością. Zerknął przy tym w stronę szkoły. Kobieta, która przedstawiała się jako Julia Wilk, dziś była pierwszy raz w nowej pracy. Na razie wszystko szło więc według planu i zamiatając, Albert rozważał, kiedy najlepiej wciągnąć ją w to wszystko na dobre. Chyba warto dać jej jeszcze kilka dni?

Aptekarz żałował, że nie może omówić tej sprawy ze swoją najbliższą osobą. Tylko że jeśli najbliższa osoba chadza na teren wroga, to jej zachowanie skreśla ją z listy zaufanych. Nawet jeśli Albert podczas śledzenia jej wpadł na pomysł nowego komponentu leku. To był przecież tylko skutek uboczny tamtej wyprawy.

Nie ufać osobie, którą się kocha... Mieszkać pod jednym dachem i nie mówić sobie wszystkiego... Nie dzielić się radościami i smutkami, a także tymi najbardziej przerażającymi sprawami. To wszystko okropnie Alberta wyczerpywało.

Zobaczył kątem oka ruch przy restauracji Bibiany. Odwrócił się powoli. Nie, to fałszywy alarm. A już myślał, że będzie musiał tam podbiec. Dobrze, że to jednak nic. Czuł się strasznie zmęczony.

Sąsiedzi minęli jego sklep i skinęli mu głowami. Rzucili mu przy tym porozumiewawcze spojrzenia. Wszyscy dziś takie mieli. Z jednej strony przestach. Z drugiej ulga. Kolejne wybory za nimi. I są tu. Nadal żyją. A to przecież najważniejsze. Martwić zaczną się za chwilę. A na pewno zaczną. Nikt przecież nie mógł mieć pewności, czy wszystko odbędzie się jak zawsze, czy przez Bibianę wyrwie się spod kontroli.

## 7

### Julia Wilk

Julia Wilk wyszła ze szkoły z bijącym sercem. Niby nic się nie stało. Ot, prowadziła dziś lekcje w kilku klasach. Ot, wszyscy uczniowie byli grzeczni. **Podejrzanie** grzeczni. Jak nakręcone lalki. Ot, wybiegła z klasy w ataku paniki. Ot, na koniec zobaczyła jeszcze woźnego, który wyglądał jak człowiek z jej makabrycznego snu.

Nie, zupełnie nic się nie stało! A-b-s-o-l-u-t-n-i-e!

Przestań histeryzować, skarciła się w duchu. Tyle się w jej życiu działo, a ona przejmowała się czymś takim? Pewnie gdyby nie uciekła jak oparzona i przyjrzała się dokładniej woźnemu, zobaczyłaby, że wcale nie jest tak bardzo podobny do mężczyzny z jej wczorajszego koszmaru. Może to te przekłete zrosnięte brwi sprawiły, że wydawał się znajomy. A wiele osób może mieć takie.

Cholerna Bibiana Zielińska chociażby. Podczas jednej z przerw Julia poszła do stołówki, ale tej wariatki tam nie było. Może i dobrze, bo Wilk już wystarczająco się dziś ośmieszyła. Ta ucieczka z klasy... Naprawdę czuła się jak idiotka.

– Wszystko w porządku?

Odwróciła się. Była już przy bramie szkoły. Postawiono tam tablicę z ogłoszeniami. Za nią, nieco skryty, stał Damian. W świetle dnia wydawał się jeszcze przystojniejszy niż podczas spotkania przy pokoju nauczycielskim. Serce zabiło jej mocno. Tym razem nie ze strachu czy złości, raczej z pożądania. Dawno nie była z żadnym mężczyzną. Po tym, co się stało w jej **poprzednim życiu**, wątpiła, żeby jeszcze kiedykolwiek się na to odważyła. Może to dobry znak, że na widok syna dyrektorki zrobiło jej się cieplej w środku. To chyba znaczyło, że jej samopoczucie jednak wraca do normy.

– Przyłapałaś mnie – zaśmiał się, unosząc dłoń z papierosem. – Moja matka nie toleruje takich rzeczy, więc czasem wymykam się tu przed dzwonkiem. Dzieciaki są zachwycone. Mamy swoje małe sekrety. To miejsce jest właściwie na widoku, ale o tej porze matka jest po drugiej stronie budynku i porządkuje boisko po lekcjach wuefu.

Spodobało jej się, że Damian mówił o dzieciakach w sposób, który sugerował, że naprawdę je lubi. Mogła się założyć, że jego lekcje nie wyglądały, jakby uczniowie wszyscy zbiorowo połknęli kij albo zamienili się w nieme roboty. Pewnie potrafił rozbawić młodzież jakimś dobrym tekstem, a co jakiś czas puszczał oko do uczennic.

Julia się wzdrygnęła. Damian nagle zupełnie przestał jej się podobać. Znowu miała ochotę ofuknąć samą siebie. To, że ona trafiła na mężczyznę, który był lajdakiem i ją skrzywdził, nie znaczy, że wszyscy są tacy. Syn dyrektorki na pewno nie robi nic, co by było niestosowne. Ot tyle, żeby dziewczyny mogły potem trochę pochichotać podczas przerw i podyskutować o przystojnym pedagogu.

Tylko czy to naprawdę było nieszkodliwe? Wilk miała teraz wrażenie, że mężczyzna lustruje ją od stóp aż po sam czubek głowy. Znowu zadrżała. Czuła się wyjątkowo niekomfortowo. Zaczerwieniła się.

– A to nie przeszkadza w treningach? – zapytała i kiwnęła głową w stronę papierosa, żeby zmienić temat. – Wyglądasz na takiego, który uprawia dużo sportu.

– Matka to we mnie wpoila. – Skinął głową. Mięśnie jego potężnych bicepsów napięły się lekko pod rękawami koszulki. – Ale jeden papieros od czasu do czasu nikomu nie zaszkodzi. Jak poszedł pierwszy dzień?

Pytanie wydawało się niewinne, ale ona miała wrażenie, że wieść o jej idiotycznej rejteradzie już się rozniosła. *Nowa nauczycielka uciekła przed uczniami*. Świetny nagłówek

do szkolnej gazetki, o ile tu taka była.

– Dobrze – mruknęła zawstydzona.

Czekała na jego reakcję, ale on tylko skinął głową. Chyba jednak nic nie wiedział. Przez chwilę się nie odzywali. To był kolejny ciepły dzień. Ptaki śpiewały w najlepsze, a w powietrzu unosiły się zapachy nadchodzącego lata. Rozgrzana trawa i kwiaty. Uwielbiała to połączenie. Dziś jednak nie potrafiła się nim cieszyć. Miała wrażenie, że nad jej głową wisi czarna chmura. Chciała zapytać Damiana, czy uczniowie w tej szkole zawsze są tacy cisi, ale znów poczuła na sobie jego taksujące spojrzenie i zrezygnowała. Czy mogła mu ufać? Zaraz, czy nie pachniał jabłkami?

Zakłęła w duchu. Jabłkami? **Czy mogła mu ufać?** Co to za pytania! Jeden dzień w Wieszczach, a ona zaczynała popadać w paranoję, rozważając, komu może, a komu nie może ufać. Niby w jakiej sprawie? To wszystko przez tę cholerną Bibianę. Julia znów poczuła gniew na restauratorkę. Baba ją nieźle nastraszyła. O co tej kobiecie tak naprawdę chodziło?

A może znała przeszłość Julii? Jeżeli wiedziała, kim Wilk jest, w grę mógł rzeczywiście wchodzić szantaż. Że też od razu nie wpadło jej to do głowy. Miała ochotę przeklinać. Nie mogła jednak dać po sobie poznać, że cokolwiek się stało. Im mniej będzie się rzucała w oczy, tym lepiej.

– Spotkałam woźnego – zagadnęła więc z pozornym spokojem.

Może chociaż spróbuje dowiedzieć się czegoś na temat tego niezbyt przyjemnego typu. Jego zrosnięte brwi bardzo przypominały jej Bibianę. Mimo wszystko to dość charakterystyczna cecha. Mogli być rodziną. Mogli działać wspólnie.

– Spotkałeś Gustawa? – zaśmiał się Damian, gasząc papierosa. – Nie przejmuj się nim. Nieprzyjemny typ, ale naprawdę niegroźny.

– Nieprzyjemny? W jakim sensie? Jest niebezpieczny?

– Nie, no coś ty. Nie martw się. Przecież mówię, że jest niegroźny. Brakuje mu tylko trochę głady. To wszystko. Skończył naukę na podstawówce i potem niespieszno mu było dalej się kształcić. Trochę pomagał jako grabarz. Nadal zresztą to robi. Ale moja matka uznała, że może zostać w szkole i sprzątać. To syn naszej kochanej pani Bibiany. Ona prosiła, żeby załatwić mu fuchę inną niż tę z trupami. Jak długo można robić takie rzeczy? Facet ma już prawie czterdzieści lat.

Czyli rodzina, pomyślała Julia z satysfakcją. Tak podejrzewała. No i dawny grabarz... to by pasowało do jej snu. Tylko jak to mogło jej się przyśnić, skoro jeszcze o tym nie wiedziała?

– Właściwie powinien mieszkać w restauracji, no ale... Moja matka postanowiła dać mu strych w szkole. Gustaw ma tam swoją kwaterkę i, przynajmniej pozornie, jest jakoś samodzielny. Nikogo tam nie wpuszcza. To jego twierdza. No cóż, jest, jak by to powiedzieć... troszkę dziwny.

Tyle to i ja zauważyłam, miała ochotę powiedzieć Julia. Głośno zapytała tylko:

– Co masz na myśli?

– Niektórzy mówią, że jest, no wiesz...

Damian popukał się w głowę. Julia spojrzała na niego zaskoczona. W dzisiejszych czasach takie gesty były raczej niedopuszczalne. Efekt poprawności politycznej, ale też zwyczajny szacunek do innych. Nie spodobało jej się ani trochę, że nauczyciel to zlekceważył i pozwolił sobie na coś takiego.

– Ale jak mówię, nie jest niebezpieczny – dodał jeszcze syn dyrektorki, przyglądając się jej uważnie.

Trudno było znieść to zjadanie wzrokiem. Mogła oczywiście wykręcić się czymś w stylu: *muszę już iść*. Gdyby dodała jeszcze *mam rzeczy do rozpakowania. Dopiero przyjechałam*, wyszłoby całkiem naturalnie. Nie chciała jednak dezercerować w aż tak oczywisty sposób. Zrobiła więc krok w tył i udała, że zainteresowała ją drewniana tablica. Zaczęła studiować wiszące tam ogłoszenia. To były lokalne informacje *Sprzedam/Kupię*, odłączenia prądu (całe szczęście z zeszłego tygodnia). Zauważyła też trochę śmiesznych karteczek, które zostawili tu zapewne uczniowie. Czyli jednak! Na ławkach nie mazali, ale mieli jakieś ludzkie cechy.

Potem jej wzrok padł na kartkę formatu A4. Musiała tu wisieć od dłuższego czasu. Była częściowo naddarta i lekko zamoknięta. Jednak nikt nie zakleił jej mniejszymi anonsami. Treść zdawała się Julii zupełnie niezrozumiała, ale dotyczyła osoby, która chyba nie przestanie jej w *Wieszczach* prześladować. *Wzywam cię do wyborów, Bibiano Zielińska!*, głosił napis na kartce. Dziwne. Wybory będą dopiero jesienią, więc czemu ktoś coś takiego napisał i tu powiesił?

– Odprowadzić cię do domu? – zapytał Damian, wrywając ją z zamyślenia.

Aż podskoczyła. Tak bardzo się skupiła na ogłoszeniu, że niemal zapomniała, że Damian tu jest. Teraz wyglądał całkiem niewinnie. Przestał taksować ją od stóp do głów. Zwyczajnie się uśmiechał.

– Nie, nie. Nie trzeba. Trafię – zapewniła.

Wyszło to niezbyt uprzejmie, ale mimo wszystko nie wyobrażała sobie wracać do domu w jego towarzystwie. Poza tym uznała, że powinna zajrzeć do restauracji i pomówić z Bibianą. Rano miała przecież taki zamiar. Gustaw zapewne będzie sprzątał szkołę po lekcjach, więc to był dobry moment. Nie będzie się czał w restauracji i Wilk pomówi z Bibianą na osobności. Warto byłoby wy badać, czy chodzi o szantaż w sprawie jej poprzedniego życia. Chyba niepotrzebnie się łudziła, że nikt jej nie rozpozna.

– Odprowadzę cię chociaż kawałek – nalegał Damian.

– Naprawdę nie trzeba – odparła Julia i pobiegła na placyk przed szkołą.

Starszy pan, który który prowadził sklep, znów zamiatał schodki. Uniósł głowę i uśmiechnął się ciepło, kiedy go mijała.

– Nie chcę, żebyś się zgubiła. Pójdę z tobą.

Damian dopędził ją bez trudu.

– Nie trzeba. Naprawdę. Poradzę sobie.

Mimo tych zapewnień nauczyciel poszedł z nią prawie pod jej ślepą uliczkę. Nie miała więc możliwości rozmówić się z Bibianą. Pożegnał się dopiero przy śmietniku, który pokazała jej rano Agnieszka Szymańska. Julia już myślała, że syn dyrektorki się od niej nie odczepi. Przez całą drogę opowiadał jej o szkole i Wieszczech, ale praktycznie go nie słuchała. Chyba nawet tego nie zauważył.

– Było miło. Do zobaczenia – rzucił na odchodnym.

– Do zobaczenia.

Kurtuazja nakazywałaby powiedzieć, że jej również było miło, ale jakoś nie potrafiła się na to zdobyć. Kłamała i zakładała maski, ale to mimo wszystko byłoby za wiele. Mogłaby go w ten sposób zachęcić. A facet i tak chyba wyobrażał sobie, że Julia jest zachwycona jego obecnością. Niebezpiecznie przystojni mężczyźni już tak mieli. Byli przyzwyczajeni, że kobiety do nich lgną, i oczekiwali, że zawsze tak będzie.

Obserwowała, jak Damian odchodzi brukowaną uliczką z powrotem w stronę centrum miasteczka. Minął kamienicę przy ulicy Głównej, gdzie mieszkała dyrektorka. Nawet nie zajrzał do domu matki. Najwyraźniej więc odciął pępowinę, mimo że krył się przed Elizą z paleniem.

Julia ruszyła ślepą uliczką. Minęła dom Agnieszki, ale sąsiadki chyba nie było. Pewnie Szymańska jeszcze pracowała. Wspomniała, że cała firma Wiktorii Sikory jest na jej barkach. Ciekawe, kiedy wróci. Wilk złapała się na tym, że wolałaby, żeby stało się to jak najszybciej. Rozejrzała się niespokojnie. Sama nie wiedziała, co ją tak niepokoi. Uczucie było jednak wyjątkowo dojmujące. Znów miała wrażenie, że ktoś ją intensywnie obserwuje.

Odwróciła się, żeby zobaczyć, czy Damian aby przypadkiem nie zawrócił. Nawet on byłby teraz lepszy niż bycie tu samej. Niestety już zniknął za rogiem. Jej ciało pokryła gęsia skórka, mimo że nadal było bardzo ciepło. Rozejrzała się uważniej. Na polach już się zieleniło, ale zboże wciąż było niziutkie. Tyle dobrego, że nie dałoby się w nim schować. Przypomniała sobie nowelę Stephena Kinga i jego syna Joe Hilla. Wśród wysokiej trawy kryli się bardzo dziwni ludzie. Tu nikt nie mógłby się przycziąć. No chyba że w lesie za jej domem.

Przypomniała sobie tego wielkiego ni to psa, ni wilka, którego zauważyła wczoraj wieczorem. A co, jeśli zwierz wyszedł z lasu i gdzieś tu na nią czyhał? Przyspieszyła kroku. Zaraz jednak zwolniła. A co, jeśli czekał w krzakach, które rosły przy drodze? Jak Julia pobiegnie na oślep, bez sprawdzenia, pies może stamtąd wyskoczyć i ją zaatakować.

– Och, dajże już spokój – powiedziała sama do siebie, ale zupełnie bez przekonania.

Odwróciła się jeszcze raz. Naprawdę żałowała, że Damian nie odprowadził jej aż pod same drzwi. Narzekała w duchu na jego badawcze spojrzenia, ale chyba nie był niebezpieczny. A jeśli ten ni to pies, ni to wilk ma wściekлизnę?

Nagle zobaczyła jakieś poruszenie w zaroślach przed domem. Poczula nieprzyjemny fetor. Wykrakała. To był ten **stwór**. Teraz coraz mniej przypominał psa. Bo jaki pies ma oczy, które tak groteskowo błyszczą? To nie wszystko. Kiedy znajdował się tak blisko, widziała wyraźnie, że coś z nim jest nie tak. To nie były tylko wieczorne zwidy spowodowane

zapadającym zmrokiem. Znów przyszło jej do głowy, że to zwierzę jest jak kości wrzucone do worka ze skóry, a nie prawdziwe, żywe stworzenie. Nic w nim nie znajdowało się na swoim miejscu. Stawy były powyginane pod nienaturalnymi kątami. Łapy jakby przodem do tyłu. A pysk? Czy to w ogóle był pysk? A może raczej dziwnie wyciągnięta twarz? No i te rozmazane krawędzie...

Zwierzę uniosło się powoli, jakby chciało stanąć na tylnych łapach. Nie czekała na więcej. Rzuciła się biegiem. Dom, byle do domu! Musi się ukryć w środku, zanim to coś ją dopadnie.

## 8

### Agnieszka Szymańska

Agnieszka Szymańska szła szybkim krokiem z powrotem w stronę centrum miasteczka. Po tym, jak opowiedziała szefowej najświeższe wieści, Wiktoria Sikora wysłała ją po kilka sprawunków. Jakby Agnieszka była dziewczyną na posyłki! Dziś podczas porannej rozmowy nagadała Julii na szefową. Potem trochę tego żałowała, ale teraz już nie. Przynajmniej mogła spuścić pary, a poza tym jej rolą było rozpuszczanie plotek. Rada sama tego chciała. Tylko że może Agnieszka powiedziała za wiele. Ale w gruncie rzeczy co z tego?! Niech Eliza i inni się martwią.

Szymańską zirytowało, że Wiktoria wysłała ją do sklepu, bo – pomijając te pieprzone wybory – miały do omówienia bieżące sprawy związane ze sprzedażą ekologicznych pomidorów. A najbardziej wkurzało ją to, że miała właściwie pewność, że szefowa nie potrzebuje tych drobiazgów, które wypisała na karteczce. Chciała się jej tylko pozbyć z willi, skoro już dowiedziała się, czego chciała.

Ostatnio przedsiębiorczyni zachowywała się bardzo dziwnie. Trudno było ją rozgryźć. A Agnieszka nie lubiła **nie wiedzieć**. Na przykład ten nagły remont. Stróżówkę trzeba było odświeżyć, to oczywiste. Robili to co jakiś czas jako rodzaj hołdu, żeby zjednać sobie wieszczego. Tak było od dziesięcioleci. Kiedy w latach trzydziestych dom spłonął, wymieniono cały front. Potem były kolejne prace i kolejne, i kolejne w nadziei, że to obłaskawi złego. Nic zaskakującego, że teraz znów dom wyremontowano. Ale potem nagle niby od niechcienia Wiktoria rzuciła: to może ja też trochę odświeżę rezydencję, skoro robotnicy już tu są? I szefowa myślała, że Agnieszka da się na to nabrać?!

Szymańska zauważyła, że prace dotyczą głównie salonu Wiktorii. Dlaczego? Zwróciła uwagę, że tylko tam wymieniono okna. Majstrowano też przy ścianach, podczas gdy w pomieszczeniach na górze jedynie malowano.

Być może Agnieszka zwróciła na to wszystko uwagę, bo teraz miała własny **tajemniczy pokój**. Co za ładna romantyczna nazwa, uśmiechnęła się sama do siebie. Prawie jak u Frances Hodgson Burnett.

Nagle poczuła wielką chęć powrotu do domu i rozpoczęcia rytuału. Już teraz, natychmiast. W środku dnia. To było jak uzależnienie. Najchętniej by nie przestawała. Ale powinna działać tylko w nocy. Ta *znajoma-nieznajoma* starucha twierdziła, że wtedy jest to najbardziej skuteczne. Baba wyszeptwała trochę czarów w pokoju i poszła popatrzeć na Stróżówkę. Przytulała się do jej ściany, jakby słuchała domu. To było naprawdę dziwne. Ale nie zmieniało faktu, że o rytuale mówiła sensownie.

Agnieszka weszła do sklepu Alberta. Stary siedział za kontuarem w części aptecznej. Wyobrażał sobie chyba, że jest nie wiadomo kim. A był nikim. Zwykłym dziadem. Szymańska nigdy go nie lubiła za to wywyższanie się. Zachowywał się, jakby był co najmniej jakimś lordem. Choć przed wszystkimi udawał równego gościa. Było coś jednak w jego postawie. Uważał się za lepszego.

Oczywiście Agnieszka mogła go nie lubić, bo poniekąd stał jej na drodze do władzy – to możliwe. Wcale się nie wstydziła, że jednym z jej największych marzeń było należeć do Rady. I będzie należała. Jest młoda, wszystko idzie dobrze, wręcz coraz lepiej. Oni są starzy i ich czas przeminie.

Poza tym naprawdę nie rozumieli, z czym mają tu do czynienia. Ona tak. Straciła oboje rodziców w wyborach. Najpierw ojca, a kilka miesięcy później matkę. Członkowie Rady, zdaje się, nie stracili nikogo. Banda stetryczalnych matolów. Dopiero kiedy tracisz osoby, które kochasz, wiesz, jak to jest. Trzeba było jednak podejść do sprawy spokojnie. Mieszkańcy miasteczka muszą być gotowi, żeby poprzeć jej kandydaturę. I zrobią to. Większość chce tylko bezpiecznie przetrwać do kolejnych wyborów. Nie obchodziło ich, kto rządzi.

Dlatego przyjdzie czas, kiedy Agnieszka będzie miała w swoich rękach nie tylko firmę Wiktorii Sikory, ale i całe miasteczko. Nie zależało jej, żeby się stąd wyrwać jak niektórym. Wiedziała, że to mrzonki. Byli skazani na to miejsce. A skoro już muszą tu żyć, to ona chciała być na szczycie hierarchii. A do tego potrzebowała między innymi odpowiedniej prezencji. To było kluczowe.

Dzisiejsze wydarzenia zdecydowanie dawały do myślenia. Kolejna śmierć, ale tym razem zupełnie inna i kto wie, jak to wpłynie na najbliższe lata. Co zrobi wieszcy? Jak będą teraz reagować mieszkańcy, kiedy przyjdzie pora na nich? Decyzja jednej osoby może zadziałać jak lawina i zabrać ich wszystkich.

– Cześć, Agnieszko. Czego ci potrzeba? – zapytał Albert, przerywając tok jej myśli. Skurczybyk.

– Krem nawilżający dla Wiktorii – poprosiła. – Mówiła, że chodzi jej o ten twojej produkcji, nie fabryczny.

– Oczywiście.

Wycofał się na zaplecze, gdzie miał swoją pracownię. Wrócił z małym słoiczkiem wypełnionym zielonkawą mazią. Agnieszka z trudem powstrzymała grymas. To był pewnie zwyczajny krem Nivea z ziołowymi dodatkami, a dziad sprzedawał go jako jakiś magiczny

specyfik. Albert uśmiechał się zupełnie nieświadom, że już wkrótce pożegna się ze swoją pozycją w miasteczku. Jeszcze chwila. Już ona o to zadba.

## 9

### Julia Wilk

Julia dobiegła do drzwi. Nacisnęła klamkę. Oczywiście były zamknięte! Ręce tak jej drżały, że nie mogła wydobyć klucza z kieszeni obcisłych džinsów. Nie słyszała dudniących kroków pogoni, ale z dalekich zarośli dochodził ją poświstujący oddech. Wydawał się znajomy. Czy czegoś takiego nie słyszała w swoim śnie o tajemniczym cmentarzyku pod jabłonią? Czy ten bulgoczący szelest nie dobiegał z zakopywanego przez Gustawa grobu?

Udało jej się wyjąć klucze, ale upadły na wycieraczkę. Podniosła je drżącymi rękami. Dłonie miała spocone ze strachu. Zdawało się, że klucze znów jej się wyślizgną. Czy ten oddech był teraz bliżej? Co, jeśli okaże się, że jak się odwróci, ten stwór będzie tuż za nią?

Nie mogła włożyć klucza do zamka. No dalej! Dalej! Próbowwała zmusić ciało, żeby wreszcie zaczęło współpracować, ale ręce uparcie drżały z przerażenia. Zaryzykowała odwrócenie się i to był błąd. Stwór siedział na środku jej podjazdu. Zbliżył się! Dokładnie tak, jak najbardziej się tego obawiała. To coś znajdowało się teraz najwyżej dziesięć metrów od niej. Przypatrywało się jej opalizującymi ślepiami.

Z tej odległości widziała, że to, co wzięła za szarą sierść, nie było wcale włosami. To była skóra, ale jakby łuskowata. A może jego skóra wcale nie była pokryta łuskami, tylko dziwnymi smugami? Jakby rozmazanymi pociągnięciami pędzla czy ołówka. Pysk był ni to ludzkimi ustami, ni paszczą wilka. Wyobrażała sobie, że tkwiące w środku kły muszą być naprawdę ostre. Nawet jeśli nie są wielkie. Spojrzenie tej istoty wyrażało absolutną pewność, że poradzi sobie z każdym.

– Błagam, błagam... – powtarzała bełkotliwie, znów próbując wsunąć klucz do zamka. Że też w ogóle zamknęła te drzwi! Agnieszka mówiła przecież, że tu nikt tego nie robi. A teraz...

Znów się odwróciła. Stwór był teraz jeszcze bliżej. Może osiem metrów od niej. Przemieścił się zupełnie bezszelestnie. Jakby bawił się z nią w *Raz, dwa, trzy, Baba-Jaga patrzy* i przesuwiał się tylko, kiedy ona na niego nie patrzyła. Ciągle daleko, ale jednak bliżej. Robiło jej się niedobrze od jego smrodu. Serce biło jej tak szybko, że miała wrażenie, że zaraz padnie trupem. Próbowowała otworzyć zamek, nie spuszczać stwora z oka. Bała się, że jeśli się odwróci, potwór ją dopadnie.

– Błagam, no otwieraj się...

Odwróciła się znowu. Stwór zdawał się wahać. Jakby chciał za nią pójść, ale jednak coś go powstrzymywało. Julia odwróciła się i zaczęła majstrować przy zamku.

– Błagam, błagam...



Spocona ręka trafiła w końcu kluczem do zamka. Szczęknął. W ciszy, która teraz zapadła, dźwięk wydawał się bardzo głośny. Julia myślała przez chwilę, że stwór rzuci się na nią sprowokowany tym odgłosem, ale nic się nie stało.

Otworzyła drzwi i wpadła do holu. Od razu pchnęła drzwi, żeby nie pozwolić mu dostać się do środka. Jego jednak już nie było. Odbiegł pomiędzy drzewa, jakby przekroczyła jakąś zakazaną linię. Oparła się o drzwi plecami. Widziała, jak uciekał, ale i tak podświadomie oczekiwała uderzenia. Nic się nie stało. Przekręciła gałeczkę i zamknęła drzwi. Mimo to nadal opierała się o drewno, żeby swoim ciężarem przytrzymać drzwi, gdyby stwór jednak zaszarżował.

Jej wzrok padł na mały stojący przy ścianie kredensik. Czy powinna przepchnąć mebel i zastawić wejście? Stanowiłby dodatkowe zabezpieczenie. Ale czy jeśli puści drzwi, potwór nie dostanie się do środka? Zamek wytrzyma ewentualną szarżę? Po czole spłynęła jej strużka potu. Wpadła jej do oka. Zapieкло. Ciężko było jej złapać oddech.

Nic się nie działo. Żadnego uderzenia. Żadnego ryku. Oczekała jeszcze chwilę i odważyła się podejść do okna. Na podjeździe nie było ani psa, ani wilka, ani tym bardziej dziwnego stworza. Stał tam tylko jej samochód. Czerwone mini zdawało się jej przyglądać z rozbawieniem przemieszonym z lekkim niepokojem o zdrowie psychiczne swojej właścicielki.

Julia pobiegła do salonu i wyjrzała przez to przekłete wielkie okno, **perłę architektury**. Czy to coś nie dałoby rady sforsować szkła? Jak grube były te okna? Chyba nie zrobiliby takiej wielkiej tafli ze zwykłego materiału. Szkło musiało być hartowane albo inaczej zbrojone.

Za oknem panował całkowity spokój. Tylko drzewa poruszały się delikatnie na późnowiosennym wietrze. Promienie słońca tańczyły na intensywnie zielonych źdźbłach trawy w jej ogrodzie. Idylla i sielanka. Żadnych potworów.

Drzwi! Te wąskie drzwi z tyłu! Popędziła do klatki schodowej pewna, że zdradzieckie dodatkowe wejście będzie otwarte. Nic takiego nie miało miejsca. Naciskała gorączkowo kłamkę, żeby się upewnić. Nie przestawała, mimo że było zamknięte.

– No już – powiedziała w końcu. To trzeba było przerwać. – Spokojnie, dziewczyno. Coś ci się przywidziało i tyle. A nawet jeśli nie, to on już sobie poszedł. Bał się domu. Jak każde dzikie zwierzę.

Uspokoila się i dopiero wtedy spojrzała na schody.

– Co do cholery?! – wyrwało jej się.

Damian miał wrażenie, że całe jego ciało drży. Właśnie odprowadził nową do Stróżówki. Minął więc restaurację aż dwa razy. Najpierw idąc w tamtą stronę, a potem wracając. Nie dał się spławić Julii, bo musiał przecież dopilnować, żeby nic nie wyrwało się spod kontroli. Nowa wydawała się ciekawska, mogłaby zajrzeć do restauracji za wcześniej. A w Wieszczach wszystko miało swój czas i jego zadaniem było dopilnować, żeby tak zostało.

Z przybytku Bibiany emanowała zła energia. Damian nie zaglądał do środka, ale czuł podskórne wibracje niepokoju w sercu miasteczka. Coś poszło nie tak. Ludzie zastanawiali się, dlaczego wieszczy zaatakował w biały dzień. Damian podejrzewał, że zna odpowiedź. Jan Faber był wściekły, że Bibiana zrobiła to, co zrobiła. Nikt przedtem się tak nie zachował. Każdy walczył tylko o siebie. Bibiana z wieszczego zakpiła. Pewnie tego nie zniósł. Odmowa wyboru to było jak zniewaga rzucona w twarz.

W dzień moc wieszczego była słabsza, a więc można było spodziewać się komplikacji. Nauczyciel nie wiedział, jakich dokładnie. Być może coś się stało z jej ciałem? Z reguły zwłoki delikwenta po prostu się rozplęwały, zmieniały w nicość. To było wygodne – zarówno ze względów praktycznych, bo nie trzeba się było pozbywać szczątków, jak i dla wrażliwych sumień mieszkańców Wieszcz – którzy nie musieli patrzeć na efekty wyborów.

Damian przyspieszył kroku, niemal biegł. Teraz, wracając, nie musiał już udawać przed Julią, a nie chciał znajdować się w pobliżu restauracji ani chwilę dłużej niż to konieczne. Za wiele go to kosztowało. Skończył już lekcje na dziś, ale i tak skierował się z powrotem do szkoły. Nie miał ochoty wracać do domu. Trochę przeciągnie powrót, jeśli usiądzie w pokoju nauczycielskim i będzie przynajmniej udawał, że sprawdza zadania, klasówki i tak dalej. Najczęściej robił to u siebie w mieszkaniu, ale nie będzie podejrzane, że tym razem zdecydował inaczej. Wszyscy dziś byli wytrąceni z równowagi.

Tylko że w szkole mógł spotkać matkę. Tego też wolałby uniknąć. Na wszelki wypadek przemknął obok kamienicy, gdzie mieszkała. Dawny dom Babiańskich teraz należał do niej. Raczej nie wróciła jeszcze z pracy, ale kto wie. To ona zasugerowała, żeby czekał pod szkołą i ze zrozumiałych dla wszystkich względów odprowadził **nową** do domu. Pewnie chciałyby wiedzieć, jak poszło.

Właściwie nie było o czym mówić. Julia Wilk zdawała się osobą zupełnie zwyczajną. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Wcale nie chciała wejść do restauracji, jak martwiła się matka. Zainteresowanie Elizy nową nauczycielką było podejrzane. Od początku Damianowi wydawało się, że **nowa** nie zjawiała się tu ot tak, przypadkiem. Coś się za tym kryło.

Nikt mu nie powiedział co. A więc mu nie ufali. Czyżby się czegoś domyślali? Pewności chyba nie mieli, bo już coś by zrobili. To jednak niewiele zmieniało. Możliwe, że był spalony. Zaklął w duchu. Czy to możliwe, że został nakryty?

A może matka wiedziała od zawsze? Matki chyba wyczuwają takie rzeczy? Nawet jeśli go nie urodziła, to opiekowała się nim, odkąd został podrzucony na jej próg. Dziecko z lasu, którego oboje rodzice zostali zabici w tych samych wyborach. **Oboje!** Mimo że zawsze

ginęła tylko jedna osoba. Dziecko z lasu, które zniknęło na rok, a potem cudem pojawiło się z powrotem, rzekomo nic nie pamiętając.

Czy Eliza kiedykolwiek uwierzyła w to kłamstwo? Być może przez te wszystkie lata tylko udawała, że tak. A teraz, kiedy decyzja Bibiany zachwiała w posadach całym tym kruchym spokojem, na którym spoczywały fundamenty Wieszcza, być może sytuacja Damiana zmieni się diametralnie.

A przecież to, co robił, robił z miłości.

No i dlatego, że w gruncie rzeczy chyba nie miał wyboru. To, kim był, determinowało to, co musiał robić.

## 11

### Julia Wilk

Julia patrzyła na stopnie schodów zupełnie zaskoczona. W szaleństwie ucieczki przed dziwnym stworem – wyimaginowanym czy też nie – dopiero teraz zauważyła, że coś leży na schodach. Zrobiła kilka kroków w ich kierunku. Niby nic wielkiego. Zwyczajne przedmioty, ale zdecydowanie nie powinny się tam znajdować! Serce znów zaczęło pompować krew jak oszalałe. Na pierwszym stopniu leżała pojedyncza skarpetka. Jej własna. Czerwona w serduszka. Jedna z tych, które nosiła tylko po domu. Materiał był gruby i przyjemny. Chodziło się w nich jakby po miękkim dywanie. Julia kupiła je kiedyś na wyprzedaży za dosłownie kilka złotych. Nie przypuszczała nawet, że nabytek poczyniony od niechcenia (tylko dlatego, że została jej reszta po dużych zakupach, a skarpetki zawsze się przydadzą) stanie się tak przydatny. Skarpetki były dziurawe, ale się z nimi nie rozstawała. Kiedy uciekała przed swoim starym życiem, zabrała je ze sobą, mimo że większości rzeczy materialnych się pozbyła. A teraz skarpeta leżała tu zdekompletowana i samotna.

Na kolejnym stopniu znajdował się tusz do rzęs. Był nowy. Julia kupiła go, kiedy tu jechała. Nie zamierzała wprawdzie się malować, ale nigdy nie wiadomo. Może czasem trzeba będzie wytuszyć rzęsy. Wilk nie była w żaden sposób przywiązana akurat do tego kosmetyku i nie wiązała się z nim żadna historia. Wiedziała jednak, że należy do niej. Kupiła go zaledwie przedwczoraj i doskonale pamiętała opakowanie.

Tak więc ktoś porzekał jej rzeczy na stopniach nie wiadomo w jakim celu. Skarpetka, tusz do rzęs, dalej zobaczyła jeszcze swoje ciemne okulary, jakiś skrawek papieru, jabłko, długopis i notes. Każda z tych rzeczy leżała na swoim stopniu, jak na jakiejś wystawie. Julia była absolutnie pewna, że ona ich tu nie położyła. Wychodziła do pracy w pośpiechu, bo zauważyła Agnieszkę Szymańską rozgrzewającą się na drodze i nie chciała, żeby tanta odeszła. Nie byłoby czasu rozkładać tu tych rzeczy. Nawet gdyby to miało jakikolwiek sens.

– Po co miałabym to robić?! – zawołała Julia do nie wiadomo kogo. A może wiadomo. To musiała zrobić Bibiana. – Znowu tu włazła?! Zadowolona?!

Nikt jej nie odpowiedział. Podeszła ostrożnie, żeby zerknąć na wyrwaną z notesu kartkę, którą zostawiono na czwartym schodku. Ktoś narysował na niej jakiś zawijas. Przypominało to literę S. Czyli to nie był list z żądaniem pieniędzy za nieujawnianie prawdziwej tożsamości Julii. Z jednej strony ulga, z drugiej znów pytanie, po co Zielińska tak ją straszyla?

Może dlatego nie było jej dziś w szkolnej stołówce. Kiedy szli tu z Damianem, Zielińska nie kręciła się też przy wejściu do restauracji. Być może była tu w domu i przygotowywała tę wariacką inscenizację.

No i ten **rzekomy** potwór. A jeśli to tylko jakaś projekcja? W dzisiejszych czasach jest tyle sprzętów elektronicznych, które można by do czegoś takiego wykorzystać. A to dyszenie? Takie odgłosy można emitować ze zwykłego głośnika. Ta myśl była uspokajająca. Nic nadprzyrodzonego. Zwykle efekty specjalne. I to miernej jakości, dodała w duchu Wilk, mimo że tak ją ta inscenizacja nastraszyła. A może właśnie dlatego.

Pozostawało jednak najważniejsze pytanie: dlaczego ta kobieta tak się na Julię uwzięła. Nie zostawiła listu z żądaniem pieniędzy, ale może to zrobi. Może tymi wybrykami chce sobie przygotować grunt. O, to mogła być odpowiedź.

– Jesteś tu nadal?! – warknęła Wilk, na wypadek gdyby to babsko kryło się jeszcze w domu.

Oczywiście znów nie uzyskała odpowiedzi, ale tego można się było spodziewać. Przecież Bibiana raczej nie wyszłaby teraz nagle i nie powiedziała *a kuku*. A może? Przecież ostatnio po prostu ujawniła się w kuchni. Jedynym plusem sytuacji było, że Julia już przestała bać się potwora na dworze. To musiał być jakiś efekt wizualny wykreowany przez rzutnik.

Wyszła z domu i stanęła na ganku, rozglądając się. Drzewa szeleściły wesoło w wiosennym słońcu. Ptaki śpiewały jakby nigdy nic. Żadnych świszczących oddechów i bulgotania. Całkowity spokój. To dodało Julii otuchy. Może przyjdzie czas, by zawiadomić policję, ale wolałaby tego uniknąć. Nie chciała, żeby zaczęli grzebać w jej **poprzednim** życiu. Trzeba na początek wziąć sprawy w swoje ręce i pomówić z Bibianą w cztery oczy.

Ale jeśli jej syn będzie już teraz w restauracji? Gustaw był postawnym mężczyzną. Nie tak umięśnionym jak Damian, ale być może znacznie silniejszym. Mięśnie nauczyciela stanowiły efekt częstych wizyt w siłowni. Woźny, choć brzuch miał zaokrąglony od piwa, a plecy krzywe, wyglądał na takiego, który bez problemu rąbie drewno albo nosi wielkie kłody przerzucone przez ramię. Julia nie chciałaby go spotkać sam na sam w lokalu jego matki. Z drugiej strony demoniczna Bibiana i jej synalek raczej nic Julii nie zrobią w biały dzień, prawda? I to bądź co bądź w środku miasta. Julia była bezpieczna.

Zerknęła w stronę samochodu. Może tam podjechać? Tak na wypadek gdyby jednak w okolicy kręciło się jakieś zwierzę. Nie, bez sensu. To raptem z pół kilometra. Może nawet mniej. Silnik nawet by się nie rozgrzał. A potwór? Na pewno jej nie zaatakuje, uśmiechnęła się Julia krzywo. Teraz znów czuła się jak idiotka. Gdyby ktoś widział, jak przed chwilą walczyła z zamkiem przerażona wykreowanym w jakiś sposób mirażem, ludzie mieliby dopiero powód do gadania. Nabijaliby się z niej przez lata.

Zamknęła drzwi, choć to chyba było bez sensu. Bibiana być może miała drugi komplet kluczy. Trzeba będzie zmienić zamki i tyle. Wtedy te najścia się skończą.

Julia była już pewna, że stwór nie istnieje, mimo to, wychodząc na podjazd, rozejrzała się uważnie. Nic. Absolutny spokój. Ruszyła szybkim krokiem uliczką prowadzącą do Głównej. Powtarzała sobie, że to stworzenie jest tylko ułudą, ale poczucie bycia obserwowaną jej nie opuszczało. Miała ciarki na plecach. Odetchnęła dopiero na wybrukowanej ulicy. Jakby śmietnik, który stał przy wjeździe, stanowił bramę, za którą zaczynał się normalny, **bezpieczny świat**.

Ruszyła szybkim krokiem ulicą Główną. Pod restauracją Bibiany znalazła się jakieś dziesięć minut później. Może nawet szybciej. Ogródek przed lokalem był pusty. Żadnych klientów. Dziwne. W taką pogodę chyba nikt nie chciałby siedzieć w środku. Może było zamknięte.

Julia podeszła do okna, żeby zerknąć ukradkiem. Kolorowe napisy na szkle obwieszczały, jakie jest menu dnia. Były to głównie specjały kuchni Ameryki Łacińskiej. Przybliżyła twarz do szyby. Dotykała jej niemal nosem, zapominając o wszelkiej ostrożności. Puste stoliki, żadnego ruchu.

Przeszła pod szyldem *Restauracja Uśmiechnięta* i położyła dłoń na klamce. Wydawała się nienaturalnie chłodna w ten ciepły dzień. Julia znów poczuła gęsią skórę. Intuicja podpowiadała jej, że nie powinna wchodzić do środka. Rozum starał się uciszyć ten głos i nakazywał otwartą konfrontację z nekającą ją kobietą. Teraz, natychmiast.

Nie dając sobie czasu na dalsze zastanowienie, Julia nacisnęła klamkę. Drzwi nie były zamknięte, weszła więc do restauracji. Z miejsca otoczył ją zapach przypraw. Ostry i kłujący, ale jakże przyjemny. Jakby wybrała się na satysfakcjonującą wycieczkę do egzotycznego kraju. Uczucie zadowolenia nie trwało jednak długo i znów powrócił niepokój. Coś tu było nie tak. Julia zorientowała się, że przez woń ziół przebija się jakiś metaliczny zapach.

Zrobiła kilka ostrożnych kroków. Wnętrze zdawało się pogrążone w mroku, mimo że na dworze operowało mocne słońce. Może to przez napisy na oknach nie wpadało tu tyle światła, ile powinno. Rozejrzała się, próbując przyzwyczaić wzrok do ciemności. Drewniane, jaskrawo pomalowane stoliki. Krzesła nie od kompletu, ale tworzące dziwnie spójną całość. W tym chaosie była reguła. Julia szła dalej. Im bardziej zagłębiała się w królestwie restauracji, tym mocniejszy zdawał się ten metaliczny zapach. Coś jakby w sklepie mięsnym. Czy to nie była...

*Krew.*

Julia zatrzymała się w pół kroku. Na pokrytej małymi kwadratowymi płytkami podłodze zobaczyła kroplę krwi. Taką samą jak u siebie w kuchni, kiedy Bibiana bawiła się nożem. Jedna mała kropelka, a Julia poczuła, że znów wypełnia ją nieprzyjemny niepokój. O dziwo, tym razem serce biło jej spokojnie i miarowo. Jakby oszczędzało siły po maratonie

strachu sprzed chwili. Dłonie za to miała mokre od potu. Wytarła je o nogawki wąskich dżinsów.

Wtedy zobaczyła ciało. Nie wyglądało jak ludzkie. Julia zaczęła krzyczeć z całych sił.

## 12

### Eliza Kowalczyk

Eliza Kowalczyk narzuciła bezrękawnik i wybiegła ze szkoły. Zrobiło się zamieszanie i choć to nie było jej zadanie, wołała być na miejscu, żeby sprawy nie wymknęły się spod kontroli. Inni mieszkańcy Wieszcz też wylegli na ulicę. Czuła na sobie ich spojrzenia. Niektórzy kiwali jej głową z szacunkiem, a inni uciekali wzrokiem. Nadal winili ją za to, co zdarzyło się w szkole. Wiktoria Sikora nie wychodziła z domu, więc na kogo miał spaść gniew za to, co się stało dzieciakom? Na dyrektorkę, wiadomo. Ale Eliza miała siłę, żeby go unieść. Z wieloma rzeczami sobie w życiu poradziła. To było tylko jeszcze jedno, co na nią spadło. Złościło ją, że Agnieszka nagadała nowej o Wiktorii. Zdecydowanie miała za długi język. Eliza wolałaby kontrolować przepływ informacji, ale nie mogła przecież zakazać im kontaktu.

Julia była dociekliwa. Trudno powiedzieć, czy to dobrze, czy źle. Zbiła dyrektorkę z tropu, kiedy zwróciła uwagę na zapach jabłoni w pokoju nauczycielskim. Eliza była prawie pewna, że to sprawka Damiana. I mogła jedynie zgadywać, czemu ten zapach tak do niego przylgnął. Tak naprawdę wiedziała. Nie chciała jednak przyznać tego nawet sama przed sobą. Otworzyła okno, żeby to wywietrzało i nikt inny się nie zorientował.

– Ta nowa tam weszła? – zapytał ktoś. – Jak mogła? Dlaczego jej na to pozwolono?! Przecież to za wcześnie!

Eliza wiedziała, że pytania były skierowane do niej. Ludzie uważali ją za osobę u władzy. Nie tylko w szkole. Również na ulicy. To, że w szkole wydarzyło się nieszczęście, w które była – ich zdaniem – uwikłana, mimo wszystko nie odebrało jej posłuchu. Przynajmniej nie u wszystkich.

Dyrektorka rozejrzała się w poszukiwaniu Damiana. Nigdzie go nie widziała, a przecież syn miał bezpiecznie **odholować** nową do Stróżówki. Nie zrobił tego czy co? No ale nic. Teraz nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Nadszedł czas, by wejść do restauracji i ocenić sytuację. Czy ciało zniknęło, jak zawsze, czy trzeba się szybko pozbywać jakichś szczątków. Właśnie po to, żeby ktoś z zewnątrz się na nie nie natknął, jak przed chwilą **nowa**.

To, że Julia Wilk coś tam zobaczyła, nie było straszną tragedią. I tak w końcu trzeba będzie ją wtajemniczyć w sytuację miasteczka. Warto jednak zrobić to spokojnie. A przede wszystkim wtedy, kiedy nie będzie mogła już Wieszcz opuścić. Wtedy nie będzie miała wyjścia, będzie musiała zrobić to, co jej każą.

– Spokojnie – zwróciła się Eliza władczo do ludzi. Plotki i wiadomości miały dziwną tendencję plenić się w miasteczku dosłownie na poczekaniu. – Zaraz sprawdzę, jak wygląda sytuacja.

Nie mogła winić tych ludzi, że się boją. Wszystko działa się inaczej niż zazwyczaj. Bibiana miała wybrać kogoś wczoraj do północy. Nie zrobiła tego. Pierwsza osoba, która się przeciwstawiła wieszczemu. Nikt nigdy nie zdecydował się sam zginąć. Zawsze ktoś kogoś wybierał. Nawet w ostatniej chwili. Wola życia zwyciężała nad wyrzutami sumienia. Wybrana osoba umierała kolejnej nocy. Tym razem jednak wieszcy nie czekał do wieczora i zaatakował w dzień. Do tej pory wydawało się, że kiedy na niebie świeciło słońce, miasteczko należało do ludzi. Dopiero kiedy zaszło, stawało się jego królestwem. A teraz nie było wiadomo, co dalej.

– Będą kolejne wybory? – zapytał ktoś. – Może już dziś? Za karę?

No i zaczęło się, pomyślała dyrektorka niechętnie.

– Nie mam pojęcia. Dajcie mi przejść. Postępujemy po kolei.

Zacząła się przepychać przez gęstniejący tłumek. Chciała nie tylko zobaczyć, co zostało z Bibiany, ale też zorientować się, w jakim stanie jest **nowa**. Krzyczała tak, że słycać ją było aż w szkole. Na tej podstawie można łatwo wywnioskować, że w restauracji został jakiś fragment ciała Bibiany. Może dlatego, że wieszcy w dzień dysponował zdecydowanie mniejszą mocą. Nadal morderczą, ale jednak nie taką, żeby nie pozostawiając śladów, wysłać kogoś w nicość. Gdyby Bibiana zupełnie się rozplynęła po tym, jak krzyknął, Julia Wilk nie miałaby powodów, żeby tak panikować. Prosta dedukcja.

Dyrektorka przyspieszyła kroku. Ludzie się przed nią rozstępowali, zadowoleni, że ktoś zaraz się wszystkim zajmie. Oby tylko nie było za wcześnie, żeby to miejsce zaczęło oplatać Wilk swoimi mackami. Jak **nowa** im teraz zwieje, cały plan legnie w gruzach. Eliza nie chciała do tego dopuścić. Reszta Rady traktowała to jako kolejną próbę ratunku. Ona patrzyła na to inaczej, bo sprowadzili tu tę dziewczynę z jej inicjatywy.

Dyrektorka wpadła na ten pomysł, kiedy nadzorowała remont Stróżówki. To było tak, jakby ktoś jej wcisnął to do głowy i nie chciał odpuścić. Początkowo wydawało jej się to szaleństwem, ale czy nie żyli tu wszyscy w szaleństwie? Przeszukała Internet i znalazła sposób, żeby sprowadzić tu tę kobietę. A co najzabawniejsze, **Julia Wilk** myślała chyba, że przyjechała tu z własnej woli. Dobrze sobie. Była pewna, że przechytrzyła Elizę idiotycznie napisanym CV i mądrymi minami. Nie wiedziała, że to ona sama została przechytrzona. Że dyrektorka zaangażowała znajomą, która ją tu zwabiła, podsuwając jej ogłoszenie. No cóż, wkrótce się dowie.

– Przepraszam – powiedziała Eliza uprzejmie, przepychając się pomiędzy kolejnymi mieszkańcami Wieszcz. Teraz nadciągali już zewsząd i znów ciężko było się przebić.

Przy drzwiach do restauracji zobaczyła policję. Bardzo dobrze. Ich mundury zapewnią odrobinę spokoju. Ludzie – nawet ci z Wieszcz – bardziej się hamowali, kiedy widzieli funkcjonariuszy. Może nie wybuchnie panika. Raczej nie. Komendantka Manuela

Czajkowska była naprawdę wielką kobietą. **Imponującą**. Kiedy widziało się jej metr dziewięćdziesiąt bez obcasów i mięśnie jak u kulturysty, od razu odechciało się robienia jakichś numerów. Może dlatego Eliza napomknęła jej, że **nowa** przyjechała z Warszawy – choć w CV Julii Wilk widniało inne miasto. W porę jednak dyrektorka ugryzła się w język. Ufała Manueli, ale pewne rzeczy musiały pozostać w tajemnicy. Przynajmniej jeszcze jakiś czas.

– Rozejść się – rozkazała właśnie policjantka. – O, pani dyrektor.

– Czego się tam można spodziewać? – zapytała Eliza, kiwając głową w stronę restauracji.

– Niczego dobrego – mruknął drugi z funkcjonariuszy.

Eliza znała Kornela Landa doskonale. Był kiedyś jej uczniem, zresztą tu wszyscy się znali. Nigdy nie był wysoki, ale rodzice mieli nadzieję, że z czasem podrośnie. Pozostał jednak niższy nawet od dyrektorki szkoły. Nie mówiąc już o jego szefowej. Kornel sięgał Manueli nieco powyżej pępka. Było w nim jednak coś takiego, co powodowało, że ludzie z nim również woleli nie zadzierać. Wyczuwali, że coś niebezpiecznego czało się pod tą niezbyt imponującą posturą.

– Gdzie jest moja nowa nauczycielka?

– Pan Albert ją zabrał. Był przed sklepem i pierwszy tu dotarł, jak zaczęła krzyczeć.

Eliza skinęła głową z aprobatą.

– Chcesz zajrzeć do środka, zanim zabierzemy ciało?

– Czyli jest ciało – bardziej stwierdziła niż zapytała dyrektorka. – Tak podejrzewałam.

– Tak – odparła krótko komendantka.

Wymieniły znaczące spojrzenia. Dzisiaj wszystko było nietypowe i trzeba przygotować się na ewentualne zmiany. Choć oczywiście to mógł być jednorazowy wybryk i wszystko wróci do status quo.

Weszła do restauracji za Manuelą. Otoczyły ją zapachy przypraw. Zawsze przyprawiały ją o ból głowy, więc nie pozwalała Bibianie stosować ich w szkolnej stołówce. Restauratorka miała bzika na punkcie ziół. Eliza zupełnie się na nich nie znała. Całe życie dbała o linię, a pożywienie stanowiło dla niej jedynie paliwo. Nie skupiała się na smaku czy fakturze. Ważne, żeby dzięki posiłkowi mogła odbyć trening i poprowadzić lekcje. Nie wiedziała, czy specjały Bibiany są orientalne, czy pochodzą z jakiejś innej strony świata. Nie obchodziło jej to, a jedynie rozpraszało. Zwłaszcza teraz.

– Tu jest – wyjaśniła policjantka.

Dyrektorka spojrzała na zmasakrowane ciało restauratorki. Skinęła głową bez słowa. Mniej więcej tego się spodziewała, bo już raz się z czymś takim zetknęła. Tylko wtedy ofiara przeżyła. Jako jedyna ze wszystkich, których imię wykrzyczał wieszczy.



Mimo że Julia przed przyjazdem do Wieszcz zamordowała człowieka, nigdy nie widziała trupa. Była jednak pewna, że nie powinien tak wyglądać. Nie umiała znaleźć odpowiednich słów, żeby opisać to, co zobaczyła. Bibiana Zielińska leżała w kącie restauracji jakby roztopiona. A może **rozmazana**? Tak, to było chyba lepsze określenie. Jakby restauratorkę ktoś najpierw narysował, a potem zaczął ścierać obrazek gumką. Brzegi ciała były roztarte, ręce i nogi jakby rozciągnięte. Twarz ledwo dało się rozpoznać. Sterczały tylko te jej krzaczaste brwi. Jak jakiś groteskowy żart.

Julia nie wytrzymała i zaczęła krzyczeć. Wrzeszczała z całych sił nie wiadomo jak długo. Może kilka sekund, może upłynęły minuty, a może godzina.

– Już dobrze, już dobrze.

Nie wiedziała, ani jak długo krzyczała, ani kiedy pojawili się ludzie. W jednej chwili była w restauracji sama, w drugiej ktoś wyprowadzał ją na zewnątrz, mrużąc pocieszająco. Była tak zszokowana, że zupełnie straciła poczucie czasu. Gardło paliło ją żywym ogniem.

– Spokojnie, już dobrze.

Rozejrzała się, jakby wybudzona ze snu. Dopiero teraz zauważyła, że wspiera się na ramieniu starszego pana w fartuchu. Kojarzyła go skądś. Kilka minut zabrało jej zrozumienie skąd. Widziała go przed pawilonem ze sklepem i punktem aptecznym naprzeciwko szkoły. Prowadził ją teraz w tamtą stronę, uspokajając dobrotliwie.

– Zaraz dam pani herbatki na gardło – powiedział. – Mieszkam nad sklepem. Nazywam się Albert Tabaczyński. Prowadzę sklep i aptekę. Jeszcze nie mieliśmy okazji się poznać, ale słyszałem, że jest pani nową nauczycielką, prawda?

Odwróciła się gwałtownie w stronę restauracji, ignorując jego pytanie.

– Tam... tam... – Dławiła się niemal.

Przed kolorowym budyneczkiem kłębiło się coraz więcej osób. Zauważyła też radiowóz i dwójkę funkcjonariuszy. Kobieta była bardzo wysoka. Przypominała aktorkę, która wcieliła się w Brienne z Tarthu w serialu na podstawie *Gry o tron*. Jej kolega był niemal o połowę mniejszy. Zdawał się kopia młodego Woody'ego Allena. Rozmawiała z nimi Eliza Kowalczyk. Dyrektorka rozglądała się, ale chyba nie zauważyła Wilk.

– Zajmą się tym wszystkim, spokojnie – zapewnił Julię sklepikarz. – Zaraz się pani poczuje lepiej. Musi pani trochę ochłonać. Jestem pewien, że to było okropne przeżycie.

– To... Ona... to... Ta Bibiana...

– Spokojnie, już spokojnie.

Julia nie umiała znaleźć słów. Dała się więc bezwolnie prowadzić Albertowi, jak mała dziewczynka. Mimo to zauważyła, że przed budynkiem szkoły stoi Gustaw. Woźny opierał się na miotle i marszczył zrosnięte brwi. Na moment ich oczy się spotkały. Zobaczyła w nich dokładnie to samo, co widziała we śnie. Nadal jednak nie mogła rozgryźć tego spojrzenia.

## Bruno Machulski

W miasteczku na razie panował chaos. Bruno wiedział jednak, że to się zaraz zmieni. Zostanie zaprowadzony porządek. Bądź co bądź śmierć była w Wieszczech częstym gościem i mieszkańcy do niej przywykli. Wszystko dziś przebiegło inaczej. Pewnie stąd to zamieszanie. Każdy chciał wiedzieć, co i jak się stało.

Kiedy policjanci wyjeżdżali z komisariatu z włączonym sygnałem, Bruno przez chwilę myślał, że Manuela Czajkowska i Kornel Land jadą po niego. Serce biło mu z taką szybkością, że miał niemal pewność, że dostanie zawału. Czy nastolatki mogą mieć zawał? Pewnie mógłby wyszukać informację w Google, ale nie to było mu teraz w głowie.

– Możemy pójść popatrzeć? – zapytali niemal chórem młodszy bracia.

– Nie – uciał Bruno stanowczo. – Nie ma na co patrzeć. Pani Bibiana nie żyje. Wiecie, jak to się u nas odbywa. To zwykłe wybory, nic więcej.

– Wcale nie takie zwykłe... – marudzili.

Oczywiście, mieli rację. O tym wszyscy dziś rozmawiali w szkole. Nikt nic nie wiedział, bo kiedy krzyczał wieszcz, obowiązywał zakaz zbliżania się do miejsca ataku przez co najmniej kilka godzin. Trzeba było poczekać. Wyglądało jednak na to, że pani Bibiana nikogo nie wybrała. Wolą umrzeć niż kogoś skazać na śmierć. Było w tym poświęceniu coś niesamowitego. Bruno zawsze lubił panią Bibianę. Teraz chyba jeszcze bardziej. Szkoda, że już jej nie będzie... Tak trudno było powstrzymać się od rozmów o tym. Ale instrukcje były jasne. Przy nowej nauczycielce ani słowa. Dzieci w Wieszczech wiedziały, że takich zakazów łamać nie wolno. Ona była z zewnątrz.

Jak on nienawidził śmierci. Nienawidził wieszczego! Jego tatę też zabrał. Gdyby tata nie został wybrany, gdyby każdy odmawiał wieszczemu... Może byłoby inaczej... Dlaczego dorośli nie mogą się skrzyknąć i zbuntować? Czy to takie trudne?

Westchnął. Wiedział, że trochę go poniosło i jest niesprawiedliwy wobec dorosłych mieszkańców miasteczka. Nie chodziło tylko o strach. Wieszcz mógł zabić ich wszystkich. Tak się stało chyba w latach pięćdziesiątych czy tam kiedyś. Nie pamiętał dokładnie. Dla niego to była prehistoria.

Wieszczy wpadł w szal, wtedy to mu się zdarzało, i wykrzyknął nazwę całego miasteczka. Umarli wszyscy, którzy byli w zasięgu jego piekielnego głosu. Przetrwali tylko ci, którzy akurat byli w pracy w Brodnicy albo na jakimś krótkim wyjeździe. Mieli szczęście. Pozostali mieszkańcy pochowali nieszczęśników na cmentarzu w lesie. Nie mogli zakopać ich wszystkich pod kościołem w normalnych kwaterach. Oficjalnie przecież nic się tu nie działo. To wiedziały nawet najmłodsze dzieciaki, które się tu urodziły. Ludzie z zewnątrz nie mogli wiedzieć, co tu się odbywa.

A potem ci, którzy ocalili, normalnie tu mieszkali. Musieli się dwoić i troić, żeby ukryć przed światem tyle zgonów, ale im się udało. Ludziom z Wieszcza zawsze się udawało. To miasteczko niby znajdowało się na terenie Polski, ale jakby na jakiejś wyspie, zaśmiał się

w duchu chłopak. Ich kontakty z Brodnicą i dalszymi miastami były jedynie pozorne. Jak raz się tu zamieszkało, to się wsiąkało. I tyle. On nawet nie znał życia poza Wieszczami. Tu się urodził i tu pewnie umrze. Czy wytrzymałby gdzieś dalej na dłuższą metę? A może by oszalał, jak to się działo z tymi, którzy próbowali się stąd wyrwać? Pewnie tak. Albo by się udusił, jak ryba, którą wyciągnięto z wody.

Ci, którzy wyjeżdżali na przykład na studia, szybko wracali. Niektórzy wytrzymywali nieco dłużej, nawet do zdobycia dyplomu, ale w końcu i tak zamieszkiwali z powrotem tutaj. Pracowali w Brodnicy, ale na noc zawsze byli w domu. Ci, którzy usiłowali z tym walczyć, w końcu popełniali samobójstwa.

Nikt nie umiał wyjaśnić, co takiego było w ich miasteczku. To było szczególne miejsce. Przerazające – nie tylko dlatego, że teraz mieli tu wieszczego, który zmuszał ich do przerażających wyborów. To ledwie mały pikuś wobec magii tego miejsca.

Mama zawsze powtarzała, że to głupoty. Jakby nie wierzyła w wieszczego. Twierdziła, że to zabobony. Mimo że co rusz ktoś umierał. Może tak się osłaniała? Dorośli bywali tacy bezbronni.

– Ale wszyscy tam idą! – marudzili bracia. – Zapytamy mamę! Ona nam pozwoli.

– A to, że wszyscy śmieją w lesie, ma znaczyć, że i wy będziecie śmiecić? – uciał natychmiast Bruno.

Młodszy brat poskrobał się po czole, jakby intensywnie myślał.

– No nie, bo mama zawsze mówi, że to brzydko.

Bruno pokiwał głową. To, co mówi mama, było dla dzieciaków Machulskich ostatecznym prawem. Całe szczęście. Nie musiał wdawać się w tłumaczenia. A przynajmniej na razie nie musiał.

– Tak że koniec dyskusji, rozumiemy się? – oznajmił ostro, żeby przypieczętować sprawę.

Nie chciał, żeby bracia plątali się przy restauracji. Kto wie, co się jeszcze będzie działo. Zwykle umierała jedna osoba – oczywiście nie licząc incydentu, kiedy wieszczy wpadł w szal i zabił całe miasteczko. Ale może i to się zmieni?

Zresztą już kiedyś był taki przypadek. Nie mówiło się o tym wprost, ale wszyscy wiedzieli, że pan Damian Kowalczyk przetrwał atak wieszczego, podczas gdy oboje jego rodzice umarli. Oboje! Jednej nocy! To się nie zdarzało – oczywiście nie licząc incydentu w latach pięćdziesiątych. Zawsze jedna śmierć. Wybrano, zdaje się, tylko ojca pana Damiana, ale matkę spotkał ten sam los. No i jak to wyjaśnić? Może zwyczajnie się nie da, uznał Bruno, choć podskórnie czuł, że tkwi w tym jakaś tajemnica. Zdarzały się więc anomalie. A skoro były, to lepiej, żeby bracia nie kręcili się teraz przy restauracji. Może znów zdarzyć się coś nieprzewidzianego.

Swoją drogą z panem Damianem to była dziwna sprawa. Rodzice zginęli, a on zniknął. Wszyscy myśleli, że spotkał go ten sam los. Tymczasem jako kilkuletni chłopiec pojawił się na progu domu Elizy Kowalczyk rok po tragedii. Podobno nic nie pamiętał, ale Bruno czasem przyglądał się angielskie podczas lekcji i miał wrażenie, że nauczyciel coś ukrywa.

Nawet kiedy uczył ich zwyczajnego czasu przeszłego, w jego oczach był jakiś szczególny błysk. Reszta dzieciaków uwielbiała Kowalczyka. Zwłaszcza dziewczyny. Ale Bruno miał nosa. W synu dyrektorki było coś **innego**. Nawet pachniał jakoś inaczej niż pozostali ludzie. Był inny. I to wcale nie z powodu pana Alberta. Tylko że jedynie Bruno zdawał się to chyba dostrzegać!

- Co będziemy jedli? – zapytał najmłodszy z braci, wyrywając nastolatka z zamyślenia.
- Macie jedzenie w kuchni. Weźcie sobie. Ja muszę iść do Maksa.

Maksa wszyscy się bali. I bardzo dobrze. Póki Bruno ma obok siebie Maksa, póty nic jego rodzinie nie grozi. Nawet jeśli ktoś w końcu zorientuje się, co nastolatek wykrada ze szkoły i co robi na strychu. Jeśli ktoś chciałby go dopaść albo o cokolwiek oskarżyć, będzie musiał najpierw zmierzyć się z Makssem.

To Brunona trochę uspokoiło. Niech ludzie z miasteczka oglądają sobie restaurację. Niech się tam kręcą. A on tymczasem spokojnie zajmie się tym, co było w tym momencie najważniejsze.

## 15

### Julia Wilk

Starszy pan poprowadził Julię po schodach z boku pawilonu ze sklepem. Były drewniane i skrzypiały przy każdym kroku. Normalnie być może zmartwiłaby się, czy utrzymają ich ciężar, ale teraz było jej wszystko jedno. Chciała odpocząć i zapomnieć, co przed chwilą zobaczyła.

Zwłoki... Nie, takie rzeczy nie mogą stać się z ludzkim ciałem. Ciało było... Poczula, że zbiera jej się na wymioty. Co je tak... roztarło? Gdzie się podziała krew? Była tylko jedna jedyna kropelka. Jakby wnętrzości restauratorki zniknęły i została sama powłoka. Paradoksalnie to wydawało się jeszcze gorsze, niż gdyby wszędzie wystawały poszarpane jelita i inne organy wewnętrzne. Może dlatego, że zdawało się takie nienaturalne. To, co Julia zobaczyła, przeczyło wszelkim prawom przyrody i chyba dlatego jej umysł nie potrafił sobie z tym poradzić.

Pochyliła się i zwymiotowała prosto na schody.

- Przepraszam... Ja bardzo przepraszam...
- Nic nie szkodzi – zapewnił dobrotliwie Albert. – Damian zaraz sprzątnie. Jest chyba w domu. A ja przygotuję herbatkę. Tak krzyczałaś, biedulko, pewnie cię boli. Będę ci mówić na ty, chyba nie masz nic przeciwko?

Julia zupełnie zapomniała o zdartym gardle. Przez moment nie myślała też o Bibianie. Nie czuła nawet kwaśnego posmaku wymiocin w ustach.

- Damian? – zdziwiła się. – Mieszkacie razem?

Ona też porzuciła formę grzecznościową.

– Tak, to mój mąż. – Albert się zaśmiał, widząc jej reakcję. – To znaczy oczywiście nieformalnie. Wiadomo, jak to u nas w kraju jest. Ale tak, mieszkamy razem jak mąż z mężem.

Wiedziała, że powinna powściągnąć to mało kulturalne wścibstwo. Nie było to łatwe. Takiego związku tu na prowincji się nie spodziewała. Wieszcze były doprawdy zaskakujące. Wyglądało na to, że dwójka mężczyzn mieszkała sobie spokojnie nad sklepem i nikt się tym szczególnie nie interesował. A przecież z tą tolerancją bywało różnie nawet w dużych miastach.

A może bardziej zaskoczyło ją to, że Damian i Albert zupełnie do siebie nie pasowali. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Nauczyciel skojarzył jej się z bawidamkiem, który uwielbia rzeźbić swoje ciało na siłowni, żeby zaimponować kobietom. Poza tym przy tablicy z ogłoszeniami zdawało jej się, że dosłownie pożera ją wzrokiem. Wygląda na to, że jego spojrzenie oznaczało coś zupełnie innego, a ona uległa stereotypom i wyobraziła sobie coś, czego nie było. Zezłościła się sama na siebie. Zaraz jednak opanowała ją podejrzliwość. Dlaczego Damian ją taksował? Czemu tak ją oceniał, skoro nie chodziło o sprawy seksualne?

– No chodź, dziewczyno. Musisz odpocząć.

Albert wprowadził ją delikatnie do mieszkanca nad sklepem. Było niewielkie, ale urządzone ze smakiem. Meble z Ikei mieszały się z kolorowymi obrazkami i bibelotami kupionymi pewnie na wyprzedażach. Styl trochę pomiędzy skandynawskim a industrialnym z mieszanką etnicznego. Wszystko doskonale do siebie pasowało.

Na ścianach zauważyła liczne wspólne zdjęcia Alberta i Damiana. Na większości patrzyli sobie w oczy i uśmiechali się do siebie. Na niektórych stroili głupie miny, na innych się wdzięczyli. Na wszystkich wydawali się szczęśliwi. Poczowała zazdrość.

– O, cześć – rzucił Damian, kiedy ją zauważył. – Dobrze, że jednak wróciłem do domu. Wszedłem dosłownie przed chwilą, bo jeszcze byłem w szkole i poprawiałem trochę zadań domowych. Straciłbym takiego gościa! Dobrze, że w końcu resztę prac wziąłem tu ze sobą.

Siedział przy stole w kuchni i najwyraźniej sprawdzał jakieś testy.

– Dami, idź sprzątnąć schody, skarbie, dobrze? – poprosił Albert. – Mieliśmy mały wypadek, wchodząc.

Julia poczuła, że się rumieni. Myśl, że Damian będzie sprzątał to, co przed chwilą wymiotowała, wydawała jej się jeszcze gorsza niż to, co zobaczyła w restauracji. Ogarną ją głęboki wstyd.

– Ja to zrobię... – bąknęła.

– Ciiii – uspokoił ją Albert, sadzając ją na krześle, które właśnie opuścił Damian.

– Nie ma sprawy. Jestem nauczycielem od nastu lat, niejedno widziałem i sprzątałem na szkolnych wycieczkach – zapewnił Damian. – Lecę po mopa i zaraz to załatwię. Już dobrze. Słyszałem, co się stało w restauracji. Widziałem na grupie facebookowej miasteczka.

– Ja akurat wyszedłem na spacer i usłyszałem twój krzyk, dziewczyno – wyjaśnił Julii Albert, kiedy Damian poszedł posprzątać.

Z zewnątrz słychać było pogwizdywanie nauczyciela. Syn Elizy zachowywał się, jakby ścierał kurze, a nie sprzątał rzygowiny. Julii znów zrobiło się głupio. Była pewna, że jest teraz cała czerwona na twarzy. Chciała zniknąć, a jednocześnie nie wyobrażała sobie, żeby miała teraz stąd wyjść. Nie chciała być sama. Dokąd miałyby iść, gdyby stąd uciekła? Nikogo tu nie znała. No oprócz Agnieszki. Ale nie były jeszcze przyjaciółkami od serca, żeby miała do niej popędzić po pocieszenie. Albert i Damian byli zupełnie obcy, ale sklepikarz roztaczał wokół siebie aurę ciepła i bezpieczeństwa. Był trochę jak ojciec, którego tak Julii brakowało.

Starszy pan postawił przed nią kubek parującej herbaty. Potem dolał jeszcze mleka. Kojarzyło jej się to z babcią, która też kiedyś w ten sposób przygotowywała herbatę. A właściwie bawarkę, bo tak to się chyba nazywało. Upiła długi łyk.

– Uważaj, bo gorące. Słodzisz?

Pokręciła głową.

– Tak myślałem. Wy młodzi życie teraz tak zdrowo. Znaczy bardzo dobrze. Bardzo dobrze. Sam przygotowuję witaminy dla Damiego. Lubię robić naturalne leki. Nie na wszystko dostanie się specyfików wśród tych z hurtowni. Tę herbatę też sam...

– Zrobione – przerwał mu Damian, wchodząc.

Uśmiechnął się do Alberta. Ten odpowiedział tym samym. Już na pierwszy rzut oka widać było, że łączy ich nie jakieś powierzchowne uczucie, ale naprawdę silna więź. Miłość i przyjaźń. Julia znów im pozazdrościła. Byli chyba najmniej pasującą do siebie parą, jaką w życiu poznała. Albert zdawał się starszym panem, choć być może miał niewiele więcej niż siedemdziesiąt lat. Damian za to był typowym pakerem z siłowni. Na pewno nie miał więcej niż czterdzieści. Jeden staromodny, drugi nowoczesny. Żadnych punktów wspólnych.

A jednak to były tylko pozory. Wystarczyło popatrzeć, jak się do siebie odnosili. Julia pomyślała o wszystkich swoich dotychczasowych relacjach. Nigdy nie poznała kogoś, kogo mogłaby nazwać bratnią duszą. Ciągłe była w trakcie poszukiwań, kiedy wydarzyło się to, co zmieniło jej życie o sto osiemdziesiąt stopni. Tamten mężczyzna strasznie ją skrzywdził. Fatalna pomyłka. A potem morderstwo. Zabiła swojego dręczyciela, chociaż wcale tego nie planowała.

Jak na razie nikt jej nie powiązał z jego śmiercią. Choć niektórzy sugerowali nieśmiało, że mogła maczać w tym palce. Dlatego właśnie postanowiła zniknąć. Czowała, że nie ma innego wyjścia. Lepiej się ulotnić, póki nie będzie za późno. Po jakimś czasie sprawa przycichnie, a gadanie zbyt ciekawskich zostanie włożone pomiędzy teorie spiskowe. Może to nie będzie nawet trwało tak długo, pocieszała się.

To, jak zabiła tamtego mężczyznę, było prawie równie niewyobrażalne jak śmierć Bibiany Zielińskiej... Wspomnienie ciała restauratorki znów przyprawiło Wilk o mdłości. Odstawiła kubek z bawarką.

– Wszystko w porządku? – zapytał Damian, wrywając ją z zamyślenia. – To znaczy, jak na okoliczności. Może masz ochotę na świeżo wyciskany sok zamiast tej herbatki? Albercik

wszystkim wciska swoje napary, a jest tak gorąco, że pijąc to, człowiek czuje się jak w saunie.

Sklepiarz dał swojemu partnerowi całkiem mocnego kuksańca. Nauczyciel się zaśmiał.

– W porządku, jest bardzo dobra – zapewniła. – Dziękuję.

Na chwilę zapadło milczenie. Mężczyźni uśmiechali się do niej krzepiąco, ale nieoczekiwanie niepokój powrócił. Poczuli, że nie zniesie dłużej tej ciszy.

– Ten Gustaw tak po prostu stał tam przed szkołą – powiedziała. To było pierwsze, co przyszło jej do głowy. – Czy on w ogóle wie, co się stało z jego matką?

Mężczyźni wymienili ukradkowe spojrzenia, ale zdążyła je zauważyć. Nie podobało jej się to. Byli tacy mili, ale coś tu nie grało. Tak jak w tym miasteczku.

– Nie przejmuj się tym – powiedział Albert. – Gustaw to specyficzny chłopak.

Specyficzny. Czy takiego określenia użył wcześniej Damian? Nie pamiętała. Może nauczyciel powiedział, że woźny jest dziwny. Dziwny, ale nie niebezpieczny, podkreślił wtedy. Czy na pewno? A te bandażę na dłoniach?

Nie, to bzdury. Przyśniło jej się, że zakopywał grób, i od razu jej się wydaje, że w ten sposób poranił dłoń. A przecież facet pracował fizycznie. Może nawet z łopatą. Ale na terenie szkoły, a nie gdzieś na jakimś dziwnym cmentarzu w środku lasu.

– O, niech Dami pokaże ci swoje strażackie zbiory – zawołał Albert nagle rozradowany. – Nie wiem, czy wiesz, ale mój mąż działa w naszej ochotniczej straży pożarnej.

Głos aptekarza aż ociekał dumą.

– Oj tam, oj tam, wielkie mi rzeczy – zaśmiał się nauczyciel, choć widać było, że pochwała sprawia mu przyjemność.

Julia uśmiechnęła się grzecznie. Nie miała ochoty na oglądanie tych pamiątek. Za to straż pożarna przypomniła jej o innej formacji mundurowej.

– Policja pewnie będzie chciała mnie przesłuchać. Może powinnam tam wrócić? Znalazłam ciało i...

– Manuela i Kornel widzieli, że zabieram cię do siebie, dziewczyno – przerwał jej aptekarz.

– Bez problemu cię znajdą, jak będą potrzebowali. Teraz muszą tam zrobić swoje czary na miejscu zbrodni. Sama wiesz. Ja się niewiele na tym znam. Prędzej Dami. W straży pożarnej też się takie **rzeczy** zdarzają.

Nie użył słowa *trupy*, ale wszyscy wiedzieli, co ma na myśli. No właśnie – pożar, przebiegło Julii nagle przez myśl. Może ciało Bibiany wyglądało w ten sposób, bo zostało spalone? Tylko że w restauracji Wilk nie widziała ani dymu, ani nadpalonych mebli. Może więc Bibianę tam podrzucono, a zabito gdzie indziej. Tylko dlaczego?

– Albercik to taki skromniś. A jest niczym detektyw – zaśmiał się Damian. – Mieliliśmy ostatnio trochę kradzieży w sklepie i kupił ramkę z ukrytą kamerą. Mój James Bond.

Starszy pan machnął ręką.

– Ktoś kradnie? – zdziwiła się Julia. – Myślałam, że w takich małych miastach jest spokojniej. Tu przecież wszyscy się znacie.

– Oj, już nie wracajmy do tego tematu – powiedział Albert. – Masz rację, dziewczyno. Tu się wszyscy znamy. Podejrzywałem więc, kto kradnie, i dzięki kamerze to się potwierdziło. Zostawmy ten temat, bo czasem niektórzy są w trudnych sytuacjach. Kilka produktów, które mi znikną ze sklepu, mniejsza o nie. Gorzej z wybitą szybą. Ale i z tym sobie poradziłem. Zostawiam teraz otwarte drzwi, żeby nie musieli wybijać. Czekam, a potem, jak jest po wszystkim, to zamykam. Po sprawie, a ktoś tam nie jest głodny.

– Taki to już jest ten mój Albercik.

Damian pochylił się w stronę starszego pana i pocałował go delikatnie w policzek. To sprawiło, że Julia znów poczuła się strasznie samotna. Nikt nigdy jej nie całował z taką czułością. Nagle zapragnęła wrócić do domu. **Dawnego** domu, dawnego życia.

Jej emocje zmieniały się jak w kalejdoskopie. Raz nie chciała być sama, raz nie marzyła o niczym innym, mimo że zazdrościła tej dwójce ich relacji. Unikanie patrzenia na szczęście innych jest małostkowe, uznała. Tylko co z tego. Nigdy nie była aniołem.

– Wróć już do siebie – mruknęła.

Bibiana nie żyła, więc nikt chyba nie będzie jej nachodził. Niebezpieczeństwo mógł nadal stanowić Gustaw, ale woźny dziś raczej nie przyjdzie. Bądź co bądź umarła jego matka. Są jakieś granice. Nawet dla takich jak on.

Julia pomyślała o jego dziwnym spojrzeniu, kiedy stał przed szkołą. Przypominało jej trochę to, co zobaczyła w jego oczach w swoim dziwnym śnie. Czy mogła być pewna, że ten człowiek ma jakiś kodeks? Może uzna, że śmierć matki śmiercią matki, a warto znaną pisarkę naciągnąć na trochę pieniędzy.

No dobrze, odezwał się głosik w jej głowie, ale nawet jeśli Zielińscy cię rozpoznali, to skąd niby wiedzą, że się ukrywasz. Skąd wiedzą, że wiele byś im zapłaciła, żeby nikt się nie dowiedział, kim naprawdę jesteś? To chyba oczywiste, prychnęła niemal, wystarczy fakt, że przyjechała tu i przedstawiała się cudzym imieniem i nazwiskiem. Nie trzeba Sherlocka Holmesa, żeby wywnioskować, że się ukrywa.

– Nie chcesz się przespać u nas? – zapytał Albert. – Może przygotuję kolację. Pościelimy ci na kanapie. Naprawdę jest wygodna!

Już pora kolacji? Za oknem słońce chyliło się ku zachodowi. Czas mijał tak szybko. Wydawało jej się, że gubi całe godziny.

– Nie, nie. Poradzę sobie.

Albert przyjrzał jej się sceptycznie.

– Dami, weź samochód i...

– Nie trzeba. Poradzę... – zaczęła znowu.

– Nie będziesz w takim stanie chodziła taki kawał – przerwał jej natychmiast starszy pan.

Chciała zapewnić, że dla niej to nie jest daleko, ale zrezygnowała. Czowała się strasznie zmęczona i myślała o tym, że Damian odwiezie ją pod sam dom, była całkiem kusząca. Poza tym nie będzie musiała mijać pieszko tego tłumu przy restauracji. Samochodem przemkną i w kilka minut będzie w domu. Nie chciała z nikim rozmawiać. A już najmniej z policją.



Wiedziała, że w końcu musi do tego dojść – była świadkiem, ale lepiej nie dziś. Woląa odsunąć to jak najdalej w czasie. Przynajmniej do momentu, kiedy zbierze myśli.

Damian pomógł jej zejść po stromych drewnianych schodach i zaprowadził na tył pawilonu. Znajdowało się tam niewielkie, ale bardzo zadbane podwórko. Pośrodku zaparkowano zdezelowanego opla astrę kombi. Aż się uśmiechnęła. Auto zupełnie nie pasowało ani do wymuskanego mieszkanka tej pary, ani do ich podwóreczka. Nie pasowało też zresztą ani do Alberta, ani tym bardziej do Damiana.

Nauczyciel pochwycił chyba jej spojrzenie, bo powiedział:

– Albecik czasem wozi zaopatrzenie naszą furką. Opel nie jest najmłodszy, ale daje sobie radę nawet z wybojami.

Skinęła tylko głową. Szczerze mówiąc, nie miała ochoty na rozmowę. W tej chwili chciała wrócić do domu. Dom? To znów ten głosik w głowie – przecież tam się dzieją dziwne rzeczy. Ciągłe czuje się obserwowana, miewa osobliwe sny, a potem budzi się ze stopami zabrudzonymi błotem, mimo że nie wychodziła... Tak, **dom**, pomyślała gniewnie. Nie miała obecnie nic innego jak tylko ten ceglany budynek.

Musiała dwa razy trzasnąć drzwiami, żeby zamek astry zaskoczył. Obawiała się, że samochód nie odpali, ale o dziwo z tym akurat problemów nie było.

– No to jedziemy – powiedział Damian wesoło. Jakby ruszali na rodzinną wycieczkę do Disneylandu.

Wyjechał na plac i zamiast pojechać w prawo, jak się tego Julia spodziewała, skręcił w lewo.

– Ale... – zaczęła.

– Pojedziemy połą drogą. Pomyślałem, że dosyć masz dziś oglądania restauracji.

W tym akurat miał absolutną rację. Nie odpowiedziała, tylko skinęła głową. Zmusiła się za to do uśmiechu, bo tak chyba wypadało. Przecież jej pomagał. Jechali przez miasteczko i skręcili na połą drogę. Im dalej odjeżdżali od centrum, tym bardziej miała wrażenie, że wydarzenia tego dnia stają się nierealne. To było bardzo oczyszczające. Przymrużyła oczy, bo mimo że jechali na wschód, zachodzące słońce ją raziło. Odetchnęła głębiej. Będzie dobrze, pocieszyła się w duchu.

Resory astry protestowały głośno, kiedy stary samochód podskakiwał na wybojach. Julia otworzyła oczy. Widziała już przed sobą ścianę lasu, przy której przycupnął jej nowy dom. Nagle cały spokój minął. Z jednej strony czuła ulgę, że jest blisko. Z drugiej zaś obawy związane z tym miejscem stawały się teraz wręcz namacalne – to wielkie zwierzę, możliwość, że Gustaw będzie się chciał w nocy zakraść, żeby ją straszyć, uczucie bycia pod ciągłą obserwacją...

– Wszystko w porządku? – zapytał Damian.

Rozważała przez chwilę, czy nie powiedzieć mu o nocnym najściu Bibiany i o tym, że być może ona i jej syn bawili się w straszenie nowych mieszkańców miasteczka, ale się powstrzymała. Nie dlatego, że nie chciała wyjść na panikarę. Raczej woląa się już od tego

odciąć. Wiedziała, że strategia: *nie będę mówić o problemie, to znaczy problemu nie ma*, nie jest najlepszym wyjściem. W tej chwili jednak o to nie dbała.

– Przez te pola to tak naprawdę nie jest skrót – odezwał się Damian, kiedy wyjeżdżali na ślepą uliczkę, gdzie przycupnął jej ceglany dom. – Jest dalej, ale spokojniej, jeśli ktoś potrzebuje chwili dla siebie.

– Jasne.

– Chcesz, żebym wszedł i się rozejrzał?

W pierwszym momencie chciała się zgodzić, zaraz jednak znów pojawiła się podejrzliwość. Przecież nie wiedział o jej przejściach, dlaczego pytał o coś takiego? Miała ochotę dać kuksańca swojemu wewnętrznemu upartemu głosikowi, który ciągle szukał dziury w całym. To była zwykła uprzejmość z jego strony. Dlatego o to pytał.

– Nie, poradzę sobie – powiedziała w końcu.

– Jak chcesz. W takim razie do jutra.

– Do jutra.

Wysiadła z astry i popędziła do drzwi. Było już prawie ciemno. Gdyby nie reflektory samochodu, trudno byłoby jej trafić kluczem do dziurki. Wzdrygnęła się na wspomnienie swojej ostatniej walki z tym zamkiem. Stwór, który najpierw śmiertelnie ją przestraszył, a potem uznała go za wytwór wyobraźni, teraz znów zdawał się czaić gdzieś w ciemności. Równie przerażający jak wcześniej. Był tu czy go nie było? Wątpliwości powróciły, bo teraz nie mogła odegnąć od siebie nasuwającego się porównania. Martwe ciało Bibiany zdawało się jakby rozmazane. Ta istota, która być może była tu rano, również sprawiała wrażenie nieforemnej i jakby rozmazanej. To chyba nie przypadek.

A może sobie to wszystko wmówiłaś, starała się przekonać samą siebie, bo ze strachu znów zbierało jej się na mdłości. Ręce jej drżały i po raz kolejny nie mogła sobie poradzić z zamkiem. Ciemność wokoło zdawała się ją oblepiać. Była jak ciężka smoła, w której Julia tonęła. Całe szczęście reflektory astry oświetlały ganek, a Damian znajdował się dosłownie kilka metrów od Julii.

Odetchnęła, kiedy zamek szcęknął i drzwi się otworzyły. Włączyła światło w holu. Odwróciła się i pomachała Damianowi, żeby dać mu znać, że wszystko jest w porządku. Odmachał i wycofał z podjazdu. Astra pomknęła w stronę ulicy Głównej. Nauczyciel wolał pewnie nie wracać polami w ciemności, a może chciał przejechać obok restauracji i popatrzeć. Ludzie z reguły bywali ciekawscy. Ileż śmierci mogli zaznać w takiej mieścinie? Tu się przecież nic nie działo. Tu się umierało ze starości, a nie w wyniku jakichś dziwnych okoliczności.

Julia spojrzała na dom Agnieszki Szymańskiej. W oknie na dole się świeciło, czyli sąsiadka wróciła już z pracy. To dodawało otuchy. Były tu we dwie. Wilk zamknęła za sobą drzwi. Stała przez chwilę w przedpokoju i nasłuchiwała. Dom był cichy i spokojny. A jednak znów czuła, że ktoś ją obserwuje.

– Nikogo tu nie ma – oznajmiła Julia głośno i wyraźnie. Jakby stanowczy ton głosu miał przesądzić o tym definitywnie.

Zero odpowiedzi. Bardzo dobrze. Dokładnie tak, jak powinno być. Nikogo tu nie ma, a więc nie otrzymuje odpowiedzi. Gorzej, jakby ktoś się odezwał, zachichotała nerwowo. Stała tak niepewna, co dalej. Zrobiło się późno i powinna zjeść kolację. Jednak nie miała apetytu.

W końcu uznała, że najlepiej będzie się położyć. Sen z reguły przynosił ukojenie. No chyba że znów przyśnią jej się koszmary. Poszła na tył domu. Na schodach nadal leżały porzucone bez sensu przedmioty. Na ten widok zrobiło jej się zimno. Skarpetka, tusz do rzes, okulary przeciwsłoneczne, kawałek kartki z gryzmołem, nieco już przejrzałe jabłko, długopis i notes. Nic strasznego, a jednak fakt, że nadal tam były, sprawiał, że teraz chciała stąd uciec. Zupełnie o nich zapomniała.

– Co za panikara ze mnie – warknęła sama do siebie.

Zrzuciła przedmioty na podłogę i pobiegła na górę niczym rozgniewane dziecko. Nie myślała nawet, tylko wskoczyła do łóżka i nakryła głowę kołdrą. Jakby ta mogła zapewnić jej ochronę przed całym złem i wszelkimi niewiadomymi.

## 16

*Znów przyglądam się, jak ta młoda kobieta śpi. Położyła się, tak jak przyszła, i zakryła głowę kołdrą. Przez chwilę chcę unieść przykrycie i znów pogłodzić jej twarz, poczuć bijące od niej ciepło życia. To uzależniające. Jak najlepszy trunek. Zwłaszcza po tylu latach od własnej śmierci.*

*Całe szczęście moja moc się odradza. Wszystko dzięki temu, że w Wieszczach pojawiła się na chwilę stara Babiańska. Podeszła do ściany domu. Nasłuchiwała. Była na tyle blisko, że mnie czuła i może nawet rozpoznała. Nie w obecnej postaci, ale tej sprzed kilkudziesięciu lat, ludzkiej. To dodało mi mocy. Od tamtej chwili jest jej we mnie więcej i więcej. Sama Babiańska żyje, choć powinna dawno umrzeć. Jest uwięziona w jakiejś pokracznej długowieczności. Nie przeszkadza mi to, choć w gruncie rzeczy jest odpychające. Ba, o okropieństwach wiem zdecydowanie zbyt wiele, żeby przykładać wagę do takich rzeczy.*

*Bardziej mierzi mnie coś innego. Babiańska tkwi w swoim ciele. Miała mały Dar. Dało się go wyczuć, kiedy przybyła tu z mężem. Uciekła stąd, kiedy Cezary zginął. A przecież stąd nie da się odejść, kiedy raz się tu zamieszka. Nigdy dobrze się to nie kończy. Rozmienia teraz swoją magię na kuglarskie sztuczki. Jedną z nich wciska nawet tej pulchnej dziewczynie, która mieszka obok. Chwaliła się. Gardzę tym. Ale jednocześnie jej pojawienie się mnie rozbudziło. Jest moją przeszłością. I ta przeszłość staje się moją kotwicą.*

*Jest też moim kontaktem ze światem obecnym. I dzięki niej dowiaduję się o kobiecie, która mieszka teraz w Stróżówce. Zofia Babińska gadała o wszystkim. Wspomniała o niej przelotnie. Gdzieś wyczytała o podejrzeniach wobec niej i o tym, co niektórzy ludzie mówili. Przypadkowe gadanie starej baby, a dla mnie objawienie. Odpowiedź na to, co trzeba zrobić. Jaką planuję przyszłość dla miasteczka.*

*Nachylam się nad śpiącą. Potrafię wnikać do czyjejś głowy i sprowadzić na niego szaleństwo, radość, ułudę. Mogę zrobić wszystko, kiedy ktoś śpi. To kolejny mój dar, oprócz przeskakiwania w czasie i przestrzeni.*

*Patrzę na jej sylwetkę kryjącą się pod kołdrą. Ciemność już mi nie przeszkadza. Dla zmarłych to nic takiego. Widzą równie dobrze w dzień i w nocy.*

*Pochylam się. Jestem tuż obok twarzy tej młodej kobiety. Dzieli nas tylko kołdra. Nie przeszkadza mi to. Dziś nie dam jej snu. Nie zrozumiała go, choć wydawało mi się, że wysłanie jej na cmentarz jest dobrym pomysłem.*

*A skoro sen nie zadziałał... Dziś będzie dosłowniej. I poleje się krew. Tęgo nie da się uniknąć.*

*Odsuwam delikatnie kołdrę moją widmową dłonią. Nie jest to konieczne, ale nie mogę się powstrzymać. Chcę ją czuć, a potem zaczynam szeptać...*

*Cicho, bardzo cicho:*

*– Aż do krwi... aż do krwi.*

*Uśmiecham się, kiedy Julia Wilk porusza się niespokojnie, a potem siada na łóżku. Oczy ma otwarte, ale nadal śpi.*

*Zrobi to!*

*Wiem, że to zrobi!*

# ROZDZIAŁ IV

## 1

### Julia Wilk

Julia obudziła się nagle. Świtało. Dzień dopiero się budził. Rzadko wstawała o tej porze, ale wczoraj położyła się niedługo po zachodzie słońca. Nic dziwnego, że dziś budzik nie był jej potrzebny. Leżała na wznak, wpatrując się w sufit. Tańczyły na nim cienie liści. Spojrzała w stronę okna w dachu. Gałązka jednego z drzew delikatnie je muskała, jakby dąb głaskał dom – może z miłości, jak kochanek, a może na pocieszenie.

Czuła się spokojna. Nie śniło jej się nic szczególnego. A przynajmniej nie pamiętała ani skrawka nocnej mary. Żadnych cmentarzy z kwitnącymi jabłoniemi, żadnych szkolnych woźnych rozkopujących czy też zakopujących groby. Szczerze powiedziawszy, była zaskoczona, że nie prześladowała jej wizja dziwnie zdeformowanego ciała restauratorki.

Kiedyś czytała, że każdej nocy coś nam się śni. Nawet jeśli tego nie pamiętamy. Zależy, tłumaczył autor, w której fazie snu się zbudzimy. Poza tym jeśli nie śni się nam nic szczególnego, to mózg pewnie tego nie zapamiętuje.

Odetchnęła z satysfakcją. Lubiła takie leniwe poranki, kiedy sama z siebie budziła się przed nawoływaniem budzika. Miała wrażenie, że nadal można bezkarnie odpoczywać. Leżała spokojnie, słuchając porannych koncertów wiosennych ptaków. Miło było wreszcie korzystać z uroków tego miejsca.

W końcu zaburczało jej głośno w brzuchu. Ten zwyczajny, komiczny wręcz dźwięk jeszcze bardziej poprawił jej humor. No tak, przecież wczoraj nie zjadła kolacji, tylko pobięła przerażona na górę. Teraz organizm domagał się paliwa.

Usiadła na łóżku i z miejsca ogarnęło ją poczucie, że coś jest nie tak. Zastygła i zaczęła rozglądać się po pokoju. Nie zauważyła nic szczególnego. Wtedy jej wzrok padł na kroplę krwi na pościeli. Czyżby dostała okresu? Nie, to jeszcze nie był ten czas. Ale może to przez te emocje. Hormony wtedy szaleją. Mogło zacząć się wcześniej.

Nie, chyba nie, ale czy to nie zwyczajny paproch? Wyciągnęła rękę, żeby się przekonać. Wtedy zobaczyła swoje dłonie. Wydała nieartykułowany krzyk. Opuszkę wskazującego i środkowego palca prawej ręki pokryte były zaschniętą krwią. Uniosła dłoń powoli, żeby się przyjrzeć. Zobaczyła, że skórę ma pozdieraną. Nie pamiętała, żeby się tak zraniła! Kiedy to się stało?!

Wyskoczyła z łóżka i pobiegła do łazienki, żeby to od razu przemyć. Chwytała się prozaicznej myśli, że ranę trzeba zdezynfekować, żeby nie wdało się zakażenie. To było lepsze niż zastanawianie się, skąd ta rana w ogóle się wzięła.

Kiedy tylko wpadła do łazienki, zobaczyła napis. Był duży – niemal od sufitu do podłogi.  
MUSISZ PISAĆ.

Wielkie koślawe litery wymalowane krwią. Czy to ona wymalowała te dwa słowa? Jeśli tak, musiała jeździć palcami po ścianie, aż zdarła sobie naskórek. Czyżby popadała w obłąd? Osunęła się na kolana. Trwała tak bez ruchu przez kilka sekund. Potem znów krzyknęła na całe gardło. A przynajmniej taki miała zamiar, bo tym razem jej usta nie wydały żadnego dźwięku. Krtań miała bowiem tak ściśniętą, że wydobywał się tylko zdławiony, pełen przerażenia i bezsilności charkot.

## 2

### Gustaw Zieliński

Gustaw Zieliński omiół wzrokiem swoje mieszkanie na strychu szkoły. To był taki rytuał. Nigdy o nim nie zapominał, kiedy wychodził. Upewniał się w ten sposób, czy wszystko jest w porządku. Nie chciał, żeby ktokolwiek się dowiedział, co gromadzi tu u góry. Wątpił, żeby ktoś wpadł na pomysł, żeby się tu wkraść, ale lepiej dmuchać na zimne.

Żeby dostać się do jego królestwa, trzeba było przejść przez cały strych. Było tu duszno, gorąco, a kurz sprawiał, że cały czas chciało się kichać. Zazwyczaj dzieciakom takie rzeczy nie przeszkadzały. Wykorzystywały takie zapomniane miejsca do swoich celów. On jednak dość skutecznie wybił im z głowy migdalenie się tu, popalanie papierosów i inne głupoty. Chcą to robić, niech sobie idą gdzieś indziej. Strych należał tylko do niego.

Wiedział, jak wygląda. Zrosnięte brwi, demoniczne oczy, szerokie krzywe ramiona. Ludzie z reguły się go bali. Bardzo mu to odpowiadało. Dla większości był tylko osiłekowatym idiotą. Nedorozwiniętym woźnym, który nie wiadomo, jak się zachowa. Nie przeszkadzało mu to. Niech tak zostanie. Tak jest zdecydowanie lepiej.

Zamknął drzwi na klucz i przeszedł przez strych. Starał się nie kichać, mimo że zawsze kręciło go w nosie, kiedy pokonywał tę trasę. Zatrzymał się jeszcze u szczytu drewnianych schodów i spojrzał za siebie. Wydawało mu się, że w ciemności strychu ktoś się kryje. Czyżby jednak nie wystraszył dzieciarni wystarczająco skutecznie?

– Wyłazić mi jedno z drugim do kurwy nędzy – warknął.

Żadnej odpowiedzi. Nawet najmniejszego dźwięku. Skrzypienia legarów dachowych nie liczył. Był do niego tak przyzwyczajony, że nawet już go nie słyszał.

– No dalej – ponaglił.

Nic. Dziwne. Może naprawdę nikogo tu nie ma i instynkt go zawiódł? Pomyślał o matce. Wprawdzie nie żyła. Tylko że czasem to ludzi nie powstrzymywało przed powrotem. Słyszał

niejedną historię na ten temat. A już zwłaszcza w ich stronach! Był jednak pewien, że w jej przypadku o czymś takim nie ma mowy. Nie po tym, jak rozprawił się z nią wieszczy. Nikt oczywiście nie miał jak tego zbadać, ale wyglądało na to, że usłyszenie, jak wykrzykuje twoje imię, oznaczało kres wszystkiego.

Poczuł gniew. Kopnął z całej siły jakieś pudło. Poleciało z trzaskiem w półmrok strychu. W środku było szkło. Pękło z głośnym brzękiem. Przez szczeliny w kartonie posypały się odłamki. Nie interesowało go to. I nikogo innego też nie zainteresuje, bo choć odgłos był bardzo głośny, na dole na pewno nikt go nie usłyszał. Do gabinetu dyrektorki było za daleko, a dzieciaki nie zwracają na takie rzeczy uwagi.

No chyba że ktoś jednak był tu na górze. Gustaw zrobił kilka kroków, zostawiając schody za sobą. Nasłuchiwał. Żadnego poruszenia, żadnego odgłosu. Zupełnie jak przedtem. A jednak nadal miał poczucie, że nie jest tu sam.

– Wylaź! – zawołał po raz ostatni. Więcej nie zamierzał się kłopotać. Może śmierć matki zanadto go wyczerpała i tak naprawdę nikogo tu nie ma. – Jeśli tu jesteś, to informuję, że schodzę na dół. Zaraz możesz wyleźć z ukrycia.

Mogło to zabrzmieć idiotycznie, ale wołał to powiedzieć. Schody ciągle skrzypiały i jęczały, ale on umiał się po nich poruszać niemal bezszelestnie. Jeśli ktoś się tu ukrywa, może tak siedzieć i czekać do usranej śmierci. I w sumie Gustaw powinien na to pozwolić. Chciał jednak wykazać się choć odrobiną dobrej woli. Poza tym ten ktoś pewnie i tak będzie spodziewał się pułapki, a przez to posiedzi w swojej kryjówce długo. Jego strata. A nawet jeśli spróbuje dostać się do mieszkanca Gustawa, to mu się nie uda.

Woźny włożył wielką dłoń do kieszeni i wymacał klucz. Bandaże ciągle mu się zsuwały, ale rany zdążyły zaschnąć. Dotyk klucza napełnił go spokojem, choć nie zmniejszył gniewu. A **spokojny gniew** był najgorszy. Dawał iluzję, że panuje się nad sytuacją, a gdyby mu się uległo, można było naprawdę marnie skończyć. Pod jego wpływem Gustaw na przykład miał wielką ochotę wrócić na cmentarz. Powtarzał sobie jednak, że teraz to prawdopodobnie szczególnie niebezpieczne.

Zszedł po schodach. Bardzo cicho. Mimo potężnej sylwetki poruszał się zwinnie. Nie mógł wrócić na cmentarz. Nie, póki nie wiedział, po co przyjechała ta **nowa**. Dlaczego się tam zjawiała w noc przed wizytą Bibiany. W miasteczku mówiło się, że będzie na miejscu dzień później.

Kiedy zobaczył ją na cmentarzu, jeszcze nie wiedział, że to ona. Myślał, że to jakaś iluzja. Był zmęczony przewalaniem ziemi. Mogło mu się ubzdurać, że ktoś na niego patrzy pomiędzy grobów. Ale nie! Jakimże szokiem okazało się, że to ona, kiedy potem niemal wpadła na niego w korytarzu szkoły. I jeszcze jak na niego patrzyła. Wyzywająco. Co wiedziała i co zamierzała? Gustaw chciał się tego dowiedzieć. Za wszelką cenę. Bardzo prawdopodobne, że to Rada sprowadziła tu nową.

Gustaw główkował nad tym intensywnie. Starał się nie myśleć o tym, że matka nie żyje. Wiedział oczywiście, co postanowiła: że nie wybierze nikogo, a więc sama zginie w tej

makabrycznej gierce, do której zmuszał ich wieszczy. Miał czas się przygotować. Ale czy można całkiem się przygotować na śmierć kogoś tak bliskiego? Oczywiście nie raz się kłócili. Ale to zapewne normalne w każdej rodzinie. A bliskich docenia się najbardziej, jak się ich utraci.

Pomyślał o wieszczym. Ludzie różne rzeczy gadali. Niektórzy mówili, że zabił własną matkę. Dla takiego okrutnika to pewnie nie było trudne. Tylko jak potem z tym żyć?

### 3

## Julia Wilk

Z przerażenia wyrwał Julię dźwięk budzika. Wstała za wcześnie, a potem zapomniała wyłączyć alarm. Zawsze wywoływał nieprzyjemne skojarzenia. Zwiastował bowiem koniec odpoczynku. Teraz ostry dźwięk sztucznie wesołej melodyjki zadziałał nieoczekiwanie kojąco. Wstała z kolan. Omijała wzrokiem wstrętny napis. Szkarłatne litery na ścianie łazienki zapisane jej pismem, jej krwią. Czy ona oszalała?

Spokój minął i ogarnęło ją nieprzyjemne uczucie. A jeśli naprawdę postradała zmysły? To by wiele wyjaśniało – chociażby to, że widywała potwory. A może nawet wymyśliła sobie wizytę Bibiany Zielińskiej. Czy mogła to wykluczyć? Po namyśle z przestachem przyznała, że chyba nie.

Być może zobaczyła restauratorkę przed jej lokalem, kiedy ta zamiatała. Wilk musiała przejeżdżać ulicą Główną, jak tu po raz pierwszy jechała. To mogło się stać wtedy. A potem wyobraziła sobie, że ta właśnie kobieta wkrada się do jej nowego domu. Być może Gustaw był przed restauracją razem z matką. To by z kolei tłumaczyło, dlaczego Julia potem o nim śniła. Widziała go wcześniej, choć nie zwróciła na to uwagi, i podświadomie zapamiętała jego charakterystyczną twarz. To możliwe... Zadrzała. Wszystko składało się w całość. Niestety bardzo niepokojącą.

**Musisz pisać**, głosił krwawy napis na ścianie łazienki. Co to, to nie! Przez jej pisanie przelało się za wiele krwi. Odkręciła kran i umyła zakrwawioną dłoń. Rany na palcach już prawie się zasklepiły. Napis musiał więc powstać niedługo po tym, jak się położyła. Na pewno nie nad ranem. Poczwała, że po policzkach płyną jej łzy. Najbardziej bała się szaleństwa. Jej poprzednie życie niemal ją do niego doprowadziło. Myślała, że już się z tym uporała. Że uciekła. A tymczasem okazywało się, że nie.

Co z tego wszystkiego było prawdą, a co sobie wymyśliła? Nie miała możliwości zapytania kogoś, czy też to widział, bo była chyba najbardziej samotną osobą w promieniu wielu kilometrów.

Zaczęła sumować fakty. Niezaprzeczalnie to było jej pismo, choć nie pamiętała, żeby to pisała. A jeśli tak, to stwora na podjeździe prawdopodobnie w ogóle nie było. Ani w postaci



hologramu, o który podejrzewała Bibianę, ani tym bardziej prawdziwego. To mogła być halucynacja.

No i najważniejsze: stan ciała Bibiany Zielińskiej. Julia była pewna, że zostało stopione albo jakoś **rozmazane**, tylko że mogła to dopowiedzieć jej wyobraźnia. Rozbudzona wcześniejszymi zdarzeniami. A może nawet wyrzutami sumienia po morderstwie, którego dokonała w poprzednim życiu.

A może ciała Bibiany w ogóle nie było?

– Nie! To już przesada – zaśmiała się w głos Julia.

Tego sobie na pewno nie wyobraziła. Widziała tłum żądnych krwi gapiów gęstniejący przed restauracją, widziała policję. Na pewno była też w mieszkaniu Alberta i Damiana nad sklepem. Tego sobie nie wyobraziła!

*Musisz pisać. Musisz pisać. Musisz pisać.* Słowa kołatały jej się po głowie jak echo w jakiejś olbrzymiej jaskini.

– Nie – powiedziała znów do siebie.

Zabrzmiało to nieoczekiwanie spokojnie. Sama była zaskoczona swoim nagłym opanowaniem. Wyszła z łazienki. Napisu nie próbowała zmyć. Demony, nawet jeśli własne, chcą cię nastraszyć. Cóż może bardziej je zdenerwować niż to, że zupełnie je zlekceważysz? Starła się więc zachowywać, jakby krwawe graffiti ani trochę jej nie poruszyło. Może i zwariowała, ale warto wyjść z tego z podniesioną głową. Chociażby dla samej siebie. *Fake it till you make it.*

Ubrała się zatem i zeszła na dół. Poszła prosto do kuchni, żeby zrobić sobie śniadanie. Niedługo powinna wyjść do pracy, ale przygotowanie owsianki nie zajmie dużo czasu. Takie danie było zdrowe i pożywne. Przydadzą jej się dobre kalorie. O tak. Mieszała parującą miazgę, w którą zmieniały się płatki, z determinacją, jakiej by się po sobie nie spodziewała. Sięgnęła do lodówki i wyjęła dwa jabłka. Wcześniej w siatce były trzy, ale jedno leżało przecież na schodach. No i co z tego? Miała to gdzieś! Pokroiła owoce w kostkę i wrzuciła do płatków. Wymieszała łyżką. To musi wystarczyć, bo nie ma czasu, żeby bardziej się postarać. Zaczęła szybko jeść, siorbiąc wodę z kranu. Podobno można taką pić, choć to był pierwszy raz, kiedy się na to zdecydowała. Opanował ją jakiś dziwny hardy nastrój. Nie zamierzała się poddać. Nawet jeśli to w niej samej tkwił problem.

**Zwłaszcza** jeśli to w niej samej tkwił problem.

Z zamyślenia wyrwał ją dzwonek do drzwi. Z powolnym spokojem odłożyła miseczkę z resztą owsianki na blat. Jej ulubiony szczęśliwy kubek stał na ociekaczu jakby nigdy nic. A więc nawet to, że wcześniej go tam nie było, najwyraźniej sobie uroiła. Przenoszący się z kanapy na łóżko telefon być może również.

– Już idę! – zawołała, kiedy dzwonek się powtórzył.

Na wszelki wypadek wyjrzała przez judasz. Na ganku stała Agnieszka Szymańska oparta o kijki do nordic walking. Chyba zauważyła poruszenie w środku, bo uniosła rękę do wizjera i pomachała. Julia otworzyła drzwi.

– Cześć – zawołała sąsiadka z szerokim uśmiechem.

Jej pulchna twarz aż promieniała pozytywną energią. Należała chyba do ludzi, którzy we wszystkim widzą tylko dobre strony. I super. Julia zazdrościła jej odrobinę tego podejścia. A zazdrość może być motywująca. Wilk uznała, że wykorzysta ją w ten sposób. Powinna brać przykład z sąsiadki, zamiast marudzić. Nie będzie rozhisteryzowaną damą w opresji. Złapie byka za rogi.

A jeśli te dziwne rzeczy będą jej się dalej przydarzać, może nawet pójdzie do psychiatry sprawdzić, czy z jej głową wszystko w porządku. W Brodnicy na pewno jest jakiś terapeuta. Przecież te zdarzenia i wizje mogły być wynikiem traumy. Bądź co bądź w swoim poprzednim życiu została zaatakowana i wykorzystana przez niepoczytalnego mężczyznę. Może to jakaś forma stresu pourazowego?

Przeszłość znów stanęła jej przed oczami. Jej psychofanowi należała się kara. To niewątpliwe. Ale czy śmierć? I czy to ona powinna ją zadać? Dokonała niejako samosądu. Tylko że wcale nie planowała tego robić. Nie wiedziała, że posiada takie umiejętności. Dla niej tamten tekst miał być terapią. Nie przejmowała się stylistyką ani fabułą, wylewała z siebie emocje, a na koniec dokładnie opisała śmierć gwałciciela. Nie wiedziała, że go zabije samym pisaniem. Skąd mogła wiedzieć?

– Hej! Ziemia do Julii – zażartowała Agnieszka, pstrykając palcami tuż przed jej oczami.

– A tak, co mówiłaś?

– Mówiłam, że piękny dzień i może znów się razem przejdziemy do centrum. Co ty na to?

– Jasne. Chętnie. Będzie mi miło.

Dość rozważań o przeszłości. Trzeba skupić się na kwestiach bieżących. Najpierw warto ustalić, co się wydarzyło naprawdę, a co jest ewentualnie tylko jej wyobrażeniem. Może powinna ostrożnie wypytać Agnieszkę o śmierć Bibiany? Intuicja podpowiadała jej jednak, że lepiej nie. Można poczekać z pytaniami i najpierw sprawdzić, czy na restauracji wisi taśma policyjna. Będą tamtędy za chwilę przechodziły. Wtedy będzie można jakoś naturalnie nawiązać do sprawy.

Ruszyły ślepą uliczką niespiesznym krokiem. Dyskutowały o głupotach i Julia stopniowo się uspokajała. Powtarzała sobie w duchu, że wszystko będzie dobrze, a nieco trajkoczący głos sąsiadki działał kojąco. Nie szkodzi, że ledwo Agnieszki słuchała.

Jeszcze tylko kawałek i będą przy restauracji. Wilk wbrew sobie zwolniła kroku. Zaraz się przekona.

– Coś się stało? – zapytała Agnieszka wyraźnie zaniepokojona. – Boli cię noga?

– Nie, nie – zapewniła Julia, siłąc się na wesołkowaty ton.

Wcale nie było jej do śmiechu. Miała przed sobą budynek, w którym wczoraj widziała lokal Bibiany. Wyglądało jednak na to, że meksykańskiej restauracji w ogóle tam nie było. Żadnego ogródka z pomalowanymi w jaskrawe kolory drewnianymi meblami, żadnych napisów z menu na oknach, żadnego krzykliwego szyldu. Julia poczuła, że robi jej się

niedobrze. Restaurację też sobie wymyśliła? Nie, to niemożliwe. Aż tak chyba nie zwariowała?!

– Na pewno? – zapytała Agnieszka. – Teraz jeszcze zbladłaś. Martwię się.

Tym razem Julia wychwyciła w jej głosie fałsz. Sąsiadka wydawała się zatroskana, ale czy nie przyglądała jej się, jakby oceniała jej reakcje? A może popadasz w paranoję, powiedział cichy głosik w głowie Wilk.

Paranoję? O nie, pomyślała Julia z satysfakcją. Z tej odległości dostrzegła już na szybach ślady po startym markerze do szkła. Nad drzwiami widać też było jaśniejszy prostokąt w miejscu, gdzie wcześniej wisiał szyld. Ktoś najwyraźniej uprzątnął to miejsce i chciał sprawić, żeby wyglądało, jakby restauracji Bibiany tu wcześniej wcale nie było. Julia nie miała pojęcia, dlaczego i kto miałby to zrobić. Myśl, że ktoś mógł się posunąć do czegoś takiego, napawała ją przerażeniem. Jednocześnie czuła niewymowną ulgę. Może nie zwariowała, tylko trafiła na jakiś spisek! Wszystko to zdawało się absurdalne, ale ktoś kiedyś powiedział, że doświadczanie paranoi nie wyklucza, że ktoś naprawdę cię śledzi. A jeśli tak, to chyba znalazła się w jakiejś koszarnej matni.

– Tak, na pewno. Wszystko okej – zapewniła, patrząc prosto w słodkie oczy Agnieszki. Choć przecież nic nie było w porządku. – A jak tam twoja szefowa?

Minęły kamieniczkę, w której jeszcze wczoraj znajdowała się restauracja. Julia udawała, że się nie przygląda, ale starała się wychwycić jak najwięcej szczegółów. Zauważyła na przykład kilka zapomnianych płatków kwiatów, które Bibiana poustawiała przed swoim lokalem, żeby bardziej go ożywić. Sprzątano niedokładnie. Pewnie na szybko.

– U pani Wiktorii w porządku – zaczęła paplać Agnieszka. – Choć czasem mam wrażenie, że już więcej nie udźwignę. Formalnie jestem tylko asystentką, ale może będę potrzebowała własnej asystentki, jak tak dalej pójdzie.

– Czemu ona nie wychodzi z domu? – zapytała Julia wprost.

Dyrektorka szkoły twierdziła, że to tylko plotki, choć sama Agnieszka poinformowała o tym Wilk już wczoraj. Ciekawe, co powie dziś. Może coś odwrotnego, niż twierdziła ostatnio. Julia zaczynała podejrzewać, że w Wieszczach każdy absurd jest możliwy. Przecież ktoś do cholery jasnej zlikwidował restaurację, jakby jej tu w ogóle nie było!

– Eeee, chyba po prostu ma jakąś agorafobię czy jak się to nazywa.

Przez chwilę szły w milczeniu.

– Zawsze tak było?

– Nie. Ale czasem tak jest, że człowiek ma jakieś trudne przeżycia i potem... no cóż, wariuje.

Julia nie spojrzała na Agnieszkę. Czy w jej głosie znów nie czaiła się fałszywa nuta? To miała być jakaś sugestia albo przytyk do sytuacji z psychofanem? Przecież sąsiadka nie mogła wiedzieć o napisie w łazience ani o przeszłości Julii, ani tym bardziej o przemyśleniach Wilk sprzed chwili.

A może wiedziała przynajmniej o części tego wszystkiego? Tylko skąd?

## Eliza Kowalczyk

Eliza Kowalczyk zamknęła okno. Zawsze zostawiała je otwarte, bo nienawidziła zaduchu. Usiadła sztywno przy dyrektorskim biurku w swoim gabinecie. Z całych sił udawała spokój, choć miała nieprzyjemne uczucie, że ktoś naruszył jej przestrzeń. To było bardzo ulotne wrażenie, a jednak wyczuwalne. Dokumenty leżały niby w tych samych miejscach, a jednak odrobinę przesunięte. Jakby ktoś w nich grzebał, ale bardzo starał się być niezwykle dokładny w odłożeniu ich na miejsce. Czuła straszny gniew. Nienawidziła, kiedy ktoś dotykał jej rzeczy.

Być może jakiś uczeń chciał wpisać sobie lepsze oceny? Powszechnie wiadomo, że dzienniki czasem trafiały do niej, a nie do pokoju nauczycielskiego. Lubiła je przeglądać. Po krótkim namyśle uznała, że to nie to. Dla pewności je przekartkowała. Miała doskonałą pamięć, więc zauważyłaby, gdyby ktoś majstrował przy ocenach. Była mistrzem w dostrzeganiu takich fałszerstw. Nie musiała się nawet starać – nigdy nie były dobre. To przecież tylko dzieciaki, a nie Arsène Lupin.

Rozejrzała się raz jeszcze po gabinecie, próbując wykryć jakiś ślad cudzej bytności. Nic. Oprócz tego przykrego uczucia naruszenia prywatności. Rozglądała się coraz bardziej gorączkowo.

Rzadko przeklinała, ale teraz miała na to wielką ochotę. Według jej zwyczajowego rozkładu poranka zaraz będzie musiała przejść do pokoju nauczycielskiego, żeby czekać na pedagogów niczym dobra gospodyni albo majster, który sprawdza swoich podwładnych w fabryce. Musieli pamiętać, że czuwa. Ona w każdym razie nie zamierzała dać im o tym zapomnieć.

Kolejnym punktem było zadbanie, żeby uczniowie nie zapomnieli, na co mogą sobie pozwolić, a na co nie. Odrobina frywolności była w porządku. To dzieciaki. Jednak nie za wiele. Po tym, co się stało wczoraj, Eliza spodziewała się lekkiego rozluźnienia. Śmierć Bibiany była na tyle niespodziana, że uczniowie zapewne jeszcze nie zdążyli odreagować stresu w domach. Zresztą inaczej gada się z kolegami. Była zadowolona, że mimo wszystko sprawy nie wymknęły się chyba spod kontroli. **Nowa** wróciła do siebie, nie uciekła. A więc może uda się wprowadzić w życie plan, który wymyśliła dyrektorka.

Eliza powinna czuć spokój, ale świadomość, że ktoś przejrzał jej rzeczy, zupełnie na to nie pozwalała. No i była jeszcze jedna **drobnostka**. W co gra Agnieszka Szymańska? Wiktoria Sikora jej chyba ufała, ale Elizie nie podobało się, że asystentka przedsiębiorczyni opowiadała **nowej**, że jej pracodawczyni nie wychodzi z domu. Po co? Niby miała w pewnym momencie takie zadanie – rozsiewać plotki – ale przecież w Wieszczach obowiązywała zasada nieopowiadania o niczym obcym, a Julia Wilk nie była jeszcze swoja. Eliza już wcześniej o tym myślała, ale ciągle ją to gryzło. Było w tej niesubordynacji

Agnieszki coś osobliwego. Dyrektorka zanotowała sobie w pamięci, żeby poświęcić temu zagadnieniu trochę czasu później, kiedy już zaczną się lekcje. Uczniowie będą robić rozgrzewkę, a ona rozważy różne możliwości.

Albo może lepiej nie czekać. Wyjęła komórkę i wybrała numer Wiktorii Sikory. Mydlenie sobie oczu, że potrzebuje chwili do namysłu, było niepotrzebne. Od pewnego czasu dyrektorka żywiła pewne podejrzenia. I to nie tylko co do Agnieszki Szymańskiej.

– Czemu dzwoniś tak wcześnie? – zapytała przedsiębiorczyni.

Eliza przewróciła oczami. To była odzywka godna jakiejś rozwydrzonej nastolatki, a nie dojrzałej kobiety interesu.

– Co z tą twoją Agnieszką?! – warknęła bez przywitania. To również było niegrzeczne. Wet za wet.

Po drugiej stronie linii panowała przez chwilę cisza.

– Z moją Agnieszką? – powtórzyła w końcu bardzo powoli Wiktoria Sikora.

– Oj przestań już bawić się w kotka i myszkę. Albo obie coś knujecie, albo ty coś ukrywasz, a ona ci pomaga, albo ona sama coś knuje. Która z tych opcji?

Eliza miała ostatnio wrażenie, że Wiktoria zaczęła działać na własną rękę. Ten dziwaczny pomysł z remontem w rezydencji wydawał się zupełnie nedorzeczny. Sikora zapłaciła za remont Stróżówki i prace wydawały się zakończone, a potem nagle zaprosiła robotników do siebie. Ona! Która przecież nikomu nie powinna się pokazywać! To było szaleństwo!

– Nie wiem, o czym mówisz...

Dyrektorka nie zaszczyciła tego idiotycznego kłamstwa odpowiedzią, po prostu się rozłączyła. Tylko że nawet jeśli Wiktoria i Agnieszka coś kombinowały, razem czy osobno, nadal pozostawało pytanie, kto przeglądał rzeczy Elizy. Żadna z tych dwóch kobiet nie miała możliwości dostania się do gabinetu w szkole. Agnieszka wprawdzie kiedyś tu pracowała, ale po jej odejściu dyrektorka zmieniła zamki w gabinecie. Tak na wszelki wypadek.

Ktoś inny tu myszkował.

## 5

### Julia Wilk

Zadzwoił dzwonek na długą przerwę. Julia musiała przyznać, że dziś lekcje biegły całkiem sprawnie. Może dlatego, że starała się niewiele myśleć. Nie próbowała też już zaciekawić uczniów. Czytała podręcznik słowo w słowo z cynicznym zadowoleniem z siebie. Wy tak gracie, to ja zagram tak, miała ochotę im powiedzieć.

Uczniowie byli cisi jak zawsze. Wyglądało również na to, że absolutnie nie robi im różnicy zmiana jej postawy. Czy się starała, czy nie, wszystko jedno. Wilk czuła się zignorowana. Na lekcjach nikt jej nie przeszkadzał, nikt nie hałasował ani nie łobuzował, powinna w gruncie rzeczy się cieszyć. Mimo to z ulgą przyjęła dzwonek na pauzę.

Szła korytarzem i próbowała podsłuchiwać rozmowy uczniów. Milkli ostentacyjnie, kiedy się zbliżała. Czyli nic się nie zmieniło. Na krótkich przerwach w pokoju nauczycielskim działo się to samo. Nauczyciele cichli, kiedy wchodziła. Dlatego już tam nie szła. Miała też pewność, że jest w mniejszym lub większym stopniu przez wszystkich obserwowana. Czowała się jak w filmie z Jimem Carreym, w którym przeżywał swoje życie na oczach widzów. *Truman Show*? Tak, chyba taki był tytuł.

Zdawała sobie sprawę, że gdyby próbowała powiedzieć o tym komukolwiek, zapewne popukałby się w głowę. Znowu brzmiało to jak majaczenia jakiejś wariatki. Ba, sama przecież zwątpiła na chwilę w swoją poczytalność. A jednak czuła na sobie wzrok wszystkich i była pewna, że coś jest nie tak.

Poszła do stołówki, żeby przekonać się, czy **podstawili** (kimkolwiek byli ci oni) kogoś nowego zamiast Bibiany, żeby przekonać Julię, że wcześniejszej restauratorki nigdy tu nie było. Przy kontuarze uwijała się starsza kobieta o siwych włosach związanych w krótki kucyk. Grzywkę spięła wsuwkami, żeby nie wpadała jej do oczu. Wydawała posiłki z dużą wprawą, jakby to nie był jej pierwszy dzień w pracy. To jednak nic nie znaczy, pomyślała Julia. Przecież to mogła być osoba, która pomagała tu wcześniej Bibianie. Może emerytka, może członkini koła gospodyń czy innej takiej grupy.

– Oj, wszystko jedno – mruknęła Wilk do siebie.

Dopiero ze spojrzeń zaskoczonych uczniów wywnioskowała, że powiedziała to na głos. Łypnęła na nich przepraszająco. Zaraz jednak przybrała nieco ostrzejszy wyraz twarzy. Jeżeli będzie wszystkich za wszystko przepraszać, daleko tu nie zajdzie. Nie może dać się wpędzić w przekonanie, że zwariowała. To był jakiś matriks, ale była pewna, że widziała ślady markera na oknach restauracji. No i ten fałszywy ton Agnieszki. To milknięcie uczniów, kiedy mijała ich skupione w kątach grupki.

Co tu się działo? Nic z tego nie rozumiała. Ale w końcu zrozumieć, pocieszała się, bo myśl, że ludzie wokół niej odgrywają jakiś spektakl, w którym ona jest zarówno widzem, jak i być może postacią, która ma odegrać jakąś rolę, była nie do zniesienia.

Pozwoliła, żeby ogarnęła ją złość. To było prawie tak jak wtedy, kiedy usiadła do komputera, żeby napisać o tamtym człowieku, a potem palce jakoś same **wystukały jego śmierć**. Czowała głęboką frustrację. Może dlatego, że naprawdę myślała, że odnajdzie w Wieszczach spokój.

Kiedy psychofan ją zaatakował, wydawało jej się, jakby jej życie się skończyło. Miała szczęście, że ktoś usłyszał jej krzyki. Potem okazało się, że wariat miał w domu pokój wyklejony jej zdjęciami. Tymi dostępnymi w sieci i takimi, które sam zrobił, kiedy ją śledził.

Wcześniej przysyłał jej wiadomości, ignorowała je. Dostawała takich mnóstwo, ale przecież nic nigdy z tego nie wynikało. Ludzie lubili straszyć. Zwłaszcza w mediach społecznościowych. Niestety ten szalenciec przeszedł od słów do czynów.

Potem długo bała się wyjść na ulicę. **Bardzo długo**. Ktoś zawsze musiał jej towarzyszyć. Poza tym czuła się brudna. Myła się kilka razy dziennie, jakby to mogło sprawić, że zmyje

z siebie jego obleśny dotyk. Szorowała ciało, aż skóra robiła się czerwona. Poza tym pod prysznicem nie było widać łez. Mieszały się z ciepłą wodą lejącą na twarz i włosy.

Agent i wydawca namawiali ją na terapię. Nie chciała. Nie wierzyła w jej skuteczność. Mówili, że głupio się uparła. Bardzo możliwe. Woląla inną terapię. Zajęła się tym, co umiała robić najlepiej i co zawsze jej pomagało. Pisaniem. A potem tamten człowiek umarł.

Nie, nie powinna tego tak ujmować. Powinna powiedzieć wprost. **Zabiła go**. Zabiła mężczyznę, który ją skrzywdził. Policja przyszła z pytaniami, ale Julia miała niepodważalne alibi. Jak mogła nie mieć – kiedy tamten zginął, siedziała u siebie w towarzystwie redaktorki. Pisanie w jakiś sposób samo załatwiło sprawę. W końcu funkcjonariusze zostawili ją w spokoju. Miała jednak wrażenie, że i tak patrzą na nią pytająco. Ich spojrzenia mówiły: *Wiemy, że nie zdradzasz nam wszystkiego. Oj, wiemy. Wystarczy jedno potknięcie i mamy cię!* Najśmieszniejsze, że gdyby powiedziała im prawdę, że tak, zabiła faceta, pisząc opowiadanie o jego śmierci, popukaliby się w głowy.

Wycofała się ze stołówki i ruszyła korytarzem. Gustaw Zieliński zmywał właśnie podłogę. Zrośnięta linia brwi zmarszczyła się na jej widok. Poruszał mopem z taką wściekłością, jakby trzymał broń. Albo szpadel. Wzdrygnęła się, próbując odegnąć wspomnienie o niezwykle realistycznym koszmarze, który nawiedził ją pierwszej nocy. Nie miała ochoty mijać syna Bibiany. Jedyne, co przyszło jej do głowy, to wślizgnąć się do auli i tam przeczekać, aż woźny przejdzie. Mogła posiedzieć tam, ile trzeba. Po długiej przerwie nie miała już lekcji. Jej ostatnim zadaniem na ten dzień było poprzehadzać się po korytarzach i pilnować porządku, aż uczniowie wrócą do klas.

– Auli też ktoś musi pilnować, prawda? – mruknęła do siebie z przekąsem.

Zaraz jednak zrobiło jej się głupio. To, że rozmawiała sama ze sobą u siebie w domu, było jeszcze jako tako do zaakceptowania. Ale gadanie na głos w szkole pełnej nieprzychylnych jej ludzi to już zupełnie inna kwestia.

Skąd wiesz, że są nieprzychylni? To znowu ten wewnętrzny głosik. Irytujący adwokat diabła, który musi się we wszystko wtrącać. Zarówno grono pedagogiczne, jak i dzieciaki przypatrywały jej się spod oka, jakby czekały na najdrobniejsze potknięcie. A te cichnące rozmowy? Ukrywali coś przed nią. To, że ukrywają, nie znaczy od razu, że są przeciwko tobie, powiedział głosik. Może mylnie to interpretujesz.

Machnęła zabandażowaną ręką, żeby odegnąć wymądrzający się szept. Pamiętała ostre spojrzenie woźnego. Teraz i wcześniej. Nawet w tym zwariowanym śnie przyglądał jej się, jakby chciał ją zabić. Prawdopodobnie wszedł do jej domu razem z Bibianą. Słyszała przecież jakieś kroki na schodach. Był przeciwko niej, jak nic. Nie podobało jej się to ani trochę. Już woląla tę ciemną aulę.

Wślizgnęła się do pustej sali. Nie chciała zapalać lamp, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Musiało więc wystarczyć światło, które wpadało do środka przez wąskie szpary zbyt małych, jak na tę powierzchnię, okien. Z przeciwległej ściany patrzył na nią portret Wiktorii Sikory. Przedsiębiorczynie podobno wkładała duże fundusze w rozwój tej szkoły. To oznaczało, że

stać ją na filantropię, a więc odnosi spore sukcesy zawodowe. Nijak to Julii nie pasowało do osoby, która kryje się w domu i nie wychodzi do ludzi.

Oczywiście znów mogła kierować się stereotypami. Uznała Damiana za śliniącego się na widok kobiet macho, a tymczasem nauczyciel był człowiekiem całkiem przyjaznym i żył w związku z dużo starszym od siebie mężczyzną. Niby dlaczego zakładać, że Wiktoria Sikora musi wychodzić z domu, żeby prowadzić zakład?

Z drugiej strony Agnieszka wspomniała chyba, że jej mizantropia zaczęła się dopiero jakiś czas temu. Nawet jeśli Szymańska nie powiedziała tego wprost, to Wilk tak to rozumiała. Inaczej asystentka przedsiębiorczynie chyba tak nie narzekała, że działalność zakładu spadła na jej barki. Wiedziałyby, na co się pisze, gdy przyjmowała tę robotę. Coś musiało się zmienić i niejako przykuć Wiktorię do rezydencji. Może faktycznie coś przeszkrobała i ukrywała się zupełnie jak Wilk? Co to mogło być?

Julia podeszła do portretu i przyjrzała mu się uważnie, jakby mógł odpowiedzieć na wszystkie te pytania. Jednak wymalowana na obrazie kobieta milczała.

– A czego się spodziewałaś? – szepnęła znów sama do siebie Julia.

Naprawdę stało się to już nawykiem. Tym jednak nie będzie się przejmować, nie w tej chwili. Teraz, skoro i tak utknęła w tej wielkiej sali sama, trzeba rozważyć to wszystko logicznie i wymyślić jakiś plan.

Wilk nie była przecież uwięziona w Wieszczach. Chociażby teraz mogła wyjść ze szkoły, pójść do siebie, spakować się i wyjechać. Wrócić do poprzedniego życia. Zabiła tamtego człowieka, ale czy ktoś tak naprawdę w to wierzył? W Internecie pojawiło się wprawdzie sporo teorii spiskowych i dziwnych opowieści o niebezpiecznej pisarce. Policja była podejrzliwa, jednak zbywali to wszystko jako opowieści maniaków sił nadprzyrodzonych i innych takich. Funkcjonariusze sprawdzali ją, ale miała alibi, a żadnemu z policjantów nie przyjdzie do głowy podejrzewać, że jej pisanie pozbawiło kogoś życia.

Zgoda. Oprawca Julii zginął dokładnie tak, jak opisała to w swoim opowiadaniu, ale służby zastanawiały się chyba raczej, czy nie pozbyła się mężczyzny w zwyczajny, tradycyjny sposób i być może potem dopiero to opisała. Podobno był kiedyś dziennikarz śledczy, który miał zawsze najlepsze relacje z miejsc przestępstw, a potem okazało się, że sam zabijał. Może podejrzewali coś takiego.

A na to dowodów nie znajdują, bo przecież tego nie zrobiła. Nie wiedziała, jak zadziałało jej pisanie. Mechanizm pozostawał tajemnicą i to ją przerażało. Oznaczało bowiem, że nad tym nie panuje. Dlatego właśnie postanowiła zawiesić karierę pisarską na prowincjonalnym kołku Wieszczy. Ale mogła wrócić. Wydawca i agent byliby zachwyceni. Ba, czekali by z otwartymi ramionami na kolejny tekst. Może z czasem ona też zapomniałaby, że jest morderczynią.

Może nikt z literackich kręgów nie zauważył jeszcze jej zniknięcia. Pójdzie do fryzjera, żeby poprawił tę jej krótką fryzurkę własnej produkcji, i wyjaśni, że to zwykła zmiana image'u. Może nawet przefarbuje włosy na czarno i będzie dawną sobą. Mogła zostawić Wieszcze i wszystkich tutejszych dziwaków w cholere.



To by było łatwe rozwiązanie i jeszcze z niego nie zrezygnowała. Miała jednak poczucie, jakby to miasteczko rzuciło jej wyzwanie. Ci wszyscy ludzie bawili się jej kosztem. Jeżeli stąd wyjedzie z podkulonym ogonem, to będzie znaczyło, że wygrali. Uda im się wmówić jej, że zwariowała. Zdawała sobie sprawę, że szaleństwem jest właśnie dawać się wodzić za nos podszeptom jakiejś urażonej dumy czy cokolwiek to było. Nie umiała jednak odpuścić. Czasem bywała głupio uparta. Cecha, która nie zawsze ułatwiała związki z innymi ludźmi. Julia **chciała** dowiedzieć się, co tu jest grane. Taka była prawda.

No dobrze, a więc zdecydowane – zostaje. Przynajmniej na razie. Skoro to już ustaliła, to co teraz? Policja? To było pierwsze, co przyszłoby pewnie każdemu do głowy. Tylko że w tym też tkwił haczyk. Bibiana powiedziała Julii, że nie powinna iść na policję. Wtedy brzmiało to jak groźba. Im więcej jednak Julia o tym myślała, tym bardziej czuła, że być może się pomyliła i błędnie zinterpretowała intencje restauratorki.

Bibiana powiedziała też, że Wieszcze to niebezpieczne miejsce. Niewykluczone, że chciała Julię przegonić, ale może dlatego, że próbowała ją uratować. Taka interpretacja wydawała się przekonująca. Przecież następnego dnia Zielińska już nie żyła. Może nie chodziło o szantaż po rozpoznaniu w niej pisarki. Może Bibiana naprawdę chciała jej pomóc.

Wilk zatrzymała się w pół kroku, rozważając tę myśl. Znajdowała się dokładnie pośrodku auli. Zamyślona przechadzała się po wielkim pomieszczeniu, nawet tego nie zauważając. Nagle uświadomiła sobie, że słyszy jakiś dźwięk.

– Jest tu kto? – zapytała ostrożnie.

Odpowiedziała jej cisza. Julia znajdowała się teraz za daleko od włącznika światła, żeby po prostu do niego sięgnąć. Musiałaby się ruszyć, a wtedy oddaliłaby się od miejsca, z którego dobiegał odgłos. Instykt podpowiadał jej, że nie powinna. Tam ktoś był i ten ktoś mógłby się w tym czasie **uloć**. Z auli było na pewno kilka wyjść. Oprócz głównego wejścia ze szkolnego korytarza na pewno gdzieś były jakieś boczne drzwi przeciwpożarowe.

– Halo! – zawołała głośnie. Już się nie bała. Teraz rozumiała, co słyszy. Ktoś się tu chował i płakał. Taka osoba nie była raczej niebezpieczna. – Kto tu jest?

Z tyłu pomieszczenia zauważyła stertę materacy do ćwiczeń. Chyba nie było ich tu ostatnio. Może złożono je tu, bo na przykład odmalowywano składzik i wyniesiono stamtąd wszystkie rzeczy. Kto wie.

– Chodź tu do mnie – poprosiła Julia delikatnie. – Porozmawiamy.

Za materacy wyszedł rozczochrany blondyn. To był uczeń, którego przyłapały z Elizą Kowalczyk pod salą chemiczną. Ten, który potem próbował podać Julii pomocną dłoń, kiedy w końcu uciekła z klasy. Jak on miał na imię? Nazwisko jakiegoś znanego aktora. Linda? Zamachowski? Nie, nie. To było coś innego.

– Machulski! – wykrzyknęła.

– Tak, proszę pani – powiedział uczeń natychmiast. – Przepraszam, proszę pani.

Chłopiec nie wydawał się zaskoczony. Uznał chyba, że zwróciła się do niego po nazwisku, bo chciała być władczą. Wyglądał na przestraszonego, ale czuła, że nie tym, czy ona była

despotyczna, czy też nie. Może zażywał tu narkotyki. Na bluzie miał jakiś proszek, może drobiny szkła? Nie znała się na tym, ale słyszała kiedyś określenie *crystal meth*. Czy metamfetamina w kryształkach tak wygląda?

Julia poruszyła się niespokojnie. Jak powinna zareagować? Nie uśmiechało jej się donosić na chłopaka tej demonicznej dyrektorce, ale chyba nie powinna przejść nad tym do porządku. Bruno był dopiero w ósmej klasie. Całe życie przed nim. Poza tym nawet w mroku widziała jego zaczerwienione oczy. Chyba dobrze oceniła dźwięk, który wcześniej usłyszała. Nastolatek płakał. Tarł teraz oczy dłońmi. Skórę na palcach miał podrażnioną, jakby się delikatnie poparzył.

– Co tu robiłeś? – zapytała, starając się mówić miękko i delikatnie, żeby dodać mu otuchy i otworzyć go na rozmowę.

– Ja... nic, proszę pani. Chciałem odpocząć. To wszystko. Jestem już po lekcjach – zapewnił szybko. Być może bał się, że Julia weźmie go za wagarowicza. – Mam dużo rodzeństwa i w domu czasem nie da się wyspać. Mam sporo na głowie. Muszę zajmować się młodszymi braćmi.

Wyglądało, jakby chciał coś jeszcze dodać, ale umilkł. Na jego twarzy wymalował się wyraz rezygnacji i zmęczenia. A także czegoś, co można było zinterpretować jedynie jako przedwczesną dorosłość. Julię ogarnęła złość na jego rodziców. Wiedziała, że czasem w wielodzietnych rodzinach starsze pociechy zajmują się młodszymi, ale one też muszą mieć możliwość bycia dziećmi. Jeśli rodzice decydowali się narobić dziesiątkę synków i córek, to powinni też mieć na tyle przyzwoitości i poczucia obowiązku, żeby teraz się nimi zająć, a nie obarczać nimi chłopca, który nie powinien być opiekunką, lecz zwykłym dzieciakiem. Wiedziała, że to może niepopularna opinia, ale nie zamierzała jej zmieniać.

– Trzeba ci jakoś pomóc? – zapytała znów łagodnie.

Teraz przypomniała sobie, że chłopak na imię miał Bruno. Na jego twarzy pojawiło się komiczne zaskoczenie. Może też odrobina nadziei.

– No co! – zaśmiała się, kiedy milczenie zaczęło się przedłużać. – Trzeba sobie pomagać.

Chciała, żeby zabrzmiało to po przyjacielsku. Chłopak wyraźnie się jednak wzdrygnął. Popełniła błąd i przedobrzyła.

– Pójdę już, proszę pani. To znaczy, jeśli mogę. Jeśli pani nie ma dla mnie żadnych poleceń.

Zabrzmiało to bardzo dziwnie. Najwyraźniej dyrektorka dobrze **wytresowała** swoich uczniów.

– Oczywiście, że nie... – zaczęła mówić Julia, ale nagle przyszło jej coś do głowy. – Albo jest jedna sprawa. Wiesz, gdzie tu jest komisariat policji, Bruno? Komenda albo posterunek? Nie wiem, co tu macie.

Wpadł jej do głowy nowy pomysł i równie dobrze mogła go od razu sprawdzić. Damian wspominał, zdaje się, że jest tu komisariat. Nie wiedziała, gdzie dokładnie. A może Agnieszka o tym mówiła? A może nikt. Tak czy inaczej, jakaś policja tu była i musieli mieć

jednostkę. Jeśli ten chłopiec wskaże jej budynek, to nie będzie musiała sama szukać. Początkowo chciała unikać służb mundurowych, teraz jednak postanowiła zrobić coś wręcz przeciwnego.

– Tak, jest policja – odparł ostrożnie chłopiec.

– Zaprowadzisz mnie?

Przyjrzał jej się, jakby rozważał różne możliwości. W końcu pokiwał głową bez słowa.

– Da się stąd jakoś wyjść, żeby nie iść do głównych drzwi? – zapytała. Nie była pewna, czy woźny już umył podłogę w korytarzu przed aulą, a nadal nie miała najmniejszej ochoty na spotkanie.

Nastolatek znów pokiwał głową, ale nic nie powiedział. Ruszył w stronę najciemniejszego kąta sali. Zauważyła, że znajdują się tam mniejsze drzwi. Bruno nacisnął kłamkę pewien najwyraźniej, że są otwarte. Widać uczniowie często z nich korzystali.

Julię oślepiło jasne słońce wiosennego dnia. Uniosła rękę, żeby osłonić oczy.

– Mieszkam niedaleko komisariatu – wyjaśnił Bruno już pewniejszym tonem. – Zaprowadzę panią i wrócę do siebie.

Ruszyli różnym krokiem. W słonecznym skwarze mrok panujący w szkolnej auli nie wydawał się już ani trochę straszny. Julia postanowiła więc sobie raz jeszcze, że nie da się nikomu zastraszyć. Pójdzie na komisariat i przekona się, jak zareagują policjanci, kiedy oznajmi im, że stawiała się na przesłuchanie w sprawie znalezienia ciała Bibiany. Jeśli zaczną udawać, że nic się nie stało, zyska pewność, że wszyscy mieszkańcy Wieszcz próbują coś zatuszować. To z kolei oznaczałoby, że ona być może mylnie oceniła Bibianę. Przynajmniej ta kwestia się wyjaśni. Tylko co wtedy? Co dalej zrobić? No cóż, nad tym zastanowi się potem.

Nagle jej uwagę zwróciło coś zupełnie innego. Znajdowali się na północnym skraju miasteczka. Po prawej stronie rozpościerała się łąka. Wła się nią utwardzona droga. Na jej końcu stała okazała willa. Widać było, że włożono w nią dużo pieniędzy. Architektura w stylu lat dwudziestych. Wszystko pięknie i z gustem odrestaurowano.

Raziła tylko rzeźba przed domem. Julia od razu ją rozpoznała, mimo że wielkie popiersie ustawiono inaczej niż na portrecie w szkolnej auli. Tam Wiktoria Sikora i jej podobizna patrzyły w stronę osoby podziwiającej malowidło. W rzeczywistości rzeźba odwrócona była tyłem do drogi, tak że przód można było zobaczyć z domu. To dopiero megalomania, zaśmiała się w duchu Wilk, najwyraźniej przedsiębiorczyni lubi oglądać samą siebie przez okno.

– Tam mieszka Wiktoria Sikora? – zapytała chłopaka, choć nie miała żadnych wątpliwości.

– Tak, proszę pani.

– Jaka ona jest? – zapytała, żeby raz na zawsze rozstrzygnąć tę kwestię.

Bruno zastanawiał się. Nadal jednak utrzymywał szybkie tempo marszu. Chyba chciał już znaleźć się w domu i pozbyć towarzystwa Julii. Nie dziwiła mu się. Gdyby była na jego miejscu, też nie miałaby ochoty na spacer w towarzystwie swojej nauczycielki. Poza tym

nie mogła wykluczyć, że uczniowie też mają w stosunku do niej niezbyt dobre intencje. Milkli, kiedy tylko się zbliżała, a to znaczyło, że też coś ukrywali. Być może Julia znajdzie jakiś wytrych, żeby pokonać wszelkie opory tego nastolatka.

Ogarnęła ją ekscytacja. Mogłaby się czegoś od niego dowiedzieć! Musi tylko odpowiednio to rozegrać i za bardzo nie naciskać. Być może zajmie to kilka dni, ale nie warto się poddawać. Nie od razu Rzym zbudowano.

– Dziwna jest – skonstatował w końcu chłopiec po dłuższej chwili milczenia. – Od dawna nie wychodzi z domu. Niektórzy nawet mówią, że ona może tam umarła!

Julia spojrzała na willę w stylu art déco. Eliza Kowalczyk i Agnieszka Szymańska podawały dwie przeciwstawne wersje. Żadna jednak nie wspomniała o takich podejrzeniach.

– Umarła? – zapytała więc Julia, żeby podtrzymać temat.

Bruno Machulski wyraźnie się zmieszał.

– Takie tam głupoty.

Znów zapadło milczenie. Wilk była na siebie zła. Coś jej to przesłuchanie niezbyt wychodziło. Łatwiej pisało się o takich rzeczach w książkach.

– Opowiesz mi coś o niej?

– No ale co? – zapytał dzieciak podejrzliwie.

– Cokolwiek. Jestem jej ciekawa. Widziałam jej portret w auli.

Chłopak przyjrzał jej się z jeszcze większą podejrzliwością, jakby chciał powiedzieć: a tu mi wyrośnie kaktus. Tym razem Julia postanowiła milczeć. Bardzo ją kusilo, żeby go przycisnąć. Intuicja podpowiadała jej jednak, że to wywoła odwrotny efekt. Ten chłopak jeszcze jej nie ufał. Niby dlaczego miałyby? Nie znał jej. Potrzebował czasu, żeby podjąć decyzję.

– Chodzi pani o aferę w szkole, prawda? – zapytał w końcu, zatrzymując się pośrodku chodnika.

Westchnął przy tym głośno. Zachowywał się teraz jak zmęczony życiem człowiek w średnim wieku, który musi tłumaczyć coś setny raz natrętnemu dzieciakowi. Jego oczy dopełniały to wyzywającym: *Może zapytaj wprost, a nie owijaj w bawełnę*. Wilk uznała, że czas na blef.

– Tak. Jak to wyglądało z twojego punktu widzenia?

Nic lepszego nie przyszło jej do głowy, zważywszy na to, że nie rozumiała, co miał na myśli. Wiedziała jedynie, że coś się wydarzyło w szkole w Wieszczach, a ta od samego początku wydawała jej się mocno podejrzanym miejscem. To mógł być istotny trop.

Chłopak znów westchnął i podjął marsz. Julia zauważyła w oknach niektórych domów poruszenie. Mieszkańcy przyglądali im się ciekawie, kiedy Wilk i Machulski przechodzili. Nie wszyscy próbowali się z tym kryć. Niektórzy nawet otwarcie stawali w oknach.

– W sumie nic takiego się nie stało. Rodzice to rozdmuchali. – Bruno wzruszył ramionami.

– Pochorowaliśmy się. Nic przyjemnego, wiadomo. Ale nikt przecież nie umarł.

Ostatnie zdanie zabrzmiało niemal wyzywająco.

– Ale Wiktoria Sikora nie powinna się była tak zachować – brnęła dalej Julia.

Nastolatek wspomniał o aferze, kiedy zaczęła pytać o przedsiębiorczynię, najwyraźniej więc to bogaczka zrobiła coś złego. Albo była w to zamieszana, bo nie wyskoczyłyby z tym tematem w takim momencie rozmowy. Prosta dedukcja.

– No i pani dyrektor też nie powinna – mruknął chłopak. – Moja mama mówiła, że to pani Eliza ostatecznie na to pozwoliła. Znaczący pani Wiktoria dała jej tę zepsutą żywność, ale to dyrektorka powiedziała pani Bibce, żeby ją nam zaserwowała w stołówce. Może dla oszczędności, może nie sądziły, że te produkty były naprawdę zepsute. Czasem nawet po upływie daty ważności są nadal dobre. No i potem wszyscy się pochorowali. Andrzej to rzygał i srał jednocześnie!... Przepraszam, proszę pani.

Julia nie mogła się powstrzymać i uśmiechnęła się pod nosem. Nastolatek nieśmiało odpowiedział tym samym. Najwyraźniej bezwiednie zapunktowała. Chyba wreszcie się rozluźnił. Już miała zadać kolejne pytanie, kiedy po jego twarzy przebiegł cień.

– Wszystko w porządku? – upewniła się więc.

– Taaa. Pani Bibiana miała potem wyrzuty sumienia i wszystkich strasznie przepraszała – dodał szybko. – No ale to absolutnie nie była jej wina. To jedzenie w ogóle jakby nie było zepsute. Nie wyglądało i nie smakowało źle. Ale musiało być bardzo przeterminowane. Inaczej byśmy się nie pochorowali, bo i dlaczego? Pewnie pani Wiktoria sprzedała je pani Elizie taniej, że to do stołówki. To wszystko. Co tu jeszcze gadać? I w ogóle po co pani o to pyta? Jest pani jakąś agentką?

Teraz w głosie chłopaka zabrzmiała niemal ekscytacja. Patrzył na Julię wyczekująco, jakby miała zaraz wyciągnąć legitymację FBI, CIA albo chociaż odznakę polskiej policji. Może czekał na informację o poważnej akcji, o której będzie mógł opowiadać kolegom. A może zupełnie błędnie to interpretowała. Myśli gorączkowo pędziły jej przez głowę. W tej historii pojawiały się nie tylko Eliza i Wiktoria, ale również Bibiana. To ona podała dzieciakom jedzenie. Mogła winić swoją pracodawczynię i jej współpraczkę, że ją do tego zmusiły. Być może nawet planowała je jakoś ukarać albo donieść – do kuratorium czy sanepidu. A teraz nie żyła. Przypadek?

Niby nic wielkiego, ale jeśli poszłyby do prasy, to nazwisko Wiktorii Sikory okryłaby niesława. Eliza Kowalczyk być może walczyła o pozostanie na dyrektorskim stanowisku i też nie chciała, żeby sprawa za bardzo spuchła. Tu na miejscu mogły uciszyć ludzi – pieniędzmi chociażby. Ale może Bibiana była nieprzekupna?

Wilk przypomniała sobie dziwny fałsz w tonie Agnieszki dziś rano. Jako asystentka Wiktorii pewnie o wszystkim wiedziała. Mogła też z nimi współpracować. A nawet **na pewno** to robiła, jeśli nie chciała stracić posady. Tylko dlaczego w takim razie wersje dyrektorki i Agnieszki na temat Wiktorii tak się różniły? Kto tu z kim współpracował i przeciwko komu?

To z kolei prowadziło do kolejnych elementów tej układanki. Dyrektorka poleciła Julii dom do wynajmu. Należał do kogoś znajomego. Wiktoria była bogata. Mogła mieć kilka

nieruchomości. Może w takim razie Eliza miała klucz? Albo jeszcze prościej: może Wiktorია wysłała tam Agnieszkę. Szymańska mieszkała tak blisko. To ona mogła ułożyć przedmioty na schodach.

Julia zdawała sobie sprawę, że teraz to już dopowiada sobie dalszą część tej historii. Z drugiej strony nie miała innego wyjścia, jak tylko zgadywać. Musiała czytać między wierszami i uzupełniać luki, póki nie dowie się więcej szczegółów. Na niektóre pytania nadal nie miała odpowiedzi, a nawet pomysłów, jak je ugryźć.

Chociażby to dziwaczne ogłoszenie, które ktoś powiesił na tablicy przed szkołą. *Wzywam cię do wyborów, Bibiano*. Wilk pomyślała początkowo, że chodzi o państwowe wybory z urnami i tak dalej. A może chodziło o wybory **moralne**? Albo o pójście z tą sprawą do prasy? Wybieraj, Bibiano – albo jesteś z nami, albo przeciwko nam. Ale czy Julia nie zapędzała się już w tych dociekaniach za daleko?

Chłopiec wrzucił ramionami i kopnął jakiś kamień. Na jego twarz powrócił wyraz podejrzliwości i niepewności. Zerkał to w prawo, to w lewo, jakby budynki wokół miały uszy. Do pewnego stopnia tak było. Przecież w wielu oknach stali mieszkańcy Wieszcz, bezwstydnie się im przyglądając. Byli co prawda zbyt daleko, żeby cokolwiek słyszeć, ale kto wie, jak to wszystko tu funkcjonuje.

– No to stąd chyba już pani trafi. Komisariat jest tam – rzucił chłopak, pokazując ręką. – Ja mieszkam tam. Pójdę już.

Pobiegł w lewo, w boczną uliczkę. Zobaczyła, że wpadł na podwórko sypiącego się domku jednorodzinne. Uwagę zwracał zwłaszcza zapadający się eternit. Dawno już wprowadzono obowiązek pozbywania się takich dachów. W tym gospodarstwie nadal tego nie zrobiono. Ze ścian odpadał tynk, odsłaniając cegły. Schodki były pokrzywione. Oblaziła z nich farba. Julia podejrzewała, że powód opłakanego stanu domu stanowiły finanse. Obejście jednak było schludnie zamieciono. Widocznie rodzice chłopca starali się zadbać o otoczenie w miarę swoich możliwości. Może za ostro ich wcześniej oceniła. Zresztą czy nie słyszała, że ojciec chłopaka nie żył? Nie była tego pewna. Wszystko jej się myliło.

Julia odwróciła się z westchnieniem i poszła szybkim krokiem w stronę komisariatu. Znajdował się w dwupiętrowej szarej kamienicy. Nad dwuskrzydłowymi drzwiami wisiał szyld *Policja*. To przypomniało jej puste teraz miejsce nad wejściem do restauracji Bibiany. Tablica tajemniczo zniknęła, jakby lokalu wcześniej w ogóle tam nie było.

Akurat kiedy Julia zaczęła wspinać się po schodkach, z budynku wyszła niecodzienna para funkcjonariuszy, których Wilk widziała wcześniej przed restauracją. Bardzo wysoka policjantka i jej niziutki kolega. Kobieta mogła mieć ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Patrzyła na wszystkich z góry, choć zdawała się nie być do tego do końca przyzwyczajona. Jakby dopiero niedawno ona i jej partner zamienili się wzrostem, zaśmiała się w duchu Julia. Niewysoki policjant o fizjonomii młodego Woody'ego Allena wydawał się pewny siebie.

– W czym możemy pomóc? – zapytał takim tonem, jakby Julia przychodziła tu codziennie z jakimiś drobnostkami i wszyscy mieli tego dość. Innymi słowy, chciał ją zbyć.

## Niedoczekanie.

– Przyszłam na przesłuchanie – odparła hardo.

Policjant uśmiechnął się, unosząc brwi wysoko.

– Przesłuchanie? – zapytała wysoka policjantka, również robiąc zdziwioną minę.

– W sprawie śmierci Bibiany Zielińskiej. A konkretniej w sprawie jej ciała, które znalazłam w restauracji. Chyba muszą państwo moje zeznania umieścić w protokole, prawda? Pomyślałam, że nie będę państwa fatygować, tylko sama przyjdę. Może zapomnieli mnie państwo wezwać.

Ostatnie zdanie postarała się wypowiedzieć jak najbardziej niewinnie, uważnie przyglądając się reakcji policjantów.

– W sprawie czego? – zdziwił się *Woody Allen*. Przybrał równie niewinny ton jak Julia wcześniej. To było irytujące. Stłumiła przekleństwo. Pogrywali sobie z nią, i to jej własnymi metodami.

– Ciała? – uśmiechnęła się Manuela. – Pani Julio, bo jest pani chyba naszą nową nauczycielką, prawda? Nie pomyliłam imienia?

Wilk chciała odpowiedzieć, ale nie zdążyła. Tamta mówiła dalej:

– U nas jest bardzo spokojnie. Żadnych ciał, żadnych morderstw. To nie Warszawa.

**To nie Warszawa.** Czy policjantka powiedziała to, żeby zasugerować, że coś wie? W fałszywym CV Wilk wpisała, że jest z Wrocławia. Sama nie wiedziała dlaczego. To było pierwsze miasto, które przyszło jej do głowy. Nigdy tam nie była i zapewne podawanie zupełnie obcego miejsca było błędem. Przecież ktoś mógł znać to miasto i ją o nie zapytać. Nawet w zwyczajnej rozmowie. Nacisnęła już jednak *Wyślij* i mail poleciał swoją wirtualną drogą wprost do dyrektorki. Wilk była pewna, że nie wspomniała nigdzie o stolicy. Czy w takim razie policjanci wiedzieli, kim ona była, i teraz to sugerowali? Czy może to przypadek? Wiedzieli, że jest miastowa, i od razu pomyśleli o Warszawie. Nawet pierwsza litera w nazwie się zgadzała.

– Przepraszamy panią – powiedział *Woody*, zanim zdążyła wymyślić jakąś ripostę. – Mamy teraz trochę pracy. Do widzenia.

Wysoka policjantka nie odezwała się już, tylko minęła Julię, jakby ta była powietrzem. Wilk znów zdusiła przekleństwa, które cisnęły jej się na usta. Nie, nie da się wyprowadzić z równowagi. Plan wbrew pozorom wcale nie legł w gruzach. Dowiedziała się przecież, że ponad wszelką wątpliwość śmierć Bibiany została zatuszowana, a w to wszystko zamieszana jest nawet lokalna policja. Tylko co dalej?

Zawsze łatwiej spojrzeć na sprawę, kiedy można ją z kimś przedyskutować. No i potrzebowała jakichś dodatkowych informacji o tym, co się tu działo. Spojrzała w stronę skromnego domu Brunona Machulskiego. Nie, on nie. To tylko chłopiec i powinna zostawić go w spokoju. W takim razie kto?

Nagle przyszła jej do głowy odpowiedź.

## 6

### Damian Kowalczyk

Damian ubrał się tak, jakby miał iść biegać. Nie mógł ryzykować, że Albert zorientuje się, gdzie naprawdę idzie. Już samo wyjście o tej porze rodziło pytania, ale nauczyciel miał nadzieję, że partner jest na tyle zajęty swoimi wywarami, że nie zwróci na to uwagi.

– Wychodzę biegać! – zawołał do męża, zaglądając na tył apteki.

– Dobrze, skarbie! – odkrzyknął Albert natychmiast.

Żadnych pytań. Teoretycznie to powinno Damiana ucieszyć. Zdziałało jednak wręcz przeciwnie. Albert jakby nie interesował się, gdzie on idzie. To zupełnie nie pasowało do charakteru męża. Powinien pytać, dociekać, nawet żartować sobie z Damiana. A tymczasem tylko krótkie *dobrze, skarbie* i nic więcej.

Nauczyciel wyszedł przed sklep i zaczął udawać, że się rozgrzewa. Wiedział, że Albert może wyglądać przez witrynę. Trzeba było zachować pozory. Powinien je zresztą zachować nie tylko przed swoim partnerem, ale przed miejscowymi. No i faktycznie czekała go mała przebieżka. Popędzi przez pola prosto do lasu za Stróżówką.

Od dawna podejrzewał, że Albert mu nie ufa. Widział to w spojrzeniu męża. To mogło oznaczać, że domyśla się, że Damian zdradził. Była też druga możliwość. Sam coś ukrywał. Albo obie te rzeczy na raz.

Damian ruszył spokojnym truchtem, jakby nigdzie się nie spieszył. Miał trochę spraw do przemyślenia i akurat starczy mu czasu. Julia Wilk, **nowa**. Jej przyjazd nie był przypadkowy. Dlaczego ulokowali ją w Stróżówce? Przecież dom stał tyle lat pusty. Odnawiano go, by przypodobać się wieszczemu. Nikt z tych ludzi nie wiedział, że Jan Faber rzadko się do budynku zbliża. I absolutnie **nigdy** nie wchodzi do środka. W każdym razie albo ludzie z Rady robili się nieuważni, oddając dom pod wynajem, albo to było działanie celowe. Może to jakaś prowokacja?

Przeskoczył przez miedzę i spokojnym biegiem minął dom Machulskich. To było ostatnie gospodarstwo z tej strony miasteczka. Jeszcze trochę krzaków, niskich drzewek, jeden zakręt i Damian nie będzie już widoczny z okien rozpadającego się domu. Machulscy to była liczna rodzina, a kiedy wybory zabrały ojca tej dzieciarni, nastąpiła bieda. A w ostatnim miesiącu sytuacja wydawała się krytyczna. Albert przymykał oko na to, że Bruno Machulski kradnie ze sklepu, mimo że chłopak nagrał się na ukrytej w ramce kamerze. Mąż miał dobre serce.

Damian przyspieszył kroku. Ilekroć myślał o tym, jaki Albert bywa dobry, opanowywały go wyrzuty sumienia. Chciał męża chronić, dlatego nadal trwał w tym strasznym układzie z potworem. Zaprzedawał duszę między innymi za obietnicę bezpieczeństwa Alberta. A może nie miał duszy? Bzdury!



Teraz nauczyciel poczuł gniew. Tak, zaprzedał duszę. Donosił, wieształ w imieniu Fabera ogłoszenia związane z wyborami, mataczył. Czuł się brudny. Wszystko dlatego, że chciał chronić Alberta. A tymczasem mąż się od niego odwrócił. Musiał coś ukrywać. Damian czuł to podskórnym. I nie był pewny, jak z tego wybrnąć. Wiedział doskonale, że diabeł kryjący się w lesie zadowolony nie będzie. Wieszczy spodziewał się bezwzględnego posłuszeństwa.

Dlatego Damian wszedł dziś do gabinetu matki i przejrzał jej rzeczy. Znał jej zwyczaje doskonale. Pilnowała, żeby wszystko odkładać na miejsce, ale od najmłodszych lat nauczył się jej systemu. Ułożył więc wszystko tak, jak wcześniej leżało. Wątpił, żeby cokolwiek zauważyła. Okno jak zwykle było otwarte, wątpi więc, że zostawił za sobą chociażby zapach. Jego wizyta pozostanie bez śladu.

Znalazł CV nowej nauczycielki. Zrobił zdjęcie i w wolniejszej chwili spróbował znaleźć w sieci ile się da na jej temat. **Julia Wilk**. Było trochę osób o tym nazwisku w mediach społecznościowych. Część z nich nawet miała sporo followersów. Żadna jednak nie była tą, która tu do nich przyjechała. To oczywiście nie przesądzało sprawy. Nie wszyscy lubili być obecni w Internecie, więc nie mieli kont na popularnych portalach. A nawet jeśli mieli, to nie pod swoimi imionami i nazwiskami. Zwłaszcza niektórzy nauczyciele używali aliasów, żeby uczniowie nie zasypywali ich wpisami.

Damian był w tej kwestii bardzo otwarty. Prowadził nawet facebookową grupę dla uczniów. Swoiste kółko zainteresowań literaturą, filmami, piosenkami – wszystkim z anglojęzycznego kręgu kulturowego. Bardzo dobrze to działało. Dla młodych świat poza siecią mógłby nie istnieć. Nauczyciele musieli się do tego dostosować. A już zwłaszcza w Wieszczach, gdzie Internet był jedynym znaczącym oknem na świat. Nikt na poważnie nie rozważał opuszczania tego miejsca na dłużej. Dzięki Internetowi mogli oglądać to, co oferował świat zewnętrzny, ale oddychać tutejszym powietrzem. Dwa w jednym.

Wszystkie dzisiejsze przerwy Damian spędził na przeglądaniu profili szkół, w których według CV pracowała wcześniej Julia. Mogła nie mieć konta w społecznościówkach, ale placówki oświatowe często wrzucały zdjęcia ze szkolnych wyjazdów czy uroczystości. Na którymś Damian powinien ją dostrzec. Na przykład: *Polonistka Julia Wilk na wycieczce z uczniami klasy VIII B*. Czy coś takiego.

Tymczasem nic! Nigdzie jej nie zauważył. Co więcej, okazało się, że jedna ze szkół wskazanych w życiorysie nowej nauczycielki była zapisana błędnie. Matka nie zaznaczyła przy tym żadnego ptaszka. To było najdziwniejsze. Eliza Kowalczyk zawsze skrupulatnie sprawdzała dokumenty. Czasem kilkakrotnie. Niemożliwe, że przeoczyła coś takiego. Ani przez chwilę w to nie wierzył.

Pędził przez pola, a przed sobą widział już las. Zaczynał zapadać powolny wiosenny zmrok. Jan Faber robił się nerwowy. Nie lubił lata. Za długie dni. To osłabiało jego moc i wymuszało, by zjawiał się w miasteczku pod inną postacią. Tak czy inaczej, wieszczy nie chciał się pokazywać, dlatego potrzebował Damiana. Nienawidził swojego wyglądu. Chyba

jedyny całkiem ludzki odruch, który w nim pozostał. Uważał się za odstręczającego. Nauczyciel zastanawiał się, czy z nim będzie kiedyś tak samo.

Po czole spłynęła mu strużka potu. Nie tylko z wysiłku. Bał się. Znał Jana Fabera od lat, rok z nim mieszkał, ale to niewiele zmieniło. Potwór zawsze będzie potworem. Wieszczy od dawna nie wpadał we wściekłość – ostatni raz w latach pięćdziesiątych, kiedy zabił większość mieszkańców. Teraz umiał już nad sobą panować. A przynajmniej tak twierdził. Cóż, potwór zawsze będzie potworem, pomyślał Damian raz jeszcze sentencjonalnie.

Czy Jan się wścieknie, że Damian nie przynosi nowych informacji? Nauczyciel naprawdę starał się dowiedzieć czegoś więcej ponad to, że w CV nowej nauczycielki były te rażące babole, a matka nie zwróciła na nie uwagi. Zadzwoił nawet do szkół wyszczególnionych w życiorysie Wilk. Również do tej, której nazwa była błędnie zapisana. W żadnej nie pracowała nauczycielka Julia Wilk. To ostatecznie potwierdziło podejrzenia Damiana. Julia nie była tym, za kogo się podawała. Co więcej, jego matka najprawdopodobniej zdawała sobie z tego sprawę. Albert też chodził wokół tematu na paluszkach, co mogło oznaczać tylko jedno. On też coś wiedział.

Damian pocieszył się, że to także stanowi jakąś informację. Nie przyjdzie do Fabera z niczym.

## 7

### Julia Wilk

Julia zostawiła komisariat za plecami i szła szybkim krokiem z powrotem do szkoły. Zaczynał powoli zapadać zmrok. Miała nieprzyjemne poczucie, że dziś dzieje się to szybciej niż zazwyczaj. Jakby ktoś celowo sprowadzał ciemność w to miejsce.

Nie wiedziała, komu może ufać. Doszła jednak do dość nieoczekiwanych wniosków. Osobą, z którą **powinna** porozmawiać, mógł być Gustaw Zieliński. Początkowo woźny ją przerażał. Miała go wręcz za wroga. Jednak kiedy pomyślała, że Bibiana Zielińska być może wcale nie chciała jej nastraszyć, a jedynie ją ostrzec, syn restauratorki wydawał się oczywistym sojusznikiem. Nawet jeśli w miasteczku panowała zmowa milczenia dotycząca układu *Eliza Kowalczyk–Wiktoria Sikora*, Bibiana była matką woźnego. Powinien chcieć pomścić jej śmierć.

**Pomścić** to chyba za wielkie słowo. Julia nie wiedziała, co powinna zrobić, kiedy dowie się, co tu się tak naprawdę dzieje. Chyba dopiero kiedy to rozgryzie, będzie mogła podejmować jakieś decyzje. Miała nadzieję, że Gustaw jej w tym pomoże.

Bo przecież nie Agnieszka. Sąsiadka wydawała się taka miła i urocza, ale pracowała dla Wiktorii. Jeśli przedsiębiorczyni chciała uciszyć restauratorkę, pulchna dziewczyna mogła brać w tym udział – choć wydawała się taka słodka i radosna. Damian też wydawał się miły, ale był synem Elizy. Raczej nie będzie spiskował przeciwko matce. Julia nie mogła

porozmawiać również z Albertem, sklepikarz będzie przecież trzymał sztamę ze swoim partnerem. W tej sytuacji zostawał tylko woźny. Nie pragnęła spotkania z nim, nie widziała jednak innego wyjścia.

Już z daleka dosłyszała szuranie miotły. Gustaw pracował właśnie przy wejściu do szkoły. Lekcje dawno się skończyły i budynek zdawał się zupełnie opustoszały. Nagle jednak otworzyły się drzwi i stanęła w nich Eliza Kowalczyk. Julia, niewiele myśląc, wskoczyła za tablicę z ogłoszeniami, gdzie Damian chował się przed matką, kiedy palił papierosy. Julia zauważyła przy okazji, że kartka z ogłoszeniem dotyczącym Bibiany zniknęła. To akurat nie powinno dziwić, skoro **oni** umieli w jedną noc uprzątnąć wszelkie niemal ślady po restauracji. Usunięcie anonsu nie stanowiło najmniejszego problemu.

– Grzebałeś w moich rzeczach? – zapytała dyrektorka.

Zdawała się spokojna, ale łatwo można odgadnąć, że to były tylko pozory przeznaczone dla osób, które ewentualnie mogłyby dostrzec tę dwójkę z placu przed sklepem i okolicznych domów. Ot, dyrektorka rozmawia ze swoim pracownikiem. Nic więcej. Wilk pewnie też by tak pomyślała, gdyby ich nie słyszała.

– Nie – odparł krótko woźny. Oparł się na miotle i patrzył na Elizę wyzywająco.

– Czy nie wyraziłam się jasno, że nigdy, ale to nigdy nie wolno wchodzić do mojego gabinetu? Sama tam sprzątam.

– Nie wszedłem żem.

Przez chwilę Kowalczyk mierzyła go wzrokiem. Słowa woźnego zabrzmiały prowokująco. Jakby celowo chciał zdenerwować dyrektorkę, mówiąc nieskładnie.

– Pożalujesz – odparła cicho. – Któregoś dnia pożalujesz.

– Ja? Żeście zabili mi matkę.

– Przestań pieprzyć. Dobrze wiesz, kto ją zabił i jaka jest w tym nasza rola. Ciesz się, że nadal pozwalam ci mieszkać na strychu. Powinam cię wyrzucić do dawnej restauracji. I sprzątałbyś sobie trupy do usranej śmierci.

Przez chwilę dało się dostrzec w oczach Gustawa gromy. Nawet z tej odległości.

– A może to ty donosisz wieszczemu? – zapytała powoli dyrektorka. – Nie chadzałeś przypadkiem do lasu?

– Po co wam zdjęcia dzieciaków? – odparował pytaniem na pytanie woźny. – Czemu sama ich nie bierzesz, tylko się wysługujesz?

Zdjęcia dzieciaków? Julia nie była pewna, czy dobrze usłyszała. Dyrektorka pokręciła głową, jakby miała przed sobą kogoś niespełna rozumu, i ruszyła w stronę placu. Julia wycofała się głębiej w krzaki, żeby Eliza jej nie zobaczyła, jak będzie mijać tablicę ogłoszeniową. Dyrektorka była jednak na tyle wściekła, że nie zwracała na nic uwagi. Przeszła spieszenie, nawet się nie oglądając.

– Może już stamtąd wyleźć – rzucił od niechcienia woźny.

Wilk nie od razu zrozumiała, że zwracał się do niej, bo znów używał tej dziwnej trzecioosobowej formy. A więc została zauważona. Wynurzyła się z zarośli i podeszła do

schodów. Starala się nie pokazać po sobie, jak bardzo jej głupio. Zdecydowanie niezbyt udana z niej konspiratorka.

– Tak samo mnie śledziłaś na cmentarzu – warknął. – Aż dziw, że wtedy od razu cię nie zobaczyłem. Czego ode mnie chcesz?

Julia zamarła. Poczula, że włoski jeżą jej się na karku. Mówił o tym, jakby naprawdę tam byli, a przecież to był tylko sen. Zwyczajny nocny koszmar. Tylko to błoto na stopach... I ten jego ton – on nie zmyślał. Naprawdę był przekonany, że ją tam widział. A skoro tak, czy w takim razie to nie był sen? Jak to możliwe, że znalazła się nagle na jakimś cmentarzu w samej piżamie?

– Skąd w ogóle wiesz, że miałam taki koszmar? – zaatakowała. Nadal nie była gotowa porzucić przekonania, że to jej się śniło. Gdyby to zrobiła...

– Nie powinnaś tam chodzić!

Odwrócił się i ruszył w stronę szkoły bez dalszych tłumaczeń. Nawet na nią nie spojrział.

– Poczekaj! – zawołała za nim bez robienia sobie większych nadziei.

Zatrzymał się, ale nie odwrócił.

– Co? – warknął wściekle. – Co chce?

– Powinno się mówić „czego chce”, jeśli już – poprawiła machinalnie, niczym rasowa polonistka.

Już kiedy to mówiła, poczuła złość na samą siebie. Chyba za bardzo weszła w belferską rolę. Sama bardzo nie lubiła, kiedy ktoś ją tak poprawiał. To było pretensjonalne. Jeżeli chciała go do siebie jeszcze bardziej zrazić, to właśnie jej się udało.

– Nieważne – dodała szybko, żeby zatrzeć złe wrażenie. – Ma pan chwilkę? Naprawdę nie zajmę dużo czasu.

– Nie mam – odparł.

Nacisnął klamkę szkolnych drzwi i wszedł do środka. Popędziła za nim. Wpadła do holu i o mało nie poślizgnęła się na mokrej podłodze. Musiał ją myć, zanim wyszedł na zewnątrz, żeby zamieść. Dziwna kolejność.

– Proszę chwilę poczekać! Chcę porozmawiać o pańskiej matce.

– O czym tu gadać? – sarknął. – Nie żyje.

– Panie Gustawie, proszę mi dać szansę wytłumaczyć.

Mówiła cicho, ale jej głos i tak poniósł się echem po pustej szkole. Młody mężczyzna zatrzymał się na środku korytarza. Stał tak plecami do niej, patrząc gdzieś przed siebie. Ciekawa była wyrazu jego twarzy. Trochę się woźnego bała. Może nawet bardziej niż trochę. Było w nim coś niepokojącego. Niemal zwierzęcego. Wampiry z horrorów zawsze kojarzyły jej się ze złowieszczą elegancją, a wilkołaki z dzikością i nieokiełznanym zezwierzęceniem. Przypomniał jej się dziwny pokrecony pies, może wilk, którego widziała w Wieszczach w ostatnich dniach. Już wcale nie była pewna, czy to wytwór jakichś kuglarskich sztuczek, prawda czy może jej własne szaleństwo. To było totalne wariactwo, ale jeśli woźny potrafił zmieniać postać?

O mało nie zaśmiała się w głos. Jakaś jej część nadal kurczowo trzymała się rzeczywistości, choć dobrze wiedziała, że są siły, które nie do końca da się zrozumieć. Zabijała, pisząc opowiadania o swoim dręczycielu. Czy mogła wykluczyć, że Gustaw przemienia się w wilkołaka? Wilkołaki nie istnieją!, zawołała racjonalna część jej natury. Tak? A zabijanie za pomocą pisania opowiadań już tak?

– A co tu tłumaczyć? – zapytał, odwracając się do niej powoli.

Instynktownie cofnęła się o kilka kroków na wypadek, gdyby chciał zaatakować. Mogła przynajmniej spróbować uciekać, choć zapewne by ją dogonił. Zapadło nieprzyjemne milczenie. Gdzieś w głębi korytarza słychać było kapanie wody. Pewnie kran w którejś z łazienek przeciekał. Odgłos zdawał się obcesowo wręcz głośny. Gustaw wpatrywał się w nią spod zrosniętych krzaczastych brwi. Na twarzy miał kilkudniowy zarost, włosy zwisały w nieładzie wokół ogorzałej twarzy. Był dziki i nieokiełznany, ale chyba nie był potworem.

– Tu giną zdjęcia – oznajmił zupełnie nieoczekiwanie. – Słyszałaś zapewne, jak rozmawiałem z Danvers.

Już miała zapytać, kogo ma na myśli, ale to przecież było oczywiste. Chodziło o Elizę Kowalczyk. Jedyna Danvers, która przychodziła Julii do głowy, to była służąca z klasycznej powieści Daphne du Maurier. Tylko że woźny na pewno nie znał tej historii. Możliwe, że czytywał jakieś tabloidy. Na pewno jednak nie książki w stylu *Rebeki*. Choć fakt faktem, że jeśli to przypadek, to trafił niespodziewanie dobrze. Eliza Kowalczyk rzeczywiście przypominała demoniczną służącą z tamtej powieści i jej późniejszej ekranizacji. Była nawet odrobinę podobna do aktorki, która wcieliła się w jej rolę w filmie Hitchcocka.

– Jakie zdjęcia? – zapytała Julia. Intuicja podpowiadała, że roztrząsanie kwestii nazewnictwa nie jest akurat w tym momencie najważniejsze.

Skinął głową w stronę gabloty, którą przedtem pokazywała jej dyrektorka. Nie tej z trofeami, tylko tej, gdzie powieszono fotografie uczniów. Wydawało się, że nadal jest ich tam bardzo dużo. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Dopiero po chwili zreflektowała się, że widzi luki w kompozycji. Jeśli nie przyglądało się zbyt uważnie, z łatwością można było to przeoczyć. Przedtem wzięła to za próbę stworzenia luzackiego nieładu.

– Ktoś kradnie stąd zdjęcia?

– Głucha jest czy co? Mówię przecie, że szłem tędy i zauważyłem.

**Szedłem**, pomyślała, ale powstrzymała się przed poprawianiem woźnego.

– Może jacyś uczniowie je zabierają? – zapytała zamiast tego.

– Nie, nie uczniowie. A zaraz będzie, zem to ja zabrał. Dlatego to mówię, żeby był ślad, zanim mnie zrobią w pedofila.

– Nikt pana nie oskarża. Pewnie dzieciaki zabierają te zdjęcia...

– Gówno prawda, że nikt mnie nie oskarża. **Jeszcze nie oskarża**. A gablota jest na klucz, więc dzieciaki nie biorą.

Julia spojrzała na zamek zaciekawiona.

– Nie chce mi się gadać z głuchą – oznajmił Gustaw, rzucając jej jeszcze jedno nieprzychylnie spojrzenie. – Spierdalam do siebie.

Już miał się odwrócić, ale przytrzymała go za ramię. Patrzyła na własną dłoń chyba równie zaskoczona jak on. W korytarzu znów zapadła martwa cisza. Nawet kapanie wody ustało, jakby cały budynek słuchał.

Gustaw opuścił wzrok na jej dłoń. Było w tym tyle gniewu i agresji, że cofnęła ją szybko. Spojrzała na bandaż, którymi nadal miał owinięte dłonie. Zdawały się kolejnym potwierdzeniem **nocy na cmentarzu**. Przywodziły też na myśl jej własne pokaleczone palce. Zwinęła dłonie w pięści. Już dawno nie krwawiły, ale nie chciała ich pokazywać Gustawowi. Wstydziła się.

– Przepraszam – mruknęła. – Naprawdę.

Na te słowa woźny uniósł wzrok i ich oczy się spotkały. Prawie oczekiwała, że zobaczy w nich tę błyszczącą poświatę, która czała się w ślepiach potwornego *psa-wilka*. Nie było jej tam. Tylko gniew i pretensje. Może niepotrzebnie porywała się z motyką na słońce. Powinna się spakować i wyjechać. Wrócić do starego życia. Tak byłoby nie tylko łatwiej, ale i lepiej dla wszystkich.

– Ja się domyślam, kto może kraść te zdjęcia – oznajmił Gustaw z nieoczekiwanym spokojem. – Ale pewnie i tak mi nie uwierzy. To co se bede język strzępić.

## 8

### Wiktoria Sikora

Wiktoria weszła do świeżo wyremontowanego salonu i odetchnęła głęboko. Miała nadzieję, że coś poczuje, choćby niewyschniętą jeszcze do końca farbę. Niestety nic takiego się nie stało. Możliwość delektowania się zapachami albo krzywienia na smród pozostawała pieśnią przeszłości. Przedsiębiorczyni nie czuła też smaków. W ogóle nic nie czuła, bo nawet dotyk pozostał jedynie czymś, co mogła sobie wyobrazić, kiedy brała coś do ręki. Mózg podpowiadał, że powinna coś czuć, ale tak naprawdę nie doznała ani gładkości szklanej tafli lustra, ani chropowatych faktur tynku. Dobrze, że chociaż widziała i słyszała, skoro nie miała już do dyspozycji innych zmysłów.

Jeszcze raz pociągnęła nosem. Oczywiście nic nie poczuła. Nadzieja umiera ostatnia, zaśmiała się smutno w duchu. Zamknęła za sobą drzwi i przeszła na sam środek pomieszczenia. Z zewnątrz okna wydawały się całkiem normalne, ale były specjalnie wzmocnione. Wystrój też przypominał zwyczajny salonik. Budowlańcy przenieśli tu meble z innych pokoi. Sama by ich nie udźwignęła. Nawet gdyby pomagała jej Agnieszka. Nie mogła nimi dyrygować, bo przecież musiała ukrywać się na górze, żeby jej nie zobaczyli. Dlatego większość wyposażenia zupełnie do siebie nie pasowała. Chociażby ta złota lampa – aż gryzła w oczy – w zestawieniu z pozostałymi akcesoriami. Ale co poradzić. No i resztki

jakichś budowlanych śmieci – folie, pocięte listwy i tak dalej. Trudno! Wystrój w tej sytuacji to był raptem szczegół.

Pozwoliła już Agnieszce pójść do siebie. Widziała w twarzy asystentki niezbyt dobrze skrywaną urazę. Wiktoria zaczynała mieć nieprzyjemne poczucie, że Szymańska coś ukrywa. Być może nawet coś niebezpiecznego. Może trzeba się jej pozbyć, zanim będzie za późno. Za wiele wiedziała i za wiele mogła się dowiedzieć. To przede wszystkim. Bo wiedza w niepowołanych rękach może mieć bardzo przykre konsekwencje.

## 9

### Julia Wilk

Julia wyszła ze szkoły zamyślona. Nie tak to sobie zaplanowała. Nie dość, że nie dowiedziała się od woźnego niczego w interesujących ją kwestiach, to jeszcze Gustaw zabił jej ćwieka w innej sprawie. Twierdził mianowicie, że ktoś wykrada zdjęcia uczniów z gabloty w korytarzu. Powiedział nawet, kogo o to podejrzewa.

W pierwszej chwili Wilk pomyślała, że woźny oskarży Damiana. To tłumaczyłoby nerwową reakcję Elizy Kowalczyk podczas konfrontacji na schodach. Co więcej, partner Alberta na pewno miał klucz do gabloty, a więc i łatwy do niej dostęp.

Tylko że Gustaw święcie wierzył, że za zniknięciem zdjęć stoi Agnieszka Szymańska.

– Ona kiedyś pracowała jako sekretarka Elizy – wyjaśnił woźny. – Nadal może mieć klucz, bo dyrektorka wymieniła tylko zamki w swoim gabinecie. Chyba ją widziałem któreś nocy, zwiłała, zanim ją dopadłem. No ale rozmowa nie ma sensu, bo widzę, że mi nie wierzy.

Julii nie podobała się ta maniera mówienia do niej w trzeciej osobie, ale nie skomentowała.

– A po co niby Agnieszce te zdjęcia? – zapytała, próbując zachować neutralny ton.

Trudno jej było wyobrazić sobie Szymańską jako pedofilkę. Zgoda, dziś ton sąsiadki wydawał się jakiś fałszywy, ale to nie pozwalało na wysnuwanie tak daleko idących wniosków i takie oskarżenia. Natomiast fakt, że Agnieszka pracowała kiedyś w szkole jako sekretarka, był kolejną informacją do zapamiętania. Julia nie wiedziała jeszcze, czy się przyda, ale mogła!

Trzy kobiety – Eliza, Wiktoria i Agnieszka – związane były siecią rozmaitych powiązań. Wiktoria być może sprzedała taniej przeterminowaną żywność ze swojego przedsiębiorstwa, żeby Eliza mogła zaoszczędzić w szkolnej stołówce. Dzieci się potruły i zrobił się szum. Agnieszka najpierw pracowała u Elizy, a potem u Wiktorii. Nadal pozostawała pośrodku tego wszystkiego. Tylko co z tego? Co z tego?!

Julia wyszła na plac przed szkołą, mając jeszcze więcej pytań i wątpliwości niż przedtem. Woźny nie chciał jej słuchać ani odpowiadać na pytania. Potraktował ją obcesowo, mimo że próbowała zagrać na jego emocjach i powiedzieć mu, że chyba pomyliła się co do jego

matki. Nie poruszyło go to. Po prostu odszedł bez słowa, zostawiając ją zmieszaną i zirytowaną.

Wyszła ze szkoły jak niepyszna, a teraz – stojąc na placu – miała wrażenie, że wszyscy na nią patrzą, a co gorsza, wiedzą, że poniosła całkowitą porażkę. Rozejrzała się wokoło. Tym razem nie widziała ludzi w oknach. Najwyraźniej znudzili się podglądaniem i zajęli swoimi sprawami. Nikt na nią nie patrzył, a jednak czuła, jakby robiło to samo miasteczko. Prychnęła na niedorzeczność tych myśli.

Jej wzrok padł na market. Wtedy przyszło jej coś do głowy. Oby sklep był jeszcze otwarty. Jeśli nie, wdrapie się po drewnianych schodkach i zapuka do mieszkania na górze. Miała szczęście. Przez witrynę zobaczyła starszego pana. Albert też ją dostrzegł i skinął głową na przywitanie. Kiedy weszła do środka, zadzwonił dzwoneczek przy drzwiach. Uroczym staroświeckim elementem. Rozejrzała się. Przestrzeń podzielono na część samoobsługową i niewielki punkt apteczny otoczony przeszkloną ladą. Albert stał właśnie za nią w białym fartuchu farmaceutycznym. Chyba był bardziej zainteresowany sprzedażą medykamentów niż jedzenia i produktów codziennej potrzeby. Wokół roznosił się aromat ziół. Julia zauważyła kilka pęczków na ścianach. Wystrój sklepu był dość nowoczesny, więc niezbyt tam pasowały.

– Witaj, dziewczyno – zawołał aptekarz na widok Julii. – Czego ci potrzeba?

Rozejrzała się znowu. W środku chyba nie było żadnych klientów, i bardzo dobrze. Mimo wszystko wołała, żeby ta rozmowa została między nimi.

– Albercie, mam prośbę.

Jego uśmiech nie znikł, ale jakby nieco przygasł i nabrał uprzejmej ostrożności. Jak u osób, które nie chcą nikogo urazić, ale jednocześnie próbują nie dać się wmanewrować w coś, czego nie chcą robić.

– Oczywiście. Słucham.

– Opowiadałeś mi, że masz ramkę na zdjęcie, w której ukryta jest kamera. Że postawiłeś ją, kiedy miałeś te włamania, żeby zobaczyć, kto kradnie.

– Oj te włamania... zapomnijmy już o nich. – Machnął ręką z uśmiechem.

– Nie o nie mi chodzi. Czy mogłabym pożyczyć tę ramkę? Byłabym bardzo zobowiązana.

Albert wydawał się zaskoczony. Uniósł brwi i pogładził bródkę. Miała nadzieję, że nie zacznie zadawać pytań. Nie będzie wtedy musiała kłamać. Nie była w tym szczególnie biegła, jak zdążyła się już kilkakrotnie w ostatnim czasie przekonać.

– Nie ma problemu – powiedział aptekarz ku jej ogromnej uldze. – Tylko nie wiem, czy jest naładowana.

– Poradzę sobie – zapewniła szybko.

Albert rzucił jej przeciągłe spojrzenie.

– Dobrze, dobrze. Zaraz przyniosę – powiedział w końcu i poszedł na zaplecze.

Wrócił po kilku minutach, niosąc ramkę. Spodziewała się cyfrowego wyświetlacza z rodzaju tych, na które można wgrać zdjęcia z wakacji czy rodzinnych sesji. Tymczasem



była to zwyczajna staromodna drewniana rama. Kiedy się przyjrzała, zauważyła niewielkie czarne oczko kamerki. Być może ktoś wykonał ten gadżet ręcznie. Może nawet sam Albert. Obrazek przedstawiał jakieś zioła. Nie pasował do wystroju jej nowego domu, ale to nie miało większego znaczenia. Liczyła się funkcjonalność.

Zamierzała ustawić ramkę w domu i zobaczyć, czy ktoś wchodzi w nocy do środka. Bibiany już nie było, ale jeśli założyć, że nie ona robiła jej rozmaite niespodzianki w stylu porozkładanych na schodach przedmiotów, trzeba było ustalić, kto inny tak się bawił. Być może któraś z trójcy kobiet – Eliza, Wiktoria lub Agnieszka. Przedsiębiorczyni Julia jeszcze nie spotkała, ale to jej nie wykluczało. Albo może to jednak Gustaw. A może ktoś zupełnie inny. Teraz będzie mogła się ostatecznie przekonać. Miała nadzieję, że ten ktoś nie skojarzy obrazka z ziołami ze sklepem Alberta. Chyba nie. Jeśli znów się zakradnie, to raczej nocą. A wtedy nie będzie się chyba rozglądać.

– Czy to się aktywuje, kiedy wyczuje ruch? Nawet jeśli będzie ciemno? – upewniła się.

– Tak.

Krótką odpowiedź. Żadnych pytań, przebiegło jej przez myśl. Zdziwiło ją to. Gdyby była na miejscu Alberta, na pewno próbowałyby dociekać, nawet żartem, po co jej takie szpiegowskie sprzęty. Ten brak zainteresowania wydał jej się podejrzany. Czyżby aptekarz dobrze wiedział, po co jej kamera, i obawiał się pytać, żeby się nie zorientowała, jak dużo on posiada informacji?

Znów cisnęło jej się na usta przekleństwo. Komu może ufać? Kolejny raz stanął jej przed oczami krwawy napis na ścianie w łazience. Nie była pewna, czy może ufać nawet samej sobie. Co dopiero im wszystkim. Może Albert to zło w przebraniu miłego starszego pana. Idealnie pasowałyby do jakiejś mrocznej opowieści.

– Dziękuję – powiedziała krótko i pożegnała się szybko. Nie chciała, żeby domyślił się jej rozterek.

Pobiegła w stronę domu. Zwolniła tylko na chwilę przy dawnej restauracji. Teraz, kiedy była tu sama, mogła podejść bliżej i upewnić się, że ma rację. Tak, w oknach widziała ślady startego menu. Wyobrażała sobie, że ktoś szorował te szyby bardzo dokładnie, ale marker Bibiany nie chciał zejść. Niczym jakiś ostatni sygnał zostawiony przez zamordowaną restauratorkę. Skojarzyło się to Julii z tamtą kroplą krwi. Małe ślad, a jednak znaczący.

Bardzo możliwe, że Bibiana chciałaby coś przekazać, gdyby martwi mogli mówić. Na przykład kto ją zabił. Bo trzeba postawić sprawy jasno. To musiało być morderstwo. Restauratorka na pewno nie umarła w sposób naturalny. Jeśli Julię nie myliły oczy i wspomnienia, nigdy nic takiego nie mogło się **naturalnie** wydarzyć.

Wilk przyspieszyła znów i teraz biegła po bruku ulicy Głównej. Miała wrażenie, że kamieniczki tworzą jakiś niebezpieczny przesmyk, gdzie może zostać zaatakowana. Jeśli zajdą ją od tyłu i od przodu, nie będzie miała drogi ucieczki. Cienie, które zaczęły już gęstnieć w zbliżającym się wieczornym zmroku, pogarszały sytuację.

Kiedy dotarła do śmietnika stojącego przy zjeździe w ślepią uliczkę, serce biło jej jak oszalałe. Nie tyle z wysiłku, co z lęku. Teraz miasteczko zdawało się opustoszałe. Rozejrzała się. Nawet ptaki ucichły. Świat jakby zastygł w oczekiwaniu. Z jakiegoś powodu przywiodło jej to na myśl dziwaczne przerażające stworzenie, które widziała tu przedtem. Ni to wielki pies, ni wilk. Coś nieforemnego i jakby uwłaczającego naturze.

Nic nie zauważyła, ale na wszelki wypadek znów puściła się biegiem. Była już kilkaset metrów od domu. U Agnieszki się nie świeciło. Może i dobrze, gdyby sąsiadka zauważyła Julię, może chciałaby odbyć grzecznościową pogawędkę. Jednak Wilk nie miała ochoty z nią teraz rozmawiać. Tak naprawdę nie chciała rozmawiać z nikim, póki się nie przekona, czy ktoś z nich nie wchodzi do jej domu. Być może dziś nikt nie zajrzy, ale przynajmniej będzie przygotowana. Przycisnęła ramkę mocniej do siebie. Utrudniało to bieg, ale bała się, że ją upuści.

Wpadła galopem na ganek. Zaczęła szarpać się z kieszenią, próbując wyjąć klucz. Obróciła się i spojrzała w krzaki, pewna, że tym razem zobaczy błyszczące ślepie. Nic, tylko gęstniejąca powoli ciemność. Z jakiegoś powodu to było jeszcze gorsze. Chyba przez niepewność, czy stwór znów się nie pojawi.

– Jesteś głupia – mruknęła do siebie, zamykając za sobą drzwi.

Myśl o tym stworzeniu sprawiała, że gdzieś w środku aktywował się pierwotny lęk. Trudny nawet do nazwania. Głos, który mówił, że masz jak najszybciej uciekać, zanim zdarzy się coś nieodwołalnie złego i będzie za późno.

Otarła pot z czoła. W domu było duszno. Znów nie zostawiła żadnego otwartego okna, bo bała się kolejnych niezapowiedzianych odwiedzin. A przecież na dworze było tak ciepło. Jak nie przewietrzy, to chyba się tu udusi. Nie zrobiło się jeszcze całkowicie ciemno. To był ostatni moment, żeby przewentylować to miejsce, zanim nie będzie mogła dostrzec, co czai się w ciemności. Potem znów zamknie się na cztery spusty. Nie wiedziała, przed kim ani czego się spodziewać, wrażenie niebezpieczeństwa ciążyło jej jednak nieprzyjemnie na barkach.

Przeszła po wszystkich pomieszczeniach na dole i pouchylała okna. Potem wzięła laptopa i poszła do klatki schodowej. Na podłodze nadal leżały porozrzucone drobiazgi. W końcu będzie musiała je zebrać. Teraz jednak dała sobie z tym spokój. Ruszyła slalomem, omijając przedmioty.

Weszła na górę. Postawiła ramkę z ukrytą kamerką na stoliku nocnym i oddaliła się kilka kroków, żeby ocenić efekt. Ziola niezbyt pasowały do wnętrza, ale ujdą, uznała. Gorzej, że ewentualny nocny gość może skojarzyć je z apteką. Pewnie większość mieszkańców Wieszcz chodziła na zakupy do marketu Alberta. Starszy pan był gadatliwy. Może nawet wspomniał komuś o ukrytej kamerce.

Julia rozejrzała się po sypialni. Na ścianie po drugiej stronie wisiało kilka grafik. Jedna z ramek była podobnej wielkości co jej fotopułapka. Zdjęła obrazek ze ściany i podmieniła grafiki. Spojrzała na swoje dzieło zadowolona. Teraz nikt nie powinien się zorientować.

Podłączyła kabelek do ładowania. Skrył się ładnie z tyłu szafki. Przed spaniem go odłączy, ale nawet jeśli zapomni, to i tak nie będzie go widać, jak ktoś wejdzie do sypialni. Tak naprawdę chodziło tylko o to, żeby choć przez chwilę złapać tę osobę na kamerze *in flagranti*. Błoto na pościeli i podłodze było prawdziwe. Julia bała się, że zwariowała, ale równie dobrze ktoś mógł chcieć, by w to uwierzyła. A jeśli tak, bardzo chciała się dowiedzieć kto.

Poszła do łazienki, żeby umyć ręce. Rany zaschły ładnie, ale i tak warto je przemyć. No i koniecznie trzeba zmyć krwawy napis na ścianie. MUSISZ PISAĆ. Wielkie czerwone litery nadal zdawały się krzyczeć swój przekaz prosto w jej twarz.

– Nie – warknęła w ich kierunku.

Obiecała sobie, że nie będzie już pisać. Nie wiedziała, w jaki sposób zabiła mężczyznę, który ją zgwałcił, skąd więc mogła mieć pewność, że nie zabije w ten sposób kogoś jeszcze? A może stało się to już wcześniej, kiedy opisywała inne historie? Jej książki były krwawe i pełne trupów. Lubiała wymyślać imiona i nazwiska bohaterom. Czy wszystkie ofiary, które opisała, miały swoje odpowiedniki w rzeczywistości? W ostatniej książce pierwszym trupem był niejaki Daniel Podgórski. Czy gdzieś ktoś taki zginął, a ona o tym nie wiedziała? Gdyby otworzyła gazetę z Brodnicy i zobaczyła taki nekrolog, to chyba sama padłaby trupem.

Wzdrygnęła się przerażona tą myślą. Lepiej było skupić się na tym, że nie będzie już kusila losu, i chociaż uwielbiała swoją pracę, to nie zasiądzie już do laptopa. Nie zamierzała używać komputera do niczego innego, jak tylko do przygotowywania zajęć dla uczniów i oglądania seriali na Netfliksie. Teraz nie była już pisarką. Była nauczycielką języka polskiego w małym miasteczku! Czasy psychofanów o masochistycznych skłonnościach miała już całe szczęście za sobą. Czasy zabijania też.

Wyjęła spod zlewu detergenty, rękawice i gąbkę. Leżały tam przygotowane jak naczynia w kuchni. Ktoś wyjątkowo się postarał, żeby niczego jej nie zabrakło. To powinno być bardzo miłe, ale znów opanował ją niepokój. Czy nie za bardzo się starali?

Napis rozmazywał się w krwawe smugi, ale nie chciał się zmyć. Jakby wielkie litery wżarły się w ścianę. Podwoiła wysiłek. Pot spływał jej po czole. Nie podda się. To nie było w jej stylu. Nagle coś jakby **trzasnęło** jej w głowie. Dotknęła ręką czoła. Coś ją uderzyło?! Nie, to było coś zupełnie innego. Szept?

Zastygła w bezruchu i zaczęła nasłuchiwać. Poczula przymus, by wszystko rzucić i usiąść przed komputerem. To było jak uczucie mrowienia, tyle że w mózgu. Chwyciła się za głowę. Miała wrażenie, że rozsadzi jej czaszkę. Chciała krzyczeć. Niespodziewanie to wszystko się skończyło równie szybko, jak się zaczęło. Osunęła się na wykafelkowaną podłogę zupełnie bezsilna. Okropne uczucie minęło. Całe szczęście, bo chybaby oszalała, gdyby potrwało choć chwilę dłużej.

Zakłęła głośno. Myśl o popadnięciu w szaleństwo była przerażająca. Już wcześniej ją odrzuciła, skłaniając się ku temu, że to mieszkańcy Wieszcz coś kombinują w jej sprawie, ale teraz znów nie była tego pewna. Co, jeśli to wszystko jej się tylko wydawało?

– Przestań – szepnęła i spróbowała uspokoić oddech.

W końcu wstała. Poszła włączyć kamerkę. Zobaczymy, co przyniesie noc. Jeśli ktoś tu przychodzi, żeby posmarować jej stopy błotem, w jakiś sposób zmusić ją do pisania po ścianach i tak dalej, to się nagra. Jeśli Julia znów będzie miała jakieś nocne przygody, a nie nagra się nikt, trzeba chyba będzie zadzwonić do jakiegoś terapeuty. Może to jakiś skutek stresu pourazowego, PTSD.

– A jeśli kamerka nie zadziała? – zapytała Julia gorączkowo. Znów na głos.

Trzeba wypróbować, czy ruch faktycznie uruchamia urządzenie. Przeszła kilka razy obok łóżka, żeby kamerka mogła wykryć ruch i się aktywować. Teraz wystarczy sprawdzić, czy coś się nagrało. Wilk wyjęła kartę pamięci. Przez chwilę obracała ją w palcach, jakby mogła odczytać ją samym dotykiem. W końcu niechętnie sięgnęła po laptopa. Włożyła kartę do slotu. Doskonale pasowała. Nie potrzebowała nawet żadnych przejściówek. Jakby ten szpiegowski sprzęt był stworzony do współpracy z jej **morderczym** komputerem. Wilk zachichotała. Zaczynała mieć głupawkę. To miało swoje dobre strony. Przynajmniej już się tak nie bała.

A może ten głupawy śmieszek to właśnie próba zamaskowania, że zapadająca noc i to, co przydarzyło się przed chwilą w łazience, coraz bardziej przyprawia ją o ciarki. No nic, sprawdzi, czy kamerka nagrała testowy materiał, i zejdzie na dół pozamykać okna. Przewietrzyło się już porządnie.

Odpaliła kartę pamięci i upewniła się, że kamerka zarejestrowała jej przechadzanie się po sypialni. Świetnie. Działa i jest gotowa na noc, żeby przyłapać intruzów. Zainstalowała z powrotem kartę pamięci i ustawiła ramkę na miejscu.

Zeszła na dół z laptopem pod pachą, znów omijając porozrzucone przedmioty. Pozamykała okna i postanowiła coś zjeść. Przygotowała sobie kanapki z serem i pomidorem. Właśnie takie bywały najlepsze, zwłaszcza jeśli brakowało czasu albo chęci, żeby wymyślić coś niebanalnego. Zajęła miejsce na szerokiej kanapie w salonie. Ciszę przerwało pojedyncze uderzenie zegara. Wilk podskoczyła przestraszona, omal nie wywracając talerza z kanapkami. Całe jej ciało pokryła gęsia skórka.

– Zaraz zaczniesz się bać własnego cienia – oznajmiła sama sobie. – Chociaż już i tak gadasz do siebie. Wiele to nie zmieni. To tylko zegar. Jakiś wadliwy, ale zegar.

Spojrzała w wielką taflę szkła, która zastępowała jedną ze ścian w salonie. **Perła architektury** przyprawiła ją o kolejne ciarki. Julia znów miała wrażenie, że jest oświetlona niczym na scenie, a ktoś obserwuje ją z zewnątrz.

Zaraz! Chyba naprawdę kogoś zauważyła. Tak, teraz była pewna. Mignął jej tam jakiś człowiek. Nie **jakiś** człowiek. To był Damian. Nauczyciel minął jej samochód majacący w świetle rzucanym przez lampy z salonu i pobiegł prosto w pograżony w całkowitej ciemności las!

## Albert Tabaczyński

Albert doskonale wiedział, gdzie najlepiej ukryć trupa. Wystarczyło zakopać ciało pod trumną w jakimś istniejącym już grobie, i właśnie tak w Wieszczach postępowali. Najczęściej osoba zaatakowana przez wieszczego zniknęła rozmyta jego piekielnym krzykiem. Wtedy wystarczyło zatrzeć ślady jej obecności w miasteczku. Żyli na uboczu i nie rzucali się w oczy, więc często udawało się zrobić to tak, że nikt z zewnętrznego świata się nie domyślał, że coś jest nie tak. Jeżeli trzeba było załatwić sprawy urzędowe, wystarczyło uruchomić znajomości w Brodnicy.

Czasem – bardzo rzadko – bywało, że wykrzyczana przez wieszczego osoba umierała, ale jej zdeformowane doczesne szczątki pozostawały. Tak jak się zdarzyło z Bibianą. Wtedy cmentarz pod krzywą wieżą służył za miejsce podwójnych pochówków. Tych oficjalnych i tych mniej. Na leśny cmentarz się nie zapuszczano. To było królestwo potwora. Trzeba to było zrobić tylko tamten jeden raz, kiedy zabił niemal wszystkich mieszkańców. Co robi teraz? Zadowolony się pozabawieniem życia restauratorki? Czy może jej niesubordynacja tak go rozsierdziła, że już tej nocy wieszczy znów wykrzyknie nazwę całej miejscowości i zabije ich wszystkich?

Albert dostrzegł przez okno kilka samochodów. O tej porze na ulicach miasteczka było zazwyczaj spokojnie. Dzisiejszy ruch mógł oznaczać, że niektórzy mieszkańcy zamierzali na tę noc pojechać gdzieś poza zasięg demona. Może bali się, że to będzie kolejna noc zagłady. Ale wrócą. Nikt z nich nie wytrzyma długo poza Wieszczami. Jutro rano będą z powrotem. Byle tylko nie skończyło się na tym, że wrócą, żeby pochować tych, którzy zostali.

Starszy pan zamknął starannie drzwi sklepu i udał się na górę do mieszkania. Pytania kłębiły mu się w głowie. Po co Julii Wilk ramka z kamerą? Tego nie przewidział. Uznał jednak, że nie zniweczy to ich planów wobec niej. Bo niby jak? No i może już czas z nią porozmawiać. Czy nie powinni tego zrobić od razu? Może już powinna zacząć działać? Zwłaszcza w sytuacji, która powstała? Może warto zwrócić uwagę na to reszcie Rady i wspólnie podjąć decyzję?

Mimo wszystko coś podpowiadało Albertowi, że wieszczy dziś nie zaatakuje. Aptekarz czuł podskórnie, że potwór zaspokoił pierwszy gniew, zabijając Bibianę. Teraz pewnie potrzebował czasu, żeby przemyśleć, co dalej. Na pewno będzie chciał ich jakoś zastraszyć. Przypomnieć, jaką ma moc. Musiał coś wymyślić, żeby nie dopuścić do tego, że kolejnym mieszkańcom przyjdzie do głowy lekceważyć wybory. Mimo wszystko Albert wątpił, żeby Jan Faber chciał ich wszystkich zabić. Nad kim by się wtedy pastwił? Byli mu potrzebni, żeby ciągle mógł się mścić. Rok za rokiem.

Bo to była zemsta za to, co zrobił dziadek Alberta. A właściwie do czego doprowadziła Kalinę Faber praca w fabryce Cezarego Babiańskiego. Zemsta, która przez lata tak

eskalowała, że powód być może powoli przestawał mieć znaczenie, a liczyło się tylko zadawanie cierpienia. Zmuszanie ludzi, żeby zabijali się nawzajem i byli zjadani przez wyrzuty sumienia. Albert podejrzewał, że Faber chciał, żeby czuli się tak jak on sam. Zmuszeni do zabicia bliskich. Tak jak wieszczy musiał kiedyś zabić swoją matkę.

Najbardziej martwił Alberta Damian. Mąż ich zdradził. Aptekarza to bardzo bolało, ale nie zniszczyło miłości, jaką odczuwał. Bał się jedynie, jak zareagują inni, kiedy nabiorą pewności. Dobrze by było dać im wtedy coś w zamian. Włożył rękę do kieszeni i ścisnął fiolkę preparatu, nad którym teraz pracował.

**Jabłonie.** Albert miał nadzieję, że ta receptura jest idealna. Poprzednia wersja okazała się porażką. Dzieciaki w szkole się pochorowały i tyle. Jego roli w całej sprawie nikt się nie domyślił. Całe odium spadło na Elizę i Wiktorię. Nikt nie wiedział, że jedzenie nie było przeterminowane. Po prostu dodano do niego eksperymentalny lek autorstwa Alberta. Ale teraz musi być dobrze. Jak zaczną oskarżać Damiana o zdradę, aptekarz powie, że ma coś, co ich wszystkich uratuje. Wtedy to, czego dopuszczał się mąż, przestanie mieć znaczenie, bo ludzie będą mogli uodpornić się na krzyk niosący śmierć.

Albert upił łyk herbaty. Zastanawiał się, czy nie wrócić na dół do sklepu. Nie miał ochoty siedzieć sam w mieszkaniu i zastanawiać się, czy właśnie teraz Damian sprzedaje potworowi jakieś informacje. Jego wyjście na trening w nocy wyglądało podejrzanie. Dami na pewno pobiegł do lasu na cmentarz.

Starszy pan postanowił zejść na dół. Market był już co prawda zamknięty, ale zdarzało się, że ktoś przychodził i prosił, żeby Albert choć na chwilę otworzył. Często się zgadzał – nawet kiedy był już zmęczony po całym dniu. Damian suszył mu głowę, że powinien być bardziej asertywny. Nie rozumiał jednego. Że nie chodziło o altruizm ani nieumiejętność powiedzenia nie. Taką pomocą dla współmieszkańców Tabaczyński zyskiwał sobie dodatkowy szacunek. Ludzie wspinali się do mieszkania na piętrze pawilonu nawet w niedzielę czy późnym wieczorem w tygodniu i nieśmiało pytali, czy nie sprzedałby jakiegoś drobnego produktu, którego im zabrakło. Często to byli panowie, którzy wieczorami przypominali sobie o prezencie w postaci flaszki. Wstydzili się przed Albertem, że sami zamierzają ją wypić, i wymyślali idiotyczne wymówki. I bardzo dobrze, uśmiechnął się starszy pan, niech się wstydzą. Wtedy będą czuli, że więcej mu zawdzięczają.

On sam zawsze stronił od alkoholu. Od najmłodszych lat był bardzo skupiony na zadaniu – powróci do Wieszcz i doprowadzi do zakończenia sprawy Jana Fabera. Widział, jak ona niszczy rodzinę Babiańskich. Babka Zofia zachowywała się jak opętana. Zapewne dlatego, że została zmuszona do mieszkania poza Wieszczami. Teraz zmieniła się w jakieś straszidło. Kręciła się po Brodnicy i opowiadała o magii. Ciotka Hanna popełniła samobójstwo. Matka, Alicja, wychowała Alberta i poszła w jej ślady. Nie potrafiły żyć z dala od tego miejsca. On sam urodził się poza Wieszczami i pewnie mógłby żyć w normalnym świecie. Zapomnieć. Ale chciał wrócić i zabić wieszczego. Za to, że zniszczył jego rodzinę. A przez to, że Albert zdecydował się tu wrócić, sam siebie przywiązał do tego miejsca. Teraz i on nie mógł stąd

uciec. Wieszczce roztoczyły nad nim swoją magię. A więc pozostawało dokończyć to, po co tu przyjechał wiele lat temu.

Przyszedł czas wyrównania rachunków. Bibiana niejako przerwała impas. Teraz zaczniesz się dziać!

## 11

### Julia Wilk

Julia nie zastanawiała się długo. Porzuciła talerz z kanapkami. Popędziła na tył domu do wąskich drzwi pomiędzy schodami a ścianą. Jeśli się pospieszy, być może zdoła dogonić Damiana. Sama nie była pewna, czemu właściwie zamierza go śledzić. Być może znów odezwała się intuicja albo może ogarnął ją po prostu jakiś detektywistyczny szal. Gdzie Damian się wybierał? Ubrany był w strój do biegania, ale w taką ciemnicę urządzenie treningu w lesie było podejrzane. Chciała się przekonać, co on knuje.

Uśmiechnęła się pod nosem. Wszystko wydawało jej się teraz istotnym elementem układanki, choć równie dobrze mogły to być puzzle z zupełnie innego kompletu. Tak czy inaczej, nie ma czasu na zastanawianie się. Trzeba działać, a nie myśleć.

Wyskoczyła na tył domu i zadrżała. Było zimniej, niż się spodziewała. W sumie nie powinno jej to zaskakiwać. Była dopiero końcówka kwietnia. Wiosna zaczęła się już na dobre, ale noce nadal jeszcze były zimne.

Popędziła pomiędzy drzewa najciszej, jak umiała. Nigdy nie była harcerką, a w podchody bawiła się może ze dwa razy w życiu, mimo to szło jej całkiem niezłe. Przynajmniej tak jej się wydawało. Stąpała ostrożnie pomiędzy gałęziami, żeby Damian nie usłyszał żadnego trzasku. W ciemności nie było to wcale łatwe. Zaczęło mocniej wiać i to trochę maskowało wszelkie niechciane odgłosy.

Uchyliła się, żeby uniknąć zderzenia z gałęzią. Kiedy uniosła wzrok, Damian zniknął jej z oczu. Rozmył się w ciemności. Miała ochotę przeklinać. To by było na tyle, jeśli chodziło o jej niezwykle zdolności szpiegowskie. Znów utarło jej nosa.

Poszła jeszcze kawałek dalej, przeciskając się przez zarośla. Miała bardzo nieprzyjemne wrażenie, że drzewa napierają na nią, wyciągając długie sękate dłonie. A co to za trzask? Odwróciła się i starała przeniknąć wzrokiem ciemność. Nie była w stanie nic dostrzec. Oby tylko ze śledzącej sama nie zmieniła się w ściganą.

Wiatr jeszcze się wzmógł i przez to wydawało się, że las wydaje złowrogie pomruki. Jakby pomstował, że Julia ośmieliła się wejść tak daleko w jego ostępy. Odwróciła się, bo znów miała wrażenie, że usłyszała jakiś trzask. I znowu! I znowu. Chyba powinna wracać! Tylko że nie pamiętała, z której strony nadeszła. I co teraz? Może zawołać Damiana? On na pewno zna drogę, tylko jak mu wytłumaczyć, że go śledziła?

Wydawało jej się, że tkwi w tej ciemności w nieskończoność. Oczy przyzwyczyły jej się trochę do mroku. Niewiele to jednak pomagało na wyobraźnię, która podpowiadała, że za każdym pnem coś się czai. Julia przypominała sobie, że w Internecie znalazła kiedyś zestaw technik oddechowych redukujących strach i zmniejszających uczucie paniki. Próbowwała je zastosować po ataku psychofana. Była teraz tak przestraszona, że nie potrafiła przypomnieć sobie, jak to szło. Postanowiła więc na początek chociaż wyrównać rytm oddechu.

Zaczęła cichutko nucić piosenkę z dzieciństwa, którą śpiewała jej kiedyś babcia. Nie знаła jej tytułu, a nawet słowa wyleciały jej z pamięci. Rytm ciągle jednak był znajomy i kojący. Czowała, że spokój rozlewa się powoli po jej ciele. A przynajmniej coś, co mogło być załączkiem spokoju, bo chyba lęk nie opuści jej, póki Julia nie wyjdzie spośród drzew.

No właśnie. Jak się teraz wydostać z tych zarośli? Zupełnie straciła poczucie kierunku. Pójść w lewo? W prawo? W przód? W tył? Trzeba ostrożnie podjąć decyzję, bo zamiast do domu zacznie iść w odwrotnym kierunku. Próbowwała wyszukać jakiś punkt orientacyjny, bo podświadomie to miejsce zdawało się znajome. Rozejrzała się znowu i wtedy zauważyła, że to, co wzięła za jednostajny gąszcz, wcale nie było zwykłymi chaszczami. Znowu wytrzymała wzrok. W tej ciemności mogła się mylić, ale to chyba była stara zarośnięta droga.

Nagle ogarnęła ją pewność, że cały czas nią podążali. Damian nie szedł na oślep, mimo że początkowo tak jej się wydawało. Poruszał się zbyt pewnie jak na osobę, która szła bez żadnego celu, przepychając się pomiędzy drzewami.

– Obym się nie pomyliła – powiedziała znowu do siebie Julia.

Nawet już nie kłopotowała się rozważaniem, czy rozmowa sama ze sobą to niepokojący objaw. Teraz wcześniejsze wątpliwości wydawały się idiotyczne. Co to kogo obchodzi, czy gada sama ze sobą, jeśli zagubi się w lesie. Jeżeli mówienie do siebie ma pomóc, to gadaj zdrów, uznała.

Znowu zanuciła dziecinną piosenkę, starając się ignorować odgłosy dochodzące z ciemności. Tak, to była jakaś dawna droga. Teraz należało zdecydować, czy ruszyć w prawo, czy w lewo. W najgorszym wypadku powinna wrócić pod swój dom. W najlepszym dotrze tam, gdzie wybierał się Damian. Choć może było na odwrót i najlepiej byłoby wrócić grzecznie prosto do domu.

Ruszyła na chybił trafił tym, co kiedyś było leśnym duktem. Krzewy i niskie drzewa prawie zupełnie zarosły szlak. Gdzie prowadziła ta droga? Od jak dawna nikt – oprócz Damiana oczywiście – z niej nie korzystał? Julia nie знаła odpowiedzi na te pytania, pozostawało więc tylko iść, jak najciszej potrafiła. Zwolniła i stąpała jeszcze ostrożniej. Znowu zaczęło ją ogarniać wrażenie, że skądś zna to miejsce. Zaraz będzie zakręt, musi uważać, żeby nie stracić z oczu ledwo widocznego szlaku.

Zaraz, skąd niby wiedziała o zakręcie? Przecież nigdy tu nie była. Czy na pewno? Była niemal pewna, że zarośla zaraz się przerzedzą. I faktycznie. Chwilę potem widziała już nad sobą rozgwieżdżone niebo. Teraz nie było najmniejszych wątpliwości, że znajduje się na jakiejś drodze.



A zaraz będzie na wpół zawałone ogrodzenie z cegieł i pordzewiała brama z urwanym skrzydłem. Była tego pewna. Serce znów zaczęło jej bić szybciej. Zapomniała nawet o tym, że wcześniej odgłosy nocnego lasu wydawały jej się przerażające. Teraz znów bała się raczej sama siebie i utraty kontroli nad zmysłami – skąd знаła tę drogę?

Kilkadziesiąt metrów przed sobą faktycznie zobaczyła coś, co zapewne było kiedyś bramą wjazdową do jakiejś fabryki. To miejsce było opuszczone od wielu, wielu lat. Może nawet ze sto. Całą okolicę wzięła więc we władanie natura.

Nagle poczuła słodki zapach. Piękny. Odwróciła się, usiłując zorientować się, skąd dochodzi. Ale przecież wiedziała, czyż nie? To były jabłonie. Jabłonie na zalany częściowo cmentarzu z jej snu. Odetchnęła głęboko i ruszyła za zapachem wiedziona jakimś nęcącym, choć zapewne zgubnym wołaniem. Ciekawe, czy właśnie tu wybierał się Damian. Możliwe, bo to był zapach, który wyczuła w pokoju nauczycielskim. Syn Elizy nim przesiąkł. Musiał tu być również i tamtego dnia przed zajęciami. Natomiast w swoim koszmarze go nie widziała. Był tylko Gustaw.

Im dalej szła, tym coraz lepiej przypominała sobie, jak to miejsce będzie wyglądać. Szła tędy we śnie – choć po przebudzeniu pamiętała tylko, że od razu znalazła się na cmentarzu... Jeszcze kawałek i zobaczy mniejszą bramę cmentarza. A na niej będzie tablica.

Zatrzymała się. Na bramie faktycznie wisiał uniwersalny żółty znak skażenia. Chyba wszyscy go znali i odczuwali niepokój, kiedy go widzieli. Kojarzył jej się z Czarnobylem. Nęcący słodki zapach jabłoni dochodził właśnie stamtąd. Wiedziała, że nie powinna tam iść, ale nie mogła się powstrzymać.

– Co ty tu robisz?

W jednej chwili usłyszała ten świszczący szept i poczuła zaciskające się na jej ramieniu palce. Odwróciła się i spojrzała prosto w twarz Damiana. W świetle księżyca jego oblicze wydawało się niemal trupio blade. Próbowła wyszarpać ramię, ale nauczyciel trzymał ją jak w szponach. Był dużo od niej większy i zdecydowanie silniejszy. Nie było sensu walczyć. Mimo to szarpała się jeszcze przez chwilę.

– Co ty tu robisz? – zapytał znów ostro, kiedy w końcu dała za wygraną.

– Mogłabym o to samo zapytać ciebie. Po co łazisz po lesie w nocy? Co to w ogóle za miejsce?

– Jestem strażakiem – przypomniał mężczyzna natychmiast, jakby to miało wszystko wyjaśnić.

– I?

– I muszę co jakiś czas sprawdzać ten teren. Czasem głupia młodzież pcha się tu, mimo że wisi znak ostrzegawczy.

Spojrzała na nią wymownie, wyraźnie sugerując, co myśli o jej inteligencji. Poczuła, że się czerwieni. Całe szczęście rumieńce chowały się w mroku. Przynajmniej miała taką nadzieję. Chciała wypaść nonszalancko. Przecież nikt nie mógł jej zakazać nocnych spacerów, jeśli miała na takowe ochotę, prawda? No.

– Pierwsze słyszę, żeby strażacy...

– Nie widziałaś cholernego znaku? Jesteś nauczycielką i nie wiesz, co on oznacza? Do kurwy nędzy!

Przekleństwo zabrzmiało w jego ustach sztucznie. Nie słyszała dotąd, żeby używał jakichkolwiek brzydkich słów.

– Nie powinnaś tu przychodzić – dodał jeszcze i szarpnął znów jej ramię.

– Robisz służbową inspekcję w stroju do biegania?

– Przychodzę w czasie wolnym. Nie jestem strażakiem zawodowym, tylko ochotnikiem.

Nie wiedziała, jak funkcjonuje OSP, nie mogła więc wywnioskować, czy Damian mówi prawdę. Znów spróbowała się wyrwać, ale pociągnął ją z powrotem do zrujnowanej bramy.

– Co to w ogóle za miejsce? – zapytała. – Czy tu jest niebezpiecznie?

– Pytasz jeszcze o coś takiego? – odburknął. – Widziałaś przecież znak.

– Dlatego właśnie pytam. Mieszkam bardzo blisko, a tu jest teren skażony?!

W takim razie nic dziwnego, że tak ochoczo wynajęli jej ten dom. To nie była przysługa. Pewnie nikt nie chciał tu mieszkać! Może nawet zacierali ręce, że znaleźli głupią. Ale są pewne granice. Ten teren mógł być niebezpieczny dla zdrowia.

– Nie martw się. U ciebie jest w porządku. Tylko tu nie wolno wchodzić – wyjaśnił Damian uspokajającym tonem. – Idź już.

– Ty nie wracasz? Przecież już sprawdziłeś, że nikogo oprócz mnie tu nie ma.

Wyglądał, jakby się wahał. Potem rzucił niby od niechcienia:

– Tak, już wracam.

Szli z powrotem zarośniętą leśną drogą. Teraz nie mogła się nadziwić, że od razu się nie zorientowała. Krzaki zarosły wprawdzie trasę, ale nadal widać było dwie równoległe koleiny. Wystarczyło się dobrze przyjrzeć.

– Co to za miejsce? – zapytała znowu.

Kolejna chwila zawahania.

– Kiedyś była tu mała fabryczka – wyjaśnił w końcu Damian. – Robili między innymi zegarki. Takie ze świecącymi tarczami. Dawno temu.

– Jak dawno?

– Dwudziestolecie międzywojenne. Wtedy jeszcze mało wiedzieli o promieniowaniu. To znaczy trochę wiedzieli. Słyszałaś o aferze *radowych dziewczyn* w Stanach Zjednoczonych?

– Nie.

– Malowały zegarki farbą z radem, bo była fluorescencyjna. Lizły pędzelki, żeby miały precyzyjne końcóweczki, i w rezultacie wchłaniały promieniotwórczy rad. Po pewnym czasie zapadały na chorobę popromienną. Mniej więcej w tym samym okresie działała tu fabryczka, w której też korzystano z farby z radem. Należała do Cezarego Babiańskiego. Bardzo bogatego człowieka, który dorobił się na wojnie. Potem, tak jak w Stanach Zjednoczonych, zrobiło się o tym głośno. Zamknięto fabrykę, ale ileś osób umarło napromieniowanych. Na terenie dawnej fabryki powstał dla nich cmentarz. No i postawiono te znaki.

A więc tajemnica grobów z lat trzydziestych została wyjaśniona, pomyślała Julia triumfalnie. W swoim śnie zastanawiała się przecież, dlaczego wówczas pochowano tyle osób. To były ofiary choroby popromiennej. Miała ochotę zapytać, czemu jest tam też tyle grobów z lat pięćdziesiątych, ale się powstrzymała. Nie chciała zdradzać, że już była kiedyś na cmentarzyku.

– Ten teren nadal jest skażony? – zapytała zamiast tego. Może przed tym chciała ją ostrzec Bibiana. – Po tylu latach?

– Tak uważają specjaliści, więc chyba nie zamierzasz się z tym kłócić?

Jego ton zabrzmiał nieprzyjemnie. Przyspieszył kroku. Szedł tuż za nią, przez co zmuszał ją, żeby niemal biegła. W sumie jej to nie przeszkadzało. Miała ochotę jak najszybciej się stamtąd oddalić. Jednak w ciemności nie bardzo widziała korzenie. Droga była zdradliwa, a upadku wolałyby uniknąć.

– Zwolnij z łaski swojej. Nic nie widać. Nie chcę na coś wpaść.

Damian nie odpowiedział. Nieoczekiwanie wyszli z krzaków i byli już w jej ogrodzie. Nauczyciel pchnął ją szorstko, żeby się pospieszyła. Znowu zaciskał palce na jej ramieniu, jakby podejrzewał, że Julia nagle odwróci się i popędzi z powrotem do starej fabryczki.

– Twój dom to była kiedyś fabryczna stróżówka – oznajmił. Nie zdjął ręki z jej ramienia. – Właściciel fabryki mieszkał w kamienicy, którą teraz zajmuje moja matka. Tak jakoś wyszło. Wyremontowała ją sobie na cacy. Ona uwielbia klimaty filmowe. No, otwieraj dom. Pora spać.

Klimaty filmowe? Julia od razu pomyślała o plakatach na klatce schodowej jej własnego nowego domu.

– Zamierzasz spać ze mną czy co? – zapytała hardo. Zaczynało ją denerwować, że Damian tak nią pomiata. Musi wziąć się w garść i pokazać, że nie da się zastraszyć.

Popatrzył na nią enigmatycznie.

– Dobranoc – szepnął, kiedy już myślała, że się nie odezwie.

Odwrócił się i pobiegł w stronę miasteczka, zostawiając ją w ciemności.

## 12

### Agnieszka Szymańska

Agnieszka ustawiała krąg ze świec, przygotowując się do rytuału, kiedy bardziej wyczuła niż zauważyła poruszenie przy domu **nowej**. Podeszła natychmiast do okna. Skryta za firaną zaczęła obserwować. Julia Wilk dyskutowała o czymś z Damianem Kowalczykiem. A to ciekawe. Eliza nasłaa Damiana czy działał na własną rękę? Szymańska nie była pewna, co nauczyciel o tym wszystkim wie. Może przed nim też trzymano tajemnice. Jak przed nią. Kiedyś może spróbuje z nim o tym pomówić. Wiedziała, jaką to powoduje frustrację. Może był w podobnym nastroju jak ona. A jeśli tak, mogli zewrzeć szyki.

Odsunęła się ostrożnie od okna. Teraz nie będzie sobie tym zaprzętała głowy. Musi dokończyć rytuał i się przemienić. Nie poznają jej potem. Jeszcze chwila. Ta kobieta, ta starucha, która sprzedała jej recepturę, być może chciała wydębić od niej pieniądze, ale Agnieszka pewna była, że rytuał miał swą moc. Wieszcze były szczególnym miejscem.

Przysiadła w samym środku kręgu. Rozważała przez chwilę, czy użyć też fotografii, którą zrobiła nowej. Po namyśle rzuciła ją tylko na podłogę. Niech sobie leży.

– Przejmuję was w swoje władanie – szeptała raz po raz.

Tamta kobieta nie nauczyła jej tych słów. Sama je wymyśliła. To był jej własny dodatek.

– Przejmuję was w moje władanie. Przejmuję was w moje władanie. Przejmuję was w moje władanie...

Powtarzała to tyle razy, że jej głos tworzył monotonną inkantację. Słowa się zlewały w atonalną muzykę. Tak naprawdę nie miały znaczenia. Liczył się przekaz. A można go wyrazić nawet niewerbalnie. Czuła, że pot spływa jej po czole. Ależ to był wysiłek. Tamta kobieta, która czekała na desperatów w mieście, może i była szarlatanką, ale w Wieszczach nawet szarlataneria stawała się prawdą. Zwłaszcza jeśli ktoś miał silną wolę. Tak jak Agnieszka.

– Przejmuję... Przejmuję... Przejmuję...

W końcu Szymańska upadła na podłogę pośrodku swojego idealnego kręgu. Jutro, jutro, jutro. Będzie po wszystkim.

Wieszcze. To było magiczne miejsce. Przyzywało i nie pozwalało uciec. Wszyscy mogliby się oddalić. Mogłoby nie być wyborów. Ale nie potrafili odejść. Tkwili jak narkoman w szponach nałogu. Ciągłe wracali po więcej, mimo że wiedzieli, że to śmiertelnie niebezpieczna pułapka. I to pewnie się nigdy nie zmieni.

Ale dzięki magii tego miejsca ona dokona swojej przemiany!

## 13

### Julia Wilk

Julia wróciła do talerza kanapek, który sobie wcześniej przygotowała. Było już późno, ale po bieganiu po lesie i towarzyszących emocjach poczuła wilczy głód. Uśmiechnęła się pod nosem na myśl o tym, jak jej obecne nazwisko ładnie się w to wpasowuje. Była głodna jak wilk.

W **poprzednim życiu**, kiedy była pisarką, nazywała się Zuzanna Kamińska. Nazwisko nieszczególnie oryginalne. Jej agent zawsze żartował, że powinna zmienić na coś bardziej zwracającego uwagę. Sprawdził nawet kiedyś, że nazwisko Kamiński nosi ponad dziewięćdziesiąt tysięcy osób w Polsce, a ona jako literatka powinna jakoś się wyróżnić. Rzadziej spotykane nazwisko łatwiej zapamiętać. No i bardziej rzuca się w oczy w księgarni.

Wtedy nie chciała o tym słyszeć. Nawet kiedy przekonywał ją, że na **Zuzannę** ewentualnie przymknie oko.

Kiedys sama sobie nadała **sekretne imię**. Była wtedy dzieckiem i nie lubiła *Zuzanny*. Nikomu się do tego nie przyznawała, ale od tamtej pory często myślała o sobie jako o Milenie. Kiedy pisała swoje fałszywe CV, zastanawiała się nawet, czyby tak właśnie się nie ochrzcić. Potem pomyślała, że to osobiste i sekretne imię. Milena należała tylko do niej. Dawno powinna wyrosnąć z takich sekretów, ale co tam. Każdy dobry pisarz powinien mieć w sobie coś z dziecka.

*Zuzanna Kamińska*. Teraz jej prawdziwe imię i nazwisko wydawało się obce. Prawie równie przygodne jak *Julia Wilk*. Do żadnego nie przywiązywała zbytnej wagi. Milena za to była jakąś okową. Może dlatego lepiej było jej nie nadużywać. Teraz była więc Julią i tyle.

Zjadła kanapki, mimo że chleb trochę wysechł. Wyprawa do lasu zajęła sporo czasu. Rozważała przez chwilę, czy nie wrócić na cmentarzyk i nie zbadać tego miejsca, skoro Damiana już tam nie było. Zerknęła w stronę wielkiego okna w salonie. Czerń nocy zdawała się nieprzenikniona. Wcześniej oczy przyzwyczyły się do ciemności. Teraz znów rozleśniły je lampy. Nie uśmiechało jej się wracać do lasu o tej porze. Chyba lepiej to zrobić rano. Jeśli w ogóle...

– Już nie bądź takim tchórzem – upomniała samą siebie.

Szkoda, że nie miała jakiegoś zwierzaka. Mogłaby wtedy bezkarnie mówić do siebie pod pretekstem rozmowy ze swoim pupilem. Wielokrotnie obserwowała to u swoich znajomych. Tak, to jest jakiś pomysł. Poza tym gdyby miała psa, czułaby się bezpieczniej. Może to nie jest zły pomysł. Zadrżała mimowolnie na wspomnienie pokracznej istoty, która być może czaiła się gdzieś w ciemności. Ciągle zmieniała zdanie na temat stwora – obecnie znów ostrożnie rozważała, czy to nie był jakiś duży wiejski burek biegający luzem.

– Spokojnie. Tu jest bezpiecznie – poinformowała siebie i dom. Wobec dojmującego obecnie braku czworonoga potrzebne było jakieś pocieszenie.

Oczywiście nikt jej nie odpowiedział. Była przecież sama, halo! Westchnęła raz jeszcze i zaczęła się wspinać na górę. Miała na nogach tylko skarpetki, ale metalowe schody i tak rezonowały głośno. Przypomniała sobie, jak usłyszała kroki tamtej nocy, kiedy przyszła tu Bibiana. Julia była wtedy pewna, że ktoś poszedł na górę. Nikogo tam jednak wtedy nie zastała. Ale słyszała kroki! Głośno i wyraźnie. Tak jak teraz własne.

Zawahała się na ostatnim stopniu, ale w końcu weszła na piętro i rozejrzała się po sypialni. Wszystko po staremu, żadnych niespodzianek. Ramka z ukrytą kamerką stała na szafce nocnej jakby nigdy nic. Pewnie się teraz włączyła, wykrywając jej ruch. To nagranie się potem wykasuje. I miejmy nadzieję, że więcej niespodzianek tej nocy nie będzie.

Julia poszła do łazienki. Wymyła szybko zęby. Starła się nie patrzeć na ścianę, gdzie przedtem własną krwią nabazgrała *Musisz pisać*. Kochała tworzenie opowieści i kiedyś nie do pomyślenia byłoby, żeby chciała z tego zrezygnować. Tylko że kiedyś jej pisanie nie zabijało ludzi. A przynajmniej nie wiedziała, że może to robić. Kiedy dowiesz się, że jesteś

morderczynią, nawet nieświadomą swoich uczynków, masz dwie możliwości. Zaakceptować to i żyć dalej albo poddać się wyrzutom sumienia. Sama już nie była pewna, którą opcją była jej ucieczka do Wieszcz.

Przemyśla twarz wodą i spojrzała na swoje odbicie. Miała podkrążone oczy i zapadnięte policzki. Nie wyglądała dobrze. Jakby w ostatnich dniach straciła kilka kilogramów. Fryzura na zapałkę jeszcze to podkreślała. To miejsce ją wyniszczało, ale też w dziwny sposób przyciągało. Opanowało ją irracjonalne wrażenie, że stąd nie da się uciec. Niby miała samochód na wyciągnięcie ręki. Stał przed domem. Mogła w każdej chwili odjechać. A jednak! Bała się, ale tego nie robiła. Tkwiła w Wieszczach. Szczerze mówiąc, nie umiała tego zrozumieć. Jakby to było miejsce z jakiegoś horroru. Miasteczko, w którym jako główna bohaterka utknęła na zawsze.

Raz jeszcze spojrzała na swoją twarz w lustrze. Odwróciła się nagle. Miała wrażenie, że coś mignęło jej za plecami. Ktoś tam był? Serce biło jej gwałtownie, kiedy podeszła ostrożnie do drzwi łazienki. To pomieszczenie było za małe, żeby się w nim ukryć, ale może w sypialni? Wyjrzała. Nie, wszystko normalnie. Nocna lampka rzucała przyjemne ciepłe światło. Wydawało się naprawdę przytulnie.

Julia zaśmiała się głośno, kiedy zorientowała się, co ją tak przestraszyło. Podeszła do okna w dachu. Gałązki drzew uderzały w nie delikatnie. Widać to poruszenie musiała zauważyć w lustrze. Dla porządku wyjrzała przez okno. W ciemności dostrzegła sylwetkę swojego samochodu. Zaraz – czy tam się ktoś rusza?!

– Oj zamknij się już – mruknęła. Choć przecież nikt nic nie powiedział. Nawet ona sama.

Położyła się do łóżka. Pościel nadal pięknie pachniała świeżym praniem i wiatrem. Obejmowała jej ciało przyjemną miękkością. Julia spróbowała się rozluźnić. Lepiej o niczym już nie myśleć. Może tylko o czymś przyjemnym. Promienie słońca wśród kłosów zboża albo polnych kwiatów. O, to wspaniały pomysł. Przez chwilę wizualizowała sobie, że idzie piękną łąką. Wokoło brzęczą pszczoły w niekończącej się pracy. Na twarzy czuła niemal ciepło letniego dnia. Uśmiechnęła się do siebie zadowolona.

A potem to poczuła... Słodki zapach kwitnących jabłoni. Natychmiast otworzyła oczy. Kiedyś lubiła jabłonie. Wydawały jej się piękne w białym kwieciu. Teraz kojarzyły się z mrokiem zmieniającego się w bagno cmentarzyka. Szkoda, że dotarła dziś tylko do bramy nekropolii i nie udało jej się pójść dalej. Gdyby Damian jej nie zatrzymał, przekonałaby się, czy sad istnieje tylko w jej śnie, czy też jest tam naprawdę. Ale musiał tam być! Ten zapach...

Jabłonie nie dawały jej spokoju. To było podobne uczucie, jakie miała już wcześniej. Jakby ktoś wpychał jej do głowy jakąś myśl. Być może to była intuicja. Julia sięgnęła po telefon i zaczęła wyszukiwać informacje o jabłoniach. Znalazła poradnik, jak je odpowiednio przycinać, jak je odmłodzić, sadzić. Było też dużo informacji o dawnych i nowszych odmianach tych drzew. Na innej stronie lista najlepszych odmian. Ogłoszenia z sadzonkami

na sprzedaż i wiele innych. Przeglądała witryny z coraz mniejszym zapalem. Nie wyglądało na to, żeby z tymi drzewami wiązała się jakaś tajemnica.

Wtedy trafiła na blog dotyczący słowiańszczyzny prowadzony przez blogerkę – Dąbrówkę Mazur. Piękne imię i nazwisko, skoro już o tym mowa. Tam było dużo ciekawiej. Przesuwała palcem po ekranie komórki i czuła, że najdrobniejsze włoski na jej ciele się unoszą.

Bała się.

## 14

*Z tej odległości nie mogę mieć pewności, ale Agnieszka Szymańska robi chyba to, co kazała jej wiedźma Babiańska. To dodatkowo mnie wzmacnia. Podejrzewam, że żadna z nich tego nie przewidziała. Babiańska stała się moją kotwicą z przeszłości, a sztuczki, w które wtajemniczyła tę dziewczynę, dla mnie są jak okruchy jedzenia dla głodnego. Niby mało, ale jednak coś. Chłonę je.*

*To daje mi wystarczająco dużo siły, żeby dostać się do głowy Zuzanny Kamińskiej. Z reguły nie robię tego, kiedy ktoś nie śpi. Sen pozwala śmiertelnikowi poradzić sobie z moją ingerencją.*

*Wyjątkiem była Eliza Kowalczyk. Chyba nikt nie wie, że ona robi to, co ja każę. Ona wytrzymała moje przesłanie. Jest silna. Z pisarką jest inaczej. Próbuję dziś to zrobić, kiedy ona nie śpi. Nie wychodzi to za dobrze. Ponawiam więc próbę dopiero, kiedy ona wraca z lasu. Delikatnie podpowiadam jej jabłonie. Tym razem przyjmuje to spokojnie i zaczyna szukać.*

*Wiem, że myślała o ucieczce samochodem – nawet nie zdaje sobie sprawy, co się z nim przed chwilą stało. Na pewno nie zdoła już nim uciec.*

# ROZDZIAŁ V

## 1

### Julia Wilk

Budzik rozdzwonił się nadzwyczaj głośno. A może to Julia potrzebowała chwili, żeby wrócić z krainy snów, i dlatego wydawał jej się taki ostry, wręcz nachalny. Mrugała oczami, próbując jednocześnie wymacać dłonią komórkę, żeby uciszyć te piekielne wrzaski. Telefon wibrował szaleńczo na stoliku nocnym. W końcu udało jej się go dosięgnąć i zapadła cisza. Rozkoszowała się nią chwilę. Przez okno w dachu wpadało wesołe światło słońca. Zapowiadał się kolejny piękny dzień.

Nagle przypomniała sobie, gdzie jest i co się działo w minionych dniach. Poderwała się i usiadła na łóżku. Ostatnio pobudki w tym domu zawsze kończyły się jakimiś nieprzyjemnymi niespodziankami. Spojrzała na swoje ręce. Nie było nowej krwi. Odsunęła kódrę. Żadnego błota na stopach po sennych wędrówkach. Nic. Wszystko normalnie.

Położyła się z powrotem i odetchnęła głębiej, żeby się uspokoić. Musiała nastawić budzik wiedzioną nawykami, bo nie pamiętała nawet, że to zrobiła. Za bardzo zaprzętnęło ją czytanie o jabłoniach.

Początkowo nie znalazła żadnych istotnych – przynajmniej z jej punktu widzenia – informacji. Potem trafiła na blog o wierzeniach słowiańskich. Wtedy dostała gęziej skórki z niepokoju. Początkowo była po prostu zaintrygowana. Nie wiedziała, że u dawnych Słowian jabłoń bywała uznawana za ucieleśnienie drzewa kosmicznego. Dlatego w czasie zimowego przesilenia, obecnego Bożego Narodzenia, dekorowano choinki właśnie jabłkami. Jabłoń uważano też za symbol płodności, zdrowia, szczęścia, a także piękna i miłości. Drzewo to mogło symbolizować również pannę młodą i obecne było w rytuałach związanych z obrzędami weselnymi.

Ale to nie wszystko. Jabłoń pojawiała się też w słowiańskich obrzędach pogrzebowych. Julia poczuła, że serce bije jej szybciej. Przedtem obecność pięknych jabłoni na cmentarzyku wydawała jej się przypadkowa. Teraz okazało się, że prawdopodobnie posadzono je tam celowo. Drzewa te uważane były za przewodnika pomiędzy światami i dlatego niekiedy sadzono je na mogiłach w zastępstwie krzyża. Jabłoni tych nie wolno było ścinać, bo mogło to przynieść nieszczęście.



Robiło się późno i miała odłożyć resztę lektury na jutro, ale wtedy zaczęła czuć mrowienie w dłoniach trzymających telefon. Wibrował, jak wtedy, kiedy ktoś dzwoni. Nikt jednak nie dzwonił. Przesunęła palcem w dół, żeby dokończyć czytanie. Wszystko się uspokoiło.

W niektórych regionach wierzono, że jabłoń symbolizuje macierzyński porządek i wyrasta tylko na grobie matki, a jabłka daje jedynie osieroconemu dziecku. Julię ogarnęło dojmujące uczucie, że jest blisko ważnego odkrycia. Znów jakby ktoś tłoczył jej coś do głowy.

Wstała i poszła do łazienki. Przemyła twarz, ubrała się i zeszła na dół. Przyjemny, senny sobotni poranek. Julia starała się zagłuszyć głosik w głowie, który powtarzał, że to zwodniczy spokój. Zrobiła sobie na śniadanie sałatkę owocową. Składała się głównie z jabłek, ale nawet to jej nie przeszkadzało. Mimo że teraz zupełnie inaczej na nie patrzyła.

Popiła śniadanie wodą ze swojego ulubionego kubka z Darthem Vaderem. Przepłukała go i jak zwykle położyła na suszarce. Nie wyglądało na to, żeby tym razem miał się tajemniczo przemieścić. Tego ranka wszystko, co wydarzyło się do tej pory, wydawało się tak odległe, że praktycznie nierealne. Może to był tylko zły sen, a dopiero dziś się tak naprawdę obudziła?

Westchnęła. Lepiej się nie oszukiwać. Musiała działać. Na początek sprawdzi kartę pamięci w ramce ze zdjęciami. Trzeba zobaczyć, czy cokolwiek się nagrało. Wątpiła, bo chyba gdyby ktoś wszedł tu tej nocy, toby się obudziła. A na pewno nie byłaby taka spokojna jak teraz. Nie było też żadnych nieprzyjemnych niespodzianek. Rozejrzała się po kuchni, żeby upewnić się, że niczego nie przeoczyła. Potem przeszła do salonu. Tam również nie zauważyła nic niepokojącego.

Wróciła więc na górę i rozsiadła się na łóżku. Wydawało jej się, że komputer włączył się szybciej niż zwykle. Najwyraźniej on też jest w dobrym nastroju, zachichotała. Wetknęła kartę do slotu i zamarła. Doskonały nastrój prysł w jednej chwili. Było kilka nagrań z nocy...

Włączyła pierwsze. Przedstawiało ją samą, jak kładła się spać. Nic zaskakującego. Wczoraj myślała nawet o tym, że uruchomi kamerkę, jak będzie się kładła. Jednak tych nagrań było za wiele, żeby przedstawiały tylko jej przygotowania. Urządzenie miało czujnik ruchu. Mogła go uruchomić raz, kiedy się kładła, ale co to za nagrania późniejsze?

Zaczęła się zastanawiać, co robiła. Może jak czytała o jabłoniach, to usiadła? Może wtedy czujnik ramki ją wykrył. Potem może włączył się, kiedy coś jej się śniło i ruszała się na łóżku. Jeśli nie, to by znaczyło, że jednak ktoś się tu zakradł.

Mięśnie stężyły jej ze stresu. Mimo to włączyła pierwszy filmik. Chciała mieć to już za sobą. To faktycznie było nagranie przedstawiające jej przygotowania do snu. Wykasowała je od razu. Z bijącym sercem włączyła następne.

W pierwszej chwili nie zrozumiała, na co patrzy. A raczej na **kogo**. Nagranie rozpoczynało się, kiedy lampka była jeszcze zapalona. Obiektów nie był skierowany na łóżko, ale na przestrzeń obok niego. I właśnie tam Wilk coś zauważyła.

– Co do cholery? – wymamrotała nie swoim głosem.

Przewinęła nagranie. Obok łóżka ktoś stał. Była to raczej sugestia osoby. Coś w rodzaju widma albo hologramu, a jednak nie można było go przeoczyć. Julia przełknęła ślinę. **Kobieta.** Chyba Bibiana, te ciemne włosy... Nie, to niemożliwe. Ona przecież nie żyła. Nie mogła ot tak wrócić...

Postać stała początkowo tyłem do kamery. Julia miała ochotę krzyknąć, ale całe jej ciało zamarło niezdolne do jakiegokolwiek ruchu. Struny głosowe też zdawały się sparaliżowane. W tej postaci było tyle realizmu, że nie przyszło jej nawet do głowy przekonywanie samej siebie, że to fotomontaż albo efekty specjalne. Ktoś był w jej sypialni wczoraj w nocy! Ktoś, kogo ona nie widziała! Ten ktoś stał cały czas obok niej! Czy ta cholerna Bibiana nigdy nie da jej spokoju?! Julia zaśmiała się histerycznie. Nie było w tym ani trochę wesołości, tylko przerażenie.

Na czole zaperlił jej się pot. Czy we wszystkich opowieściach o duchach nie było na odwrót? Zjaw, wampirów i innych takich nie widziało się w lustrach, na zdjęciach i nagraniach? Wyglądało jednak na to, że w prawdziwym życiu to był jedyny sposób, żeby je dostrzec.

Rozejrzała się nerwowo.

– Bibiana? – zapytała, przezwyciężając wreszcie stupor. – Jesteś tu?

Była tak przestraszona, że nawet nie czuła się głupio. Może duch restauratorki utknął tu, bo miał jeszcze coś do przekazania? Czekala na odpowiedź, ale nic się nie działo. Tymczasem komputer nadal odtwarzał filmik z nagrania. Bibiana poruszyła się nieznacznie. Wilk zwróciła uwagę, że jej ubranie było dziwnie staromodne i utrzymane w brunatnej kolorystyce. Julia nie znała dobrze restauratorki, ale z tego, co zdążyła się zorientować, Bibiana gustowała raczej w kolorach. A jej włosy? Filmik nie miał najlepszej jakości, ale i tak widać było, że są potargane i skołtunione. Gdzieś tam dało się nawet dostrzec łyse placki, jakby kobieta wyrywała włosy kępami.

Julia wbrew sobie pochyliła się bliżej ekranu. Wydawało jej się, że ramiona widma ruszają się, jakby kobieta płakała albo głośno nawoływała. Potem włożyła ręce we włosy i faktycznie zaczęła je rwać. Wychodziły całymi garściami. Później odwróciła się tak, że kamera pokazała jej twarz, i Wilk nie mogła powstrzymać okrzyku odrazy i grozy.

Oblicze nieznamomej było makabrycznie zdeformowane. Tak, że trudno było rozpoznać w nim Bibianę. Nie przypominała już prawie w ogóle człowieka. W policzku ziała dziura, przez którą widać było pozostałości zniszczonych zębów. Ciało zdawało się gnić. Oczy jakby się zapadały, przez co oczodoły wydawały się niemal puste.

**To coś** pochyliło się nad łóżkiem, gdzie leżała Julia i czytała o jabłoniach. Zupełnie nieświadoma, że nie jest sama. To było tak przerażające, że Wilk odrzuciła komputer i zerwała się na równe nogi. Rozglądała się po sypialni. Myśl, że zjawa może znajdować się tuż obok niej niewidzialna, była tak przerażająca, że dziewczyna, niewiele myśląc, rzuciła się do ucieczki.

O mało nie spadła ze schodów. Potykając się o niesprzątnięte nadal drobiazgi, przemknęła przez hol. Resztki racjonalnego myślenia kazały jej wzuć buty, żeby nie uciekać bosą. Nie słyszała, żeby ktoś ją gonił. Miała czas. Prawda? Prawda?! Skoczyła do drzwi. Znów siłowała się z zamkiem, tym razem od środka. Musi się wydostać na zewnątrz!

– Nie odwracaj się! – szeptała niemal bezgłośnie.

To najgorsze, co można zrobić, kiedy się ucieka. Pot spływał jej po czole. Nie odwracaj się! Uciekaj! Patrz tylko naprzód.

Zamek jakby się zaciął. Gałka nie chciała się przekręcić. Julię ogarnęła fala zimna i znów miała wrażenie czyjejś obecności. Krzyknęła. W tym momencie udało jej się odblokować zamek i wyskoczyła na ciepły wiosenny poranek. Zaczęła biec przed siebie.

Jej wzrok padł na dom sąsiadki. O tej porze w sobotę Agnieszka na pewno będzie u siebie! Byle tylko tam dotrzeć. Mięśnie paliły Julię z wysiłku. Nigdy nie była dobrą sprinterką, ale teraz napędzał ją strach. Woźny twierdził, że Szymańska kradnie zdjęcia uczniów ze szkolnej gabloty. Może i tak, ale teraz to nieważne. Byle znaleźć się w jakimś bezpiecznym miejscu z inną żywą osobą.

Wpadła na ganek, znów o mało się nie potykając.

– Agnieszka... – wysapała. Chciała krzyknąć, ale gardło miała tak ściśnięte, że nie była w stanie wydać głośniejszego dźwięku.

Drzwi domu sąsiadki były uchylone, więc niewiele myśląc, Julia wpadła do środka. Przepraszać za brak kultury i wpraszanie się będzie potem.

– Agnieszka... Agnieszka!

Nikt nie odpowiedział. Wilk poczuła się obco, jak tylko obco można się poczuć, kiedy jest się w cudzym domu, a właściciela nie ma. Dlaczego było otwarte? Gdzie jest do cholery Agnieszka?! Julia zaczęła chodzić po pokojach w poszukiwaniu sąsiadki.

Myśli pędziły gorączkowo przez jej skołataną głowę. A może jednak to jakiś fotomontaż? Nie, w głębi ducha wiedziała, że to było prawdziwe nagranie. Choć z całych sił chciała, żeby było inaczej. Nawet gdyby tutejsi ludzie się na Wilk uwzięli, na pewno nie dysponowaliby technologią zdolną do stworzenia czegoś tak realistycznego. Julia nie chciała widzieć tej makabrycznej zjawy, ale widziała, i to było najgorsze. Miała teraz wrażenie, że przed oczami ciągle pojawia jej się obraz gnijącej Bibiany. Jakby wrył się w siatkówkę i już nigdy nie miała się go pozbyć. Próbowwała trzymać oczy szeroko otwarte. Zaczynały łzawić nieprzyjemnie, wkrótce więc będzie musiała się poddać.

– Agnieszka?! – krzyknęła rozpaczliwie.

Tak bardzo chciała, żeby ktoś był tu teraz obok. Nawet jeśli nie wiedziała, czy powinna ufać sąsiadce, to wolała ją niż **to**, co zobaczyła na nagraniu. A najgorsze było, że czuła się dziś rano tak dobrze. Uwierzyła, że wszystko jest w porządku, a dom zapewnia bezpieczeństwo. Tymczasem Bibiana była tam prawdopodobnie przez cały ten czas, nawet po swojej śmierci. W domu, tuż obok Wilk, a Julia leżała na łóżku, nic o tym nie wiedząc.

Przypomniała sobie dojmujące uczucie bycia obserwowaną, które odczuwała na samym początku. Może to ta zjawia się jej przyglądała.

Może to cielesna forma Bibiany była jedynie ułudą?! Julia miała ochotę zwymiotować. Czyli jednak szaleństwo? Tamtego pierwszego dnia zobaczyła ducha, który tylko przybrał widzialną postać. Restauracji wcale nie zlikwidowano na szybko?! Nic z tego się nie wydarzyło?

Wilk wzdrygnęła się gwałtownie. Musiała przytrzymać się ściany, żeby nie upaść. Został jej jeszcze jeden pokój do sprawdzenia. Agnieszki raczej tam nie było. Usłyszałaby chyba harmider, który Julia robiła w jej domu. Mimo to Wilk musiała tam zajrzeć.

Stała jak wryta. Nagle i z tego domu zapragnęła jak najszybciej uciec.

## 2

### **Bruno Machulski**

Bruno długo bił się z myślami. Dziś była sobota, nie musiał iść do szkoły, miał więc czas, żeby głębiej zastanowić się nad sytuacją. Czuł się bardzo zmęczony. Bardziej niż kiedykolwiek. Jakby w nocy coś wyssało z niego niemal całą energię. Śniła mu się Agnieszka Szymańska wśród świec. W tym śnie to ona była winna tej utracie siły. On leżał na podłodze i patrzył na nią z dołu.

Sen snem, ale może za długo to wszystko trwało i w końcu dotarł do kresu swoich możliwości i stąd ta utrata sił. Nagle opanowało go przekonanie, że jednak sam sobie nie poradzi. Nawet Maks może okazać się niewystarczającą pomocą, kiedy przyjdzie co do czego.

To nie było przyjemne podsumowanie sytuacji. Bruno był tylko nastolatkiem, ale od zawsze radził sobie w niemal każdych okolicznościach. A kiedy wybory zabrały jego ojca, to musiał siłą rzeczy stać się głową rodziny i być jeszcze silniejszy. Bo głowa rodziny za tę rodzinę odpowiada, prawda? Jeśli nie potrafił zapewnić rodzinie bezpieczeństwa, to jaka z niego opoka?

Mama pewnie by go pocieszała, gdyby jej kiedykolwiek powiedział o swoich wątpliwościach. Ale nie powiedział i nie zamierzał o tym mówić nikomu. Przynajmniej aż do teraz. Bo dziś czuł, że nie da rady pójść do sklepu pana Alberta i znów coś ukraść. Aptekarz wydawał się bardzo miły, więc Bruno czuł się z tym jeszcze gorzej. Jak nastolatek szedł do szkoły, to pan Albert zawsze się uśmiechał, ale chłopak i tak czuł, że starszy pan się czegoś domyśla. Nic dziwnego, młody Machulski nie był przecież kryminalistą, tylko zwykłym dzieciakiem, który nie chce, żeby jego rodzina głodowała.

Ponadto laboratorium chemiczne na strychu nie zdawało egzaminu. Bruno próbował i próbował. Skórę miał czerwoną i podrażnioną, ale co z tego. To było jedno wielkie fiasko. Co gorsza, gdyby ktoś odkrył prawdę, to chyba mogliby go zamknąć jak za najpoważniejsze

przestępstwo. Zabrnął naprawdę za daleko. Może i był tylko dzieciakiem, ale dobrze o tym wiedział.

– Możemy iść na górę do mamy? – marudzili bracia.

– Nie – warknął. – Teraz muszę na chwilę wyjść. Macie siedzieć grzecznie na dole i oglądać bajki. Zrozumiano?

– Ale...

– Zrozumiano?!

Umiał mówić naprawdę stanowczym głosem. Nauczył go tego tata. Kiedyś mu nawet powiedział: *Bruno, jeśli mnie nie będzie, to...* No i te słowa się sprawdziły. Nie było już taty do pomocy. Został tylko ósmoklasista, który musiał jakoś te problemy unieść.

– Tak – odpowiedzieli niechętnym chórem młodszy bracia.

Wiedział, że go posłuchają. W rodzinie Machulskich dyscyplina była przecież bardzo ważna.

– Maks jest na zewnątrz, jakby co – przypomniał.

– Dobra.

– Ja postaram się wrócić jak najszybciej.

Obiecał to z ręką na sercu. Naprawdę czas był teraz na wagę złota. Tak to przynajmniej wyglądało. A może już za późno. Możliwe. Ale on nie zamierzał się poddać. Jednak w tym momencie pozostawało mu tylko zaufać komuś dorosłemu. Już raz chciał, ale ostatecznie się nie odważył. Teraz nie było już wyjścia.

### 3

## Julia Wilk

Julia zaglądała do pokoju z szeroko otwartymi oczami. Na podłodze ułożono idealny krąg ze świec. Były szerniałe i niemal doszczętnie wypalone. Dookoła wały się zdjęcia. To musiały być fotografie ukradzione ze szkoły. Większości twarzy nie kojarzyła, choć mignęły jej też uczniowie, których znała z własnych lekcji – chociażby ten wygadany blondynek, Bruno. Woźny miał rację. To Agnieszka kradła fotografie z gabloty! Twarze uczniów były częściowo pokryte woskiem ze świec. Część jakby się zamazała.

– Jakies pieprzone voodoo czy co? – wyrwało jej się.

Wilk wiedziała, że powinna stąd wyjść, ale i tak zrobiła krok do przodu. Przekroczyła próg niczym mucha lecąca do lepu. Wtedy zobaczyła, że wśród fotografii jest jedna wydrukowana na zwykłym papierze. To było jej zdjęcie! Zrobione chyba pierwszego dnia, bo wnosila walizki do swojego nowego domu. Agnieszka pominęła kartkę i najwyraźniej znów ją rozprostowała. Twarz Julii zamazała długopisem tak mocno, że w kilku miejscach kartka była przedarta, ale chyba nie odprawiała nad nim tych samych rytuałów jak nad zdjęciami dzieci.

Nagle ciszę przerwał odgłos zamykanych drzwi. To pewnie Agnieszka weszła do domu! Nie będzie zachwycona, że ktoś zobaczył jej dzieło. Julia nie miała pojęcia, co tu się działo, ale czuła, że to coś złego. Pokój emanował negatywną energią.

Nie zastanawiała się długo. Jedyne, co zdołała na szybko wymyślić, to stanąć za otwartymi drzwiami. W pokoju nie było ani dużej szafy, w której można by się skryć, ani łóżka, pod które można by wejść. Nic. Pozostawało więc mieć nadzieję, że skrzydło drzwi ją zasłoni. Otwierały się do środka, więc jeśli Agnieszka tylko tu zajrzy, może jej nie dojrzy. Może w ogóle nie będzie tu sprawdzać. Skąd miałyby wiedzieć, że ktoś wszedł do jej domu – nie będzie przeszukiwała wszystkich pokoi.

Julia o mało nie roześmiała się przez łzy. Dopiero co sama była obserwowana we własnym domu, teraz to ona się kryła w cudzym. I to u osoby, której tak bardzo chciała zaufać, a która okazała się negatywnie do niej nastawiona. Poprzedziana długopisem kartka ze zrobionym ukradkiem zdjęciem nie pozostawiała wątpliwości.

Kroki w korytarzu. Agnieszka coś mówiła, ale nikt nie odpowiadał. Julia była tak roztrzęsiona, że chwilę zajęło jej zrozumienie, co się dzieje. Sąsiadka po prostu rozmawiała z kimś przez telefon.

– Właśnie weszłam do domu – poinformowała swojego interlokutora. – Z tą ramką to rzeczywiście dziwne. Myślisz, że nie będzie robiła problemów?

Chwila ciszy, kiedy Agnieszka nasłuchiwała odpowiedzi. Jej kroki były coraz bliżej. Idź stąd, zaklinała Julia, mimo że dopiero co tak bardzo chciała zastać sąsiadkę w domu. Agnieszka rozmawiała z kimś o ramce. Pewnie z Albertem. A to oznaczało, że faktycznie była tu jakaś zмова, spisek czy cokolwiek. Błagam, niech to wszystko się wreszcie skończy!, krzyczała Julia w duchu. Niech to się skończy! Po co ja w ogóle tu przyjeżdżałam!

– Ja od początku mówiłam, że... – perorowała tymczasem Agnieszka nieświadoma, że ktoś jest w jej domu. – A zresztą... Co na to pozostali członkowie Rady?

Jej głos dochodził z korytarza tuż za pokojem, w którym ukryła się Julia. Była dosłownie dwa, może trzy metry stamtąd. Nie wchodzi tu! No nie wchodzi! Ale Agnieszka dokładnie tu się kierowała. Stanęła w drzwiach. Nic nie mówiła. Julia myślała początkowo, że sąsiadka słucha odpowiedzi swojego rozmówcy. Czuła jednak w tej ciszy napięcie.

– Muszę kończyć – oznajmiła temu komuś Agnieszka.

Julia spojrzała w kierunku okna, próbując dojrzeć odbicie sąsiadki, żeby zorientować się, co ta zamierza. Wtedy zobaczyła, że w kącie pokoju stoi lustro. Nie zwróciła na nie wcześniej uwagi, bo krąg wypalonych świec tak ją zajął. W czystej gładkiej tafli zobaczyła odbicie stojącej w progu sąsiadki. Była jakaś inna. Zniknęła dobrotliwa pulchność. Agnieszka zdawała się wręcz wychudzona. Jak to możliwe, żeby w jedną noc straciła tyle kilogramów?!

Najgorsze jednak, że ich oczy się spotkały. Agnieszka również widziała odbicie Julii ukrytej za drzwiami. Było za późno!

## Gustaw Zieliński

Gustaw miał wrażenie, że się przesłyszał. Ktoś właśnie nacisnął klamkę drzwi jego mieszkania na strychu. Zawsze bardzo pilnował, żeby nikt nie zobaczył, co trzyma w środku. Przedsięwziął wszelkie środki ostrożności, ale dmuchał na zimne. Nigdy jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś próbował tu wejść. **Nigdy**. Chociaż ostatnio wydawało mu się, że ktoś zakradł się na górę.

Znów kliknięcie poruszanej klamki. I pomyśleć, że w ogóle by go tu nie było, bo w soboty rano często wybierał się na długi spacer. Może ten ktoś o tym wiedział. Dziś woźny czuł się zmęczony i nie w humorze, dlatego złamał swoją rutynę. Minęło kilka dni od śmierci matki, nie mógł się z tym oswoić. Bibiana miała taką siłę woli, że zdawałoby się, że po śmierci wstanie z grobu i niczym się nie przejmie. Jednak matka nie była niezniszczalna... Ale dobrze się stało, że woźny nie poszedł, bo nie wiedziałby, że ktoś podjął próbę włamania.

– Panie Gustawie!

Znał ten głos. To ten blondas. Syn Machulskiej. Ładna z niej była kiedyś dziewczyna. Podobała się Gustawowi. Potem też zachowała dziewczęcy urok, mimo że urodziła tyle dzieci. No i teraz była wolna. Może nie wypadało tak myśleć o wdowie. Tym bardziej że jej mąż zginął dość niedawno. Ale co tam.

– Panie Gustawie!

– Co?! – Pilnował, żeby jego głos zabrzmiał wystarczająco nieprzyjemnie.

– Mogę wejść?

– Nie – odrzyknął bez wahania woźny. Nikt nie wejdzie do tego mieszkania. To był jego azyl i jego tajemnice.

– Proszę...

Grube drzwi przytłumiły głos dzieciaka, ale i tak dosłyszał w nim błagalną nutę. Chłopak przedarł się tu przez cały strych. Naprawdę mu zależało. Gustaw poczuł wyrzuty sumienia. Matka na pewno wpuściłaby Machulskiego. Słyszał niemal jej głos, że trzeba być **w porządku**. Ona całe życie starała się być w porządku i jak skończyła?!

– Proszę... Tylko pan może mi pomóc... Ostatnio się nie odważyłem wyjść, jak pan kazał, jak pan rzucił tym szklanym czymś, ale teraz...

Gustaw zaklął pod nosem. A więc miał rację. Ostatnio na strychu ktoś był i naruszał jego przestrzeń. Ten chłopaczek. No ale ten błagalny ton... Woźny znów pomyślał o matce. Bibiana zawsze chciała wszystkim pomagać. A na koniec wołała sama zginąć niż kogoś wyznaczyć. A on nie chciał wpuścić jakiegoś dzieciaka.

– Zejdź ze strychu i czekaj na mnie pod schodami – rozkazał w końcu.

Był na siebie wściekły, że uległ. Ale nie zamierzał otwierać drzwi przy tym chłopaku. Dzieciak mógłby coś zobaczyć.

– Dobrze!

Gustaw przytknął ucho do desek i zaczął nasłuchiwać. Chłopiec miał lekki chód i ciężko było wyłowić jakikolwiek dźwięk. Woźny odliczył do trzydziestu – wolno i z namaszczeniem. W tym czasie dzieciak oddalił się już zapewne wystarczająco.

Woźny wyszedł z mieszkanka i zamknął szybko drzwi. Upewnił się, że klucz zaskoczył, i dopiero wtedy się odwrócił. Strych jak zwykle spowijała ciemność. Nie czuł niczyjej obecności. Dzieciak posłuchał go i zszedł na dół. Wyglądało na to, że nie chce podpaść. Czyli mu zależało.

– No i o co chodzi?! – warknął, kiedy znalazł Brunona u stóp drewnianych schodów.

Chłopiec rozejrzał się trwożnie wokoło. Był wyraźnie znerwicowany, jakby oczekiwał ataku.

– Nikogo tu nie ma, mały. Jest sobota.

To niekoniecznie była prawda. Eliza lubiła krzątać się po szkole również w weekendy, ale w budynku nie czuło się tego napięcia, które oddawały mury, kiedy dyrektorka przebywała na terenie placówki. Woźny dawno już nauczył się wyczuwać tę szkołę. Zawsze informowała go o obecności szefowej.

Ostatnio wkradała się tu też Agnieszka Szymańska. Nie miał najmniejszego pojęcia, dlaczego dawna sekretarka zabierała zdjęcia uczniów, i nie obchodziło go to, póki nikt jego nie oskarżał o pedofilię czy inne bezeceństwa.

– Ale...

– Gadasz tu albo sobie idę. Nie mam ochoty tracić na ciebie czasu, szczeniaku.

Bruno przyglądał mu się trwożnie. Z tego, co Gustaw pamiętał, młody Machulski był w ósmej klasie. Teraz wyglądał na ucznia co najwyżej czwartej. Jakby zapadł się w sobie i stracił całą wolę życia.

– No gadajże – mruknął woźny delikatniej. Zrobiło mu się szkoda dzieciaka.

Wysłuchał opowieści sapiącego ciężko z emocji Brunona, próbując zachować kamienną twarz. Nie chciał go spłoszyć. Czuł, że to by nie było dobre posunięcie. Mogłoby się zdarzyć coś jeszcze gorszego niż to, co już się wydarzyło.

– Co zamierzasz? – zapytał na koniec, jakby chłopak był dorosły. Tak czasem trzeba było traktować nawet najmłodsze dzieciaki. Zwłaszcza je.

Gustaw musiał przyznać sam przed sobą, że schlebiało mu, że dzieciak przyszedł do niego. Widać poświęcenie Bibiany nie było daremne. Rodzina Zielińskich wyrastała na tych, do których warto zwrócić się w nietypowych sprawach. A zwłaszcza w sprawach, kiedy trzeba było porzucić utarty szlak i sprzeciwić się tej pieprzonej Radzie.

Dzieciak przyglądał mu się z mieszaniną strachu i komicznej niechęci, jakby nagle uznał, że popełnił fatalny błąd, przychodząc do Gustawa.

– Doniesie pan na mnie na policję?

Woźny miał ochotę zapytać, po co niby miałby to robić. Wstrzymał się jednak. Dzieciak słusznie się tego bał. Każdy normalny człowiek po usłyszeniu tych rewelacji pognałby na



policję. Gustaw nie zamierzał – nie do Manueli i Kornela. I Bruno podświadomie pewnie to wyczuwał. Dlatego właśnie do niego przyszedł.

– Najpierw muszę rozeznac się w sytuacji – powiedział woźny z uśmiechem.

Mimo wszystko chciał mieć w zanadrzu tę policję. Chłopak będzie się bał, a strach jest czasem potrzebny. Zwłaszcza w **niecodziennych** sytuacjach.

– Chodźmy w takim razie – ponaglił go chłopiec. Niemal krzyknął te słowa. Poniosły się pustym korytarzem szkoły. Co za desperacja!

Gustaw pomyślał o swoim mieszkaniu na górze. Dobrze je zamknął. Klucze miał tylko on. To było miejsce nawet poza jurysdykcją samej dyrektorki. To, co trzymał na górze, pozostanie tylko jego tajemnicą. Tak postanowił już dawno temu.

## 5

### Julia Wilk

Julia doszła do wniosku, że pozostaje tylko jedno. Zaatakować, zanim Agnieszka – albo ktokolwiek to jest – zdąży to zrobić. Może w ten sposób zyska przewagę. Pchnęła drzwi w stronę zdecydowanie chudszej i bardziej mrocznej wersji sąsiadki. Szymańska chwyciła klamkę, ale impet sprawił, że przesunęła się. Za mało, żeby Julia się zdołała przecisnąć. Wilk skoczyła więc przez świecę w głąb pokoju, żeby spróbować zaatakować z drugiej strony. Za wszelką cenę musiała wydostać się z tego pomieszczenia.

W Agnieszce zaszła jakaś dziwaczna przemiana. Kości policzkowe stały się wydatne, policzki się zapadły. Wyglądała upiornie – jakby trawiła ją jakaś choroba. A jeszcze wczoraj była przyjemnie pulchna i radosna.

– Co się z tobą dzieje?! – krzyknęła Julia, próbując ją zagadać. – Co ty tu z tym wszystkim robisz?!

Po obliczu sąsiadki przemknął delikatny uśmiezek. Zaraz jednak dodała:

– To nie tak, jak myślisz.

– Nie tak, jak myślę?! Co tu się dzieje?! Co się dzieje w tym przeklętym miasteczku?!

Wilk nie mogła powstrzymać emocji. Agnieszka zaśmiała się głośno. Zabrzmiało to przerażająco. Jej zęby załśniły nienaturalną wręcz bielą. Julii przeleciały przed oczami wszystkie filmy o wampirach, jakie w życiu widziała. Znów ogarnęła ją panika.

Rzuciła się w stronę sąsiadki w desperackiej próbie przebicia się na zewnątrz. Nie zostało już nic innego do zrobienia. Udało się! Julia wylądowała na korytarzu i zaczęła pędzić do wyjścia.

– Zaczekaj! – wrzasnęła za nią Agnieszka. – Co ty robisz?!

Jej ton brzmiał, jakby uznała Julię za wariatkę. Wilk nie zważała na to. Wypadła na dwór. Co teraz?! Gdzie uciekać?! Samochód! No jasne! Włożyła rękę do kieszeni, ale nie było

w niej kluczyków. Popędziła w stronę swojego domu, klnąc w duchu. Przy ganku gwałtownie wyhamowała. Przecież w środku była przebudzona ze zmarłych Bibiana.

Wilk odwróciła się. Sąsiadka wyszła właśnie na ganek.

– Julia! Poczekaj!

Zjawa była w domu wczoraj, rozważała gorączkowo Julia. Teraz być może wcale jej nie ma, a kluczyki leżą na kredensiku w holu. Raz kozie śmierć. Wilk wpadła do środka i chwyciła kluczyki. Zajęło jej to dosłownie kilka sekund, ale i tak poczuła czyjąś obecność. Bibiana! I najwyraźniej próbowała Julię zatrzymać. Teraz, kiedy wiedziała już, jak wygląda zjawa, poczuła natychmiastowy przypływ sił, żeby wyrwać się spod jej wpływu. Pozwoliła lękowi zupełnie sobą zawładnąć. Nie obchodziło jej, czy nie za bardzo panikuje. Teraz chciała już tylko uciec. Jak będzie daleko stąd, wynajmie kogoś, żeby zabrał stąd jej rzeczy. Teraz tylko uciec!

– Julia! – krzyczała Agnieszka. – Poczekaj! Robisz jakąś szopkę!

Wilk wskoczyła do samochodu i odpaliła silnik. Zabuczał znajomo, ale kiedy próbowała wycofać z podjazdu, okazało się, że coś jest nie tak. Komputer pokładowy zapiszczał głośno, sygnalizując brak ciśnienia w oponach. Co mogło się stać? Przecież samochód sobie po prostu stał... Nagle pomyślała o tym, jak Damian wczoraj przechodził obok jej auta. Tylko dlatego go zauważyła, że oświetliły go lampy z salonu. Może przebił opony!

Wszystko rzęziło i się trzęsło, ale wcisnęła gaz do dechy. Widziała kiedyś filmik o człowieku, który pół miasta przejechał na samych felgach, zanim zatrzymała go policja. Może i ona zdoła uciec choć kawałek!

Agnieszka wyskoczyła na drogę i rozłożyła ręce, chcąc ją zatrzymać. Julii nie pozostało nic innego, jak skręcić w polną trasę. Oby tylko felgi nie zaryły w piachu. Droga była dość dobrze utwardzona. Powinno się udać. Bez opamiętania wciskała gaz. Silnik wył rozpaczliwie, a felgi krzeszały co jakiś czas iskry na kamieniach. Widziała je w lusterku.

– No dalej! – zawołała do samochodu.

Sąsiadka nie miała szans dogonić jej pieszo, mimo że mini poruszało się wolno. **Za wolno!**

Nagle samochodem szarpnęło. Wykrakała! Felgi utknęły w ziemi. Nie da się ruszyć dalej, choć silnik szarpał w najwyższym wysiłku wyciągnięcia jej z opresji. Julia wyskoczyła na zewnątrz, zostawiając kluczyki w stacyjce. Popędziła dalej polną drogą. Teraz czuła się bezpieczniej, bo wzdłuż trasy rosły krzaki. Dawały złudną nadzieję, że pozostanie niezauważona. Ale jeśli ruszy za nią jakiś pościg? Poza tym ta droga prowadziła chyba prosto pod komisariat policji, a już przecież wiedziała, że funkcjonariuszom z tutejszej jednostki nie może ufać. Więc gdzie ma pójść?! Gdzie mogłaby się ukryć?!

Nagle przypomniała sobie, że zna tu jeden dom. Niedaleko mieszkał Bruno Machulski. Ten niesforny uczeń, który pokazywał jej wcześniej miasto i opowiedział o poczynaniach Elizy Kowalczyk i Wiktorii Sikory. Jeśli Julia pobiegnie przez pole, znajdzie się chyba na tyłach jego skromnego obejścia. Może uda jej się przekonać matkę chłopca, żeby udzieliła jej

schronienia. Ci ludzie potrzebowali pieniędzy. Julia była w tym momencie skłonna ofiarować bardzo wiele, żeby tylko dać sobie spokojną chwilę na zebranie myśli.

Zbiegła z drogi i popędziła na przelaj przez pole. Znajdowała się na otwartej przestrzeni, ale nie widziała, żeby ktoś nadjeżdżał drogą. Jeszcze tylko kawałek i schroni się na tyłach domu Machulskich. Tylko kawałek. A wtedy niech sobie tędy jeżdżą i jej szukają.

Nagle poczuła na sobie ciepły śmierzący oddech. Odwróciła się powoli i spojrzała prosto w ślepią wielkiego psa. To była mieszanka owczarka niemieckiego z jakąś jeszcze większą rasą. Pies musiał ważyć z siedemdziesiąt kilo. Więcej niż ona. Uniósł delikatnie wargi, jakby chciał się uśmiechnąć. Usłyszała ciche gardłowe buczenie. Dochodziło z jego złowieszczo **rozpromienionej** paszczy. Nie był to bernardyn, ale i tak od razu skojarzył jej się z filmem *Cujo* na podstawie powieści Kinga.

– Dobry piesek – wydusiła. Głos jej drżał. – Dobry piesek... Ja tylko...

Pies warknął cicho. Głośno nie musiał. I tak zjeżyły jej się wszystkie włoski na ciele.

– Już dobrze... – spróbowała znowu.

Nie miała gdzie się wycofać. Za plecami czuła chłodną ścianę domu. Jeździła rękami po nierównym tynku w poszukiwaniu drzwi. Bała się odwrócić. Przypomniła jej się stwór, który przybliżał się, kiedy tylko patrzyła w inną stronę. Ni to pies, ni to wilk, ni to człowiek. Przed sobą miała teraz najzwyczajniejszego kundla, ale był tak blisko, że zdawał się jeszcze bardziej przerażający niż jakakolwiek mara z sennego koszmaru. Był bowiem całkiem realnym zagrożeniem. Tu i teraz.

Pies zrobił krok w jej stronę. Niespiesznie. Wiedział doskonale, że ma przewagę, i chciał jej to pokazać. A może nie miał żadnych przemyśleń w tej kwestii i zwyczajnie się nie spieszył.

Nagle jej spocone dłonie natrafiły na wyrwę w murze. Pamiętała, że na elewacji brakowało cegieł, ale to było coś większego. Tak! Framuga drzwi. Pies zrobił kolejny krok, ale ona już szukała klamki. Błagam, niech będzie otwarte! Niech będzie otwarte!

Dokładnie w tym momencie drzwi się uchyliły. Straciła równowagę i wpadła do środka.

– Maks! – wołał właśnie jakiś mały chłopiec.

W rękach miał wypełnioną czymś miskę. Sądząc po zapachu, była to psia karma. Upuścił ją i na podłogę posypały się chrupki. Było ich mało. Za mało, jak dla wielkiego zwierzęcia. Wilczur rzucił się na jedzenie. Dopiero teraz Julia zwróciła uwagę, jak bardzo jest wychudzony.

– Gdzie twoja mamusia? – zapytała gorączkowo chłopca. Pchnęła drzwi, żeby pies nie mógł wejść do środka.

– Ale Maks musi... – zaczął chłopczyk.

– Gdzie mama? – zapytała Julia ostrzej.

– Na górze, psze pani, ale...

Julia już go nie słuchała. Machnęła tylko ręką. Chłopiec od razu ucichł, przyzwyczajony najwyraźniej do posłuchu. Wstała i otrzepała ubranie. Kiedy pies został na dworze, mogła

spróbować zebrać się w sobie i nie wyglądać na zwariowaną dziwaczkę, co najwyżej na zgrzaną po biegu kobietę. Może pani Machulska weźmie ją za miastową, która wybrała się na trening. Nawet prawdopodobne, ale zapewne tylko do momentu, kiedy Wilk zacznie jej o wszystkim opowiadać. Wtedy kobieta postuka się w głowę.

No chyba że całe to miasteczko o tym wie.

– Jurek? – rozległo się z góry. – Co się dzieje?

Rozpoznała ten głos od razu. To był Bruno. Dobrze, bardzo dobrze. Uczeń chyba ją lubi. Jego matka będzie bardziej skłonna udzielić jej tymczasowego schronienia, jeśli chłopiec przedstawi ją jako swoją nauczycielkę. Julia myślała gorączkowo, co właściwie powinna powiedzieć. Chyba najpierw poprosi panią Machulską o pożyczenie telefonu. Będzie mogła zadzwonić. Tylko do kogo? Może do agenta? On tak bardzo chciał, żeby dała mu znać, kiedy zdecyduje się wrócić do pisania. Mogłaby udawać, że tak właśnie ma się stać. Niech ją tylko stąd zabierze, a napisze wszystko, co będzie chciał. Do licha! Może nawet opíše to zwariowane miasteczko! A co jej tam! Lubiła szalone opowieści, a ta do takich należała.

– Co się dzieje?

Z góry dobiegł jeszcze jeden głos. Też go poznała, ale zupełnie się go tu nie spodziewała. Ani trochę! Poza tym brzmiał jakoś inaczej. Była jednak pewna, że to głos Gustawa Zielińskiego. Cholera! Najpierw gnijące truchło Bibiany, a teraz woźny! Przez moment Julia im ufała. Teraz okazywało się, że jednak było tak, jak sądziła na początku. Ta dwójka współdziałała przeciwko niej!

– Jakaś pani przyszła do mamy – krzyknął chłopczyk, na którego wpadła wcześniej w drzwiach.

– Mówiłem, że mama potrzebuje spokoju! – wrzasnął Bruno z góry. Była w tym jakaś ponura determinacja. – Co pani tu robi?! Proszę nie wchodzić!

Ale ona była już prawie u szczytu schodów. Strasznie tu śmierdziało. Niemal ją zemdliło. Zajrzała machinalnie do pokoju, który tarasował nastolatek. Woźny stał przy łóżku. Leżała na nim kobieta.

**Martwa kobieta.**

## 6

### Albert Tabaczyński

– Gdzie pojechała Julia? – zapytał Albert.

Agnieszka Szymańska i Eliza Kowalczyk stały przed domem asystentki przedsiębiorczyni. Pulchna dziewczyna wcale nie była już pulchna. Jej rysy stały się ostre i przerażające. Chciał oczywiście zapytać, co się stało, ale czuł podskórnie, że wie. Jego babka Zofia lubowała się w takich sztuczkiach. Z reguły nie wystarczały one na długo. Zarabiała na naiwnych

kobietach, które chciały schudnąć. Miał ochotę zapytać Agnieszkę o starą, ubraną na czarno kobietę, ale się powstrzymał. To nie miało teraz znaczenia.

Teraz ważniejsza była Zuzanna Kamińska vel Julia Wilk. Mieli wobec niej plany i nie można było pozwolić, żeby uciekła. To Eliza wpadła na pomysł zaangażowania w sprawy miasteczka pisarki, ale i Albert – po namyśle – mu przyklasnął. Wymyślił nową recepturę, która mogła (a przynajmniej taką miał nadzieję) uodpornić ich na krzyk wieszczego. Julia Wilk miała jednak być znacznie ważniejszym atutem i najpierw tą kartą trzeba zagrać.

– Przez pola. Poszłam tylko wyrzucić śmieci, a jak wróciłam, ona była u mnie w domu. Rozmawiałam przez telefon z Wiktoria i nie zorientowałam się, że ktoś wszedł. A ona nagle wyskoczyła. Zachowywała się jak wariatka!

Agnieszka sama wyglądała teraz na szaloną. Zapadnięta twarz, rozczochrane włosy, rozbiegane oczy. Dobrze, że chociaż zachowała na tyle przytomności umysłu, że zadzwoniła po Elizę. Kowalczyk mieszkała przy Głównej, w dawnej kamienicy Babiańskich, i przysłała tu w kilka minut. Potem zawiadomiły Alberta. Dobrze, że Damian był w domu i mogli od razu wskoczyć w samochód.

Aptekarz zerknął w stronę dyrektorki szkoły. Usta zasznurowała w cieniutki węzełek. Zapewne i jej uwadze nie uszła przemiana Agnieszki. Oddychała ciężko. Sprowadzenie tu Julii było jej pomysłem, najbardziej więc chyba przeżywała, że to może teraz nie wypalić.

– Cieszcie się, że w ogóle was zawiadomiłam – rzuciła Agnieszka zaczepnie. Jej oczy stały się duże i ciemne. Zniknęła z nich wcześniejsza jowialność. – Gdybyście łaskawie powiedzieli mi, po co sprowadziliście tu tę całą Julię Wilk, to może byłoby łatwiej.

– A niby dlaczego mielibyśmy ci cokolwiek mówić? – zapytała Eliza powoli i bardzo, bardzo oschle. – Nie należysz do Rady.

Damian prychnął cicho. Zapewne żeby zaznaczyć, że również czuje się wykluczony – zarówno przez Alberta, jak i przez matkę. Nic jednak nie powiedział.

– Praktycznie zarządzam firmą Wiktorii... – zaczęła Agnieszka głucho. Nie krzyczała, nie widać było po niej żadnej emocji, ale jej głos brzmiał posępnie i groźnie. Albertowi się to nie podobało.

– I co z tego?! – zaśmiała się Eliza, przerywając dziewczynie. – Jesteś tylko asystentką, a zarządzasz firmą jedynie dlatego, że Wiktoria się poświęciła i też nie ma innego wyjścia, jak ukrywać się w domu. Nie ma w tym żadnej twojej zasługi. Formalnie słuchasz tego, co ona każe ci robić. Nie zapominaj o tym i nie przypisuj sobie za wielkich zasług.

Albert widział narastające w Agnieszce wzburzenie. Nie zapowiadało to nic dobrego. Zanim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, Damian odchrząknął głośniej. Spojrzeli w jego stronę.

– Jak rozumiem, ani ty, mamó, ani ty, Albercie, mnie też nie powiecie, po co sprowadziliście tu tę Wilk. Bo zakładam, że to wy ją sprowadziliście, nawet jeśli ona o tym nie wie?

Aptekarz zerknął na dyrektorkę szkoły. Nie odwzajemniła jego spojrzenia, choć widać było, że je zauważyła. Wyraźnie nie chciała na niego patrzeć.

– Nie, bo nie ufamy ani tobie, ani jej – powiedziała wprost.

Zapadło ciężkie milczenie.

– Pytanie tylko, które z was zdradzi pierwsze – dodała, kiedy cisza stawała się nie do wytrzymania.

Albert miał ochotę ją szturchnąć. Nigdy nie uderzył żadnej kobiety. Teraz też nie zamierzał, ale przyjemnie było to sobie chociaż wyobrazić. Po co Eliza zaogniała sytuację? Trzeba gonić Julię!

– Pojadę od strony miasta i może zablokuję jej drogę od drugiej strony – zaproponował Damian nieoczekiwanie, jakby odgadł, co właśnie pomyślał Albert. Zachowywał się, jakby zupełnie nie ubodło go to, co powiedziała przed chwilą jego matka. – Chyba że zadzwonicie po Kornela albo Manuełę? Bo może mojej pomocy też nie chcecie?

Ostatnie pytanie zabrzmiało prowokacyjnie. Chce jednak pokazać, że go zabolalo, westchnął Albert. Z drugiej strony trudno się dziwić. Na miejscu Damiana też poczułby się dotknięty. Kłopot w tym, że Dami naprawdę ich wszystkich zdradzał. Czy miał więc prawo narzekać, że mu nie wierzą?

No i przede wszystkim czy powinni przyjmować jego pomoc. Czy w trakcie – w najgorszym możliwym momencie – nie dołączy do wroga? Albert poświęcił całe życie, żeby spróbować pokonać wieszczego. Nie mógł znieść myśli, że jego plan mógłby się nie udać. Gdyby doszło do wybierania pomiędzy sukcesem a unieszkodliwieniem Damiana, wspierającego wroga, miłość musiałaby pójść w zapomnienie. Ale na tym etapie miał nadzieję, że do takich wyborów nigdy nie dojdzie. Wyborów w Wieszczach mieli już wszyscy za wiele.

– Nie – rzuciła Eliza. Ciekawe, czy jako przyszywana matka Damiana miała podobne przemyślenia. – Policji w to na razie nie będziemy mieszać. Im mniej osób wie, że **Julia Wilk** jest tu celowo, tym lepiej. I tak niedobrze, że wy wiecie.

Po twarzy Damiana przemknął przelotny uśmiech ni to triumfu, ni to złości.

– My wiemy, a więc... – zaczęła spokojnie Agnieszka.

Nagle po jej nienaturalnie wychudłej twarzy zaczęły przebiegać dziwaczne spazmy. Jakby lada chwila miała przybrać inny kształt. Zaskoczona dotknęła twarzy ręką. No tak, pomyślał Albert. Był już pewien, że to sprawka babki Babiańskiej.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Damian.

Teraz już żadne z ich trójki nie mogło oderwać oczu od asystentki Wiktorii. Jej twarz falowała. Przyłożyła drugą dłoń do policzka.

– Nie... nie... nieee. Nie!

Jej słowa były początkowo ledwo dosłyszalnym szeptem. Stopniowo zaczęły zmieniać się w krzyk rozpacz.

## Julia Wilk

Julia o mało nie upadła. Gustaw podbiegł i chwycił ją w ostatniej chwili. Zrośnięte krzaczaste brwi, jak zwykle zmarszczone. Tyle zdążyła dojrzeć. Wciągnął ją do pokoju zmarłej i zamknął drzwi. Z miejsca otoczył ich mdlący smród trupa. Słyszała, jak na zewnątrz Bruno tłumaczy rodzeństwu, że mama jest nadal chora i nie mogą wejść do jej sypialni. Julia zakrztusiła się, patrząc na panią Machulską. Ciało zdawało się jednocześnie zasuszone i gnijące. Gałki oczne się zapadły, a po policzku chodziło kilka much. Skóra była cienka jak pergamin.

Martwa kobieta przypominała straszliwą postać gnijącej Bibiany, którą Julia zobaczyła wcześniej na nagraniu z ukrytej w ramce kamerki. Tamta była przerażająca w swojej ulotności. Mogła być wszędzie, w każdej chwili. Ta była z kolei makabrycznie rzeczywista. Można byłoby jej dotknąć – gdyby ktoś chciał zbliżyć się do zmarłej.

– Spokojnie, to tylko trup – oznajmił lekko Gustaw.

Tego to już było za wiele.

– **Tylko trup?** – zaśmiała się Julia histerycznie. Emocje zaczęły brać nad nią górę.

Nie chciała patrzeć na zwłoki pani Machulskiej, ale jednocześnie nie mogła odwrócić wzroku. Może dlatego, że zauważyła ruch w okolicach wzdętego brzucha kobiety. To był rój jakichś ohydnych robaków. W ludziach zakorzeniony jest lęk przed rojącem się robactwem i Julia czuła, że lada chwila pojedzie do Rygi. Musiała siłą powstrzymać odruch wymiotny. Tylko jak długo da radę? Ciało poruszało się, jakby martwa kobieta zaraz miała się obudzić.

– Co to? – zapytała Julia, zmuszając się, żeby w końcu spojrzeć gdzieś indziej. W kącie pokoju zauważyła jakieś buteleczki. Wyglądały na odczynniki ze szkolnej pracowni. Spróbowała skupić na nich uwagę.

– Chłopak chciał ją zabalsamować, ale mu nie wyszło – mruknął Gustaw. – W końcu dziś przyszedł po mnie. Mieszkał tu z martwą matką od dłuższego czasu. Ja czasem zajmuję się trupami. Dorabiam u księdza dobrodzieja i takie tam.

To już wiedziała. Woźny zachowywał się inaczej niż wcześniej. Niby nadal był nieokrzesany i brutalny, ale z jego tonu zniknęła prostacka nuta. Zmiana była ledwo wyczuwalna, ale zauważalna.

– To jakieś szaleństwo – wydusiła wreszcie Julia. Starła się omijać wzrokiem łóżko. – Przecież na dole są dzieci... A ona tu cały czas...

Woźny wzruszył ramionami.

– Bruno wmawiał im, że jest chora. Myślał, że jak uda mu się ją zabalsamować, to będzie mógł ich tu nawet wprowadzać i wciskać im kit, że ona śpi. Na górze przygotował całe laboratorium chemiczne. Dzieciak chciał dobrze.

Chciał dobrze? To przecież była jakaś pieprzona *Psychoza!* Julii cisnęło się tak wiele na usta, że nie wiedziała, od czego zacząć. W tym momencie jednak do pokoju wpadł Bruno. A właściwie wślizgnął się przez szczelinę w drzwiach. Zrobił to ze zwinnością węża typową

dla wysportowanych nastolatków i nieosiągalną, kiedy cyfra z przodu metryki zmieni się na trójkę.

Zatrzasnął drzwi i szybko podstawił krzesło pod klamkę, jakby spodziewał się, że młodsze rodzeństwo przypuści zaraz atak na pokój. W jego oczach Julia widziała desperację, a na policzkach pierwsze łzy. Płynęły pojedynczą strużką. Nie próbował ich ocierać. Spojrzał na nią mężnie.

– Nie może pani nikomu powiedzieć! – zawołał. – Zabiorą mnie i moich braci do sierocińca! Nie mogę na to pozwolić. Błagam! Mama umarła. Taty nie ma. A nas oddadzą! W sierocińcu jest okropnie. Wszyscy to wiedzą. Tu mamy dom! Błagam. Niech pani przysięgnie, że pani nic nikomu nie powie! Błagam! Jesteśmy biedni, nami się nikt nie przejmuje. Nikt nawet nie zauważył, że mama nigdzie nie wychodzi. Tacy jak my nie istnieją dla reszty społeczeństwa. Aż do momentu, kiedy są jakieś kłopoty. Możemy tu spokojnie mieszkać. Wiem, jak się zająć braćmi!

Potok jego wymowy był coraz bardziej chaotyczny.

– Spokojnie, dzieciaku – mruknął woźny, chyba się nad nim litując. – Przecież to oczywiste, że nie oddadzą was do żadnego biduła. Nie dalibyście rady mieszkać poza Wieszczami, zapomniałeś czy co? Nikt was nie skaże na samobójstwo. Nawet jakbyście trąbili, że wasza mama nie żyje. Myślisz, że pierwsze dziecko w miasteczku zostało bez rodziców? Zawsze znajdzie się jakiś dom.

Na twarzy chłopaka pojawił się na moment wyraz radości. Potem jednak znów zmarszczył czoło.

– I tak lepiej, żeby nikt nie wiedział. Tu mamy nasz dom!

– A niby co będziecie jeść, jeśli pozostali wam nie pomogą? – zapytał spokojnie woźny. – Za co zapłacicie rachunki? Przecież prąd idzie ze świata z zewnątrz. Myślałeś o tym? To wszystko trzeba jakoś zorganizować. Nie jesteście pierwsi, którzy zostali bez rodziców, już mówiłem. To są pieprzone Wieszcze. Chociażby rok temu dzieciaki wdowy Kowalskiej. Nie pamiętasz?

Gustaw mówił tak, jakby na łóżku obok nie leżała rozkładająca się kobieta. Jakby po jej ciele nie wily się okropne roje robaków, a muchy nie zrobiły sobie z jej zapadniętej twarzy parku rozrywki. Julia z trudem powstrzymała kolejną falę mdłości.

– To jakieś szaleństwo... – mruczała do siebie niezdolna teraz do wyduszenia nic więcej.

– Owszem, myślałem – zawołał chłopak. – Ale jakoś sobie radzimy! Nie chcę pomocy Rady.

– To jakieś szaleństwo – powiedziała znowu Wilk.

– Ja... Ja zaraz będę pełnoletni – mówił dalej Bruno, nie zwracając uwagi na jej słowa. – Nikt się nie zorientował, ja... Ja zaraz będę mógł zacząć pracować. Utrzymam siebie i braci. Nie potrzebujemy wiele.

– Nie zaraz będziesz pełnoletni, tylko za kilka lat, o ile dobrze się orientuję – przerwał mu ze śmiechem Gustaw. Znowu mówił tak, jakby na łóżku nie leżała martwa matka chłopca.



Jakby w tym, że nastolatek ukrywał jej śmierć przez dłuższy czas, nie było nic zaskakującego.

– Pieprzona *Psychoza!* – krzyknęła Julia, nie mogąc już dłużej się powstrzymać. Film Hitchcocka sam się nasuwał.

– Ciszej, proszę pani! – warknął Gustaw. – Na dole są dzieci!

Nie, tego za wiele. Oj, za wiele! Osunęła się na kolana i zaczęła się cicho śmiać. Woźny zmarszczył zrośnięte brwi. Potem podszedł do niej niespodziewanie szybko i uderzył ją w twarz. Poczowała piekący ból na policzku. Zamilkła.

– No wreszcie cisza – syknął Gustaw. – Jesteś dorosłą babą. Chyba możesz wziąć się w garść, co? Bo zachowujesz się bardziej jak dzieciak niż ten tu.

Bruno zaczął energicznie kiwać głową.

– Wziąć się w garść? – powtórzyła Julia za woźnym. – Jak dzieciak?!

Miała ochotę wykrzyknąć, że mieszka w nawiedzonym przez jego matkę domu, a jej życie zmieniło się w film mistrza grozy. Postarała się jednak opanować. Gustaw mówił ostro i nie przebierał w słowach, ale miał rację. Ona była dorosła, a tu mieli chłopaka, który próbował zabalsamować matkę i nie chciał oddać braciszków do placówki opiekuńczej. Chyba powinna dać radę, skoro Brunonowi się to udawało.

Bruno to przecież tylko chłopiec i trzeba mu pomóc. Miała go zostawić w rękach tego nieokrzesanego Gustawa? Woźny wydawał się przez chwilę jakiś inny, ale teraz znów zachował się hardo i gburowato.

– Błagam! Nikt nie może się dowiedzieć! – zaczął znów prosić nastolatek. – My Machulscy mamy swoją dumę. Teraz ja jestem głową rodziny. Ale moi bracia jeszcze nie są gotowi, żeby dowiedzieć się, że mama umarła.

Bruno przyłożył rękę do ust, jak mały chłopiec, który powiedział zbyt wiele. Gdyby nie to, co się tu działo, wyglądałoby to nawet komicznie. Nastolatek spojrzał w stronę Gustawa, oczekując chyba reprimendy, że wreszcie powiedział na głos to, co było oczywiste. Jego mama umarła. Woźny tylko wzruszył ramionami. Najwyraźniej nie zamierzał już chłopca pocieszać. Ciekawe, czy wiedział, że jego własna matka jednak nie odeszła. Tylko czy Bibiana w ogóle istniała?! Julia zaczęła się trząść. Chyba naprawdę była szalona!

Bruno i Gustaw patrzyli na nią zaskoczeni.

– Nie powie pani nikomu? – zapytał więc chłopak.

– Najpierw opowiedzcie mi, co tu się w ogóle dzieje! – warknęła, żeby nie dać po sobie poznać, jak bardzo jest wytrącona z równowagi. – Potem zdecyduję.

## 8

**Damian Kowalczyk**

Damian patrzył na twarz Agnieszki z lekkim niepokojem, ale nie przesadnym lękiem. Niejeden raz widział przemiany wieszczego z postaci zwierzęcej w niemal ludzką. To też nie wyglądało zbyt przyjemnie. Nocą potwór przypominał dawnego Jana Fabera – choć jego kończyny były nieforemne i pająkowate. Miały ułatwić wspinaczkę na najwyższe punkty w okolicy. Chociażby na kościelną wieżę, którą dla niego dobudowywano. W ciągu dnia stwór rzadko wychodził. Światło słońca wprawdzie nie mogło go zabić, ale zmniejszało jego moce. Przybranie zwierzęcej formy wymagało mniej wysiłku niż ludzkiej i dlatego właśnie ją wybierał, kiedy mrok się rozwiewał. Tak przynajmniej podejrzewał Damian, bo nigdy o tym wprost nie rozmawiali. Nawet w tamtym roku, kiedy Kowalczyk mieszkał z Faberem na cmentarzyku.

Rodzice Damiana zginęli w wyborach. Był wtedy małym chłopcem i – choć to było przerażające – zdawało się też w jakiś sposób naturalne. Wybory były czymś, co się po prostu w Wieszczach działo. Mały Damian dobrze o tym wiedział. Jak każde dziecko w miasteczku. Ktoś zostawał wyznaczony, wybierał, kto inny miał umrzeć, reszta o tym nie mówiła, bo następnym razem to oni mogli zostać wyznaczeni. Niektórzy próbowali się buntować, ale zazwyczaj dość niemrawo. Cóż mogli zrobić? Przed krzykiem wieszczego nie dało się uciec – chyba że było się wiele kilometrów od miasteczka. Tam z kolei nikt z obywateli Wieszcz nie wytrzymał zbyt długo i w końcu musiał wrócić. To miejsce zawsze ich przyciągało. Nie miało to związku z potworem, tylko ze zdrażliwą magią tych ziem.

Zawsze była wyznaczona tylko jedna osoba i jedna osoba ginęła od krzyku wieszczego. Tymczasem tamtej nocy umarli i matka, i ojciec małego Damiana. Chłopiec się nad tym szczególnie nie zastanawiał. A właściwie **w ogóle** się nie zastanawiał. Zanim zdążył się rozplakać, w progu domu pojawiła się wysoka postać wieszczego. Mówił do chłopca głosem dziwnym, to prawda, ale jednocześnie jakoś kojącym. Rodziców już nie było, więc Damian poszedł za stworem do lasu. I spędził z nim tam rok.

To był dziwny rok. Damian chłonał wszystko, co mówił wieszczy. Bał się go, ale jednocześnie czuł z nim dziwną zażyłość. Mieszkał w ruinach fabryki. Blisko miasteczka, ale nikt się tam nie zapuszczał od czasu, kiedy w latach pięćdziesiątych pochowano tam w tajemnicy przed resztą świata całą grupę mieszkańców.

Jan dni spędzał w swojej mogile. Wieczorami rozkopywał ją i bawił się z Damianem. Zachowywał się, jakby był jego ojcem. Bawili się, budowali tamy, aż w końcu niechcący zalali część cmentarza i tak już zostało. Ależ się śmiali. Z czasem prawdziwi rodzice zatarli się we wspomnieniach chłopca. I właśnie wtedy stało się coś, czego zupełnie się nie spodziewał. Jan kazał mu odejść. Dał mu zadanie, żeby był jego oczami i uszami w miasteczku. Damian miał być podrzuconym kukulczym jajem.

– Bo jest jedna tajemnica, chłopcze – wyjaśnił pewnej nocy wieszczy. – Być może ty również jesteś taki jak ja. Twoja matka nie dała ci antidotum. Śmiała się z takich bujdy. A ja

widziałem, jak się urodziłeś. Zawsze wtedy przychodzę i sprawdzam. Jak umrzesz, staniesz się dokładnie taki jak ja. Musimy więc trzymać się razem. Rozumiesz?

Mały Damian pokiwał głową energicznie. Mieszkając na cmentarzyku, uważał wieszczego za swojego rodzica. Nie chciał być podrzutkiem. Nie chciał wracać do miasteczka. Wolał zostać w lesie, a najlepiej umrzeć jak najszybciej i zmienić się w demona. Ale Jan był nieubłagany.

– Musisz przeżyć swoje życie. A przynajmniej jego część, żeby być silniejszy.

To zapewne był jeden z powodów, ale tak naprawdę Faber nienawidził zapuszczać się do ludzi. Robił to tylko, kiedy chciał ich zabić. A potrzebował informacji. Ciągłe nowych. Bo informacje pozwalały mu kontrolować mieszkańców. Budować w nich lęk.

I tak przez lata Damian przynosił mu wieści. Początkowo nadal przekonany, że chce wrócić do lasu i żyć tam z wieszczym jak jego syn. Z czasem jednak, kiedy mieszkał już w domu Elizy, pokochał ją. Nie przeszkadzało mu, że była stanowcza, wręcz oschła. Mimo wszystko było w niej matczyne ciepło. Potem zaczął zaoczne studia – stacjonarnych z dala od Wieszczy by nie przeżył, a w międzyczasie zbliżył się z Albertem. I już zupełnie nie w głowie było mu życie w lesie jako demon. Chciał być człowiekiem i chciał uchronić swoich najbliższych przed gniewem Jana Fabera. Dlatego właśnie nie umiał się wyplątać z tego wszystkiego.

Tylko że wieszczy nie pozwalał mu odejść. Szantażował go psychicznie i straszył. Na koniec obiecywał, że Albertowi nic nie grozi, jeśli Damian nie zrobi nic głupiego. A to sugerowało z kolei, że jeśli zrobi, to mężowi coś się może stać. Tego nauczyciel oczywiście za wszelką cenę chciał uniknąć.

– Co się dzieje z Agnieszką?! – wykrzyknęła Eliza, wyrywając Damiana z zamyślenia.

Matka wydawała się już na dobre przerażona. Twarz asystentki Wiktorii falowała. Raz po raz przemieniała się – z chudej w grubszą i na odwrót. Damian zastanawiał się, czy ciało sekretarki to wytrzyma.

Nieoczekiwanie Albert zrobił kilka długich kroków i potrząsnął dziewczyną mocno. Potem powiedział coś bardzo cicho prosto do jej ucha. Wstrząsnął nią ni to dreszcz, ni to szloch. Przestała się jednak przemieniać. Stała teraz przed nimi dawna Agnieszka. Po jej ładnej pulchnej twarzy popłynęły łzy. Dotknęła policzków i się skrzywiła.

– Zostałam oszukana – zaszlochała.

– Nie ma drogi na skróty – mruknął Albert.

Damian nie miał pojęcia, o czym mąż mówi ani jak zatrzymał to szaleństwo. Spojrzał na matkę, ale ona też wyglądała na zupełnie zdezorientowaną.

– Jedziemy, Dami – zarządził Albert, nie dając im czasu na pytania. – Eliza, ty zajmij się Agnieszką. Trochę ją... uporządkuj i jedźcie do Wiktorii, do rezydencji. Tam się spotkamy.

Mąż wskoczył do samochodu i popatrzył wymownie na Damiana. Jego spojrzenie było przynaglające. Nauczyciel zajął więc miejsce za kierownicą.

– Może darujmy sobie jazdę naokoło – zaproponował. – Już i tak za wiele czasu straciliśmy. Pojedźmy tak jak ona. Przez pola.

Albert nie odpowiedział, tylko skinął głową.

– Powiesz mi, co się przed chwilą stało? – zapytał Damian, kiedy wjechali na piaszczystą drogę. – Czy to też coś tajemnego? Skąd wiedziałeś, co robić?

– Już coś takiego kiedyś widziałem... To przemiana, której dana osoba pragnie, taka magiczna sztuczka. Chwilowa. Można na przykład czerpać energię, wykorzystując czyjeś fotografie. Najlepiej zdjęcia dzieci, bo one mają największą moc. Czują się tylko trochę osłabione w wyniku rytuału, ale potem wracają do normy. To nieszkodliwe. Podejrzewam, że nasze miasteczko wyolbrzymiło tę sztuczkę i Agnieszka uzyskała niezły efekt. Ale to nigdy nie trwa długo. Wiem, kto za tym stoi i każe sobie za to płacić. Niestety to moja babka. Nie jestem z tego dumny.

Damian nic z tego nie rozumiał. W głosie męża było coś bardzo dziwnego. Poza tym nigdy nie mówił o babce, która sprzedawała kuglarskie sztuczki. W ogóle rzadko mówił o swojej przeszłości czy rodzinie. Zamieszkał w Wieszczach i jakby dopiero od tamtego momentu zaczęło się jego życie. Tu nikt się temu nie dziwił. Czasem do miasteczka trafiali ludzie z zewnątrz. Jeśli mieszkali tu wystarczająco długo, wsiąkali w społeczność i stawali się swoi. Tylko to się liczyło. Damian był młodszy od Alberta, więc poznał go już jako lokalsa. Przyjął to za pewnik i może dlatego, że sam tak wiele ukrywał, nie zadawał pytań ani nie ciągnął wątków, które mąż urywał. Teraz tego żałował.

– O czym ty mówisz? Twoja babcia...

– Tam! – zawołał Albert, przerywając mu.

Pośrodku drogi stał porzucony samochód Julii. Koła po jednej stronie były poszarpane, jechała więc na kapciach. Damian był niemal pewien, że to wieszczy je rozerwał. Jana bawiły takie rzeczy. Poza tym potwór był ciekaw Julii. Sprawdzał ją, straszył. Kpił z niej wręcz. Wspomniał Damianowi, że bawił się nią jak dzieckiem. Raz, dwa, trzy, jak nie patrzysz, to się zbliżam. Do domu jednak nie wszedł.

Faber dawno temu poprzysiągł sobie, że do Stróżówki nigdy nie wejdzie, bo tam kiedyś zmarła tragicznie jego matka. Nie mógł więc straszyć Julii w środku. Mógł za to zniszczyć jej opony, żeby nie mogła uciec, gdyby zdecydował się zaatakować. To do niego pasowało.

– Gdzie stąd poszła? – zastanawiał się gorączkowo Albert.

Oddychał ciężko. Teraz wyglądał na swoje lata bardziej niż kiedykolwiek. Damian poczuł lęk. Różnica wieku pomiędzy nimi była bardzo duża i gdzieś podskórnice zawsze czuł przemożny lęk, że w końcu mąż odejdzie, a on zostanie sam. Chyba serce mu wtedy pęknie. Nic nie mógł na to poradzić. Naturalna kolej rzeczy. Damian żałował tylko, że nie umrze przed Albertem. Kochał go bardziej niż kogokolwiek na świecie. Co gorsza, jak sam umrze, stanie się wieszczym i będzie tak musiał trwać w samotności. Zdecydowanie wolałby, żeby było na odwrót. Dlaczego to Albert się nie przemieni?! Byliby wtedy dłużej razem.

– Może tam? – zapytał nauczyciel, porzucając ponure rozważania.

Wskazał dom Machulskich. Gdyby był na miejscu Julii, spróbowałby się gdzieś zaszyć, żeby zebrać myśli. Mogła pobiec przez pola, ale nigdzie nie było jej widać. Bliżej miasteczka znajdowały się krzaki, ale rosły tuż przy drodze. Nie, tam nie poszła, uznał. Bałaby się, że zostanie szybko zauważona. Lepiej pójść do jakiegoś domu, może stodoły, i przycupnąć. Dlatego gospodarstwo Machulskich wydawało się najbardziej prawdopodobnym schronieniem.

– Masz rację. Idziemy po nią – zakomenderował Albert. – Nie ucieknie.

## 9

### Julia Wilk

Julia dopiero po chwili zorientowała się, że stoi z rozdziawionymi ustami. Już prawie nie czuła smrodu bijącego od trupa. Podobno do wszystkiego można się przyzwyczaić. Ale jeśli przyzwyczajała się do zapachu nieboszczki, to znak, że powinna szybko stąd wyjść. Mimo to chciała poznać odpowiedzi. To, co Gustaw i Bruno jej powiedzieli o tym miejscu – o wieszczym, o wyborach, o tym, że nie można stąd uciec... To brzmiało jak horror. Widziała jednak po ich twarzach, że nie kłamali. Było w nich napięcie i oczekiwanie na jej reakcję. Ale też absolutne przekonanie.

– Nam nie wolno o tych rzeczach rozmawiać z ludźmi z zewnątrz – wyjaśnił Bruno. – Dlatego wszyscy w szkole tak cichli, jak pani wchodziła do klasy.

– Ja pierdołę – zdołała tylko wydusić Wilk.

– U nas wszystko się zamiata pod dywan, chowa, zaciera. O niczym nikt się nie może dowiedzieć – dodał Gustaw. Wyczuwała teraz w jego głosie ironiczną niechęć.

– Jak z twoją matką – powiedziała. Czekwała na jego reakcję. Twarz miał nieprzeniknioną.

– Tak. Dokładnie jak z moją matką.

W głowie miała gonitwę myśli. Poszczególne puzzle wpadały na swoje miejsce, choć jej racjonalny umysł próbował je stamtąd wypchnąć. Nie mogła pojąć tego, co się działo. Pomijając potwory, tkwienie ich wszystkich w tym impasie prawie sto lat było szaleństwem. Z drugiej strony wieszczy podobno zabił całą grupę osób. Teraz wreszcie dowiedziała się, skąd na cmentarzyku pod jabłoniami było tak wiele grobów z lat pięćdziesiątych. Ludzie bali się powtórki z rozrywki i byli posłuszni. Aż zbuntowała się Bibiana.

– Dlaczego stąd nie uciekniecie? – zapytała mimo wszystko. Chciała to usłyszeć. Zweryfikować swoje podejrzenia.

– Czy ty nie słuchasz?! – warknął Gustaw. – Tu nie jest tak jak gdziekolwiek indziej. To miasteczko wciąż. Boimy się, ale nie chcemy stąd odejść. **Nie możemy**. Tam w wielkim świecie jakby brakowało nam tlenu. Sama zrozumiesz, jak spróbujesz stąd odejść. Prawdopodobnie miasteczko już i ciebie wciągnęło.

– Nie!

Odpowiedź padła automatycznie. Julia nie była jednak pewna, czy to prawda. To, że tak bardzo chciała rozwikłać te wszystkie zagadki, zamiast stąd odjechać już wcześniej, mogło być pierwszym symptomem, że ona też tu utknęła. Ale nie! To nie mogła być prawda! Wieszcie to nie jest jej dom!

– Naprawdę nikt z zewnątrz o tym nie wie?

– Nie wolno o tym nikomu mówić – przypomniał Bruno.

– Ale przecież nie można tak po prostu ukryć, że jakaś osoba, która, dajmy na to, pracuje w Brodnicy, gdzie się rozplynęła. Są urzędowe spisy ludności. Sama nie wiem. Nie można tak po prostu ukryć czyjejś śmierci.

– Zdziwiłabyś się, jak łatwo to tuszować – przerwał jej znów Gustaw obcesowo. Wydawał się znudzony tłumaczeniem jej tych niuansów. Nawet Bruno tracił już chyba cierpliwość. Dla miejscowych to były rzeczy oczywiste.

– To nie powie pani nikomu o mamie?! – indagował chłopiec znowu.

– A skąd wiesz, że ja nie powiem? – zaśmiał się woźny.

– Pan nie jest za pan brat z Radą. – Chłopiec wzruszył ramionami.

– Z **radą**? – podchwyciła natychmiast Julia. Wydawało jej się, że już to określenie słyszała. Czy nie padło z ust Agnieszki, kiedy ta weszła do domu i rozmawiała z kimś przez telefon?

– To samozwańcza grupka, która uważa, że nas wyciągnie z tej matni – wyjaśnił Gustaw, znów nieco kpiąco. – Eliza, Wiktoria i Albert. Wielcy bohaterowie. Niby robią jakieś próby przeciwdziałania wieszczemu, ale nic z tego nie wynika. Chociaż pewnie ludzie czują się lepiej, wierząc, że nie czekamy w beczynności. Ale moim zdaniem to trochę, jakby ktoś rzucił palenie, ale **od jutra**. A tymczasem chwali się naokoło, jakby już mu się udało. Dużo gadają, a ostatecznie nic z tego nie wychodzi.

Nie można było oprzeć się wrażeniu, że w tonie Gustawa czaiła się nutka wyższości. Woźny uważał chyba, że jest ponad to.

– A twoja matka? – W głowie Julii tkwiły tysiące znaków zapytania, ale trzeba było postępować powoli i metodycznie, żeby to wszystko zrozumieć. Pytanie po pytaniu. – Dlaczego jest w moim domu? Wieszczy też tam wchodzi?

Wprawdzie na nagraniu z ukrytej kamerki widziała tylko kobiecą postać, ale może potwór zwyczajnie się nie nagrał.

– Wieszczy mieszka na cmentarzu w lesie – wyjaśnił Gustaw, ignorując pytanie o Bibianę.

– Tam, gdzie się zakradłaś, kiedy za mną poszłaś.

– Nigdzie się nie zakradłam. Śniłam o tym miejscu, ale pierwszy raz poszłam tam dopiero...

– Z reguły śpi w swojej mogile – przerwał jej Gustaw. – Wychodzi, kiedy chce się rozejrzeć albo kogoś zabić. Wiedziałem, że czai się na moją matkę, więc próbowałem go zakopać... Myślałem, że uda mi się ją uchronić. Ale to na nic, tylko desperacja. Jej los był przesądzony, jak tylko stwierdziła, że nikogo nie wybierze.

– Jak wygląda ten wieszczy?

Była prawie pewna, że zna odpowiedź, ale to też chciała usłyszeć.

– W nocy ma postać mniej więcej człowieka. A w ciągu dnia taką bezkształtną, trochę jakby psią...

– Widziałam go. – Teraz to ona przerwała Gustawowi. – Ale w takim razie co twoja matka robi w moim domu?

## 10

### Albert Tabaczyński

Albert przyglądał się wielkiemu psu, który przysiadł na skraju podwórka. Zwierzak nie wyglądał na zachwyconego tym, że ktoś nadszedł od strony pola. Machulscy nie mieli płotu, więc mógł w każdej chwili zaatakować.

– Spokojnie, piesku – powiedział Damian. – Jak on się nazywa? Chyba Maks, nie?

Albert nie odpowiedział. Oddychał ciężko. Zmęczony brnięciem na przełaj przez pole i przestraszony majestatem owczarka. Aptekarz nie bał się psów. Wręcz przeciwnie, bardzo je lubił. Ale ten przypominał mu wieszczego w jego zwierzęcej postaci. Wywoływał więc nieoczekiwaną trwogę. Brakowało tylko, żeby ślepia zaskrzyły się gorączkowo.

Albert wiedział, skąd ten blask, i wiedział, że Jan Faber nie zabija tylko dlatego, że jest potworem. Kierowała nim zemsta. A to niestety potężna energia do działania. Dziadek Cezary nie chciał skrzywdzić matki Fabera. A przynajmniej Tabaczyński próbował w to wierzyć. Ludzie nie zdawali sobie wtedy sprawy z promieniotwórczego działania radu. Kalina Faber zachorowała i cierpiała tak bardzo, że w końcu poprosiła syna, żeby ją zabił. No i tak podobno się to skończyło. Za to wieszczy był wściekły. Nie tylko był przekonany, że jego matka zachorowała przez Cezarego Babiańskiego, ale też winił fabrykanta, że niejako zmusił go do eutanazji własnej rodzicielki. Dlatego serwował im teraz te wybory. To była kara. Nikt w miasteczku nie pomógł, a więc teraz potomkowie tamtych ludzi będą wybierać, kto ma umrzeć, jakby sami ich zabijali. Tak jak musiał to zrobić Jan.

Aptekarz dobrze o tym wiedział, ale nie mógł powiedzieć nikomu. Ani z Rady, ani z miasteczka, ani nawet swojemu mężowi. Był wnukiem Cezarego. A Cezary to wszystko zaczął. Cała ta ciągnąca się przez dziesięciolecia makabra zaczęła się od jego przodka. Gdyby wiedzieli, że Albert pochodzi z Babiańskich, być może wydaliby go wieszczemu jako ofiarę w nadziei, że to wszystko zakończy. A Albert nie chciał zginąć. Sam chciał pomścić swoją rodzinę. Babkę doprowadzoną do szaleństwa, matkę i ciotkę, które się zabiły, bo nie mogły znieść rozstania z miasteczkiem. Nawet dziadka, którego wieszczy rozszarpał niedługo po swojej przemianie.

– Albert!

Ostry ton Damiana wyrwał starszego pana z zamyślenia.

– Co?

– Wycofajmy się – poprosił mąż. – Ten pies pewnie nie zaatakuje, ale tylko jeśli nie podejdziemy bliżej. Nie ma co ryzykować. Julia raczej tu się nie ukryła. Pomyliliśmy się.

Albert oddychał ciężko. Marsz przez pole dla Damiana był łatwy, ale on miał już swoje lata. Miejscami grząski, nierówny grunt był nie lada wyzwaniem. Nie chciał znów się tamtędy przedzierać. Zresztą coś go ciągnęło do domu Machulskich. Czuł, że Julia może tam być.

Tylko że to nie miało sensu. Mąż może był zdrajcą, ale miał rację. Nowa raczej nie odważyłaby się przejść obok takiego wielkiego psa. Gdzie w takim razie się udała? Albert rozejrzał się znowu. Z tego miejsca widział końcówkę polnej drogi. Wychodziła na asfalt obok komisariatu policji. Tam tym bardziej by nie poszła, uznał. Co w takim razie zrobiła?

Może to i Eliza wpadła na pomysł sprowadzenia tu pisarki, ale Albert traktował go już niemal jako swój. Miał w kieszeni antidotum, ale nie o to chodziło. Jasne, chciał uchronić wszystkich przed śmiercią od krzyku wieszczego, ale chciał go też zabić. Zgładzić. Najlepiej w męczarniach, jeśli już miał być zupełnie szczery. A do tego **Julia Wilk** byłaby najlepsza. Czy tego chciała, czy nie.

– Musimy ją znaleźć – powiedział, próbując uspokoić oddech. – Nie jest tu przypadkiem.

– Tyle wiem – mruknął Damian z goryczą. – Może teraz zdecydujesz się łaskawie powiedzieć mi, co wymyśliście?

Pies nadal przyglądał im się spod oka. Niby spokojnie, ale ostrzegawczo. Albert włożył rękę do kieszeni. Fiolka z nowym antidotum nadal tam była. Niby wiedział, że lek tak po prostu nie wyparuje, jednak cały czas się tego bał. Sprawy zaczynały wymykać się spod kontroli i być może powinien podać lek Damianowi, żeby go zabezpieczyć. Ale ponieważ mąż chadzał na cmentarzyk i prawdopodobnie sprzedawał informacje wrogowi, może wcale nie potrzebował zabezpieczenia?

– A gdzie ty poszedłeś, kiedy w nocy twierdziłeś, że idziesz na trening? – zapytał z goryczą.

Atmosfera zrobiła się od razu jeszcze cięższa. Pies warknął basowo niezadowolony. Najwyraźniej też to wyczuł. Może lada chwila stwierdzi, że najlepszym pomysłem jest jednak zaatakować nieproszonych gości, mimo że nie odważyli się za bardzo zbliżyć do jego obejścia.

Albertowi chciało się płakać. Damian jest jego mężem, powinni sobie ufać. Tyle że młody zepsuł ten układ, zdradzając ich. To była jego wina.

## 11

### Julia Wilk

– Moja matka? – zapytał Gustaw wyraźnie zaskoczony. – Jak to?



Julia opowiedziała im pokrótce swoje ostatnie przygody i opisała nagranie z ukrytej kamerki. Zarówno woźny, jak i uczeń wydawali się zaskoczeni. Wieszczy był dla nich codziennością, natomiast o zjawie ze Stróżówki – jak nazywali ten dom – kompletnie nie wiedzieli. Przynajmniej tak się Wilk zdawało.

– Nie wierzę, żeby to była moja matka – oznajmił Gustaw. – Czułbym... Ja sam myślałem, że to do niej niepodobne tak umierać, ale zjawiać się bez przywitania ze mną raczej też nie. To musi być ktoś inny. A skoro jest tak zniszczony i gnijący, to chyba zmarł dawno. Nie wiem, jak to jest z duchami...

Nie dokończył. Julia zastanawiała się nad tym wszystkim gorączkowo. Wierzyła mu. Mimo wszystkich wątpliwości nie wyczuwała w jego słowach fałszu. Poza tym czy naprawdę zobaczyła Bibianę? Wszystko już jej się mieszało. Co chwilę zmieniała zdanie, co jest faktem, a co tylko sobie wyobraziła. Ale nawet pomijając to, ta postać była tak zmasakrowana, że nie dało się w niej już poznać nikogo. Pomyślała, że to restauratorka, bo ta kobieta miała ciemne włosy, jak Bibiana. No i pojawiała się w domu. Tak jak to miała w zwyczaju Zielińska. Julia nie mogła jednak wykluczyć, że to był ktoś inny. Tylko kto? I czego chciał od niej?!

– Myśli pan, że Rada o tym wie? – zapytał Bruno. – Że tam jest jakiś duch.

Gustaw wzruszył ramionami i przejechał poranioną dłonią po zarośniętym policzku.

– Myśli pan...

– Oj, zamknij się, dzieciaku. Właśnie się zastanawiam. – Odwrócił się do Julii. – Zostawmy na razie zjawę. Idźmy po kolei. Moja matka uważała, że Rada ma jakiś plan co do ciebie.

Julia otworzyła szerzej oczy. Zaskoczona zarówno tym, co mówił, jak i poprawną formą jego wypowiedzi. Zniknął gdzieś trzecioosobowy koszmarek.

– Nie rozumiem.

– Uważała, że cię tu ściągnęli. Chciała cię ostrzec, dlatego do ciebie poszła. Ale nic z tego nie wyszło. Może to ma jakiś związek?

Wilk zamierzała zaprzeczyć i zapewnić, że sama tu przyjechała. Zaraz jednak dopadły ją wątpliwości. Wydawało jej się, że sama wybrała to miejsce. Ale czy mogła wykluczyć, że to był plan tej ich Rady? Zadzwoiła do niej bibliotekarka z Brodnicy. Chciała zorganizować spotkanie autorskie. To było już po tym, jak Julia postanowiła porzucić karierę pisarską. Odpowiedziała więc, że to nie wchodzi w grę, bo zmienia zawód. Jak się tak teraz nad tym zastanowiła, bibliotekarka nie wydawała się zaskoczona. Niby spontanicznie rzuciła, że w szkole w Wieszczach jej znajoma jest dyrektorką i akurat szukają polonistki.

Właśnie tak Julia dowiedziała się o wolnej posadzie i sfabrykowała swoje CV. Wydawało jej się, że złapała szczęście za ogon, bo anons pojawił się akurat wtedy, kiedy miała zacząć szukać pracy. Może gdyby go nie było, odsunęłaby w czasie ucieczkę z Warszawy. Teraz kiedy znała już tajne układy i układziki w Wieszczach, pomyślała, że bibliotekarka równie dobrze mogła być podstawiona.

Wilk zdawała sobie sprawę, że zaczyna być może całkowicie popadać w paranoję, ale, jak to ktoś kiedyś powiedział: to, że masz paranoję, nie znaczy, że nie jesteś śledzona. Czy jakoś tak. Wieszcie to była jedna wielka paranoja!

– Bibiana mogła powiedzieć wprost, a nie czaić się w moim domu... – mruknęła.

Gustaw zaśmiał się z nieoczekiwaną wesołością.

– Może chciała sprawdzić, jaka jesteś. Czy można ci ufać. Pewnie uznała, że jednak jesteś z nimi. Nie wiem, bo potem już z nią o tym nie gadałem. Rozmawialiśmy tylko o tym, że ona nie zamierza nikogo wybrać. Próbowałem ją przekonać... Sam nie wiem do czego. Chciałem powstrzymać wieszczego, ale...

Głos mu zadrżał i męczyzna gwałtownie urwał. Może bał się, że się rozplacze. Zrobiło jej się go żal. Pod maską prymitywa chyba krył się wrażliwy człowiek. Mogła się oczywiście mylić. To miejsce pokazywało, że ufać nie może nawet sama sobie.

– Po co chcieli mnie tu ściągać? – zastanawiała się głośno.

Kątem oka widziała trupa na łóżku, ale nagle i on stracił wszelkie znaczenie. To naprawdę była paranoja. Spojrzała na Gustawa i potem na chłopca. Twierdzili, że nie należą do tej jakiejś Rady. Nastolatek na pewno mówił prawdę, był przecież dzieckiem. Ale woźny? A jeśli jednak kłamał i był w zмовie z tamtymi? Chyba nie. Julia nie czuła w nim teraz fałszu. Ale może tylko **nie chciała** w nim tego czuć?

No nic. Komuś przecież musi zaufać.

– Nie wiem – przyznał Gustaw. – Moja matka podejrzewała, że coś planują względem ciebie, i próbowała to wy badać. Nie lubiła ich za to, że wmieszali ją w podtrucie dzieci. Podejrzewała, że coś wtedy testowali, ale nie wyszło. Była wściekła, że kazali jej to dać uczniom w jedzeniu. Znaczy, że nie poinformowali jej o tym i im to podała. W miasteczku wszyscy myślą, że jedzenie było przeterminowane i dlatego wystąpiły u dzieci sensacje, ale matka wiedziała swoje. Uważała, że tam zostało coś dosypane. Rzekome witaminy. Prawdopodobnie testowali antidotum na krzyk wieszczego. Wcześniej była o tym mowa, ale potem temat ucichł. W sumie nie wiem, dlaczego nie powiedzieli ludziom, że testują jakiś specyfik. Może uznali, że jednak nawet w Wieszczach nikt nie będzie chciał, żeby jego dziecko było świnką doświadczalną.

– Królikiem doświadczalnym – poprawił go Bruno.

– Te, mały, nie bądź za mądry – zaśmiał się przyjaźnie Gustaw.

Julia poczuła przyjemne ciepło. Mimo gburowatej natury woźnego zaczynała go lubić. Nie była pewna, czy to dobrze.

– Moja sąsiadka z nimi współpracuje? – zapytała.

Nie mogła zapomnieć kręgu świec i zdjęć dzieci zalanych woskiem. O swojej fotografii walającej się w tamtym bałaganie wołała nie myśleć.

– Agnieszka Szymańska nie należy do tego kółka wzajemnej adoracji. Damian chyba też nie. Ale myślę, że oboje w jakimś stopniu pomagają Radzie. Moja matka podsłuchiwała, że Rada cię tu sprowadziła. Wiadomo, że poprzedni nauczyciel polskiego został wyznaczony

w wyborach wcześniejszych niż te, podczas których wybrano moją matkę. Wybierać miała Eliza i wybrała właśnie jego. Matka uważała, że to nie był przypadek. Może czekali tylko, aż któreś z nich będzie wybierało, i im się poszczęściło. Ty miałaś zająć miejsce polonisty i trzeba było je **zwolnić**. Nie wiem tylko, co zamierzają teraz z tobą zrobić. A już tym bardziej kto mieszka w Stróżówce. Na pewno nie wieszczy.

– Chcą mnie złożyć w ofierze temu demonowi czy co?

Julia siliła się na lekki ton w stylu: *Zupełnie się nie przejmuję, taka odważna jestem!* W środku jednak czuła narastające przerażenie. Nie chciała umierać.

– Nie mam pojęcia – przyznał Gustaw.

– No nie dopuścimy do tego – zawołał natychmiast Bruno. Wyglądał teraz, jakby wstąpiły w niego nowe siły.

Woźny skinął nieznacznie głową na poparcie słów chłopaka.

– Nie mogę... – zaczęła.

Chciała powiedzieć, że nie może prosić ich o pomoc. A już zwłaszcza nastolatka, który choć ukrywa w pokoju martwą matkę, nadal jest tylko dzieckiem. Nic z tego nie przeszło jej przez usta. Po raz pierwszy od bardzo dawna nie czuła się aż tak samotna. Ktoś chciał jej pomóc. Uczepiła się tego desperacko.

## 12

### Wiktoria Sikora

Wiktoria zakłęła pod nosem. Julia Wilk uciekła i nie wiadomo, gdzie obecnie się znajduje. Bardzo, bardzo źle!

– Uważacie, że Zuzanna Kamińska jest już poza Wieszczami? – zapytała.

Dotąd unikali używania prawdziwego imienia i nazwiska pisarki. Używali określenia **nowa**. Nawet w rozmowach pomiędzy sobą. Lepiej było nie ryzykować, że wymknie im się, kiedy ktoś spoza Rady będzie słuchał. Teraz sprawy zaszły już tak daleko, że chyba było wszystko jedno.

– Możliwe – powiedział Damian. – Mogła chociażby złapać stopa, jeśli uszła wystarczająco daleko od miasteczka. Jechaliśmy od strony pól. Tam porzuciła samochód. A jak jechaliśmy tu, to jej nie widzieliśmy.

W rezydencji Wiktorii zebrali się teraz wszyscy. Najpierw przyjechała Agnieszka z Elizą. Asystentka wyglądała źle. Jakby płakała. Jednak ani dyrektorka, ani sama zainteresowana nic nie tłumaczyły. Przedsiębiorczyni postanowiła więc, że nie będzie pytała. Mieli krytyczną sytuację.

Dziś rano Wiktoria wtajemniczyła trochę Agnieszkę w sprawy Rady. Albert wczoraj wysłał wiadomość, że Wilk zabrała jego ramkę z kamerką. Przedsiębiorczyni uznała, że w sprawie nowych technologii Agnieszka będzie mogła pomóc. Rozmowę przerwało im jednak

nieoczekiwane pojawienie się Wilk w domu asystentki. Tego się nie spodziewali, choć żadne z nich nie uważało, że może być to niebezpieczne. Najwyraźniej się mylili.

Potem zjawili się Albert i Damian. Również z marsowymi minami. Najpierw pojechali tropem **nowej**. Znaleźli jej samochód, ale jej nie. Próbowali nawet podejść przez pole za podszeptem intuicji, ale potem wycofali się z obawy przed psem Machulskich. Później pojechali kawałek szosą. A następnie zawrócili i zjawili się u Sikory. Można było rozpocząć naradę.

W innej sytuacji nie dyskutowaliby w obecności Agnieszki i Damiana, ale dziś nawet to przestało mieć znaczenie. Wszyscy czuli, że wydarzenia nabrały tempa. Po ataku na Bibianę wieszcy jakby się przyczaił. Ale kto wie, co stanie się dzisiejszej nocy. Napięcie zdawało się wisieć w powietrzu. A dodatkowo uciekła im pisarka, w której pokładali tyle nadziei.

– To może oznaczać wszystko i nic – powiedziała Wiktoria. – Może jest już daleko, a może jest gdzieś na terenie miasteczka.

Zastanawiała się, czy miasteczko wypuści stąd **nową**, nawet jeśli ta zdążyła z kimś wyjechać poza jego granice. Niestety bardzo możliwe, że tak. Wilk jeszcze chyba nie zapuściła tu korzeni. Za mało czasu upłynęło. Niedobrze, oj niedobrze.

– Co teraz? – zapytała Eliza.

Ona jedyna rozglądała się uważnie po nowym pokoju Wiktorii. Chyba zauważyła zmiany. Sikora podejrzewała, że to dyrektorka pierwsza o nie zapyta. To była tylko kwestia czasu.

– Wszystko w porządku? – zapytała więc przedsiębiorczyni Agnieszkę.

Chciała zyskać ze dwie, trzy minuty. I tak będzie musiała im o tym pokoju opowiedzieć. Tylko najpierw musi się pozbyć Damiana. Zdrajca doniósłby wieszczemu, a chodziło przecież o element zaskoczenia.

– Tak – mruknęła asystentka.

Nie patrzyła na innych, jakby się wstydziła. Na jej pulchnej twarzy malowały się niezdrowe rumieńce. Ale nadszedł chyba czas, by ją w to wszystko w pełni wtajemniczyć. Tak długo razem pracowały, że można jej zaufać, uznała w końcu Sikora. Miała co do niej swoje wątpliwości, ale trudno.

– Damianie – powiedziała, odwracając się do nauczyciela.

– Tak?

– Czy mógłbyś pojechać pod Stróżówkę i zobaczyć, czy nowa tam nie pobiegła? Pewnie nie, ale lepiej się upewnić.

Eliza i Albert rzucili Wiktorii zaskoczone spojrzenia. Dyrektorka gromiła ją wręcz wzrokiem. Przedsiębiorczyni doskonale zdawała sobie sprawę, że daje Damianowi doskonałą okazję do popełnienia zdrady. Stróżówka znajdowała się niedaleko cmentarza w lesie. Wiktoria wiedziała, że Damian pójdzie do wieszczego. Tylko że na razie nie miał o czym donieść. Każde z członków Rady podejrzewało młodego nauczyciela, ale chyba nigdy o tym wprost nie rozmawiali. A powinni. To była bardzo istotna kwestia.

– Jasne – odparł Damian krótko.

Czuł pewnie napięcie wiszące w powietrzu, bo wyszedł, nie patrząc nawet na pozostałych. Zapanowało milczenie. Wiktoria podeszła do okna i wyjrzała ostrożnie na zewnątrz. Pokój nie przepuszczał dźwięków, musiała więc się naocznie upewnić, że Damian odpalił silnik i naprawdę odjechał.

Wiktoria przypatrywała się, jak samochód nauczyciela znika za zakrętem. Opanowała ją okropna tęsknota za tym, żeby stąd wyjechać. Im dalej, tym lepiej. Ale była przecież więźniarką nie tylko Wieszcza, ale nawet swojej własnej rezydencji. Pozostawało tylko patrzeć na figurę, która pokazywała, jak Sikora wyglądała kiedyś.

Westchnęła. Nie mogła się pokazać na zewnątrz, bo ludzie pewnie by tego nie zniesli. Eliza i Albert traktowali ją normalnie. Agnieszka i Damian też. Nikt inny z miasteczka nie widział jej od czasu, kiedy poświęciła się dla ogółu. A było to poświęcenie zupełnie bezsensowne, jak się później okazało. Leki Tabaczyńskiego nie działały w pełni – a ona skończyła, jak skończyła.

– Co ty wyprawiasz? – zapytała Eliza, przerywając ciszę. – Mój syn... on...

– Tak, wszyscy podejrzewamy, że zdradził – przerwała jej Wiktoria.

Po twarzy Alberta przebiegł grymas. Na pewno bolało go, że mężczyzna, którego kochał, jest po złej stronie barykady. Trudno się dziwić, ale takie jest życie. Ci, których kochamy, też zdradzają. I to najbardziej dotkliwie.

– Powinniśmy chyba zacząć być ze sobą szczerzy – podjęła Wiktoria, zanim ktokolwiek z nich zdążył coś powiedzieć. – Pójdę na pierwszy ogień.

– Co z Agnieszką? – zapytał Albert, mimo że dziewczyna stała tuż obok. – Ma tego słuchać?

– Chyba zasłużyła, żeby do nas przynależeć? – oznajmiła przedsiębiorczyni. – Bądź co bądź i tak wie o większości spraw. Szkoda tracić czasu. Przejdźmy do rzeczy.

Agnieszka aż się rozpromieniła na te słowa. Zawstydenie zniknęło. Wiktoria doskonale wiedziała, że dziewczyna marzy o wstąpieniu do Rady. Wiecznie czuła się niedoceniona, a kompleksy związane z tuszą niepotrzebnie zjadały ją od środka. Być może jej zapal, ta odrobina świeżej krwi, dobrze im zrobi.

Zresztą i tak wszyscy w Wieszczach wiedzieli, że Rada ciągle szuka nowych sposobów walki z wieszczy. To nic nowego. Jedyne, co trzeba było trzymać w tajemnicy, to konkretne pomysły, zanim zdążą je wypróbować. Żeby wieszczy nie wiedział, co na niego szykują. Tajemnicą objęte były również nieudane próby. Jak to antidotum, które zatrulo niemal pół szkoły, albo to, które niezupełnie pomogło Wiktorii. Efekt niedopracowanego leku aptekarza.

– Szykowałam ten pokój w tajemnicy przed wami – oznajmiła Wiktoria dobitnie. – Bo bałam się, że informacja o nim może wyjść poza nasze grono.

– No właśnie – powiedziała Eliza, nadal się rozglądając. – Zwróciłam uwagę na zmiany.

– Ja już dawno to zauważyłam – pochwaliła się cicho Agnieszka. Zaraz jednak odchrząknęła, udając, że kaszle.

– To dźwiękoszczelny pokój – podjęła Wiktoria, ignorując je obie. – Mam nadzieję, że może zostać rodzajem bunkra. Jak wiecie, wieszczy zabija głosem, więc...

– Ludzie już zatykali uszy – przerwała jej Agnieszka z entuzjazmem nowicjuszki. – Na różne sposoby. Nic nie pomagało.

– Tak, ale ja liczę na to, że zatrzymam fale dźwiękowe jego głosu. Że nie dotrą do naszych ciał. Bo może nie chodzi tylko o to, żeby nie słyszeć jego krzyku.

– Tak w ogóle można? – zapytała Eliza sceptycznie. – Zatrzymać te fale?

– Nie wiemy, jak działa jego głos – włączył się do rozmowy Albert. Cały czas ścisnął coś w kieszeni nerwowo. – Ale...

– Zgoda, nie wiemy – przyznała Wiktoria, nie pozwalając mu dokończyć. – Ale próbujemy, czyż nie? No i celowo wysłałam Damiana do Stróżówki. Mam nadzieję, że pójdzie prosto do wieszczego i będziemy mogli od razu wypróbować ten pokój. Teraz, dziś.

– Co?! – wykrzyknęła niemal Eliza. Jej głosu nie poniosło echo. Pokój był naprawdę dobrze wygłuszony. Nie tylko nie dopuszczał dźwięków z zewnątrz, tłumiał również to, co działo się w środku.

– To, co słyszałaś. Nie rozumiem twojego zdziwienia. Przecież już próbowaliśmy różnych rzeczy. I to wielokrotnie. To tylko kolejna rzecz do sprawdzenia. **Nowa** nam uciekła, więc równie dobrze możemy przystąpić do kolejnego testu już teraz.

– No dobrze, ale jak chcesz sprowokować wieszczego, żeby wykrzyknął któreś z naszych imion? – zapytała rzeczowo Agnieszka. – Bo jak rozumiem, to właśnie chcesz zrobić. On będzie krzyczał na zewnątrz, a my się ukryjemy w środku, tak? Jeśli tak, to musiałyby krzyczeć nasze imiona. Inaczej nic nam z tego testowania nie przyjdzie.

Agnieszka oczy nadal miała zaczerwienione od łez, ale odzyskiwała rezon. Wiktorii podobało się, że dziewczyna, mimo złości i pretensji, które miała do świata, ma w sobie dużo samozaparcia. Nie lamentowała, że może zginąć. Ustalała plan. To był dobry pomysł, żeby ją w to zaangażować, choć zupełnie niezaplanowany. Czasem potrzeba chwili okazuje się zbawienna.

– Nie uważasz, że takie rzeczy trzeba ustalać wspólnie? Kiedy zamierzałaś nam o tym powiedzieć? – zapytała Eliza.

– W swoim czasie. Nie sądziłam, że dziś dojdzie do próby, ale wyszło, jak wyszło i akurat jest okazja, żeby twój syn sprowadził tu potwora. A skoro prawdopodobnie straciliśmy pisarkę, to chyba nie ma co czekać. Już powiedziałam.

– Nie sądzisz, że jednak powinniśmy to przedyskutować? – prychnęła znów dyrektorka. Obie się powtarzały. – To mój syn i nie chcę, żeby coś mu się stało. Nawet nie mamy pewności, że...

– Damian od dawna nas zdradza – szepnął z bólem Albert. – Dobrze o tym wiesz, Elizo. Musimy się z tym pogodzić. Rozumiem, że tego faktu do siebie nie dopuszczasz. Sam wolałbym...

– A ty kim niby jesteś, że **byś wolał** – wykrzyknęła dyrektorka. – Jakimś staruchem, z którym on sypia! A ja jestem jego matką!

Po twarzy dyrektorki potoczyły się łzy. To był tak niecodzienny widok, że wszyscy zamilkli. Eliza praktycznie nigdy nie okazywała emocji. Otarła twarz dłonią i odetchnęła, żeby się uspokoić. Sama chyba również była zaskoczona swoim wybuchem.

– Przepraszam – mruknęła. Teraz wydawała się bardziej zawstydzona niż Agnieszka przed chwilą.

– Tylko co zrobimy dalej? – zapytał Albert. – Powiedzmy nawet, że zmusimy wieszczego do krzyknięcia imienia któregoś z nas, jak będziemy tu w tym pokoju. Powiedzmy, że pokój nas ochroni. I co wtedy? Przecież on może czekać na zewnątrz, aż wyjdziemy.

Aptekarz zamilkł, ale wyglądało na to, że chce jeszcze coś dodać. Agnieszka i Eliza chyba też to wyczuły, bo we trzy wpatrywały się w starszego pana.

– Ja też coś szykowałem – przyznał w końcu cicho. – Nie chciałem wam mówić, bo wiem, że moje mieszanki niekoniecznie wcześniej działały... Ale teraz wydaje mi się, że będzie inaczej.

Wiktorii aż się wzdrygnęła. Ostatnio to ona wypila specyfik i była królikiem doświadczalnym. Potem próbowali nową miksturę na dzieciach w szkole. A teraz co?

– Przygotowałeś coś nowego? – zainteresowała się Eliza. Najwyraźniej wzięła się już w garść.

– Owszem.

– Skąd wiesz, że tym razem zadziała? – Wiktorii nie mogła powstrzymać lekkiego sarkazmu. Kto jak kto, ale ona miała do niego prawo.

– Jeśli trzeba, ja się tego napiję i ja się wystawię – ogłosił Albert mężnie. – Dodałem korę jabłoni z cmentarza. Jestem przekonany, że to jest klucz do działania specyfiku. Nie wiem, czemu przedtem nie przyszło mi to do głowy. Niewiele wiemy o tych jabłoniach. Ale w mojej rodzinie mówiło się, że jabłonie generalnie mają szczególną moc i pozwalają komunikować się ze zmarłymi...

– A po co nam kontakt ze zmarłymi? – sarknęła Wiktorii.

– Bo... bo podejrzewam, że wieszczy może mścić się za swoją matkę. To dawno zapomniany wątek tej sprawy, ale ja go odkryłem.

– Ty go **odkryłeś**? – powtórzyła za nim wolno przedsiębiorczynie.

– Eee, tak.

Wiktorii spojrzała w stronę Elizy. Dyrektorka zmarszczyła brwi. Agnieszka oparła ręce na szerokich biodrach. Żadna chyba nie miała wątpliwości, że Albert coś ukrywa. Starszy pan westchnął głośno.

– Nie ma czasu, więc powiem krótko. Wieszczy stracił matkę. Uważa, że to wina mojego dziadka. Musiał dokonać na matce eutanazji i dlatego zmusza nas do zabijania się nawzajem. Przynajmniej tak uważam. Jabłonie sadzono kiedyś na grobach matek. Dlatego pomyślałem, że to powinien być element antidotum. Nie wiem, dlaczego nie pomyślałem o tym przez te

wszystkie lata. Uważam, że pamięć o matce powstrzyma jego złą magię. A jak nie będzie mógł nas zabić, to my będziemy mogli zabić jego.

W głosie Alberta pojawiła się zupełnie nowa nuta. Nie wyglądał już jak uprzejmy starszy pan. Raczej jak ktoś owładnięty obsesją.

## 13

### Julia Wilk

Ukryli się w kępie krzaków naprzeciwko rezydencji Wiktorii Sikory. Po krótkiej, acz burzliwej naradzie uznali bowiem, że trzeba udać się aż do serca Rady, czyli domu przedsiębiorcy. Gustaw i Bruno uważali, że właśnie tam odbywa się większość porad. Poza tym Wiktorii nie wychodziła z willi, więc na pewno ją tam zastaną. Najlepiej samą. Być może uda im się wyciągnąć z niej informacje dotyczące planów wobec Julii.

Nie mieli sprecyzowanego pomysłu, jak tego dokonają. A co gorsza, kiedy przybyli na miejsce, okazało się, że przedsiębiorcy nie jest sama. Najpierw zjawiała się Eliza z Agnieszką, a niedługo potem dojechali Albert z Damianem.

Julia, Bruno i Gustaw obserwowali zrezygnowani, jak członkowie Rady i ich pomocnicy znikają w rezydencji Wiktorii. Po jakimś czasie z budynku wyszedł Damian i szybko odjechał. Czyli choć jest o jedną osobę mniej, to Wiktorii nadal nie jest sama. A to oznaczało, że konspiratorzy tracili element przewagi liczebnej, na którym tak im zależało.

Julię ogarnęła złość na samą siebie. Co ona wyprawiała?! Czaiła się w krzakach z woźnym, któremu jeszcze niedawno nigdy by nie zaufała, i z chłopcem, który próbował zabalsamować matkę, by udawać, że ona żyje. Czy to było normalne?!

Kiedy wychodzili z domu Machulskich, Bruno zamknął sypialnię matki i poinformował młodszych braci, że mama musi nadal odpoczywać, a oni mają być grzeczni. Chłopcy pokornie wycofali się na dół, przyzwyczajeni najwyraźniej do komend najstarszego z klanu. Zapewne żaden nie złamie zakazu. Tylko co z tego? Przecież te dzieci nie mogły mieszkać z trupem matki na górze i prowizoryczną **balsamiarnią** na strychu. Julia i Gustaw powinni zawiadomić władze, a nie kulić się pod płótem Wiktorii Sikory! A jednak tego nie zrobili. W Wieszczach wszystko było na opak i chyba powinna już się do tego przyzwyczaić.

Przez dłuższy czas nic się nie działo i to czekanie zaczynało być trudne do wytrzymania. Ogarnęło ją poczucie, że trzeba działać.

- Co teraz? – zapytała. – Mielisz się z nimi skonfrontować.
- Z Wiktorią – przypomniał Gustaw. – Trzeba poczekać, aż reszta sobie pójdzie.
- Mogą tam siedzieć w nieskończoność – zachnęła się Julia.
- Oj, niech już pani nie marudzi – zaśmiał się cicho Bruno. – Chyba nie jest tak źle.

Faktycznie, gdyby wybrali się na piknik, by posiedzieć w wonnych krzewach na skraju łąki, byłoby nawet przyjemnie. Dzień chylił się ku końcowi. Pachniało ziołami i trawami,



a słońce rzucało wokół złociste, prawie letnie pocałunki. Problem polegał na tym, że jeśli nie chce się gdzieś siedzieć, nawet w najpiękniejszym miejscu, to czas wlecze się niemiłosiernie.

Nie wytrzymam! Wytrzymasz! Nie jesteś dzieckiem, skarciła samą siebie w duchu. Nigdy nie potrafiła czekać. To było właśnie najtrudniejsze zadanie. Próbowwała sama siebie jakoś przekonać do cierpliwości, ale nic z tego nie wychodziło. Uznała, że mogą chociaż podejść bliżej do budynku. Być może zobaczą coś przez wielkie okna salonu przedsiębiorczyni. Tym bardziej że w środku zapalono właśnie światła. Jakaś satysfakcję sprawiało jej, że tym razem to nie ona jest niczym na scenie, tylko oni.

Myślała, że Gustaw będzie chciał ją powstrzymać. Nie zrobił tego. Być może sam również miał dosyć krycia się pomiędzy drzewami. Brunonowi też nie trzeba było dwa razy powtarzać. Ruszył za nią w stronę ogrodzenia rezydencji. Przemieszczał się najzgrabniej z ich trójki. Nic dziwnego, był przecież najmłodszy i najmniejszy.

Podeszli do zdobionego płotu. Murowane słupy pokryto świeżą białą farbą, a zamiast drewnianych żerdzi były kute metalowe panele. Zapewne bardzo drogie i robione przez jakiegoś kowala na zamówienie. Esy-floresy tylko w pierwszej chwili wydawały się chaotyczną płataniną. Julia była pewna, że gdyby miała czas się temu przyjrzeć, dojrzałyby w tym jakiś **artystyczny** sens.

Bruno sapnął głośno po jej prawej. Dotychczas zachowywał się tak cicho, że ten dźwięk wydał jej się niczym krzyk. Zerknęła na niego zaskoczona. Chłopak wpatrywał się w rozświetlone okna rezydencji. Podążyła wzrokiem w tamtą stronę. Zobaczyła Elizę Kowalczyk, Agnieszkę Szymańską i Alberta. Ale ich się przecież spodziewała.

– Kurwa – szepnął Gustaw po jej lewej.

Wtedy Julia zrozumiała, o co im chodzi. Z trudem stłumiła przekleństwo, które jej też cisnęło się na usta. W salonie była jeszcze jedna osoba. **Prawdopodobnie** Wiktoria Sikora, choć tak naprawdę można było jedynie się domyślać. Jej ciało było zdeformowane i zupełnie nie przypominało pięknej kobiety z posągu przed willą. Wyglądało raczej jak makabryczne pozostałości Bibiany, które Julia zobaczyła w restauracji. Ciało przedsiębiorczyni było jakby roztopione albo rozmazane gumką. Umysł Julii z trudem radził sobie z przerażającym widokiem. Odwróciła wzrok szybko.

Przekleństwo znów napłynęło jej do ust. Miała ochotę je wypluć, jakby było gorzkim, niechcianym lekarstwem. Wtedy usłyszała za plecami jakiś delikatny dźwięk. Z miejsca stanął jej przed oczami Maks. Ale to było coś głębszego niż basowe powarkiwanie wielkiego psa. Włoski na jej ciele zjeżyły się.

Odwróciła się bardzo, bardzo powoli i od razu tego pożałowała. To był ten stwór... Ni pies, ni wilk, ni człowiek. Zdawał się zmieniać kształt w zależności od tego, jak ułożyły się jego nadmiernie ruchome kości. Wieszczy stał nie dalej niż trzy metry za nimi. Jego błyszczące oczy wpatrywały się dokładnie w nią.

## Damian Kowalczyk

Damian zatrzymał samochód przed Stróżówką. Było mu szkoda **nowej**. Nie zdążyli się co prawda bliżej poznać, ale i tak ją polubił. Gdyby mieli więcej czasu, to kto wie, może nawet by się zaprzyjaźnili. Wsiadł i delikatnie zatrzasnął drzwi. Westchnął. Tylko że teraz to już na pewno nie było możliwe. To, co się działo, raczej dobrze się nie skończy. Nic, co dotyczyło wieszczego, nigdy nie kończyło się dobrze.

Nauczyciel przyjechał tu niby sprawdzić, czy Julia jest w domu, ale zaraz uda się na cmentarzyk, żeby o wszystkim opowiedzieć Faberowi. Postanowił jednak, że zajrzy do domu. Tak na wszelki wypadek. A nuż dziewczyna naprawdę tu wróciła. Zresztą nie mógł być pewny, czy wieszczy jest u siebie. Po tym, co stało się z Bibianą, było więcej niż prawdopodobne, że Jan postanowił znów zajrzeć do miasteczka i zaznaczyć swoją obecność. Już i tak gniewało go, że mimo ciągłych wyborów część ludzi z miasteczka zapomina o dawnych rytuałach i uważa je za głupoty. Nawet jeśli tylko garstka, z niesubordynacją Bibiany to mógł być przyczynek do zmian. Damian był pewien, że Jan na pewno obmyśli jakiś odwet.

Nauczyciel podszedł do budynku ostrożnie. Emanowała z niego jakaś dziwna energia. Wydawała mu się wroga. Jan zawsze mówił, że kiedyś kochał ten dom. Znienawidził go dopiero, kiedy zmarła w nim jego matka. A właściwie to Faber został niejako zmuszony, żeby **pomóc** jej odejść. Może teraz ze Stróżówki biła aura tej dawnej makabrycznej śmierci? Albo cierpienie syna, który chciał ulżyć matce w bólu? Damian nigdy wcześniej nie czuł tego tak mocno.

Nacisnął klamkę, ale drzwi okazały się zamknięte. Dziwne. Przecież Julia Wilk uciekła w wielkim popłochu. Chyba nie zdążyłaby przekręcić klucza. Rozejrzał się nerwowo, bo ogarnęło go nagle wrażenie, że jest uważnie obserwowany. Zapadała już ciemność, co utrudniało zorientowanie się w sytuacji.

– Jan? – zawołał Damian w gęstniejący mrok.

To było głupie pytanie, bo znał dokładnie odczucia, kiedy zjawiał się wieszczy. To nie było to. Nigdzie też nie dostrzegł błyszczących ślepi demona. O tej porze Faber pewnie zaczyna już przyjmować swoją bardziej ludzką postać, ale jego ślepia zawsze emanują piekielnym blaskiem. Damian nigdy nie umiał się do niego przyzwyczaić. Mimo że widział go tyle razy. Mimo że sam być może będzie miał takie same, kiedy już umrze i również stanie się potworem. Zadrżał na samą myśl.

Coś jakby trzasnęło. Nauczyciel miał teraz pewność, że odgłos dochodził z wnętrza Stróżówki. Nacisnął znów klamkę. Tym razem puściła. Jeszcze raz rozejrzał się w gęstniejącym mroku. Nikogo nie zauważył.

Ale nikogo chyba nie powinienem się bać, pomyślał z goryczą. Przecież nawet jeśli zginie, to będzie prowadził dalsze, mroczniejsze życie. Dlatego Jan Faber go wybrał. Chciał wychować sobie następcę. Wiedział, że nauczyciel nosi w sobie to piętno. Zabił jego rodziców, zanim Damian skończył siedem lat i matka mogła podać mu antidotum. Kogóż więc Damian mógł bać się w ciemności?

Z tym przekonaniem przestąpił próg Stróżówki.

## 15

### Julia Wilk

Julia miała wrażenie, że fluorescencyjne oczy potwora ją hipnotyzują. Jak we śnie zobaczyła, że wieszczy zaczyna otwierać paszczę. Tkwiły w niej zaskakująco drobne zęby. W jakiś sposób ich niepozorny rozmiar był jeszcze bardziej przerażający. Mnóstwo maleńkich szpileczek przyprawiało o zawrót głowy. Było ich nienaturalnie dużo i umysł dziewczyny znów się buntował. Jak wtedy, kiedy patrzy się na powierzchnię pokrytą nieregularnymi dziurami i uruchamia się tryfobia. Obrzydzenie narastało, ale ona nie była w stanie zmusić się, żeby odwrócić wzrok. Powtórka z rozrywki – już dziś przecież przyglądała się trupowi pani Machulskiej z równie nieodgadnioną fascynacją, a wcześniej filmowi, na którym nagrała się Bibiana czy ktokolwiek to był.

Mnóstwo maleńkich ostrych ząbków w czymś, co zaczynało przypominać ludzką, nie zwierzęcą, szczękę. Im było ciemniej, tym potwór robił się wyższy i smuklejszy. Dziwaczne usta rozwierały się coraz szerzej i szerzej. Płynął z nich dławiący smród. Jeszcze gorszy niż ten, który dobywał się z gnijącego ciała matki Brunona. Oddech potwora był zimny. Czują go na całym ciele. Nie mogła się ruszyć.

Nie mogła!

Nie mogła!

Julia nie była pewna, ile czasu minęło. Miała wrażenie, że całe lata, ale umysł podpowiadał jej, że to zaledwie sekundy. Jeszcze moment i krzyk wieszczego zabije ją. Co Wilk wtedy poczuje? Jaka to będzie śmierć? Zostanie częściowo rozmazana, jak Bibiana?

– Zostaw ją! – krzyknął Bruno, wrywając ją ze stuporu.

Chłopiec rzucił się w stronę stwora tak szybko, że nie zdążyła nawet zareagować. Widziała, jak dzielny nastolatek pędzi w stronę wieszczego. Na jego twarzy nie było cienia lęku. Wręcz przeciwnie. Raczej odwaga podsycana jakimś wewnętrznym ogniem. Być może Bruno wcale nie chciał chronić Julii, ale pomścić swoich rodziców.

Wieszczy odwrócił głowę w stronę Brunona. Jego paszcza nadal się otwierała gotowa do piekielnego krzyku. Chude ramiona uniosły się. Palce miał zakończone długimi pazurami, brudne od ziemi i częściowo połamane. Mimo to nie pozostawiały wątpliwości – mogły rozszarpać na kawałki.

Poczuła, że ktoś ciągnie ją za ramię w stronę krzaków. To był Gustaw. Chciała zawołać, że muszą ratować chłopca. Nie zdążyła. Wieszczy uśmiechnął się makabrycznie i powietrze przeszył okropny ryk. Dało się w nim jednak zrozumieć jedno słowo:

– Brunoooooooooooo!

Brzmiało przerażająco atonalnie. Jakby poszczególne głoski do siebie nie pasowały. Krzykowi towarzyszyło coś w rodzaju wybuchu. Julia upadła na ziemię zmieciona podmuchem. Byli blisko, za blisko. W uszach jej dzwoniło. Świat zamarł, ale może to ona już nic nie słyszała.

Nastolatek nie zatrzymał się. Zaczęło dziać się jednak to, czego tak się obawiała. Jego kształty powoli się rozmywały. Jakby ktoś ścierał Brunona gumką. Przez chwilę wyglądał jak to, co zostało z Bibiany. Potem krzyk potwora się urwał. Równie nagle, jak się zaczął, a chłopiec po prostu zniknął zagubiony gdzieś w gęstniejącym mroku.

Gustaw znów pociągnął ją za ramię gwałtownie. Zdaje się, że coś krzyczał, ale w uszach nadal jej dzwoniło i nie miała pewności. Ona chyba też wrzeszczała. Po twarzy płynęły jej łzy. Chciała usiąść albo, jeszcze lepiej, położyć się na ziemi i walić w nią pięściami. Czuła potworną niemoc, ale jednocześnie wściekłość.

Wieszczy znów spojrzał na nią, a jego wypełniona igiełkami zębów paszcza zaczęła się rozchyłać. Powoli i nieubłaganie. Wiedziała, co teraz krzyknie. Jej imię. I to będzie koniec. Julia wyparuje, jakby jej tu nigdy nie było.

Serce waliło wściekle w jej piersi. Bała się, tak bardzo się bała. Ale było już za późno. Nie zdąży uciec. Gustaw ciągnął i szarpał ją, ale nawet on w końcu puścił. Wiedział, że to już nie ma sensu.

– Juliaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa.

Ryk stwora zdawał się dochodzić z jakichś piekielnych czeluści. Teraz, kiedy krzyk dotyczył jej samej, słyszała go nieco inaczej. Były w nim głosy, **wiele głosów**. A żaden z nich nie znał światła dnia. Nigdy nie słyszała nic tak przerażającego. Potem to wszystko umilkło. Na chwilę zapanowała absolutna cisza. **Bezgłos**. Czy tak właśnie wygląda śmierć?

Znienacka wszystko ruszyło. Jakby ktoś najpierw nacisnął *pauzę*, a potem *play*. Znów czuła zaciśnięte na jej ramionach palce woźnego. Nawet wieczorne ptaki zaczynały podejmować swoją przerwana pieśń. Tylko wieszczy trwał w absolutnym bezruchu. Trudno było w to uwierzyć, ale wyglądał na oszołomionego. Zapewne nie spodziewał się, że jego krzyk nie uczyni jej żadnej krzywdy.

Gustaw znów pociągnął ją w stronę lasu. Ucisk jego palców był mocny i sprawiał ból, ale teraz tego właśnie potrzebowała. To ostatecznie wybudziło ją z drętwicy. Cokolwiek się tu stało, mieli tylko chwilę, żeby spróbować uciec.

Wieszczy rzucił się za nimi. Piekielny krzyk nie zadziałał, ale potwór wciąż miał kły i pazury. Mógł ich z łatwością rozszarpać, jeśli ich dopadnie. Nie potrzebował do tego żadnej czartowskiej magii.

– Janie!

Krzyk dochodził od strony rezydencji Wiktorii Sikory.

– Tu jestem! Wnuk Cezarego Babiańskiego! Pomścij swoją matkę!

Wieszczy zatrzymał się natychmiast i odwrócił. Julia próbowała dojrzeć, co się dzieje przy rezydencji. To chyba Albert wołał! Nie zdążyła jednak zorientować się w sytuacji, bo Gustaw pociągnął ją znów za sobą.

– Uciekamy – syknął. – To nasza jedyna szansa.

Popędzili pomiędzy drzewami. To był mały zagajnik na środku łąki. Dalej rozciągało się pole. Jeśli będą biec wystarczająco szybko, a wieszczy zajmie się Albertem, być może zdążą dobiec do lasu. To było okrutne, egoistyczne pragnienie, ale chciała przeżyć za wszelką cenę.

Biegła, potykając się o kamienie. Ściana lasu zdawała się majaczyć kilometry dalej. Widziała w ciemności sylwetkę Gustawa. Woźny dopadł już pierwszych drzew. Jej brakowało tchu. Zwolniła.

– Biegnij! – krzyknął Gustaw. – Biegnij!

Znów upadła. Nie zdoła znieść niepewności. Odwróciła głowę, żeby zorientować się, czy wieszczy ją goni. Za jej plecami panowała niemal nieprzenikniona ciemność. Łzy przerażenia płynęły jej po policzkach.

Wtedy od strony willi dobiegł ich przerażający piekielny krzyk potwora.

## 16

### Damian Kowalczyk

Damian rozglądał się po holu Stróżówki. Bardzo dawno tu nie był. Nawet kiedy robiono remonty, tu nie zaglądał. Chyba dlatego, że Jan wpoił mu, że to miejsce zakazane. Dom formalnie należał do Wiktorii Sikory. Musiał do kogoś należeć. Państwo nie interesowało się ich miasteczkiem, ale tylko dlatego, że mieszkańcom udawało się utrzymać przynajmniej pozory normalności. Bezpańskie domy za bardzo rzucałyby się w oczy w księgach wieczystych.

Tak więc Stróżówka miała właścicielkę, ale wszyscy wiedzieli, że to dom wieszczego. Regularne remonty były rodzajem hołdu, tak samo jak dobudowywanie coraz wyższych fragmentów kościelnej wieży, żeby demon mógł się na nią wspinać. Ludzie łudzili się, że w ten sposób prześlą Jana. Damian wiedział, że łechtka to próżność potwora, ale Faber najczęściej trzymał się od tego miejsca z daleka. Podchodził co najwyżej na kilka metrów. Progu nie przekroczył od prawie stu lat.

Damian stał w pogrążonym w mroku holu, nasłuchując. Wyciągnął rękę i zapalił światło. Od razu lepiej, pomyślał, ale to nie była prawda. Lęk wcale się nie zmniejszył. Co gorsza, nauczyciel miał coraz silniejsze poczucie, że ktoś **siedzi w jego głowie**. Jakby mózg puchł do niewyobrażalnych rozmiarów. Zakrył uszy otwartymi dłońmi. Niewiele to dało.

– Ratunku... – wydusił.

Był teraz pewien, że ktoś jest w domu. Ktoś równie potężny jak wieszcy. A może nawet bardziej? Ten ktoś przesuwał przed oczami Damiana płataninę obrazów. To były obrazy śmierci wszystkich osób, które zginęły w wyborach organizowanych przez Jana. Własne wspomnienia Damiana. Ktoś je przeglądał!

– Przestań! – zdołał krzyknąć. Nie mógł znieść patrzenia na te widma. – Przestań!!!

Damian zaczął się miotać po holu, przewracając jakieś drobiazgi. Nie patrzył nawet, co spadało. Próbował walczyć. Nie wiedział jednak, z kim walczy, ani tym bardziej jak ma to robić. Potężna moc zdawała się dochodzić z wnętrza jego samego, jakby od środka niszczyły go jakieś pasożyty. Popędził na oślep, objijając się o ściany. Obrazki i ramki spadały.

Szarpał skórę, próbując uwolnić się od tego, co działo się w środku. Rozrywał własne ciało, ale nic nie pomagało.

## 17

### Albert Tabaczyński

– Janie! – krzyknął Albert. – Tu jestem! Wnuk Cezarego Babiańskiego! Pomścij swoją matkę!

Wszystko potoczyło się bardzo szybko. W jednej chwili dyskutowali z Wiktoria, Eliza i Agnieszka o dostępnych możliwościach i planach. W drugiej na zewnątrz coś zaczęło się dziać. To asystentka Sikory zauważyła ruch w ciemności za ogrodzeniem. Nic nie słyszeli, bo do pomieszczenia Wiktorii nie dochodziły żadne dźwięki. Dopadli więc wszyscy do okna. Nic nie trzeba było mówić. Mimo zapadających ciemności coś mogli dojrzeć, a obrazy mówiły więcej niż słowa. Jan Faber stał za płotem. Widać go było pomiędzy zdobionymi panelami. Miał teraz prawie ludzką postać, ale Albert zawsze potrafił dostrzec emanującą z niego poświatę. Przypominała tę, która roztaczała się wokół farby radowej, przez którą zginęła matka Fabera.

Aptekarz wyciągnął z kieszeni fiołkę nowego antidotum. Nie było czasu na ustalenie, kto stanie twarzą w twarz z potworem. Dawno już podjął decyzję, że to musi być on. Poprzednie wersje jego specyfików nie działały. Jedna zadziałała częściowo. Wiktoria, która ją przyjęła, nie zginęła, ale wieszcy zdołał ją oszpecić. Nie można żądać, żeby zrobiła to znowu. Eliza i Agnieszka zapewne nie będą chciały. Może zgodziłyby się na jakieś losowanie, ale nie było czasu do stracenia.

Poza tym Albert chciał sam to zrobić. To był cel jego życia. Jeśli wieszcy nie będzie w stanie zabić go krzykiem, będą mogli walczyć. Aptekarz co prawda nie dysponował żadną bronią, ale tym będzie się przejmował później. Życie czasem samo przynosi odpowiedzi.

– Co ty robisz?!

Ledwie usłyszał, jak dyrektorka szkoły krzyczy. Wypił zawartość fiołki i popędził do drzwi. Tak szybko, na ile pozwalało mu zmęczone stare ciało.

– Zatrzymajcie go! – wrzasnęła Wiktorcia.

Albert miał ochotę się zaśmiać, bo przecież przedsiębiorczyni sama chciała sprowokować wieszczego, a teraz próbuje go zatrzymać? Agnieszka szarpnęła go za ramię, ale udało mu się z łatwością wyswobodzić.

Otworzył drzwi i wyskoczył na ciepły wiosenny wieczór. Na zewnątrz zrobiło się cicho. Tak z reguły działo się po krzyku wieszczego. Zaraz świat ożyje, jakby nic się nie stało. Chyba że potwór ryknie znowu...

– Juliaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa.

Albert zatoczył się na ziemię. Siła krzyku wieszczego była tak wielka, a oni znajdowali się tak blisko, że nie sposób było ustać. Fala dźwięku zwałała z nóg. Pisarka miała być ich polisą ubezpieczeniową, kołem ratunkowym i czym tam jeszcze. Eliza wpadła na ten pomysł podczas remontu Stróżówki, potem już razem wyszukiwali w sieci informacje o jej niezwykłym przypadku. Głównie na stronach, których nikt nie traktuje poważnie, i w tabloidach. To tam zawsze były artykuły, które trzeba przejrzeć, jeśli szuka się śladów magii. W stertach doniesień o UFO i innych takich kryły się jedno czy dwa zdania, które czujne oko powinno wychwycić. Punkty zaczepienia.

Znaleźli plotkę o tym, że pisarka – która naprawdę nazywała się Zuzanna Kamińska – potrafiła zabijać swoją twórczością. Realiści z sieci wyśmiewali mitomanów i wielbicieli teorii spiskowych. Ale Rada wiedziała, że trafili na żyłę złota. Ci, co mieszkali w Wieszczach, wyczuwali magię. Ta kobieta zdawała się spadać im z nieba. Tym bardziej że Eliza miała do niej dostęp przez swoją koleżankę bibliotekarkę.

A teraz krzyk i zapewne koniec końców Julia została zabita, zanim zdążyli choćby wytłumaczyć jej, czego od niej chcą, i zmusić – jeśli sama by tego nie chciała – do współpracy. Tak więc Albertowi pozostawało załatwić to samemu. Wstał ostrożnie, chwiejąc się po upadku. Spojrzał w stronę domu Wiktorii, ale kobiety zatrzasnęły już dźwiękoszczelne drzwi, zostawiając go na zewnątrz samego. Nie miał im tego za złe. Widział ich twarze w oknie przerobionego saloniku.

No to czas. Spojrzał w stronę płotu. W szczelinach nadal widział poświatę wieszczego. Dostrzegł też jakieś poruszenie, ale nie mógł się zorientować, co to. Za ciemno, a panele zasłaniały dużą część widoku. Ktoś tam jeszcze był oprócz Julii? Bo ona tam musiała być, skoro wieszczy krzyczał. Kto się tam ruszał?

– Janie! – krzyknął. – Tu jestem! Wnuk Cezarego Babiańskiego! Pomścij swoją matkę!

Chciał sprowokować wieszczego do piekielnego krzyku. Chciał z niego zadrwić i pokazać mu, że nie zdoła go zabić. To być może wyprowadzi potwora z równowagi. Może nawet osłabi.

Wieszczy jednym susem wskoczył na płot i wylądował po wewnętrznej stronie. Był teraz tak blisko. Przerazająco blisko. Roztaczał wokół siebie duszący smród rozkładu.

– Powiedziałeś, że kim jesteś?

Szept potwora był cichy, a jednak zdawał się docierać do samego dna świadomości. Albert wzdrygnął się przerażony. Wcześniejsza odwaga zupełnie go opuściła. Próbował jednak zachować twarz. Jeśli to miały być jego ostatnie chwile, niech chociaż odejdzie z godnością.

– Jestem Albert. Tu wszyscy mówią na mnie Tabaczyński, ale jestem z rodziny Babiańskich. Damian ci tego nie przekazał, bo nie wiedział.

Aptekarz uznał, że musi to powiedzieć. Na wypadek gdyby Faber winił męża za niesubordynację w donoszeniu. Może uda się Damiana oszczędzić przed jego odwetem.

– **Kim jesteś?** – powtórzył wieszczu bardzo powoli.

– Jestem wnukiem Cezarego Babiańskiego – powtórzył Albert dumnie.

Sam nie wiedział, skąd wziął mu się ten ton. Nie podobało mu się, że dziadek wykorzystywał kobiety w fabryce i narażał je na kontakt z promieniotwórczym radem. Jedyne, co Cezary miał na swoje usprawiedliwienie, to brak dostatecznej wiedzy. Ale czy to powód, żeby wszyscy Babiańscy przez to cierpieli? A oprócz nich niewinni mieszkańcy miasteczka?!

Aptekarz zobaczył, że potwór otwiera usta. Początkowo zdawały się prawie ludzkie, ale wrażenie mijało, im dłużej się patrzyło. Ostre rzędy zębów ostatecznie rozwiewały wątpliwości.

– Albeeeeeeeert! – krzyknął wieszczu.

## 18

### Julia Wilk

Julia dopadła wreszcie ściany drzew. Krew pulsowała jej w skroniach, a oddech stał się urywany. Palilo ją w gardle, jakby nie piła od wielu dni albo jakby to ona krzyczała, a nie tylko słuchała tych piekielnych wrzasków.

**Albert.** To imię niesło się echem aż tu. Nie było wątpliwości, że tym razem właśnie na aptekarza padło. Wilk nie wiedziała, jakie plany miała wobec niej Rada, ale mimo wszystko z oczu popłynęły jej łzy. Czy to z powodu Alberta, czy po prostu ze strachu.

– Tu jestem!

Głos woźnego zdawał się dobiegać z każdej strony. Noc zapadła nagle, jakby zwabiona piekielnymi krzykami potwora. Julia nie była w stanie dostrzec Gustawa pomiędzy drzewami. Nie wiedziała nawet, jak głęboko wbiegła w las ani w którą stronę powinna się udać.

– Gustaw! Gustaw! – wołała gorączkowo. Nie zważała na to, że wieszczu może ich usłyszeć, jeśli po zabiciu Alberta pogna za nimi.

– Tu jestem! Tu!

Rozglądała się nieprzytomnie, próbując dostrzec woźnego w ciemności. Jego głos dochodził z lewej, ale zaraz potem z prawej. Raz z daleka, raz z bliska. Łzy płynęły jej po



twarży, jakby nigdy nie miały przestać.

– Gdzie?! – wychrypiała. Nie miała już siły krzyczeć.

– Tu! Tu! Tu!

Wołanie znowu dochodziło zewsząd. Rzuciła się na oślep w prawo. Uderzyła w pień jakiegoś drzewa. Czowała, że po skórze płynie jej coś lepkiego. Pewnie krew.

– Gustaw!

– Julia! Tu jestem!

Jak tak dalej będą krzyczeć, wieszczy łatwo ich znajdzie, przebiegło jej znów przez myśl. Racjonalna część jej umysłu była jednak zagłuszana przez pulsującą w skroniach krew. Oddech nie zwalniał. Waliło jej serce. Tu-dum. Tu-dum. Tu-dum. Tu-dum. Szybko. Szybciej. Jeszcze szybciej. Nie mogła już tego znieść.

– Tu jestem. – Gustaw objął ją, nagle wynurzając się z ciemności. – Już dobrze, już dobrze.

Znów ten miękki głos, na który wcześniej pozwolił sobie tylko raz. Wtuliła twarz w jego szeroką pierś i płakała. Teraz już bezgłośnie. Wieszczy nie zabił jej swoim krzykiem. Miała jednak wrażenie, że przez jedną krótką chwilę zajrzała w ciemność, z której pochodził głos potwora. Jakby jego krzyk otworzył wejście do świata, którego żaden śmiertelnik nie powinien poznać. Kręciło jej się od tego w głowie.

– Już dobrze – powtarzał Gustaw. – Już dobrze, dziewczyno.

Przez chwilę stali tak objęci. Ona łkała, on szeptał pocieszająco. Nie rozumiała jego słów. Nie były istotne. Chodziło raczej o ton głosu. Niósł jakąś obietnicę, że jeszcze może się udać.

**Jakoś.**

– Spróbujmy wejść trochę głębiej w las – zaproponował woźny w końcu.

W jego głosie wyczuła ledwo dosłyszalną nutkę lęku. Wrażenie pozornego bezpieczeństwa natychmiast prysło. Po całym jej ciele przebiegł dreszcz. Gustaw też się bał, i to było jeszcze gorsze. Ale miał rację. Powinni spróbować się ukryć. Tylko gdzie, skoro w głębi lasu znajdował się cmentarzyk? To był teren wieszczego, nie mogli tam pójść.

– Nie... – wydusiła.

– Musimy... – zaczął woźny.

Przerwała mu ruchem ręki.

– Nie możemy iść w las – zdołała powiedzieć. – On nas tam znajdzie...

– To gdzie?

– Zobacz – rzuciła.

Pomiędzy gałęziami widziała jakieś migotanie.

– Gdzie?

– Zobacz! – powtórzyła jeszcze bardziej gorączkowo i pociągnęła go za sobą.

Przedarli się pomiędzy drzewami. Wiedziała już, gdzie jest! Byli bliżej jej domu, niż się spodziewała, choć dotarli do niego od drugiej strony. Lampy w środku zapalały się i gasły, jakby ktoś bawił się włącznikiem – a właściwie wszystkimi na raz.

Julia przypomniała sobie o makabrycznej kobiecie, która nagrała się na ukrytej kamerce. Początkowo wzięła ją za ducha Bibiany, ale Gustaw był przekonany, że to nie ona. Kim więc była? A przede wszystkim jakie miała intencje?

– To sygnał – szepnęła Gustaw. – Alfabet Morse’a, zobacz.

Julia widziała, że światła migoczą w sekwencjach. Nie miała jednak pojęcia, jak to przełożyć na słowa. Nigdy nie była harcerką, w żadnej z jej książek nie pojawił się taki wątek, nigdy nie miała potrzeby dowiadywać się, jak to funkcjonuje.

– To SOS – wyjaśnił woźny. – Ktoś wzywa pomocy.

**19**

### **Wiktoria Sikora**

Wiktoria, Agnieszka i Eliza z przerażeniem patrzyły, jak paszcza wieszczego otwiera się szeroko. Pokój okazał się idealnie dźwiękoszczelny. Nie słyszały krzyku. Mimo to przedsiębiorczyni i tak instynktownie się skuliła. Wiedziała, jak Albert się teraz czuje. Kiedyś sama to przeżyła. Omal nie zaczęła krzyczeć z przerażenia na samo wspomnienie. Pot spływał jej po zniszczonej od ataku wieszczego skórze. Wtedy też zażyła antidotum. Uchroniło ją przed śmiercią, ale nie przed obrażeniami.

– Co teraz?! – zapytała Agnieszka gorączkowo. – Nie powinnyśmy...

Dziewczyna nie dokończyła. Patrzyły, jak Albert chwiejnie wstaje.

– Nie zniknął – wydusiła Eliza. – Jego specyfik działa.

W głosie dyrektorki szkoły nie słychać było triumfu. Żadna z nich go nie odczuwała. Poczucie zwycięstwa trwające zaledwie minutę, to tyle. Wieszczy rzucił się na aptekarza. To był jeden krótki skok. Albert próbował walczyć, ale potwór zaczął szarpać jego ciało pazurami i zębami. Rozwścieczony jeszcze bardziej tym, że jego krzyk nie zadziałał.

– Co teraz?! – zapytała piskliwie asystentka.

Wiktoria czuła się jak kapitan tonącego statku. Pokój był wprawdzie dźwiękoszczelny, ale przecież są tu okna. Czy były tak mocne, jak obiecywał producent? Przedtem to miejsce wydawało jej się niezniszczalne. Teraz, kiedy patrzyła, z jaką łatwością wieszczy rozrywa ciało Alberta, nie była już tego taka pewna.

Stwór uniósł głowę i spojrzał w ich stronę. Ślepią gorzały mu wściekle.

– Zaraz tu przyjdzie! – wrzasnęła Agnieszka.

Wszystkie trzy odskoczyły od okna, kiedy wieszczy w kilku susach pokonał dystans od swojej ofiary do parapetu. Po jego ni to ludzkiej, ni zwierzęcej twarzy spływały strużki krwi i wnętrzności Alberta. Uderzył wąską dłonią w szybę. Wiktoria odskoczyła jeszcze dalej. Miała wrażenie, że wszystko zawibrowało, ale szyba wytrzymała! Tylko ile jeszcze takich uderzeń zniesie?!

– Wejdz tu! – krzyknęła znów Agnieszka. Oczy niemal wychodziły jej z orbit.

**20**

### **Julia Wilk**

Teraz to Julia pociągnęła Gustawa za sobą. W filmach czy książkach bohaterowie horrorów zawsze pchają się po prostu w paszczę lwa. Być może oni też właśnie to robili. Z drugiej strony w głąb lasu też nie mogli uciec. To były tereny wieszczego. Jej obecny dom zaczął ją przerażać, ale mimo wszystko był... no właśnie był **domem**. Podświadomie liczyła, że zapewni jej bezpieczeństwo. Mimo tego wszystkiego, co do tej pory się tam wydarzyło. Była niepoprawna!

A może stała się dla siebie zbyt surowa? Na kamerce nagrała się wprawdzie jakaś makabryczna kobieta, ale czy to oznaczało, że ta istota nadal tam była? Julia pokręciła głową. Niepotrzebnie próbowała wszystko tłumaczyć i analizować. Wielokrotnie czuła w budynku **obecność**. Czasem niemal wwiercającą się w głowę. Ta przerażająca kobieta była tam cały czas.

No dobrze, ale co z migającymi lampami. Jeśli Gustaw miał rację, ktoś nadawał ze środka sygnał SOS. Miałyby to robić kobieta, która prawdopodobnie nie żyła? Nie, to niemożliwe. Z drugiej strony, kto mógł tam być?

– Och, zamknij się – sarknęła zdenerwowana mętlikiem w głowie. Za wiele tych głosików za i przeciw.

– Co? – zdziwił się Gustaw.

– Nie do ciebie – mruknęła. – Przepraszam.

Woźny spojrzał na nią zamyślony, nic jednak nie dodał. Wróciła więc do swoich pospiesznych rozważań. Tak, nie widziała innego wyjścia, jak tylko pójść do domu. Nie mogli czaić się w lesie w nieskończoność. Wśród drzew mógł kryć się wieszczy. Poruszał się tak cicho i zwinnie. Nie usłyszą nawet, jak podejdzie. Ba, nie będzie musiał się zbliżać. Wystarczy, że znajdą się w zasięgu jego głosu. Może za drugim razem, jak wypowie jej imię, wszystko po prostu się skończy.

Moje imię, przebiegło jej przez myśl... **Moje imię!** Teraz niemal roześmiała się histerycznie. Wieszczy zawołał *Julia*. A przecież ona nie nazywała się Julia, tylko Zuzanna. A może i nie? Przecież kiedyś nadała sobie sekretne imię, które znała tylko ona, Milena! Czy to oznaczało, że wieszczy nie mógł jej zabić swoim krzykiem, bo nie znał jej imienia?! To było aż tak proste?! Była bezpieczna? Ta nieśmiała myśl dodała jej trochę otuchy.

– Chodźmy – rzuciła do Gustawa, póki ta odwaga jeszcze w niej trwała.

Nie czekając na odpowiedź, pobięła przez trawnik w kierunku domu. Słyszała woźnego tuż za sobą. Modliła się w duchu, żeby nie usłyszeć odgłosów jeszcze jednej pary nóg. Nic. Na razie wyglądało na to, że nikt ich nie ściga. Tylko światła w oknach domu nadal migają rytmicznie, wzywając pomocy. Trzy krótkie, trzy długie i trzy krótkie. Teraz już wiedziała, co znaczą.

Odwróciła się dopiero, kiedy dopadli wąskich drzwi z tyłu budynku. Nacisnęła klamkę. Otworzyły się, choć była pewna, że powinny być zamknięte. W tym momencie wszystkie światła w domu zgasły.

– Co się dzieje? – zapytał Gustaw.

Mówił z pozornym spokojem, ale Julia wyczuwała w nim napięcie. Ona sama też czuła się przerażona.

– Nie jestem pewna...

Chciała się wycofać, ale poczuła przemożną potrzebę, żeby wejść do środka. Jakby ktoś jej podpowiadał, że ma to zrobić. Znała to uczucie. Ten dom już wcześniej ją przywoływał. Intuicja podpowiadała jej teraz, że kobieta z nagrania może mieć z tym coś wspólnego. Wzywała ich tu i nawet jeśli to była zasadzka, Julia nie potrafiła się przeciwstawić.

Ostrożnie przekroczyła próg i znalazła się w holu. Światła błysnęły szybko, na chwilę ją oślepiając, a potem zgasły. Kiedy woźny wszedł za nią i zamknął wąskie drzwi, zrobiło się niemal czarno. Julia ruszyła wzdłuż ściany w kierunku włącznika. Była niemal pewna, że wie, gdzie się znajduje, mimo że mieszkała tu tak krótko. Nie chciała iść przez środek pomieszczenia. Ryzykowałyby potknięcie się o porzucane tu nadal przedmioty, które przedtem poukładane były na stopniach schodów. Jej palce posuwały się po ścianie. Teraz dotyk był jedynym zmysłem, którym mogła się kierować.

Nagle natrafiła na coś lepkiego. Z miejsca poczuła wstręt, mimo że nie widziała, co to jest. Odsunęła dłoń automatycznym ruchem. Wtedy z ciemności rozległ się śmiech. Maniakalny i przerażający. Przypominał jej rechot Joaquina Phoenixa w znakomitej roli Jokera. Kiedy oglądała to w kinie, miała ciarki na skórze. Wtedy wiedziała jednak, że jest bezpieczna. Tu było zupełnie inaczej.

## 21

### **Eliza Kowalczyk**

Eliza czuła, że przerażenie wręcz ją obezwładnia. Za oknem, właściwie tuż obok nich, miotał się wieszacy. Przed chwilą widziała, jak rozszarpał Alberta. Zrobił to bez wysiłku. Nie potrzebował morderczego głosu, żeby zabijać. Ta świadomość spowodowała, że wszystkie trzy zaczynały popadać w panikę. Agnieszka mamrotała coś nerwowo i chlipała cicho. Wiktoria – choć pozornie nieporuszona – również niedługo straci panowanie nad sobą. Dyrektorka szkoły westchnęła. Moment może nie był odpowiedni, ale uznała, że czas przyznać się do czegoś. Nie miała na to za bardzo ochoty, ale nie chciała tu umierać. Chciała choć raz jeszcze zobaczyć syna. Nawet jeśli znów będzie czuła od niego zapach jabłoni. A może tym razem nie? Nie zawsze nim przesiąkał. Czasem jeszcze pachniał po prostu sobą.

– Przestańcie panikować – zagrzmiała, jak wtedy, kiedy próbowała okiełznać rozbrykanych uczniów. Z reguły dobrze jej to wychodziło. Oby tu też zadziało. – Już!

Powiedziała to nieznośnym sprzeciwu głosem. Agnieszka przestała łkać. Wiktoria też spojrziała w jej stronę.

– Pomysł sprowadzenia pisarki nie był w gruncie rzeczy mój – oznajmiła Eliza.

– Jakie to ma teraz... – zaczęła przedsiębiorczyń.

– Wszystko może mieć znaczenie, Wiki. Posłuchaj, co mam do powiedzenia. Może razem coś wymyślimy. Moim zdaniem w Stróżówce ktoś mieszka.

– Też mi wielkie rzeczy – zachnęła się Agnieszka niecierpliwie. Na dobre przestała płakać.  
– Julia Wilk tam mieszka.

Eliza ją zignorowała.

– Jak poszłam tam sprzątać po remoncie, poczułam dziwną obecność. I ten ktoś powiedział mi o pisarce, która zabija swoimi tekstami. Właściwie ten ktoś nie powiedział, ale wepchnął mi to do głowy. Bo to nie były stricte słowa. Ale wiedziałam, o co chodzi. Jak wróciłam do domu, to zaczęłam szukać. I znalazłam, że ktoś taki jak Zuzanna Kamińska rzeczywiście istnieje. Mimo że przedtem nigdy o niej nie słyszałam. A potem powiedziałam wam o niej, jakby to był mój pomysł. Bo nie wiedziałam, jak to wyjaśnić. Myślałam, że może to sobie wyobraziłam. Poczulałam, jakby ktoś grzebał mi w głowie. To nie było przyjemne.

Wieszczy przyglądał im się zza szyby błyszczącymi ślepiami. Eliza nie była pewna, ile w nim zostało z człowieka. Czy w ogóle kierował się rozumem, czy tylko żądzą mordy. Chyba musiał choć częściowo myśleć jak człowiek, bo nie torturowałby miasteczka latami chorą grą w wybory. To nie było zachowanie zwierzęcia. Zwierzęta nie są takie okrutne. Tylko ludzie to potrafią. Ludzie – prawdziwe potwory, pomyślała z goryczą.

– Pisarka, która zabija swoimi tekstami?! – zapytała Agnieszka zaskoczona.

Elizę kusilo, żeby ją zignorować, ale przecież asystentka Wiktorii miała teraz należeć do Rady. I może to nie był zły pomysł, żeby uchylić przed nią rąbka tajemnicy i w tej kwestii. Dziewczyna była młoda, dobrze sobie radziła z biznesem, mogła ich wesprzeć świeżymi pomysłami.

– Chcieliśmy, żeby napisała tekst, w którym ginie wieszcy – oznajmiła lakonicznie. Liczyła, że ta informacja Agnieszce wystarczy. – Tylko nie zdążyliśmy wprowadzić planu w życie, bo wydarzyło się to wszystko.

– I to podpowiedziała ci ta... **obecność** ze Stróżówki? – zapytała Agnieszka, potwierdzając, że umie się odnaleźć nawet w trudnych sytuacjach.

– Tak.

– Czyli to coś czy też ktoś jest po naszej stronie?

To było bardzo dobre pytanie. Wręcz kluczowe.

– Nie wiem – przyznała Eliza. – Wiem tylko, że dostałam podpowiedź na temat pisarki...

Wieszcy znów uderzył pięścią w szybę pancerną. Dyrektorka przerwała swoją opowieść. Przedtem nie było tych uderzeń słycać. Teraz dobiegły jakby z dala, ale jednak. Czy szkło się rozsypie? Może to tylko wrażenie, pocieszała się. Podpowiedź umysłu, który spodziewa się dźwięku.

– On tu wejdzie – pisnęła przestraszona Agnieszka. Opanowanie asystentki, które tak wcześniej zaimponowało Elizie, zniknęło.

Stwór uderzył po raz kolejny i szyba pękła w drobny mak.

Julia usłyszała głośne sapnięcie Gustawa. Woźny znajdował się tuż za nią i to dodało jej odwagi, żeby zrobić jeszcze kilka kroków. Postanowiła zignorować dziwną lepkość, którą czuła pod palcami, i przerażający śmiech, który dobiegał z ciemności. Musieli być bardzo blisko włącznika światła. Być może zaraz zorientują się w sytuacji. Najgorzej chyba nie wiedzieć, czego się spodziewać.

W końcu jej palce natrafiły na włącznik i klatkę schodową załąło światło. Wtedy zobaczyła na ścianach rozmazaną krew. Z przerażeniem spojrzała na swoje dłonie. Były czerwone, jak tamtego poranka, kiedy odkryła, że zrobiła krwawe graffiti w łazience. Z obrzydzeniem otarła dłonie o koszulkę.

– Co tu się stało? – szepnął Gustaw.

Wokoło panował absolutny chaos, jakby wewnątrz domu wybuchło. Wszędzie porozrzucone były rozmaite przedmioty, bibeloty z mebli, jej własne rzeczy, poduszki, naczynia.

– Ha ha ha.

Makabryczny, sztuczny śmiech dochodził chyba z salonu.

– Zmywajmy się stąd – warknął woźny.

Nie zrobił jednak żadnego ruchu w kierunku drzwi. Już miała powiedzieć, że ona też chętnie się stąd zmyje, kiedy na jego twarzy pojawił się nieobecny wyraz.

– Gustaw? – zapytała zalękniona.

Teraz woźny wyglądał, jakby go **wyłączono**. Patrzyła z przerażeniem, jak kąciki jego ust zaczynają drgać. Delikatnie, jakby próbował z tym walczyć, ale nie mógł mimo wszystko powstrzymać malującego się coraz wyraźniej uśmiechu.

– Gustaw?!

Woźny zaczął się śmiać. Początkowo bardzo cicho, ale potem coraz głośniej i głośniej.

– Gustaw! Przestań! – zawołała, choć doskonale wiedziała, że to bez sensu.

Coś go opanowało. A ktokolwiek znajdował się w salonie, prawdopodobnie również padł ofiarą tej samej istoty. Tej przerażającej gnijącej kobiety, która nagrała się na ukrytej w ramce kamerze. Po co w ogóle tu weszli?! Zwiódł ich sygnał wzywania pomocy.

Julia rozglądała się przerażona. Przypomniła jej się scena spotkania z Bibianą pierwszego wieczoru. Teraz było sto razy gorzej. Nie wiedziała przecież, czy nieznajoma nie stoi na przykład metr od niej, może nawet kilka centymetrów. Nie można było jej zobaczyć.

Na myśl, że ta istota mogłaby jej dotknąć, Julia zaczęła wymachiwać rękami, próbując odepchnąć niewidzialną przeciwniczkę. Jej palce wpadały w pustkę, a Gustaw śmiał się coraz bardziej upiornie. Nie mogła znieść udręczonego wyrazu jego oczu. Toczył walkę, którą najwyraźniej przegrywał.

– Przestań! – krzyknęła Julia. Ta kobieta musiała gdzieś tu być. Tylko gdzie? – Przestań mu to robić!

Woźny mrugnął raz jeszcze rozpaczliwie, a potem z jego spojrzenia zniknęły jakiegokolwiek ślady świadomości. Stało się zatrwajająco puste. Ruszył w stronę Julii, wyciągając ręce. Wilk

rzuciła się do holu. Tam panował jeszcze większy rozgardiasz. Wszędzie były porozrzucone rozmaite przedmioty i jeszcze więcej krwi.

Przez drzwi salonu zobaczyła Damiana. Zamarła. Nie tylko dlatego, że zupełnie się go tu nie spodziewała. Śmiał się w głos. To jego słyszała wcześniej. Nie to było jednak najgorsze. Całe ciało miał poszarpane, jakby gwałtownie je rozdrapywał. Tak mocno, że powstały długie głębokie rany. Tam na ścianach to musiała być jego krew. Zaciskał w ręce kabel lampki i rytmicznie wciskał przycisk. Trzy krótkie, trzy długie, trzy krótkie. SOS. A więc to on?

Na poranionej twarzy nauczyciela malowała się udręka. Może naprawdę wzywał pomocy. Tego jednak Julia nie mogła być pewna. Poza tym jak mógłby uruchomić światła w całym domu? Naciskał tylko przełącznik lampki. **Jednej** lampki. A oni mieli wrażenie, że błyskają i gasną wszystkie.

Nie było czasu, żeby się nad tym zastanawiać! Julia popędziła do drzwi, ale w tym momencie Damian zerwał się z kanapy i ruszył za nią. A więc gonilo ją teraz dwóch mężczyzn. Mięśnie paliły ją z wysiłku, ale woźny i nauczyciel byli szybsi. Poczwała gwałtowne szarpnięcie, kiedy Gustaw chwycił ją za ramię. Próbowwała się wyrwać, ale wtedy Damian złapał ją w pól. Zaczęli wlec ją z powrotem w kierunku salonu.

– Ratunku – krzyknęła, choć wiedziała, że nie ma to najmniejszego sensu. Kto mógłby ją usłyszeć? Najbliższy dom był kilkaset metrów stąd. Co gorsza, należał do Agnieszki!

Julia próbowała się wyrwać, ale ręce Damiana i Gustawa były jak kleszcze. Pchnęli ją w stronę kanapy w salonie. Ku swojemu zaskoczeniu zobaczyła tam otwartego laptopa. Ekran był biały. To edytor tekstu. Kursor migał zapraszająco. Tak samo jak tysiące razy, kiedy zasiadała do pracy nad którąś ze swoich książek. Jakby wokoło nie panował absolutny chaos.

Musisz pisać. **Musisz pisać.** Te myśli tłoczyły się w jej głowie, jakby ktoś wpychał je tam łopata, nie bacząc, że nie ma już miejsca. Miała ochotę szarpać skórę, żeby wyrwać to coś ze swojego wnętrza. Gdyby tak zrobiła, zaczęłaby pewnie wyglądać jak poraniony Damian. Może on właśnie z czymś takim próbował walczyć? Może rzucał się po domu i dlatego panuje tu taki chaos. Walczył, ale to coś go opętało. Tak jak Gustawa. A teraz ją wzięło na cel.

Teraz? To się przecież zaczęło już wcześniej. Tak naprawdę próbowało przez cały ten czas! Teraz tylko zyskało na sile.

– Wystarczy! – krzyknęła Julia rozpaczliwie.

Myśli nie przestawały pędzić.

I nagle wiedziała już nie tylko, co dokładnie musi zrobić, ale też jak.

23

**Agnieszka Szymańska**

Szyba dźwiękoszczelnego okna pękła i rozsypała się na miliony kawałków. Huk wydawał się nie do zniesienia, mimo że trwał jedynie chwilę. Agnieszka pragnęła znaleźć się daleko

stąd.

Ten dzień zaczął się dla niej od poczucia triumfu, że czary się udały. Zdjęcia dzieciaków zadziałały w rytuale, fotografia nowej nie posłużyła do czaru, ale dała satysfakcję odegrania się na ładniejszej dziewczynie. Potem przyszło upokorzenie, że Agnieszka najprawdopodobniej została oszukana (coś jak magiczna wersja kremu na powiększanie biustu, który nie robi nic innego oprócz nawilżania). Następnie doznała uczucia spełnienia, kiedy została w końcu przyjęta do Rady. Tak bardzo tego chciała, a zupełnie nie oczekiwała, że się uda tak łatwo. Tylko że na koniec to...

Wieszczy wślizgnął się do pokoju tak zwinnie, że Agnieszka nie zdążyła nawet wziąć oddechu i krzyknąć. Wiktoria i Eliza wycofały się w kąt, zostawiając ją z przodu. Nie była w stanie się ruszyć. Oczy potwora pały niewyobrażalną wręcz wściekłością. Czekala, aż rozewrze paszczę i krzyknie, ale on tylko rzucił się w jej stronę, szczękając kłami i wymachując pazurami.

Odskoczyła w stronę ściany. Chwyciła pierwszą rzecz, która jej się nawinęła pod rękę. To była lampa. Niezbyt skuteczna broń, ale nie miała innej. Zamachnęła się i uderzyła potwora w łeb. Rozległ się głośny trzask. Wieszczy wydawał się zdezorientowany. Zaraz jednak znów zamachnął się pazurami. Poczula piekący ból. Zerknęła na rękę i o mało nie zemdlala. Kawalek mięsa zwisał bezwładnie. Zatoczyła się do tyłu, próbując uciec przed widokiem ziejącej rany.

W tym momencie Eliza zaatakowała stwora z drugiej strony. Wiktoria chwyciła krzesło i również uderzyła. Wieszczy zawył przeciągle. Zamachnął się zakończoną szponami ręką i ranił dyrektorkę w szyję. Krew popłynęła gwałtownie, jakby co najmniej poderznął jej gardło. Może to zrobił.

Agnieszka zauważyła, że w kącie pokoju leżą jakieś pozostałości po remoncie. Zaczęła przedzierać się w tamtą stronę pomiędzy poprzewracanymi meblami. Może w stercie śmieci znajdzie cokolwiek ostrego. Otwarta rana rwała okropnie, ale Agnieszkę napędzała adrenalina.

– Elizaaaaaaaaaaaaaaaaa.

Krzyk za jej plecami był tak głośny, że zupełnie ją zamroczyło. Nigdy jeszcze nie znajdowała się tak blisko potwora, kiedy wywrzaskiwał on imię swojej ofiary. Poczula, jakby uderzyła ją fala gorąca. Przytrzymała się sofy, żeby nie upaść. Nie udało jej się i śliskie od potu palce obsunęły się. Zatoczyła się na podłogę. Okręciła się przy tym o sto osiemdziesiąt stopni, akurat żeby zobaczyć, jak Eliza Kowalczyk rozmywa się w powietrzu. Nie chroniło jej antidotum ani żadna dźwiękoszczelna tarcza. Krzyk wieszczego zadziałał jak zwykłe.

W ślepiach potwora zabłysła wyraźna satysfakcja. Spojrzał na Agnieszkę, uśmiechając się dziko. Drobne ostre zęby były doskonale widoczne. Jego paszcza zaczęła się rozchyłać do kolejnego krzyku.



## Julia Wilk

Damian i Gustaw pchnęli Julię w stronę kanapy. Zachowywali się jak nakręcane zabawki, pozbawione własnej woli. Byli opętani przez **obecność**, która zamieszkiwała ten dom.

– Ej, i po co ta agresja – warknęła Julia.

Bała się, ale o dziwo już nie tak bardzo. Kiedy zrozumiała, czego od niej chcą, była zdecydowana usiąść do komputera. Nie trzeba było jej przymuszać. Znowu odbierała płataninę myśli przesyłaną jej przez gnijącą kobietę, ale zaczynała się ona składać w zrozumiałe obrazy.

Wilk dowiedziała się, że kobieta jest jedną z ofiar dawnej fabryki. Wyglądała tak przerażająco w efekcie choroby popromiennej. Nazywała się Kalina Faber i była... matką wieszczego. Tkwiła uwięziona w tym domu od lat, utrzymywana gniewem za bezsensowność swojej śmierci i przerażającą się w obsesję miłością syna, który nie chciał odpuścić. Póki on ciągle się mścił, póty duch Kaliny nie mógł odnaleźć spokoju i opuścić tego miejsca. A Jan nie wiedział nawet, że matka jest nadal w domu. Nigdy do niego nie wchodził. Ona zaś przez lata nie miała wystarczającej mocy, żeby go zawołać, a jej świat ograniczał się do tego jednego domu.

Julia w gruncie rzeczy nie była tym wszystkim zaskoczona, bo przypominała sobie, co czytała o jabłoniach nad grobami. Drzewa sadzone dla matek. Ta kobieta od dawna chciała jej przekazać, kim jest – tylko nie mogła zrobić tego za pomocą słów, a jedynie obrazów. Teraz stała się silniejsza i jej przekaz również był mocniejszy. Kochała syna, ale chciała powstrzymać go od tego, co robił. On zabił ją, żeby nie cierpiała. Ona chciała go zabić, żeby przestał zadawać cierpienie innym. A właściwie miała to zrobić w jej imieniu Julia.

Wątpliwości, które wcześniej dręczyły Julię, teraz zupełnie się rozwiały. Mogła przekształcić swój przerażający dar w coś dobrego – uchronić ludzi z miasteczka przed kolejnymi wyborami. Musiała tylko napisać historię, w której wieszczy znika.

– Oby to zadziało tak, jak działo wcześniej – powiedziała bardziej do siebie niż do Gustawa i Damiana. Oni i tak jej teraz nie rozumieli. Matka wieszczego opętała ich, żeby stali się jej narzędziami i zmusili pisarkę do pracy.

Wilk usiadła bokiem na kanapie i zaczęła stukać w klawisze. Nauczyciel i woźny stali nad nią, jak dwaj milczący strażnicy. W ich twarzach Julia widziała pustkę. Zastanawiała się, czy wyglądała tak samo, kiedy matka wieszczego zmusiła ją do napisania krwawego przesłania w łazience albo wysłała na cmentarzyk w pozornym śnie – będącym tak naprawdę krótką podróżą w czasie, żeby spróbować pokazać jej, o co w tym wszystkim chodzi. Jednak wtedy pisarka jeszcze nie rozumiała. Dla niej to był tylko koszmar.

Julia – a właściwie Zuzanna, a może **Milena** – nienawidziła pisać pod presją, a zwłaszcza kiedy ktoś znajdował się razem z nią w pomieszczeniu. Teraz jednak o tym nie myślała.

Wpadła w trans, jakby była w swoim własnym świecie. Wzięła głęboki oddech i zaczęła stukać w klawisze. To musiało być najkrótsze opowiadanie, jakie kiedykolwiek napisała. Czowała bowiem, że nie ma już ani chwili do stracenia.

## 25

### Wiktoria Sikora

– Agnieeeeeeeeeeeszka.

Wiktoria zaczęła się czołgać w stronę drzwi, zanim potwór zaczął krzyczeć. Była już w progu, kiedy wybrzmiała ostatnia głoska. Jej zniszczoną w poprzednim ataku twarz owiał ciepły wiosenny wiatr. Na zewnątrz było pięknie. Cudowna noc, żeby umierać, przebiegło jej przez myśl. Zabił już Elizę, teraz Agnieszkę. Pora więc i na nią. Ale przynajmniej zaczerpnęła świeżego powietrza. Tak bardzo tego pragnęła i się udało.

Usłyszała za sobą kroki potwora. Nie krzyczał. Wiedział zapewne doskonale, kim ona jest. Pamiętał, że kiedyś krzyknął i nie zdołał wymazać jej do końca. Nosila ślady tego na twarzy. Może uważał, że nadal jest na niego odporna? A może była? Czy tamto nie do końca idealne antidotum jeszcze zostało w jej ciele? Pewnie nie – za dużo czasu minęło. Ale może? Nadzieja matką głupich.

Wiktoria widziała, że w niektórych oknach miasteczka pozapalały się światła. Dało się dostrzec poruszenie w oknach. Oczywiście usłyszeli wrzaski wieszczego. Niektórzy próbowali dojrzeć, co się dzieje. Inni wręcz przeciwnie, pogasili lampy i być może zaszyli się w piwnicach w nadziei, że przetrwają. Nigdy, przynajmniej za ich życia, echo nie niosło tylu śmierci.

Kroki wieszczego były coraz bliżej. Nie odwróciła się. Poczwała szarpnięcie i ostry ból, kiedy potwór wbił szpony w mięśnie jej pleców. Czekwała na kolejne pociągnięcie, ale nic się nie stało. Zastygła bez ruchu, tłumiąc łkanie. Nie chciała umierać, płacząc.

Nic.

Nic się nie działo.

– No już! – wrzasnęła. – Rób, co masz zrobić!

Niektórzy ludzie wylegli przed domy. Willa oddalona była od centrum miasteczka o dobrych kilkaset metrów. Wiktoria widziała ich jednak doskonale. Od lat nie patrzyło na nią tyle osób. Zdeformowana kobieta i potwór, który ją za chwilę zabije. Czy to nie najlepsze przedstawienie dla gawiedzi?!

Tylko że nic się nie działo.

Odwróciła się powoli, żeby spojrzeć wieszczemu w oczy. Może zostało w nim cokolwiek z człowieka, którym kiedyś był. Jeśli tak, to może choć odrobinę zabolę go, że ją morduje. Spojrzała na pusty próg domu.

Wieszczego tam nie było.

Jakby rozplynął się w powietrzu...

## 26

### Julia Wilk

– Koniec – szepnęła Julia, wystukując ostatnie sześć liter swojego minitekstu.

Odwróciła się do Damiana i Gustawa. Uśmiechnęła się jak osoba, która dobrze wykonała swoją robotę. Nie spodziewała się po nich żadnej reakcji, ale z zaskoczeniem stwierdziła, że ich oblicza robią się bardziej ludzkie. Wracali do siebie! Matka wieszczego, bo teraz Julia już wiedziała, z kim mają tu do czynienia – ich uwolniła. A więc i to się udało. Rozglądali się zdezorientowani po salonie, nie pamiętając najwyraźniej, jak się tu znaleźli. Nauczyciel ze zgrozą lustrował swoje poranione ciało.

– Wszystko w porządku? – krzyknął do niej Gustaw.

Patrzył tylko na nią. Nie sprawdził nawet, czy jemu samemu nic się nie stało. Nie umknęło to jej uwadze. Rzadko ktoś się o nią martwił. Tak naprawdę, od serca. Rozczuliło ją to. Wzdrygnęła się, próbując odrzucić te nieoczekiwane emocje.

– Tak. – Machnęła ręką.

Zawsze po napisaniu tekstu wchodziła w rolę nonszalanckiej autorki, dla której tworzenie to pikuś. Pozwalała sobie na to jedynie, kiedy opowieść była gotowa i miała już pewność, że niczego nie zepsuje. Przedtem nigdy nie zdecydowałyby się tak igrać z mocą słów. Ten moment po zakończeniu pisania był jej drobnym osobistym triumfem.

– Co tu się dzieje?! – wykrzyknął Damian.

Wyglądał strasznie. Cały w rozmazanej krwi i rozdrapanych ranach. Jakby sam zmienił się w potwora.

– Nie wiem – odparła, ale uśmiechnęła się do siebie.

Czuła, że się udało! Przedtem była pewna, że jej dziwaczna moc sprowadza się tylko do uśmiercania. Mimo to postanowiła spróbować zrobić coś jeszcze oprócz pozbycia się wieszczego. Opisała odejście jego matki, uwolniła ją z tego domu. Jeszcze chwila i duch tej znękaney kobiety rozwieje się tak, jak powinien wiele lat temu. Może będzie ją można usłyszeć w szumie jabłoni przy cmentarzyku? Ale to wszystko. Tak, to było dobre zakończenie.

**Jest jeszcze jeden. Teraz, kiedy jestem poza domem, czuję go wyraźnie.**

– Co? – powiedziała Wilk zaskoczona.

Przedtem matka wieszczego wysyłała tylko obrazy i rozkazy bez słów. Raczej sugestie. Teraz przesłanie przybrało formę przekazu werbalnego.

– Jak to jeszcze jeden?! – zawołała pisarka.

– O czym ty mówisz? – obruszył się Gustaw.

On najwyraźniej niczego nie słyszał, mimo że wołanie znikającej matki wieszczego wydawało się Julii bardzo głośne. *Jest jeszcze jeden.* Wilk słyszała te słowa wyjątkowo dokładnie. Serce znów zabiło jej szybciej. Czyżby oznaczało to, co myślała?

– Powiedziała, że jest jeszcze jeden. Myślę, że chodzi jej o to, że jest jeszcze jeden wieszczy.

– Ona mówi o mnie – wyznał boleśnie Damian. – Wieszczy mnie wybrał, bo prawdopodobnie po śmierci ja również zmienię się w demona.

Julia i Gustaw popatrzyli na nauczyciela, nie wiedząc, co robić. Damian wyglądał wyjątkowo żałośnie. Był jak mały chłopiec, którego trzeba przytulić. Co Wilk powinna zrobić? Zabić go kolejnym opowiadaniem?

– Póki żyję, nie jestem dla nikogo niebezpieczny – zastrzegł szybko Damian, odgadując najwyraźniej jej myśli. – Dopiero jak zginę, będziecie mieli problem! Wtedy się przemienię!

Wystawił ręce, jakby miały stanowić tarczę przed jej pisaniem. Spojrzała na woźnego pytająco. Gustaw wzruszył ramionami, choć na jego twarzy malowała się niepewność. Wyglądało na to, że mieli przed sobą bombę z opóźnionym zapłonem. I na razie żadnego pomysłu, jak ją rozbroić. Julia uznała, że musi się z tym przespać. Może przyjdzie jej do głowy jakieś opowiadanie, które rozwiąże też sytuację Damiana?

– Zostawcie mnie w spokoju, a nic nikomu się nie stanie!

Nauczyciel zdawał się przerażony. Zrobiło jej się go żal. Kiedy ludzie dowiedzą się, że jest wieszczym, na pewno zostawią go przy życiu, żeby się nie przemienił, ale będzie skazany na ostracyzm. Będą się zastanawiać, jak go unieszkodliwić – jak ona przed chwilą – a on będzie musiał z tym żyć.

– Ja nic ci nie zrobię – mruknęła. – Przynajmniej na razie...

Dodała to, żeby pamiętał, co zrobiła przed chwilą z potworem podobnym do niego. Nie wiedziała, czy każdy wieszczy zabija, jak ten, którego pokonała. Miejmy nadzieję, że nie. Nie musiałyby rozprawiać się z Kowalczykiem. Mimo wszystko go polubiła.

Uznała jednak, że nie będzie zaprzętać sobie tym w tej chwili głowy. Teraz trzeba cieszyć się, że im się udało. Przeróżające **wybory** w Wieszczach się skończyły.

## 27

*Czuję się silna. Silniejsza niż kiedykolwiek od czasu, kiedy moje serce przestało bić. Moja moc pozwala mi już artykułować słowa, a nie tylko przekazywać obrazy i sugestie. Siła wzrastała od momentu, kiedy wybudziła mnie obecność Zofii Babińskiej, i nie przestała. Gdyby pisarka nie zaczęła mnie odsyłać w nicość, może całkiem wróciłabym z czasem do siebie?!*

*Ale może lepiej, że tak nie jest... Kim bym się wtedy stała? Nie raz łapałam się przecież na tym, że rośnie we mnie gniew za niesprawiedliwość, która mnie spotkała. Chęć odwetu. Podobna do tej, która opanowała mojego syna. A może chciałabym się zemścić za śmierć*

Jana? Mimo że sama wiedziałam, że jest potrzebna... Wręcz jej chciałam. Nie było innego wyjścia, choć serce matki w takiej sytuacji krwawi. Nawet to niematerialne.

Nie wiem, czemu nie podałam mu antidotum, kiedy urodził się ze znakiem wieszczego. Może wiodła mnie pycha. Myślałam, że mój Dar wystarczy, żeby go okiełznać. Byłam obrończynią. Miałam chronić te ziemie. Wydawało mi się, że mając po swojej stronie takie stworzenie, będę silniejsza. Ale wszystko potoczyło się inaczej. Zgubiło mnie przeświadczenie, że jestem niezniszczalna. A tymczasem świecąca farba doprowadziła do tego, że musiałam odejść.

Wkrótce rozplnę się w ciemnościach. Dom nie ma już nade mną mocy. O ileż łatwiej mogłoby być, gdyby mój syn kiedykolwiek wszedł do Stróżówki... Zawsze był uparty. Nad moim ciałem obiecał sobie, że nie wróci, i przez te lata nie wrócił.

Tak więc on nie mógł tam wejść, bo sam sobie to narzucił. A ja nie mogłam wyjść, bo trzymała mnie tam moja gwałtowna śmierć, a może też jego miłość, która z czegoś słodkiego stała się przerażającym więzieniem. Nie umiał odpuścić, a więc ja nie mogłam odejść.

Gdyby kiedykolwiek wrócił do Stróżówki i mogłabym posłać mu moje myśli... Tuż po tym, jak mnie zabił, było jeszcze za wcześnie. Wtedy nie potrafiłam nad tym zapanować. Och, gdyby wrócił kiedykolwiek potem, a nie tylko przemykał tak daleko, że nie byłam w stanie go dosięgnąć moimi myślami... Tak blisko, a tak daleko.

Może bym mu wytłumaczyła... Może nie popadłby w szaleństwo zemsty za wszelką cenę? Nie mogłam wyjść z domu i nawet nie wiedziałam o wyborach, które narzucił miasteczku. Ale ludzie przychodzili remontować Stróżówkę i wyczytałam w ich głowach, co się dzieje. Przerażało mnie to, jak bardzo mój syn chciał się zemścić. Byliśmy tak blisko, a jednocześnie tak daleko od siebie. Gdyby o tym wiedział, może wszystko byłoby inaczej...

A ja? Cieszę się, że pisarka opisała moje odejście. Gdybym nie odeszła, mogłabym stać się jeszcze gorsza niż mój Janek. Mój Dar jest duży. Mógłby zupełnie mnie pochłonąć. Tak więc jestem wdzięczna Julii Wilk, że i dla mnie napisała koniec.

Od początku próbowałam się z nią komunikować. Próbowałam cofnąć ją w czasie, kiedy spała, i pokazać jej cmentarz i jabłonie. Przenosiłam telefon, kubek, rozkładałam bezsensowne przedmioty na schodach, uruchomiłam nawet stary zegar z kukułką. Na tyle wtedy starczyło mi sił. Nawet teraz błyskałam światłami, naśladowując niezdarne próby Damiana. Chciałam zaznaczyć swoją obecność, choć nie mogłam użyć słów. Słowa są wbrew pozorom najtrudniejsze. Powstały później niż uczucia i obrazy. Później się ich uczymy. A ja musiałam przejść całą drogę od początku. Kiedy wyczułam w jej myślach, do czego służy ramka postawiona na stoliku nocnym, wyteżyłam całą swoją siłę, żeby ten przedmiot wychwycił moją obecność. Tak bardzo chciałam zostać zauważona! Rwałałam włosy z głowy z bezsilności.

To wszystko mnie frustrowało. Bo z jednej strony cieszyłam się, że udało mi się zasugerować Elizie Kowalczyk, co trzeba zrobić. A więc sukces. Z drugiej tylko połowiczny,

bo nie mogłam powiedzieć pisarce, czego chcę. A ludzie z miasteczka się z tym nie kwapili. Tłoczyłam **nowej** myśli do głowy, podsycalam ciekawość dotyczącą jabłoni, kazałam jej pisać po ścianie – byle tylko zaczęła uważniej czytać moje sygnały. Wszystko na nic, bo powodowałam jedynie jej lęk. A przecież za wroga uważałam tylko Cezarego Babiańskiego. Julii Wilk nigdy nie chciałam skrzywdzić. Nawet Damiana i Gustawa użyłam tylko jako narzędzi, żeby przekazać jej moją **prośbę**.

Tkwiłam w Stróżówce latami. Teraz, kiedy moja bezcielesna powłoka ulatuje powoli z tych murów, czuję ulgę. Chcę o wszystkim zapomnieć.

Ale co to?!

Wyczułam przemienionego wieszczego... Na obrzeżach mojej świadomości tkwi myśl, że muszę przekazać Julii ostatnią wiadomość. Teraz, kiedy płynę swobodnie nad miasteczkiem, czuję, że to jeszcze nie koniec!

Słyszę, jak nauczyciel przyznaje się, że i on nosi w sobie Demona. Rozmawiają, pertraktują. Jak to ludzie. Już mnie nie słyszą, a ja jestem za daleko, żeby im powiedzieć, że nie chodzi wcale o Damiana. Nie umiem wyczuć nieprzebudzonego demona, choć w jego przypadku już wcześniej wyczytałam w jego umyśle, kim jest. Tylko jednak dlatego, że sam o tym wiedział. Ja jednak czuję tylko tego, który już się przemienił. Ktoś umarł i powstał nowy demon!

Jest więc jeszcze jeden i nietrudno zgadnąć, że zaatakuje wkrótce. Świeżo przemieniony wieszczy jest szczególnie żądny krwi.

# EPILOG

## 1

### Julia Wilk

Zrobiło się bardzo późno, ale po miasteczku nadal kręcili się ludzie. Julii przypominało to meksykańską fiestę. Pewnie Bibiana Zielińska by się ucieszyła. Powyciągano nie wiadomo skąd żółte i różowe wstęgi – kolory miasteczka. Powiewały dosłownie wszędzie. Jakby to było święto narodowe jakiegoś mikroskopijnego państewka. Do pewnego stopnia tak właśnie było.

Wieść o zniknięciu wieszczego rozniosła się lotem błyskawicy. Dotarła też oczywiście pod las, gdzie stała Stróżówka. Wilk ucieszyła się, kiedy jej przecucia o powodzeniu misji się potwierdziły. Nie miała już siły na skakanie z radości, jak mieszkańcy miasteczka. Większość ludzi, z tego czy innego źródła, wiedziała już, że pisarka była zaangażowana w sprawę. Nawet ci, których nie znała, przychodzili, żeby ucisnąć jej rękę. Wieści w takich małych społecznościach rozchodzą się zadziwiająco szybko.

– Masz już dosyć? – zapytał cicho Gustaw.

Przez cały ten czas woźny trzymał się blisko niej. Damian gdzieś zniknął, ale nie miała siły go szukać. Za dużo się wydarzyło, żeby o nim myśleć. Niech ucieka. Jeśli prawdą jest to, co mówią o magii tego miejsca, nauczyciel i tak daleko nie odejdzie.

Doszły ją już słuchy, że Albert, Agnieszka i Eliza nie żyją. Damian stracił więc dwie bardzo bliskie osoby – matkę i męża. Może po prostu oddalił się gdzieś pogrążony w żałobie. A może wrócił do mieszkania nad sklepem, żeby opatrzyć rany. Nie uważała na razie za konieczne mówić ludziom, kim on naprawdę jest. Musi to przemyśleć, a może omówić z Wiktoria Sikorą? Julia jeszcze jej nie poznała, ale podskórnie czuła przed nią respekt.

– Tak, trochę mam dość... – zaśmiała się przepraszająco.

Ludzie przychodzili do jej domu w dobrej intencji: chcieli podziękować. Tylko że ją zaczynało ogarniać takie zmęczenie, że zasypiała niemal na stojąco.

– Przenocuj dziś u mnie – zaproponował Gustaw.

Zrobiło jej się gorąco. Po jego minie trudno było stwierdzić, czy pomyślał o tym samym, czy jedynie proponował po przyjacielsku. Skinęła głową. Miała nadzieję, że on też czuje dziwny pociąg, który połączył ich nieoczekiwanie w trakcie ostatnich wydarzeń. Woźny na pewno nie był klasycznym przystojniakiem. Zrosnięte brwi i grubo ciosane rysy mogły na

pierwszy rzut oka zniechęcić. Nie mówiąc już o niezbyt dobrych manierach. Tylko że ona pamiętała chwile, kiedy zrzucił maskę i był sobą. Podobał jej się wtedy.

– Zajrzyjmy tylko do tych dzieciaków Machulskich – zaproponował. – Jesteśmy to winni Brunonowi.

Na wspomnienie dzielnego nastolatka zachciało jej się płakać. Odetchnęła głębiej, żeby odgonić rozpacz. Chłopak rzucił się na potwora, żeby ją ratować. Zginął. Czowała się winna, ale nic nie mogła zrobić. Życia mu nie wróci.

– Jasne – powiedziała szybko i dała się poprowadzić.

Otoczał ich tłum świętujących ludzi. W nocy to był widok całkowicie surrealistyczny. Pod domem Machulskich też zgromadziło się sporo osób. Ci mieli bardziej zaszępienie miny. Zapewne odkryli martwą kobietę w sypialni. Być może w którymś momencie ktoś wpadł do tego domu, żeby przynieść pani Machulskiej dobre wieści, i bum, niespodzianka. A może ktoś chciał przekazać, że jej syn nie żyje... Tak czy inaczej, sprawa się wydała i Julia czuła z tego powodu nieopisaną ulgę. To zdejmowało z jej barków odpowiedzialność.

Patrzyli z Gustawem, jak wysoka policjantka i jej niski kompan rozmawiali z braćmi Brunona. Kawalek dalej ludzie gromadzili się wokół Wiktorii Sikory. Była poraniona, zdeformowana, ale żywa. Opowiadała ludziom nocne wydarzenia, które miały miejsce pod jej willą. Jej przerażająco zniekształcona twarz zdawała się teraz nikomu nie przeszkadzać. Za wielkie panowało poruszenie i radość spowodowana tym, że nikt nie będzie już zmuszany do wybierania sąsiadów mających pójść na śmierć. Ulga, że samemu się nie zostanie wybranym, zapewne również miała w tym swój udział.

– Nic tu po nas – zdecydował Gustaw, ciągnąc Julię w stronę szkoły.

Spojrzała raz jeszcze na braci Brunona. Tamci ludzie chyba zajmą się nimi lepiej niż ona, uznała. Głosik w jej głowie próbował przekonywać, że Wilk szuka wymówek, ale szybko go uciszyła. Zasłużyła na odpoczynek.

Kiedy zamknęły się za nimi ciężkie drzwi szkoły, otoczyła ich absolutna cisza. Julia miała wrażenie, że budynek przycisnął się w oczekiwaniu na jakieś decyzje. Dyrektorka nie żyła. Jej duch jakby stąd uleciał, więc potrzebne będą decyzje, kto zajmie jej miejsce. I bardzo dobrze, że dusza Elizy zniknęła, pomyślała Wilk, bo mogłoby się stać tak jak z matką wieszczego, która utknęła na lata w domu nazywanym Stróżówką.

– Z reguły nigdy nikogo do siebie nie zapraszam – wyjaśnił Gustaw, kiedy wspinali się na strych.

– Dlaczego?

– To takie **moje** miejsce – odparł niechętnie. – Nie chciałem, żeby ktoś zobaczył, co tam trzymam.

Zabrzmiało to co najmniej dziwnie. Julia zawahała się na ostatnim drewnianym stopniu. Otaczała ich teraz ciemność. Byli tu sami, nikt by jej nie usłyszał, gdyby zaczęła krzyczeć... Głupoty, zdecydowała.



Woźny zaśmiał się, odgadując chyba jej reakcję. Przez chwilę miała nieprzyjemne wrażenie, że to znów ten opętańczy chichot, który sprowadziła na niego wcześniej matka wieszczego. Ale nie, to był zwykły zawadiacki śmieszek.

– To nic takiego, sama zobaczysz. Po prostu chciałem utrzymać pewien wizerunek, żeby ludzie dali mi spokój. A to, co mam w domu, do mojego wizerunku nie pasowało. Dlatego woląłem się nie ujawniać.

Poszła za nim. Była bardzo ciekawa, co tam zastanie. Otworzył drzwi i z miejsca poczuła charakterystyczny zapach książek. Były wszędzie. Na półkach przy ścianach, w wielkich stertach piętrzących się na meblach, na parapetach. Tego zupełnie się nie spodziewała. A może? Ta pani Danvers, zaśmiała się w duchu, to nie był przypadek. Gustaw pozował na nieokrzesanego prymitywa, a naprawdę znał klasykę literatury.

Nie zdążyła skończyć myśli, bo odwrócił ją do siebie. Ich twarze znajdowały się teraz bardzo blisko siebie.

– To moje królestwo – oznajmił, patrząc jej w oczy. W jego spojrzeniu widziała nieoczekiwaną nieśmiałość przemieszana z determinacją. Poczowała, że robi jej się jeszcze ciepłej.

– Bardzo tu... przyjemnie – szepnęła.

Pociągnął ją w stronę łóżka. Nie opierała się.

## 2

### Damian Kowalczyk

Damian pobiegł do lasu. Wiedział, że sporo ryzykuje. Jan Faber nie żył i być może mieszkańcy Wieszcz zechcą wkroczyć do jego dawnego dominium. Może nawet postanowią zniszczyć cmentarzyk w pełnym satysfakcji ponurym odwecie za te wszystkie lata zniewolenia. To miejsce nie było już napromieniowane. Nauczyciel powiedział tak Julii, żeby ją zniechęcić do wizyt. Ale nadal miało swoją siłę. Lokalsi o tym wiedzieli. Każdy, kto mieszkał tu wystarczająco długo, czuł, że Wieszcz emanują uzależniającą mocą, a jej epicentrum kryje się właśnie przy starej fabryczce.

Pędził pomiędzy drzewami. Chciał się znaleźć na cmentarzyku, i to jak najszybciej. Nie był pewny, dlaczego tak mu na tym zależy. Jana już nie było. Nikt nie mógł nauczycielowi kazać tam chodzić, nikt go nie mógł straszyć. Zresztą czym? Przecież Albert i Eliza nie żyli! Jego najbliżsi! Damian nie miał już absolutnie nic do stracenia. A jeśli naprawdę nosił w sobie przekleństwo, nawet uśmiercenie go nic mu nie odbierze. Będzie żył nadal.

A jednak pędził na cmentarzyk, jakby od tego cokolwiek zależało. Matka wieszczego kryła się w Stróżówce przez te wszystkie lata. Niemal doprowadziła go do obłądzenia, opanowując jego myśli, aż mózg Damiana nie mógł tego znieść. Może poprzestawiała mu jakieś klepki?

O mało nie potknął się na kryjących się w mroku nocy korzeniach. Znał tę drogę jak własną kieszeń. Tyle razy tędy chodził. Ale dziś był nieuważny. Wszystko go bolało. Całe ciało miał poharatane, bo początkowo próbował wyszarpać z siebie obecność ducha. Sam sobie zadał te rany. Kręciło mu się od tego w głowie. Ale nie tylko od tego. Co będzie teraz? Czy kiedy umrze, stanie się taki krwiożerczy jak Jan? Na początku być może tak, choć teraz przecież nie skrzywdziłby nawet muchy. Nie chciał być okrutny. Czy będzie mógł nad tym zapanować po pierwszych godzinach szału przemiany? Jeśli tak, mógłby po prostu kryć się potem w lesie. Z dala od ludzi. Wtedy nikomu nic się nie stanie...

Ruszył dalej. Był już tak blisko. Wbiegł pomiędzy skrzydła ceglanej bramy. Nawet nie spojrzął na tablicę ostrzegającą przed promieniowaniem. Popędził prosto w stronę cmentarza. Spodziewał się, że zapach jabłoni teraz przygaśnie, a one same nie będą już tak błyszczące. Nadal jednak świeciły. Widać je było wyraźnie już z daleka. A może były nawet jaśniejsze niż przedtem? Dziwne. Damian zawsze myślał, że tak działa na nie obecność wieszczego.

Zaraz... Nauczyciel aż przetaił oczy. Czy tam ktoś stał? Niewysoka postać opierała się o pień jednej z jabłoni. Damian zwolnił kroku. Poznawał tę sylwetkę, nie mógł jednak uwierzyć w to, co widzi. Znów miał ochotę przeklinać. A więc wyglądało na to, że nie tylko jego matka nie podała mu antidotum... A matka wieszczego wcale nie mówiła o nim, kiedy ostrzegała, że Jan nie był ostatni. To dlatego jabłonie świeciły tak jasno. Nowy demon już tu był.

Damian zatrzymał się w nadziei, że pozostał niezauważony. Faber opowiadał mu kiedyś, że przemiana zawsze jest gwałtowna, a młody wieszczy myśli tylko o krwi. Tak bardzo, że nic nie powstrzyma go przed zabijaniem. W pierwszej chwili krąży po okolicy w szaleństwie przemiany, choć czasem jest gotowy do zabijania od razu po swojej śmierci, a czasem budzi się w najbliższej mogile. Nie ma reguły. Może tylko jedna: bez względu na to, jak i gdzie zginął, jak i gdzie się z powrotem pojawił w nowej formie, jest żądny krwi. I praktycznie od razu chce zaspokoić potrzebę uwolnienia swojego przerażającego głosu.

Postać odwróciła się gwałtownie. Nowy wieszczy miał wyostrome zmysły. Damian głupio się łudził, że zdoła uciec.

– Bruno! Nie rób tego, jestem taki jak ty! – zawołał.

Potwór z jednej strony przypominał chłopca, ale był też zupełnie inny. Kontury jego ciała rozmazywały się, a twarz nabrała nieludzkiej dzikości.

– Jeśli krzykniesz moje imię i mnie zabijesz, ja też zmienię się w demona i...

Damian nie dokończył. Oczy tej istoty gorzały jak kiedyś ślepie Jana. To już nie był Bruno. Niby jak nauczyciel miałby go przekonać, że musi się powstrzymać przed zabijaniem. Nie było takiej możliwości. Chłopiec może coś sobie przypomni. Ale pewnie dopiero jutro, może za tydzień. Faber rozmawiał i zachowywał się prawie jak człowiek, kiedy już zaspokoił potrzebę mordowania. Czasem nawet przez długi czas pozostawał mało aktywny. Ale

chłopiec najwyraźniej dopiero się zmienił. Jego jedyną potrzebą jest obecnie zadanie bólu jak największej liczbie ludzi. Starcie ich w pył.

– Błagam – spróbował Damian mimo to. – Jeśli mnie zabijesz, ja też się zmienię! Będzie katastrofa. Razem może nawet zabijemy ich wszystkich. Nie możemy tego zrobić. Przecież to twój dom. Pamiętasz?!

Jan Faber zabił w latach pięćdziesiątych prawie wszystkich mieszkańców Wieszcz. W każdym razie tych, którzy znaleźli się w zasięgu jego głosu. Wykrzyknął po prostu nazwę miasteczka i wszyscy, którzy do tego miejsca przynależeli, umarli. A kto mieszka tu wystarczająco długo, jest częścią tej ziemi.

Teraz Bruno chyba sobie o tym incydencie przypomniał. Przez Damiana. Wykrzyczenie tak pojemnego imienia jak nazwa całego miasteczka wymaga od wieszczonego olbrzymiego nakładu sił, ale Bruno był neofitą, miał ich aż nadto.

– Nie! – krzyknął nauczyciel. – Stój!

Ale istota, która była kiedyś chłopcem, rzuciła się pędem w stronę miasteczka. *Bruno-Nie-Bruno* zapewne chciał się drapać na krzywą kościelną wieżę. Im wyżej wieszczy się wspinał, tym dalej docierał jego głos.

– Nie! Neeee! – krzyczał Damian.

Rzucił się w pogoń, ale nie był w stanie dogonić **przemienionego**. Zaraz on sam, jak pozostali, zginie. A wtedy wstanie ze zmarłych i też będzie atakował. Nic już tego nie zatrzyma.

Damian upadł na kolana i zaczął łkać.

### 3

## Julia Wilk

Julia wtulała się w pierś Gustawa. Czuła się spokojna i bezpieczna. Skutecznie pozbyła się niepokojącego głosiku, który ciągle powtarzał, że coś jeszcze ich czeka. To było niedorzeczne. Zawsze zamartwiała się na zapas. A potem dziewięćdziesiąt dziewięć procent tych obaw się nie spełniało. Teraz będzie tak samo.

Gustaw pocałował ją w czoło. Żadne z nich nic nie mówiło. Rozkoszowali się wzajemną bliskością. Zza uchylonego okna dochodziły odgłosy fiesty. Bardzo możliwe, że świętowanie potrwa do rana. Kiedy wszędzie słońce, ludzie przypominają sobie, że trzeba zacząć normalnie żyć. Teraz cieszyli się, że z barków spadło im gigantyczne brzemie.

Uśmiechnęła się do siebie. Normalnie przeszkadzałoby jej, że puszczano niezbyt wyszukaną muzykę, śmiano się i rozmawiano pełnym głosem mimo późnej pory. Normalnie myślałaby o tym, że musi wstać rano, a przez ten rozgardiasz nie zaśnie. **Normalnie**, ale nie dziś.

Było jej dobrze. Może i była morderczynią, ale czy nie użyła swojego szczególnego talentu, żeby pozbyć się tych, którzy naprawdę na to zasługiwali i...

Nagle ponad wrzawą świętowania rozległo się coś, czego miała nadzieję już nigdy w życiu nie usłyszeć. Ale... to było... niemożliwe... musieli znajdować się dość daleko od epicentrum, bo nie odczuła fali uderzenia, jak wcześniej. Głos był inny. Wyższy i donośniejszy niż ten, który słyszała wcześniej. Ale to był ten piekielny krzyk. Nie miała żadnych wątpliwości.

– Wieszczeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeee.

Odwróciła się do Gustawa. Na twarzy woźnego wymalował się wyraz absolutnego zaskoczenia, a potem paniki. Chciał coś powiedzieć, ale jego kontury zaczęły się rozmazywać. Tak jak to się stało wcześniej z Brunonem.

Julia chciała mu jakoś pomóc, ale jej dłonie trafiły w pustkę. Odgłosy na zewnątrz zamarły w jednej chwili. Kiedy krzyk przestał wibrować, nie zostało nic. Tylko absolutny **bezgłos**.

Dopadła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Jeszcze przed chwilą panowała tam radosna atmosfera. Celebrowano odejście wieszczego. Teraz nie było nikogo. Została tylko ona. To miejsce jeszcze jej sobie nie przywłaszczyło. Nazwa miasteczka nie miała więc nad nią mocy. Została tu sama. Całkowicie sama. Oni wszyscy zostali zabici w jednej straszliwej chwili!

Zobaczyła jakieś poruszenie na ulicy. W pierwszym momencie chciała otworzyć okno i zawołać o pomoc. Potem instynkt podpowiedział jej ciszę. Ujrzała dwie sylwetki. Zanim zdążyła odskoczyć od okna, zauważyła, że ta wyższa unosi rękę i pokazuje w jej stronę. Zobaczyli ją?

Cofnęła się odruchowo. Uderzyła w coś i odwróciła się gwałtownie. Gustaw stał pośrodku pomieszczenia nieco przygarbiony. Jego kontury rozmazywały się i błyszczały.

– Co... – wydusiła.

Nie zdążyła dokończyć, bo mężczyzna uśmiechnął się szeroko. Oczy płonęły mu złowieszczym blaskiem, a jego usta wypełniały drobniutkie zęby.

# PODZIĘKOWANIA

Pokrzydowo, 2023

Tym razem wybraliśmy się w nieco mroczniejszą podróż. Mam nadzieję, drodzy Czytelnicy, że choć trochę Was przestraszyłam! A przede wszystkim, że mieliście przyjemność z wizyty w Wieszczach. Kto wie, może jeszcze tu wrócimy, jeśli tajemnicze literackie ścieżki na to pozwolą! Dziękuję, że towarzyszyście mi w tej drodze – czy to po raz pierwszy, czy **dwudziesty** pierwszy!

Chciałabym również podziękować innym niezmiernie ważnym dla mnie Osobom. Przede wszystkim mojemu Mężowi Krzyśkowi, bez którego połowa (albo i więcej) moich literackich wypraw byłaby zdecydowanie trudniejsza. Zawsze mogę na Ciebie liczyć. Dziękuję moim Rodzicom, od których również zawsze mam olbrzymie wsparcie. Podziękowania także dla moich przyjaciół – Kochani, wiecie, że to do Was: Magda „Naleś” Stefańczuk, Ania Rosińska, Ania Nalińska, Ania i Monika Kamińskie, Darek Bernaciak, Lusia Kaczyńska, Gosia Wierzbowska, Emilia Grochowska, Marcin „Jadzik” Jadziński, Aśka Gera, Kama Nienałowska i Artur Konarski (kolejność przypadkowa!).

Dziękuję cudownej ekipie wydawnictwa Prószyński Media oraz osobom spoza wydawnictwa, które jednak w znacznym stopniu przyczyniają się do tego, jak wygląda ta książka! A więc podziękowania należą się: Annie Derengowskiej, Maciejowi Makowskiemu, Annie Król, Mirze Olejarskiej i całemu działowi promocji oraz reszcie naprawdę fantastycznej ekipy wydawnictwa; dziękuję też Małgorzacie Grudnik-Zwolińskiej, Maciejowi Korbasińskiemu oraz Mariuszowi Banachowiczowi za ich wkład w ostateczny wygląd tej książki.

Dziękuję również wszystkim entuzjastom polskiej literatury za nieustanne wsparcie!

Kasia Puzyńska

# Spis treści

## ROZDZIAŁ I

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8

## ROZDZIAŁ II

- 1
- 2
- 3

## ROZDZIAŁ III

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8
- 9
- 10
- 11
- 12
- 13
- 14
- 15
- 16

## ROZDZIAŁ IV

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

## ROZDZIAŁ V

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

24

25

26

27

## EPILOG

1

2

3

## PODZIĘKOWANIA